



ORGAN POLSKIEGO TOWARZYSTWA WALKI Z ALKOHOLIZMEM „TRZEŹWOŚĆ”,
POL. KOMITETU DO SPRAW NARKOTYKÓW I ZAPOBIEGANIA NARKOMANJI,
ABSTYNNENCKIEJ LIGI KOLEJOWCÓW, KOŁA LEKARZY ABSTYNTENTÓW
I WILEŃSKIEGO TOW. WALKI Z ALKOHOLIZMEM I INNYMI NAŁOGAMI „MENS”
pod redakcją JANA SZYMAŃSKIEGO.

T R E Ś Ć :

	<i>Str.</i>
KAZIMIERZ KALINOWSKI. — Przed naszym Jubileuszem	177
JAN STARCZEWSKI, Dyrektor Wydziału Op. Społ. i Zdrowia Publ. Zarządu m. st. Warszawy. — Legitymacja ruchu antyalkoholowego	180
Ks. MGR. JERZY BEKIER, Dyrektor Diec. Instytutu Akcji Katolickiej we Wło- ciawku. — O metodach pracy społecznej w walce z alkoholizmem	182
STANISŁAW CZERWIŃSKI, Prok. S. N. — Walka z leniwymi elementami aspo- łecznyimi, a domy pracy	192
DYREKTOR BRONISŁAW DUCHOWICZ. — O propagandzie niefermentowanych soków owocowych, czyli t. zw. nektarów, albo płynnego owocu	199
KS. DR. JAN CIEMNIEWSKI. — Nieco o kulturze serca	207
KONSTANTY KRYSKO. — Silni, zwarci, gotowi!	209
HANNA NAŁĘCZ-OSTROWSKA SZYMAŃSKA. — Artyzm i medycyna	211
B. SEN. TOMASZ NOCZNICKI. — Śmierć boru	288
XXII MIĘDZYNARODOWY KONGRES PRZECIWAALKOHOL. W HELSINKACH	290
B. SEN. ALEKSANDER IŻYCKI. — Nasze XX-lecte	296
STANISŁAW BIERNACKI. — Dobrowolna danina ze zdrowia i mienia	298
DR. JANINA ŚMIAROWSKA. — Rozrywka — potrzebą zdrowia	300
MARJA SOKALÓWNA. — Wśród książek	302
JAN SZYMAŃSKI. — Alkoholizm i Dziecko	306
DR. PIOTR RADŁO. — Słońce	308
CZESŁAW KACZMARCZYK. — Butelki wróża... Rysunek	312
KONSTANTY KRYSKO. — Obrazki z życia	313
ERYK LIPIŃSKI. — Alkohol i śmierć. — Dwa rysunki... ..	318
J. MORI. — Prosiak. — Nowela	321
NELA KRZEPKOWSKA. — „Czcij ojca twego!” — Wiersz	326
ROMA LUXÓWNA. — Skandal. — Nowela	327
KAZIMIERZOWA BRUCHNAŁSKA. — I to możliwe. — Opowiadanie	349
ZOFJA OLSZEWSKA. — Bożu, zaświadczył! — Monolog	356
SZTAMA. — Przekleństwo alkoholu. Dwa rysunki	359
LENA SÖLM. — Jasia	360
ZOFJA HERWICHOWA. — Ileż pracy potrzeba. — Wiersz	367
DR. PIOTR RADŁO. — XX-lecte T-wa „Trzeźwość“	367
DR. JAN JAWORSKI. — Młodzież „Wici“ w walce z alkoholizmem	368
DR. STANISŁAW STYPUŁKOWSKI. — M. Ośr. Zdrowia w walce z alkoholizmem	371
JAN SZYMAŃSKI. — Alkoholizm, a sport	378
SWÓJ. — List Krakowski. (Z 1 rys.)	381
ZYGMUNT KOCZOROWSKI. — Wódka	386
PRZED 20 LATY — Odezwa i pierwsze zebranie	387
A. M. ŚWINARSKI. — Dzieje salonu (wiersz)	389
WACŁAW SZULC. — Karykatura, str. 391. Kronika zagran., str. 395. Kronika	396

Prenumerata z przesyłką: roczna 6 zł., półroczna 3 zł., kwartalna 1.50.
Ogłoszenia: 1 str. 100 zł., 1/2 str. 60 zł., 1/4 str. 35 zł., 1/8 str. 20 zł., 1/16 str. 12 zł.
Konto P. K. O. Nr. 270.

REDAKCJA: Warszawa, ul. Fałata 4 m. 1, tel. 4.13.04, godz. 18—19.

ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Oboźna 4, m. 28, telef. 511-07.



PEŁEN WITAMIN

BEZALKOHOŁOWY PŁYNNY OWOC

Naturalny ten sok owocowy stać się musi drugim obok mleka napojem dla dzieci — tak jest zdrowym i pożywnym.

Wytwórcy: HARTWIG KANTOROWICZ NASTĘPCA S. A., Poznań.

PIJ NATURALNY SOK

FRANKA ZŁOTY —

TO SMAK I ZDROWIE

P. FRANK — RUNOWO KRAIŃSKIE

IDEALNE WITAMINOWE NAPOJE BEZALKOHOŁOWE
ZE ŚWIEŻYCH OWOCÓW

OWOC PŁYNNY || TRÓJOWOCOWY
JABŁKOWY „VITA”

GOLDENRING — POZNAŃ

SZANUJCIE ZDROWIE!

PIJCIE

SANA płynny owoc
naturalny sok ze świeżych dojrzałych owoców polskich.

W. CZAJKA
KOŚCIAN — POZNAŃ

NOWOCZESNA WYTWÓRNA PŁYNNYCH OWOCÓW

TRZEŹWOŚĆ

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY, POŚWIĘCONY SPRAWIE WALKI
Z ALKOHOLIZMEM I INNEMI NARKOMANJAMI,
ORGAN POLSK. T-WA WALKI Z ALKOHOLIZMEM „TRZEŹWOŚĆ”,
POL. KOMITETU DO SPRAW NARKOTYKÓW I ZAPOBIEGANIA NARKOMANJI,
ABSTYNNENCKIEJ LIGI KOLEJOWCÓW,
KOŁA LEKARZY ABSTYNETÓW
I WILEŃSKIEGO TOWARZYSTWA WALKI Z ALKOHOLIZMEM
I INNymi NAŁOGAMI „MENS”.

Pod redakcją JANA SZYMAŃSKIEGO.

Nr 5 - 6

MAJ - CZERWIEC 1939.

Rok XIV

Przedruk artykułów bez zezwolenia Redakcji wzbroniony.

PRZED NASZYM JUBILEUSZEM

Jubileusz, to zazwyczaj bukiety i wieńce z kwiaciarni i kwiaty wymowy z ust uczestników libacyj bankietowych... Więc wszystko nie to właśnie, co nas czeka na obchodzie dwudziestolecia Towarzystwa „Trzeźwość”. A mnie jednak marzy się jubileuszowa biesiada...

W wyobraźni mojej do biesiadnego stołu, pachnącego kwieciem i owocami, na jubileuszowym naszym zjeździe w stolicy, zasiąśćby winni z calutkiej Polski nieprzeliczeni przyjaciele „Trzeźwości”, a na myśli mam ludzi, którzy w życiu cokolwiek mieli do zawdzięczenia istnieniu naszego Towarzystwa...

Bo jubileusz, to moment, kiedy ludzie mają sposobność przypominania jubilatowi jego rzeczywistych lub wmawianych zasług, ale nade wszystko jest to dzień, w którym sam jubilat obraca się za siebie wstecz i zastanawia się, czego w ubiegłym okresie życia dokonał i czy istotnie warto było urządzać z tego powodu aż obchód jubileuszowy.

Jeżeli tak właśnie poza siebie obejrzy się dziś „Trzeźwość”, jeżeli po kolei spojrzy w oblicze każdego z tych dwudziestu lat minionych, to z pamięci wyprowadzi i do biesiadnego stołu jubileuszowego przywiedzie długi korowód szczerych przyjaciół, którzy niewymuszenie mogliby powiedzieć „dziękuję”. Za co? I tu właśnie, zapytując poszczególne, zdobylibyśmy odpowiedzi różnorakie, które zbiorowo upewniłyby nas samych, czyśmy lat 20 zmarnowali, czy też dali cokolwiek jednostkom, rodzinom, społeczeństwu i państwu.

My, którzy mamy zaszczyt stać na czele tego Towarzystwa, spotykamy się ciągle z tem „dziękuję” od ludzi, którzy mają coś do zawdzięczenia „Trzeźwości”. Najczęściej bywa ktoś wdzięczny za to małuchne okieneczko, które mu się w jego umyśle otwarło na zagadnienie alkoholizmu po wysłuchaniu całego cyklu wykładów, stanowiącego kurs alkoholologii. Czasem wystarczył jeden luźny odczyt, by trafić do głębi serca, może do sumienia, zwłaszcza, gdy mówca umiał mocnym słowem zatargać duszą słuchacza.

Zdarzało się, że ktoś lekceważył swój nałóg, nie zdając sobie sprawy, że to grozi poważniejszym niebezpieczeństwem i naraz, jakgdyby

nad przepaścią powstrzymany żywym słowem prelegenta, ocknął się w porę i ocalał. Kiedy indziej pod wpływem światła rzuconego z katedry prelegenta na sprawę alkoholizmu, ktoś ocalił osobę najdroższą z własnej rodziny, lub bliskiego przyjaciela. A gdyby nie ten odczyt lub kurs, nie miałyby o tem nadal pojęcia.

Lekarz starszej daty, wysłuchawszy na kursie o wynikach najnowszych badań naukowych, nagle przestaje żartować sobie z następstw używania alkoholu i zamienia się w gorliwego propagatora walki z alkoholizmem. Poważny pedagog całkiem na te sprawy obojętny, dostawszy przypadkiem do rąk miesięcznik „Trzeźwość“, zainteresowuje się tem zagadnieniem i rychło zaczyna je uwzględniać w wychowaniu z takim pożytkiem, że przeradza się w zapalonego działacza wśród kolegów zawodowych. Inny wychowawca, kierujący dużym internatem, nie może sobie poradzić z dorastającą młodzieżą i niespodziewanie znalazłszy się na kursie „Trzeźwości“, zyskuje lekarstwo na swoje troski. Kapłan powraca z kursu na parafję, uświadomiony, czy można tolerować umiarkowane używanie alkoholu i tak się przejmuje ideą bezwzględnej abstynencji, że swemi kazaniem porywa ludność do akcji o pozbycie się karczem z gminy.

Spółcznik, przeczytawszy wydaną przez „Trzeźwość“ broszurę, staje się fanatykiem walki z plagą alkoholizmu. Jedna ulotka wystarczyła, by tak zapalić nauczycielkę ludową, że swoją szkołę zamienia w istną kuźnię walki z pijaństwem już nie we wsi, ale w całej okolicy.

Ten i ów uczony, zamknięty w swej pracowni naukowej i poza uniwersytet wcale się nie udzielający, daje się raz uprosić przez „Trzeźwość“ o wygłoszenie prelekcji ze swej specjalności na kursie alkoholologii i od tej chwili nie tylko poświęca się stale badaniom nad alkoholem w zakresie swojej gałęzi wiedzy, ale z czasem staje się gorliwym członkiem Towarzystwa i w następnych swych wykładach powagę naukowca łączy przedziwnie z zapalem działacza społecznego, wzywającego do abstynencji w imię interesów narodowych i państwowych.

To nie jakiś sporadyczny wypadek. Między przyjaciółmi naszej organizacji właśnie w taki sposób znaleźli się znakomici lekarze i kryminolodzy, profesorzy o wybitnych nazwiskach na polu chemji i fizjologii, neurologji i psychjatrji. I niejeden z nich wyrażał zadowolenie, żeśmy go do tej akcji społecznej wciągnęli, lub żeśmy skierowali go właśnie do tych badań naukowych, które jeszcze u nas leżały odłogiem.

Wszystko to przyjaciele „Trzeźwości“, którzy w dniu jej jubileuszu powinnyby się znaleźć wspólnie przy biesiadnym stole.

Atoli rzesza najliczniejsza biesiadników, któraby go obsiadła, to żony i matki, siostry, córki, narzeczone proletarjuszy i inteligentów, urzędników i robotników, kolejarzy i akademików, rzemieślników przy warsztacie i chronicznych bezrobotnych... Ileż to kobiet w ciągu lat przychodziło nam ze wzruszeniem dziękować za poradnie i przychodnie, za świetlice i odczyty dekadowe, za sejmową ustawę przeciwalkoholową czy za propagandową wystawę, za ocalenie męża lub syna — one właśnie, które wiecześnie stanowią najliczniejsze i najnieszczęśliwsze ofiary alkoholizmu mężczyzn. Rozdane po wykładzie dla propagandy niebieskie zeszyty „Trzeźwości“ nieraz wniosły do zamroczonego al-

koholizmem domu światło, które nie pozwoliło zmarnieć ostatecznie całej rodzinie z uszczerbkiem dla społeczeństwa.

Jak znowu kongresy, z olbrzymim nakładem długotrwałej pracy zorganizowane przez „Trzeźwość“, stawały się dla Polski błogosławioną lampą nowej wiedzy, która powoli rozświetla panujące w masie społeczeństwa mroki przesądów i nałogów, tradycyjnych zwyczajów pijackich, za co dopiero kiedyś pokolenia następne wyrażą swą wdzięczność. Ale zresztą za przygotowanie w Warszawie kongresu międzynarodowego, urządzenie międzynarodowej wystawy i międzynarodowego muzeum walki z alkoholizmem podziękowało „Trzeźwości“ szeregiem wysokich odznaczeń Państwo, które też ostatnio nagrodziło krzyżami zasługi wielu działaczy społecznych z naszej organizacji.

Nikt z nas nie pracuje ideowo z myślą, że go ktoś za to wynagrodzi, ale te ze strony Władz państwowych pochodzące odznaczenia stały się w wielu wypadkach pożądanym wyjaśnieniem, że nasza walka z alkoholizmem nie jest jakąś robotą przeciupaństwową, jak to stara się wmawiać w społeczeństwo przemysł alkoholowy, najcięższy wróg „Trzeźwości“. Poza nim doprawdy nie mamy innych wrogów. Zjedналиśmy sobie w ciągu lat bez liku przyjaciół. Co za szkoda, że nie dałoby się tych licznych zastępów ugościć i nektarami z płynnych owoców serdecznie podejmować przy jednym stole na naszym zjeździe jubileuszowym — i to nawet wtedy, gdybyśmy mieli własny dom „Trzeźwości“, bez którego już nam trudno dalej się rozwijać, nie mówiąc o potrzebie odpowiedniego lokalu na międzynarodowe muzeum.

A nie moglibyśmy tych przyjaciół swoich ugościć dla ich ogromnej liczby. Przecież samych słuchaczy kursów „Trzeźwości“, kilkunastu w stolicy i kilkadziesiątu już po całej Polsce, były tysiące, tysiące, nie mówiąc o tych tłumach, które przewinęły się przez nasze wystawy wędrownie i zawsze mają w pamięci wyniesione z nich wrażenia. To kobiety i mężczyźni wszelkiego wieku i stanu, świeccy i duchowni, cywilni i wojskowi.

Jakiemże to słowem musiałby ich witać przy jubileuszowym stole właściwy tej biesiady gospodarz, wszystkim gościom dobrze znany, założyciel Towarzystwa „Trzeźwość“. Był nim Jan Szymański.

Jako redaktor czasopism „Walka z alkoholizmem“ i „Trzeźwość“, dwadzieścia lat temu przez pierwszego w Polsce odrodzonej ministra zdrowia, d-ra Chodźkę powołany do Ministerjum na referenta do spraw walki z alkoholizmem, zabrał się do zredagowania i przeprowadzenia przez Sejm państwowej ustawy przeciwalkoholowej. Na to, by ją realizować w życiu i bronić jej przepisów przed wrogami zamachami przemysłu alkoholowego, zobaczył, że potrzebna była organizacja, któraby ujęła w ręce i zgodnie ze stanowiskiem władz państwowych, prowadziła społeczną akcję zwalczania tej groźnej dla Polski choroby społecznej. I tak oto powstało Polskie Towarzystwo Walki z Alkoholizmem „Trzeźwość“, na którego jubileusz zapraszamy Przyjaciół naszej idei, by odśpiewawszy chórem zostawiony nam przez Konopnicką hymn abstenencki, zawołali gromko na kraj cały:

Przyszłość nasza!

Kazimierz Kalinowski,

Przes Zarządu Gł. Tow. „Trzeźwość“.

LEGITYMACJA RUCHU ANTYALKOHOLOWEGO.

(Z przemówienia na Akademji Tow. „Trzeźwość“ w dn. 2 lutego 1939 r.).

Niejednokrotnie spotykamy się z głośno wypowiedzanym poglądem, że wysuwane przez ruch antyalkoholowy hasło trzeźwości jest bezpodstawowem wtrącaniem się w życie poszczególnych obywateli, uszczuplaniem ich praw. Mało tego. Słyszymy często również pogląd, że skoro monopol spirytusowy jest instytucją państwową i skoro jego dochody są jedną z głównych pozycji budżetu państwa, hasła walki z alkoholizmem godzą w interes państwa, bądź wręcz, są to hasła antypaństwowe.

Powstaje zatem pytanie: jakaż jest legitymacja naszego ruchu. Co nas upoważnia do rozwijania tego ruchu.

Moralną legitymacją jest nasze poczucie obowiązku obywatelskiego wobec Państwa, wyrażone formalnie w Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej.

Art. 1 Konstytucji głosi, że „Państwo Polskie jest wspólnem dobrem wszystkich obywateli. Wskreszone walką i ofiarą najlepszych swoich synów, ma być przekazywane w spadku dziejowym z pokolenia w pokolenie“. A dalej nakaz wyraźny: „Każde pokolenie obowiązane jest wysiłkiem własnym wzmóc siłę i powagę Państwa“.

Ten nakaz opatrzony jest surową sankcją, bo jak głosi końcowy ustęp wspomnianego artykułu: „Za spełnienie tego obowiązku (każde pokolenie) odpowiada przed potomnością swoim honorem i swoim imieniem“.

Współczesne pokolenie ma bardzo trudne zadania. Musi budować Polskę prawie od fundamentów, musi odrabiać zaległości z czasów zaborów i naprawiać zniszczenia wojenne — musi chronić jej całości i niepodległości. Pokolenie to nie cofa się przed wzięciem na swe barki wysiłku, przekraczającego jego siły. Stara się wykonać jak najwięcej — i to własnymi środkami, a nie przerzucać troski o Państwo na pokolenia następne.

Historja ostatnich lat dwudziestu, to olbrzymi bilans pracy. W potoku codziennych narzekań, w obliczu różnych trosk, bądź przejściowych niepowodzeń nie zdajemy sobie poprostu sprawy z tego, ile zdołaliśmy dokonać.

Pewien cudzoziemiec powiedział, że historja Polski ostatnich dziesiątków lat, to najlepszy przykład na potwierdzenie słuszności tezy, że historji nie mierzy się latami. Polska jest państwem, które w stosunku do swych możliwości zdołało zdziałać o wiele więcej, niż inne państwa.

Ten jednak bilans, mimo że wspomniały, nie może nas zadowolić. Żyjemy w czasach nad wyraz ciężkich, w czasach, gdy wartością każdego obywatela musimy pokryć niejedną jeszcze nasz brak, przeciwstawić się przeważającemu nas liczbą wrogowi.

Musimy nie tylko utrzymać całość i niepodległość naszego Państwa, ale wzmóc jego siłę i powagę.

Zbyt wiele pisało się w naszym miesięczniku o skutkach alkoholizmu. Stało się już powszechnie zrozumianym pewnikiem, że alkoholizm

jest jedną z najbardziej destrukcyjnych sił. Nie pomaga nam w budowie państwa, a przeszkadza. Rujnując siły moralne i fizyczne jednostki, grozi równocześnie jej rodzinie, grozi społeczeństwu, osłabia siły państwa.

Szkodliwość alkoholu oceniły w całej pełni nawet te państwa, które, nasycone bogactwami gromadzonemi w ciągu wielu wieków, żyjące z pracy milionów ludzi w kolonjach, mogły pozwolić swym obywatelom na pełniejsze wykorzystanie uciech życia. Ale zrozumiano, że podobny liberalizm jest w skutkach groźny nawet i dla tych tak silnych państw.

Cóż dopiero powiedzieć o Polsce, która jest państwem dopiero maszerującym do swej potężnej przyszłości, która tak wiele ma jeszcze trudności do pokonania na swej drodze.

Polski nie wybudują pijacy, nie obronią jej ich dziedzicznie obciążeni synowie.

Pijaństwo jest szkodliwe nie tylko dlatego, że pomniejsza liczbę zdrowych i silnych dłoni, tak potrzebnych dziś do budowy gmachu naszej Ojczyzny i obrony jej niepodległości. Pijaństwo jest groźniejszym przez to, że wali na barki społeczeństwa coraz to nowe olbrzymie ciężary.

To koszta opieki nad ofiarami alkoholizmu, to koszta skutków alkoholizmu, katastrof, zbrodni i t. d.

Na luksus prowadzenia zakładów dla ofiar alkoholu może sobie pozwolić państwo bogate. Nas na to nie stać — dziś w dobie, gdy setki tysięcy dzieci nie chodzą do szkół, bo nie ma pieniędzy na ich budowę.

Nie znaczy to, byśmy chcieli pozostawić ofiary alkoholizmu bez opieki. Tylko chcemy, by jaknajmniej było tych ofiar. I właśnie dlatego walczymy z alkoholizmem.

A teraz sprawa argumentu, że ruch antyalkoholowy godzi w źródło dochodu państwa, że zatem godzi w interesy państwa.

Takie twierdzenie oparte jest na wielkiem nieporozumieniu. Występowanie przeciwko wadliwemu funkcjonowaniu danego organu państwowego bynajmniej nie jest równoznaczne z działalnością antypaństwową. Ogromne rozmiary alkoholizmu w Polsce są w pierwszym rzędzie konsekwencją złej gospodarki monopolu spirytusowego. Mimo naszych protestów idzie on stale po linii najsłabszego oporu — po linii rozpijania najszerzych warstw ludności.

Powstaje paradoksalna sytuacja. Monopol spirytusowy, który powinien najmniej hołdować hasłu „duży obrót — mały zysk“ wyprzedził pod tym względem wszystkie inne instytucje państwowe.

Zamiast szukać nowych sposobów zużytkowania spirytusu w przemyśle, w zastąpieniu paliwa w motorach i t. p. (w imię sprawiedliwości przyznać musimy, że był taki okres w działalności monopolu), Monopol konsekwentnie otwiera coraz to nowe szluzы w zaporze, którą zbudowały ustawy antyalkoholowe w Polsce. Dziś leje się wódka na dworcach, w pociągach, na przystaniach i in. — kasuje się po kolei wszelkie ograniczenia w sprzedaży alkoholu. Co gorsza, Monopol wkroczył na drogę, której w najmniejszym nawet stopniu nie może uspra-

wiedliwie troska o finanse Państwa, a mianowicie, sprzedaje wódkę w małych buteleczkach.

Do czego taka droga prowadzi, pamiętamy z czasów rosyjskich. Rząd rosyjski wprowadził również sprzedaż wódki w małych buteleczkach. Chodziło wówczas nie tyle może o dochody, co o rozpicie ludności, o osłabienie naszych sił w walce z caratem. Skutki tego kroku władz moskiewskich przeszły zamierzone oczekiwania. Doszło do tego, że generał gubernator ks. Imeretyński zwrócił się do Petersburga, przedstawiając całą grozę sytuacji. Zaczęto wówczas częściowo przeciwdziałać alkoholizmowi przez zakładanie t. zw. Kuratorów Trzeźwości, herbaciarni i t. p.

Wkroczenie na drogę rozpijania ludności, mimo świadomości, czem to grozi, mimo ostrzeżeń przeszłości, mimo przestróg ruchu antyalkoholowego i światłej opinii całego społeczeństwa, to rzecz, której zrozumieć nie sposób. A tem bardziej nie sposób z nią się pogodzić.

Pragniemy jak największych dochodów Państwa, ale niezdobytanych w ten sposób, że w konsekwencji narażają Państwo na wzrastające stale wydatki i coraz większe społeczne i gospodarcze straty.

Jan Starczewski.

O METODACH PRACY SPOŁECZNEJ W WALCE Z ALKOHOLIZMEM

(Wykład na Kursie Alkoholologii w Państwowej Szkole Higjeny w Warszawie
dn. 16.XII. 1938 r.).

Narody potrzebują ludzi mocnych — i im więcej ich mają, gwarancja bytu narodu pewniejsza.

Wielkość dziejowa narodów jest dziełem ich mocnych ludzi.

I dlatego coraz powszechniejsze wołanie o mocnego człowieka.

Hasło to odpowiada zresztą najgłębszym pragnieniom i dążeniom ludzkiej duszy... Bije w oczy swą oczywistością i słusnością.

Jeżeli chodzi o nasz naród, to przecież hasło wydane: „*Dźwigać Polskę wzwyż*“ — „*Maszerować!*“

Więc pytam, czy człowiek słaby będzie mógł dźwigać Polskę wzwyż? Czy będzie zdolny do intensywnego marszu? Przepraszam, on ją nie tylko, że nie dźwignie, ale będzie dla niej kulą u nogi.

Odpowiedzmy więc sobie teraz na pytanie: co to znaczy być mocnym?

Mocnym można być na dobry i mocnym można być na zły sposób.

Na zły sposób być mocnym, to wcale nie trudno — wystarczy trochę zuchwalstwa, buty, bezczelności, powiedzmy cynizmu, trochę auto-reklamy i t. p.

Taki właśnie mocny człowiek w Polsce jest typem wcale powszechnym, o takim myślał niewątpliwie Norwid, kiedy powiedział, że „*Polak jest wielki, ale człowiek w Polaku — mały*“.

Nie takiego mocnego nam trzeba, w którym człowieczeństwa brak, albo go bardzo mało, trzeba nam *rzetelnie*, a nie pozornie mocnego człowieka.

Trzeba nam mocnego człowieka, którego wielkość za miarę ma doskonałość duszy, tężyznę charakteru i siłę woli.

Trzeba nam takiego mocnego człowieka, który według Mickiewicza słów, będzie, polepszając duszę swą, powiększał granice Ojczyzny.

I dlatego, uważam, najpilniejszym zadaniem naszego pokolenia jest wzmocnienie *człowieczeństwa* w Polaku, polepszenia jego duszy, jego charakteru, jego woli.

Od wypełniania tego zadania pokolenie nasze uchylać się nie może. Jest to sprawa jego godności, jego wartości i dziejowej odpowiedzialności.

Zagadnienie to właśnie niedawno było tematem szeregu pięknych artykułów drukowanych w „Polsce Zbrojnej“, z których to artykułów i ja w tej chwili te myśli czerpię po to, aby stworzyć pewne tło dla tematu, który mam poruszyć w swoim referacie.

O co więc chodzi?

Krótko, po wojskowemu. O mocnego człowieka w Polsce.

Pytam więc, czy alkoholizm da takiego człowieka Polsce, czy też nie?

Kurs alkoholologii, na którym obecnie się znajdujemy, daje nam jasną odpowiedź na powyższe pytanie. Skoro bowiem według „Przyjaciela Trzeźwości“ — miesięcznika wychodzącego w Poznaniu, za miesiąc luty b. roku, przepijamy w ciągu jednego roku około 250 milionów litrów napojów alkoholowych w postaci wódek, likierów, koniaków, piwa, wina i t. p., i jak słusznie zauważa tenże miesięcznik, gdyby te napoje miały przepłynąć przez wodotrysk wydający 100 litrów na minutę, płynęłyby dzień i noc bez przerwy całe lat pięć, płynąc 12 godzin na dobę, potrzebowałyby lat 10, a przy 6 godzinach na dobę, lat 20, to w takich warunkach trudno mówić o mocnym człowieku w Polsce, w znaczeniu, o które na mchodzi.

Mam tu przed sobą ciekawe dokumenty zebrane przeze mnie w ciągu 6 miesięcy przy czytaniu dzienników i pism, które przeglądam.

Ponieważ zagadnienie alkoholizmu niezmiernie mnie interesuje, robiłem wycinki z gazet odnośnie jednej kwestji, mianowicie mocy i energii człowieka na najradośniejszym odcinku życia — na zabawie i z okazji zabawy.

I skonstatowałem, że mamy całą masę „mocnych“ ludzi, którzy do tego stopnia energję swą nazewnątrz manifestują, że krew się strumieniami leje, a od czasu do czasu trupa za trupem na cmentarz z saji zabawowej wynoszą. Aby nie być gołosłownym, przytoczę garść tytułików notatek z kroniki bieżącej w dziennikach *).

*) Awanturnik na zabawie wiejskiej. Bójka na zabawie. Potworne zabójstwo na zabawie. Krwawa masakra na zabawie. Bójka na zabawie. Trup na zabawie. Nożownictwo na zabawie wiejskiej. Krwawy spór o dziewczynę. Zabili kolegę na majówce. Echa krwawej rozprawy na zabawie. Dwa trupy na zabawie tanecznej. *Zabili muzykanta na weselu, bo grał polkę zamiast oberka*. Znowu krwawa zabawa. Śmiertelna bójka na zabawie. Fatalny strzał na zabawie. Na zabawie krew się leje. *Be-wizja* na zabawie. Krwawy finał zabawy. Nożownicy wiejscy. Nie ma wesela na wesel bez bójki... i t. d. i t. d. (wycinki mam w posiadaniu).

Doszło już do tego, że w niektórych powiatach starostowie w obawie o bezpieczeństwo publiczne, które obywatel w myśl Konstytucji musi mieć zapewnione, wydawali zakazy dla pewnych okolic i organizacji, zabraniające urządzania całkiem zabaw, gdyż alkohol siał wokół spustoszenie i krew *).

Czyż to nie smutna plama życia społecznego takiej okolicy, gdzie poziom kultury do tego stopnia dochodzi?

Znamy już dzisiaj takie wypadki, że organizacje boją się zabawy, jak ognia. Pomimo, że częstokroć urządzenie zabawy było jedynym źródłem ich dochodu, właściwie ze względu na bezpieczeństwo nie tylko zdrowia, ale nawet i życia.

To fakty z jednego tylko, jak zaznaczyłem szczupłego odcinka, że się tak wyrażę, zabawowego.

A do jakich wniosków doszlibyśmy, gdybyśmy chcieli przejść szczegółowo wszystkie odcinki życia społecznego?

Otóż nie o taką s i ł ę nam chodzi. Musimy więc stworzyć typ mocnego człowieka — trzeźwego człowieka, który w świadomej walce z alkoholizmem da gwarancję hartu duchu, który jest podstawą prawdziwej siły i mocy.

Z tego com wyżej powiedział, oraz z całego szeregu wykładów kursu naszego, stwierdzamy, że j e s t ź ł e i d l a c z e g o j e s t ź ł e.

Co robić, aby było dobrze?

Stajemy więc teraz wobec zagadnienia, jak się mamy zabrać do walki z alkoholizmem.

Na to pytanie, na ile mnie stać będzie, postaram się odpowiedzieć, gdyż uważam, że nas społeczników to zagadnienie specjalnie interesować powinno.

Z góry pragnę zaznaczyć, że nie mam pretensji do źródłowego wyczerpania tematu, przypuszczam jednak, że doświadczenie zdobyte z długoletniej pracy na tym odcinku pozwoli mi wyciągnąć pewne wnioski, które przypuszczam będą mogły choć w pewnej mierze być pomocniczymi w pracy naszej nad wyciągnięciem pewnych rezultatów.

O ile chodzi o metody, jakich używać będziemy w naszej akcji

*) Zarządzenie Starostwa kaliskiego, styczeń, 1938 r. *Zabaw nie wolno urządzać*. W myśl zarządzeń Władz w następujących miejscowościach powiatu zabaw nie wolno urządzać w następujących wsiach: Kamienna, Stok, Piątek-Wielki, osada Chocz, Niniew, Olesiec, Brudzewek, Kuźnia, Józefów, Nowolipsk, Kaźmierka-Nowa, Marcjanów, Sobiesęki B, C, Sobiesęki C folwark, Kamień, kol. Dembe, Frankowizna, wieś i kol., Koźląków, Korzoniew, Klotyldów, Mycielia, Słuszków, wieś i kol., Kościelec, Nakwasin, osada Koźminek, Cieszyków, Krowica, Karolew-Stary, Ksawerów, Marcjanów Rajsko, Tymieniec, osada Opatówek, Trojanów, Dzięcisły, Giżyce, Pieczyńska, Jastrzębniki, wieś i kol., Piątek-Mały, Pruszków, Rzegocin, Rychniów, Zagorzyn, Zerniki, Domaniew, Chabierów, Chlewo, Góra, Kallnowa, Kościana, Morawki, Sędzimirowice, Staw, Suliszewice, Waliszewiec, Kościelna-Wieś, Piwonice, Goliszew, Tykadłów.

montowania, że się tak wyrażę, człowieka trzeźwego, pragnę podać następujące:

- 1) Na pierwszym miejscu postawimy *metodę uświadamiania*.
 - 2) metoda utrudniania;
 - 3) „ obrzydzenia;
 - 4) „ pozytywnego oddziaływania;
 - 5) „ organizowania;
 - 6) „ dobrego przykładu;
- i wreszcie metoda odzwyczajania (lecznictwa).

Druga i ostatnia metoda będą miały zastosowanie do pewnej tylko kategorii ludzi, natomiast wszystkie inne będą mogły mieć wszechstronne zastosowanie.

I. *A więc odnośnie metody uświadamiania.*

Trudno mówić o zwycięstwie nad nieprzyjacielem, skoro go się nie zna. I dlatego, ponieważ, alkohol jest wrogiem — należy społeczeństwu wykazywać zgubne jego skutki.

A więc stoi przed nami zagadnienie uświadamiania, które w pierwszym rzędzie należy zacząć od siebie.

Jeżeli chodzi o sposoby uświadamiania, to wyliczę ich kilka:

- 1) Kursy alkoholologii lokalne, a zwłaszcza doroczny kurs urządzany staraniem Państwowej Szkoły Higieny w porozumieniu z Tow. „Trzeźwość“ w Warszawie.
- 2) Wystawy przeciwalkoholowe wykazujące zgubne skutki alkoholizmu.
- 3) Urządzanie Tygodni Trzeźwości, które rok rocznie w miesiącu lutym odbywają się *).
- 4) Dalej do szerzenia idei trzeźwości winniśmy użyć teatru, filmu, przeźroczy.

Niezmierną usługę w naszej sprawie odda urządzenie w czasie Tygodnia Trzeźwości przedstawienia sztuki Parwiego „Knapja“ **)

Robi ona bardzo silne wrażenie na widzach, tak, że nie potrzeba nawet referatu propagandowego, gdyż sami widzowie doskonale sobie wnioski wyciągną i to takie, o jakie nam chodzi.

Powtarzam rzecz bardzo mocna i jeżeli chcemy rezultatów — należy z niej korzystać.

Dużą również usługę przy uświadamianiu odda nam stosowanie lampy projekcyjnej ***) z przezroczami, które za niewielką cenę można ze Składnicy Trzeźwości wypożyczać.

*) Pomocną będzie broszura Ks. J. B. *Miesiąc Trzeźwości*. Str. 32 Cena 30 gr. Wydawnictwo D. I. A. K. we Włocławku.

Zawiera materiały wraz z odczytem na propagandową wieczornicę abstynencką.

Ks. J. Janiszewski. Do walki bracia. Zbiór deklamacyj. Str. 160.

**) Do nabycia w Składnicy Tow. „Trzeźwość“. Cena egz. 70 gr.

**) Lampy „Lilliput“ można nabywać w cenie 120 zł. w firmie „Przeźrocze“ ul. Zielna 6.

O ile mi wiadomo Polska Agencja Telegraficzna, a właściwie jej biuro filmowe, wypuściło ostatnimi czasy na rynek wąskotaśmowe filmy dźwiękowe, którymi zaopatruje kina oświatowe, szkolne i organizacyjne. Należałoby wyszukać ten środek propagandowy i nakreślić kilka filmów do naszego celu, a naprawdę byłby to wielki sukces. Dalej, w celach propagandy idei trzeźwości, jeżeli chodzi o nas, domagamy się na *zebraniach organizacji społecznych* referatów z dziedziny alkoholologii, a właściwie, kiedy już mamy wysłuchany kurs alkoholologii, niech każdy z nas postanowi sobie po przyjeździe do domu na terenie zaofiarować kilka referatów w różnych organizacjach na tematy wysłuchane.

Dalej domagamy się *na zebraniach rodzicielskich w szkole* oraz prasie wprowadzenia do programów szkolnych nauki alkoholologii dla dzieci i młodzieży.

Dalej akcję uświadamiania winno się prowadzić *w rodzinach*, a głównie matki, żony, mają tu wielkie pole do działania. Byłaby to istotna akcja misjonarska, a jakże różna od tego, co się dzisiaj niestety widzi, kiedy matka dziecku jeszcze na ręku będącemu, wprost gwałtem kieliszek — truciznę do ust wlewa.

Czy to nie zbrodnia?

W celach uświadamiania domagamy się *kącika w radju*.

O!!! westchnąłem. Czy nie słuszne żądanie?

Przecież radjo jest dla wszystkich, jeżeli ja, — wróg alkoholu, muszę słuchać dość często przez głośnik o alkoholu, to dlaczego ja nie miałbym pretensji, aby i o trzeźwości inni słuchali, skoro czasy domagają się człowieka mocnego?

W celach uświadamiania spełniłyby zadanie również pogadanki o szkodliwości alkoholu *dla poborowych* wplecione do programu pogadanek urządzanych przez Polski Biały Krzyż.

Jako ostatni sposób pragnąłbym polecić urządzenie, gdzie są ku temu możliwości, wieczornic abstynenckich bezpłatnych, z występami wokalnno - muzycznymi w rodzaju tych, jakie urządza Towarzystwo „Trzeźwość“ co 10 dni t. zw. dekady.

II. *Metoda utrudniania.*

Na pierwszym miejscu postawiłbym gruntowne *poznanie ustawy przeciwalkoholowej*, a której znajomość dopomoże nam, a za naszą sprawą i innym, do zapobiegnięcia niejednemu wybrykowi pijackiemu i pogwałceniu idei trzeźwości. Aczkolwiek nie jest ona t. zn. ustawa idealna, ale są w niej pewne paragrafy, które gdyby tylko zostały wcielone w życie, mniejby ludzie wódki pili, aniżeli piją, i mniejby krwi się łało na zabawach, aniżeli leje, mniejby nieszczęść i tragedji domowych było, aniżeli jest.

Weźmy choć dla przykładu zabawy, a więc to, o czem na początku mówiłem.

Djecezjalny Instytut Akcji Katolickiej w Włocławku, wydał dru-

kiem tabliczki i afisze z wyjątkami ustawy przeciwalkoholowej. *) ; rozesał je do podległych sobie oddziałów celem rozmieszczenia ich w domach społecznych, ludowych.

Dalej dobrzeby było wyzyskać uprawnienia w niektórych miejscowościach odnośnie plebiscytów na rzecz trzeźwości w gminie o czem wspomina ustawa w artykule 6.

III. *Metoda obrzydzania.*

Odnośnie t. zw. metody obrzydzania mam zanotowane następujące uwagi: Mianowicie chodzi o tworzenie nastawienia opinii, że pijaństwo, alkoholizm, to coś *wstrętnego*, obrzydliwego, *niegodnego człowieka, jako istoty rozumnej*, że to rzecz, której wstydzic się trzeba, w przeciwieństwie do tego, co się dziś praktykuje, że pijak, człowiek nietrzeźwy, pijaństwo, że to rzecz zwykła, normalna, właściwa, a nawet w swoim rodzaju bohaterstwo, z którym się nikt nie kryje i nie wstydzi.

Jest to pogląd niewłaściwy, szkodliwy, który za wszelką cenę należy korygować.

Teraz pytanie, gdzie i jak?

Nastawienie owo tworzy się wszystkimi dostępnymi sposobami, a więc zapomocą prasy, literatury, działań należy. W towarzystwie, zwłaszcza na zabawach, należy forsować przekonanie, opinię, aby żadna szanująca się panienska nie szła do tańca z człowiekiem podchmielonym i to należy wyraźnie mówić: „że byłoby to ubliżeniem dla mnie, abym z człowiekiem pijanym tańczyła“.

Wielkie tu pole do działania mają organizacje kobiece.

Słyszałem kiedyś, że zagranicą, jeżeli chodzi o radykalny sposób obrzydzania pijaństwa — jest praktykowany tu i owdzie zwyczaj *fotografowania* pijaków i umieszczania ich w prasie, a nawet w specjalnych gablotkach, dla publicznego widoku.

Stwierdziliśmy więc, że tworzenie nastawienia, nastroju w materji zagadnienia alkoholizmu odda wielkie usługi, zachodzi teraz pytanie, kto to ma zrobić?

Z góry stwierdzić trzeba, że cel zamierzony osiągnie się, jeżeli się stworzy front. Jednostki tego nie uczynią. A więc kto?

Przedewszystkiem :

a) rodziny;

*) „Kto w stanie nietrzeźwości wywołanej nadużyciem napojów alkoholowych, zachowaniem swoim daje powód do publicznego zgorszenia, tudzież w stanie nietrzeźwości, znajduje się w miejscu publicznem, bez względu na swoje zachowanie — podlega karze grzywny do 300 zł. lub aresztu do 2-ch tygodni, w razie powtórzenia przestępstwa, grzywną do 500 zł. lub aresztem do 4-ch tygodni, kary aresztu i grzywny mogą być nałożone łącznie“. Art. II ust. z dn. 21-III-31 r.

Zakazuje się sprzedaży napojów alkoholowych :

a) nieletnim do lat 21 lub uczniom wszelkiego rodzaju szkół niższych i średnich bez względu na ich wiek. Art. 8. Ust. przeciwalk.

Zakazuje się sprzedaży i podawania wódki... w pomieszczeniach *straży pożarnej, w domach ludowych w dni świąteczne*, od godz. 6 do godz. 14-ej. Art. 4 ustawy przeciwalkoholowej. Do nabycia w Składnicy „Trzeźwość“.

- b) organizacje młodzieżowe;
- c) nauczycielstwo, szkoła;
- d) matki, żony;
- e) duchowieństwo;
- f) Akcja Katolicka;
- g) organizacje wyższej użyteczności publicznej;
- h) wojsko i wreszcie władze.

IV. *Metoda pozytywnego działania.*

Przejdźmy teraz do metody pozytywnego działania. W mojem wyobrażeniu jedna z najważniejszych — i słusznie. Ilekroć bowiem razy mówiłem o potrzebie abstynencji, spotykałem się ze zdaniem: „A co wzamian kieliszka z alkoholem postawię na stół, jak przyjdą goście?“ „Przecież to już w tradycję weszło?“ Nie wypada. „Nie uchodzi.“ „Gości trzeba poczęstować.“ „Coby powiedzieli“ i t. p. i t. p.

Trudno nie przyznać racji, tradycja jest siłą, z którą liczyć się trzeba, inaczej będziemy w pewnej mierze nierealni.

Ale przecież uważam, że nie chodzi nam o kieliszek, *tylko o to, co w kieliszku*. Chodzi o zastąpienie alkoholu — trucizny napojem zdrowym, życiodajnym, a takim jest *płynny owoc*, nektar.

Cóż to jest ten płynny owoc?

Dużo się już o nim mówi i pisze. Jest już dość spora literatura na ten temat w polskim języku.

Tutaj chcę tylko krótko zaznaczyć, że płynny owoc jest to napój otrzymany z wytłoczenia świeżych niesfermentowanych owoców bez dodania jakichkolwiek środków chemicznych i pozbawiony całkiem alkoholu.

Nektary zagranicą cieszą się już wielkim powodzeniem, zdobyły rynek i dostawy już nawet do restauracji. *)

Wielkie powodzenie swoje zawdzięczają one temu, że są bardzo smaczne; zawierają kwasek — gaszą pragnienie, orzeźwiają, pokrzepiają i działają dobroczynnie na cały organizm, czy to zdrowego, czy chorego człowieka, małego dziecka, czy starca. Oddziaływanie tych soków utrwalonych polega na tem, że zawierają one cenne odżywcze substancje jak: cukier owocowy, gronowy, kwasy owocowe, związki aromatyczne, związki mineralne, konieczne do odbudowy organizmu, wreszcie witaminy, bez których jak wiemy, nie ma zdrowia i życia.

Wszystkie te składniki wpływają na oczyszczenie i odświeżenie krwi, wzmacniają mięśnie, ułatwiają proces przemiany materji, uodporniają organizm przeciw chorobom i działają korzystnie na system nerwowy. Prócz tego prawie wszystkie posiadają specyficzne działanie lecznicze, jak np. sok jabłek oddziaływa dodatnio przy anemji, reumatyzmie; sok czarnych porzeczek zalecany jest przy chorobach płuc, sok czarnych jagód — w wypadku rozstroju żołądka i kiszek, sok żórawin, malin w gorączkach; sok winogron leczy wątrobę i regeneruje cały organizm.

Gdy mowa o naszej Polsce — sprawa naktarów dopiero wchodzi

*) Dr. med. Jerzy Morzycki — „Wartość zdrowotna płynnego owocu“, str. 16.

w stadium powstawania, tworzenia się i stąd zagadnienie to czeka na właściwe rozwiązanie.

O ile mi wolno w tej sprawie coś powiedzieć — to w związku z tym podałbym następujące wnioski:

- 1) Należy sprawę produkcji płynnego owocu postawić jako czołowe zagadnienie akcji przeciwalkoholowej w Polsce.
- 2) W tym że celu należy poprzeć i zorganizować producentów płynnego owocu, którzy już istnieją i serdecznie dopomóc do powstawania innym, którzy do tego *pozytywnie* się zabiorą.
- 3) Należy powoływać do życia spółdzielnie, które będą miały za zadanie wytwarzanie nektarów. (Obecnie czynniki miarodajne popierają bardzo wydatnie idee spółdzielni i w miarę możliwości nawet finansują inicjatywę).
- 4) Urządzać kursy dla fachowców do prowadzenia tego rodzaju przetwórci.
- 5) Stworzyć komisję, która będzie miała za zadanie czuwać nad jakością produktu celem *tępienia partactwa*, które może katastrofalnie odbić się na zdobyciu społeczeństwa dla nektarów.
- 6) Rozpocząć propagandę w pismach abstynenckich i innych odnośnie płynnego owocu w dalszym ciągu usilnie prowadzić na wszystkich frontach.
- 7) Zainteresować radjo.
- 8) Zainteresować szkoły sprawą płynnego owocu, zarówno i wojsko, szpitale, organizacje sportowe, młodzieżowe, harcerskie, kobiece i t. p.

Dalej od teoretycznej propagandy należy przejść do praktycznego realizowania myśli.

Stąd:

- 1) Należy tworzyć kjoski z płynnym owocem.
- 2) Na imprezach i zabawach urządzać bufety z nektarem.
- 3) Szkolne sklepiki zaopatrzyć w nektary.
- 4) Spółdzielnie, które mają w statucie zabronioną sprzedaż alkoholu, zobowiązać do sprzedaży nektarów.
- 5) W organizacjach, na dworcach kolejowych, stadionach, szpitalach, w aptekach Ubezpieczalni Społecznych urządzać gablotki z nektarem.
- 6) Należałoby wydawać filmowe przezroczka do odczytu, względnie nakręcić film ilustrujący omówioną sprawę.
- 7) Mocno zainteresować prasę.

A teraz pytanie, kto się ma tem zająć?

W pierwszym rządzie towarzystwa ad hoc powołane, a więc organizacje abstynenckie wszystkich odłamów.

Jakież to piękne pole do działania. Stańmy więc wszyscy do wyścigu, kto więcej pod tym względem zrobi. Każdy rok niech będzie nowym sukcesem apostolskim.

Z kolejności wszystkie organizacje i instytucje, o których mówi-

łem wyżej, gdy chodziło o tworzenie psychozy dla idei, że pijaństwo jest rzeczą karygodną.

I wreszcie w ramach metody pozytywnego działania należy wspomnieć również o znaczeniu *ogródków działkowych* zwłaszcza dla robotników.

Znaczenie ich polega na tem, że zatrudniając, a raczej wypełniając czas wolny robotnika, ten ostatni nie ma czasu na przesiadywanie w karczmie, a stąd przez usunięcie okazji, zyskuje sprawa o którą nam chodzi.

Z tej samej racji podkreślić należy dobroczynny wpływ posiadania własnego *odbiornika radiowego*.

V. *Metoda organizowania.*

Została mi jeszcze do omówienia metoda t. zw. *organizowania* i metoda odzwyczajania.

Oдноśnie pierwszej mam zanotowane następujące uwagi.

Mówiąc o niej mam na myśli ujmowanie w ramy organizacyjne od najwcześniejszej młodości społeczeństwa pod kątem idei trzeźwości.

Wiadomą bowiem jest rzeczą, że człowiekowi dopomaga bardzo w doprowadzeniu do pewnych celów organizacja, jako taka, t. zn. pewne karby, pewne normy, pewne formalności, które skłaniają wolę do tego, aby coś przedsięwziąć, albo czegoś zaniechać, a jeżeli do tego dodamy czynnik przyrzeczenia, któremu dobrowolnie poddajemy się, to to wszystko razem wzięwszy, psychologicznie wpływa pozytywnie na osiągnięcie zamierzonego celu.

W zastosowaniu do naszej kwestji chodzi mi o to, aby możliwie od najmłodszych lat, a więc już w szkole tworzyć koła abstynenckie, aby już od zarania umacniać wolę dziecka w tem, aby mimo stałych okazji, nie sprzyjających trzeźwości, nie lgnęło do alkoholu, a ponieważ w myśl łańskiego przysłowia „ignoti nulla cupido“, dziecku nie trudno będzie się utrwalić w praktykowaniu cnoty abstynenckiej, to właśnie nie wiele go będzie kosztowało, skoro tylko, będąc zorganizowanym, stale będzie zorganizowanym, stale będzie w idei utrwalane.

Bardzo cenne usługi w tym względzie odda praktykowana przez Chrześcijańskie Stowarzyszenie Nauczycieli Abstynentów w Poznaniu t. zw. „Złota Księga“ dla dzieci szkolnych, do której przy pewnym uroczystym ceremonjale dzieci, po uzgodnieniu i otrzymaniu pozwolenia od rodziców, wpisują swoje nazwiska i co roku przyrzeczenie odnawiają. *)

Ale nie wystarczy tylko młodzież szkolną zorganizować i przez okres pobytu w szkole ją prowadzić w umiłowaniu tej idei.

I tutaj przychodzi do właściwego celu mojego zamierzenia.

Chodzi o to, aby skoro opuści szkołę, dziecko mogło znaleźć w życiu młodzieńczem ramy organizacyjne, gdzieby mogło w dalszym ciągu poznaną ideę utrwalać i stąd rodzi się potrzeba tworzenia przy

*) Karty złotej księgi w cenie kilku groszy można nabyć w Składnicy Tow. „Trzeźwość“

organizacjach młodzieżowych dla ciągłości, sekcji abstynenckich, które za wszelką cenę należy budzić do życia.

Jeżeli chodzi o Katolickie Stow. Młodz., które znam bliżej i w nich pracuję, to takie sekcje są przewidziane i właśnie mam tu przed sobą podręcznik wydany przez centralę w Poznaniu, który sposób prowadzenia takiej sekcji szczegółowo podaje. Zainteresowanych odsyłam do niego — (*T. Tomaszewski* — Kółko abstynenckie w S. M. P. Str. 126).

Ale jeszcze i nie na tem koniec. Należałoby dla utrwalenia już zdobytego pewnego sukcesu stworzyć możliwości kontynuowania opieki, że się tak wyrażę, nad naszym młodym abstynentem i z chwilą kiedy on wejdzie w związki małżeńskie, aby znowu znalazł teren w organizacjach starszych do praktykowania już utrwalonej w organizacji młodzieżowej cnoty. A więc powstaje tu znowu konieczność organizowania w *organizacjach starszych* sekcji abstynenckich. I otóż znowu mam przed sobą regulamin takiej sekcji, który przewiduje regulamin Kat. Stow. Mężów w swojej ustawie. O nim mówię, gdyż nie znam innych.

Otóż takby wyglądała w mojem wyobrażeniu metoda tak się organizowania, która, uważam z punktu psychologicznego, mogła by spełnić dużą rolę w zamierzonym przez nas celu.

VI. *Metoda odzwyczajania - leczenia.*

Na zakończenie chciałbym kilka słów wspomnieć o metodzie t. zw. *odzwyczajania*, która faktycznie jest *lecnictwem* alkoholików. Każdy nałogowiec, to alkoholik chroniczny, którego należy leczyć. Leczenie to odbywać się może dla lżej chorych w przychodniach dla alkoholików, oraz ciężej chorych — w specjalnych Zakładach leczniczych: w Świacku koło Grodna (dla mężczyzn) i w Gościejewie w woj. Poznańskiem (dla kobiet). Wszelkie metody leczenia alkoholików „domowe“ lub reklamowane w ogłoszeniach, jak dotychczas, nie okazały się skutecznymi. Należy tu nawiasowo dodać, że w Polsce przy niedostatecznem uświadomieniu, że alkoholizm przewlekły jest chorobą, zazwyczaj myśli się o leczeniu chorego, gdy choroba jest bardzo daleko zaawansowana, gdy już trudno jest leczyć. Jak i w każdej innej chorobie — należy *alkoholika* leczyć w *początkach* choroby. Wówczas łatwiej i prędzej można osiągnąć pomyślnie wyniki kuracji.

Kończąc, chciałbym jeszcze poruszyć jedną myśl, która mojem zdaniem dla całości i skuteczności sprawy ma niesłychanie doniosłe znaczenie. A mianowicie według wyznaczonego mi tematu mówiłem o metodach pracy społecznej w walce z alkoholizmem i przedstawiłem ich kilka, śmiem jednak twierdzić, że nic się nie zdadzą i nie osiągną celu t. zn., że można być najmocniej przekonany o szkodliwości alkoholu, można być uświadomionym od a do zet, można kilka kursów alkoholologii przejść i w myśl tego, co mówi łachińskie przysłowie: „video meliora, proboque — deteriora sequor“, t. zn. wiedząc, znając i widząc zło, jednak temu złu ulegać.

I cóż począć? Trzeba wzmocnić *wołę*, tu jest ta pięta Achillesa, wola tu będzie odgrywać zasadniczą rolę i nie wierzę w to, aby ktoś mając słabą *wołę*, pomimo, że kwestję znać będzie po mistrzowsku, mógł się zdobyć na czyn. I dlatego też, jeżeli chodzi o punkt widzenia kato-

licki, to dla nas katolików wielką ostoją w hartowaniu i *umacnianiu woli* będzie miał czynnik nadprzyrodzony, z którego czerpiemy siłę do opanowywania namiętności już rozbudzonej przez alkohol. Dla mnie wierzącego katolika Bóg i Jego święta wola odnośnie życia cnotliwego, którego się odemnie domaga, będzie wielkim bodźcem do hartowania woli w zdobywaniu cnoty.

I wreszcie jeszcze jedna uwaga: Najlepszą metodą propagandy idei będzie *własny przykład* w myśl przysłowia: „słowa poruszają a przykłady pociągają“, jeżeli chcemy naprawdę mieć rezultaty akcji, od siebie zacząć musimy, inaczej akcja będzie bezowocna.

Tak oto wygląda konspekt środków i sposobów, które przez odpowiednie i w zależności od okoliczności zastosowanie, będą mogły służyć jako pomoc w pracy naszej społecznej na odcinku nas obchodzącym.

Cieszyłbym się bardzo, gdyby myśli poruszone przeze mnie okazały się pomocne w pracy społecznej Sz. Sz. moich słuchaczy i choć w pewnej mierze przyczyniły się do budowy mocnych ludzi w Polsce, których nam tak bardzo trzeba.

Włocławek.

Ks. Mgr. Jerzy Bekier.

WALKA Z LENIWIYMI ELEMENTAMI ASPOŁECZNYMI A DOMY PRACY.

(Odczyt wygłoszony na „Dekadzie Trzeźwości“ dn. 30 kwietnia 1939 r.).

Przestępstwo jest zjawiskiem starem jak świat i stanowiło zawsze jedną z najcięższych klęsk społecznych, a w szczególności w dobie obecnej, kiedy na podstawie danych statystycznych we wszystkich krajach stwierdzono nie tylko ogólne powiększenie przestępczości, lecz, co najważniejsze, zastraszający wzrost przestępstw, popełnionych przez t. zw. recydywistów, przestępców zawodowych i nałogowych *).

Ustawodawstwo i nauka prawa dążyły zawsze i dążą ku temu, aby wynaleźć sposoby i środki do walki z tym smutnym i wysoce szkodliwym objawem życia społecznego.

Współczesne kodeksy karne, osnute na teorii szkoły pozytywnej, przewidują dwa zasadnicze sposoby do walki z przestępcami: a) wymiarzenie kary i b) zastosowanie środków zabezpieczających społeczeństwo przed przestępcami niebezpiecznymi dla porządku publicznego.

Powyższe sposoby walki widocznie nie czynią zadość wymogom bezpieczeństwa publicznego, albowiem kara przestępców chronicznych nie zastrasza, a metody wychowawczo poprawcze, względem nich stosowane, wyjątkowo rzadko dają dobre wyniki.

Oprócz tych nie zadawałających, gdyż przedewszystkiem opóźnionych środków, należy stosować środki prewencyjne, ochronne, mające na celu zapobieżenie samemu powstaniu przestępstwa, a co zatem idzie, zwalczanie przyczyn przestępczości.

1) Prof. J. Jolly: „La France criminelle“. Mitteilungen d. internat. Krim. Verein. Dane Gł. Urz. Statyst. — w r. 1924 og. liczba zanotowanych kradzieży w Polsce wynosiła 222.700, w r. 1933 — 356.114, w r. 1934 — 789.895.

Środki ochronne powinny być przede wszystkim skierowane przeciwko pewnym zjawiskom społecznym, które, nie będąc wprawdzie przestępstwami, niemniej zasługują na surowe potępienie, oraz przeciwko tym elementom społecznym, których działania zdradzają pasywny ich charakter, w wysokim stopniu szkodliwy dla ogółu. Do powyższych zjawisk społecznych należą: *lenistwo, pijaństwo, włóczęgostwo, żebractwo i nierząd*.

Wymienione zjawiska, jak to stwierdzają statystyczne dane, umieszczone w „Bulletin de la Commission penitentiare internationale“, znajdują się w najściślejszym między sobą związku, mocno spojone jedno z drugim, na czele zaś ich stoi największy wróg ludzkości — alkoholizm.

Nie miejsce tu mówić o skutkach, jakie wogóle wywiera używanie napojów odurzających, wystarczy stwierdzić, że od 50% — 80% skazanych wyrokami sądowymi popełniło zarzucone im czyny przestępcze na tle odurzenia alkoholowego, że na mocy danych statystycznych, umieszczonych w wyżej powołanym „Bulletin“ie, włóczęgi, żebracy i prostytutki należą prawie wyłącznie do jednostek, obarczonych alkoholizmem²⁾.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że pijaństwo pozbawia ludzi zarobku, albowiem żaden gospodarz, żadne przedsiębiorstwo nie udzieli pracy pijakowi, gdyż nie można mieć zaufania do człowieka nietrzeźwego, że wykona należycie poleconą pracę, nie zniszczy powierzonego mu materiału, nie zepsuje warsztatów. Człowiek pozbawiony zarobku wskutek pijaństwa będzie oczywiście zmuszony włożyć się z miejsca na miejsce w poszukiwaniu pracy, a co za tem idzie, staje się z początku nałogowym włóczęgą, a przy braku zarobku — prostytutką, sutenerem, bądź wogóle przestępcą.

Społeczeństwo nie może i nie powinno czekać z interwencją, aż osobnik, jakiego uznaje za niebezpiecznego dla porządku społecznego, popełni czyn przestępczy, lecz przeciwnie, ma ono nie tylko prawo, ale i obowiązek zająć się nim od chwili, gdy społeczny charakter sposobu jego życia pozwoli przewidzieć, iż wejdzie on na drogę przestępstwa, jak i wówczas, gdy postępowanie jego samo przez się już stanowi niebezpieczeństwo dla porządku prawnego.

Prof. Emanuele Carnevale w swej pracy p. t. „O środkach obrony przeciwprzestępczej“ twierdzi, że dla zastosowania środków zabezpieczających jest konieczne, aby niebezpieczeństwo to istniało obecnie i aby istniała obawa, że w razie niezastosowania tych środków stanie się ono przyczyną nowej szkody dla społeczeństwa. Obecny zatem stan podmiotowy sprawy wiąże się ściśle z przyszłymi możliwymi wydarzeniami zewnętrznymi, ze stanu tego wpływającymi. Celem więc zastosowania środków ochronnych jest zapobieżenie temu ewentualnemu złu, którego można spodziewać się wskutek subiektywnych właściwości sprawcy, o ile ten ostatni będzie mógł tę wolność w sensie społecznie szkodliwym wykorzystać. Miara zatem stosowania środków ochronnych i ich długotrwałość winny być ściśle dostosowane do wspomnianego celu ich użyteczności społecznej.

2) Jaquet : „L'alcoolisme“ pag. 13.

Jeżeli troska o zdrowotność publiczną polega nie tyle na leczeniu chorych, ile na zapobieganiu zachorowaniu i rozszerzaniu się chorób, to w walce z przestępczością, z tą ciężką chorobą społeczną, najistotniejsze znaczenie posiada nie tylko stosowanie środków wychowawczych i poprostych względem osób, które już popełniły przestępstwo, lecz stosowanie środków zapobiegawczych, uprzedzających samo dokonanie czynów przestępczych względem osób, które wykazują *skłonności* do przestępstwa.

Pierwsze ustawy w tym kierunku zostały wydane w Anglii, a mianowicie: w roku 1908 weszła w życie ustawa o zapobieganiu przestępstwom, zwana „Prevention of Crime Act“, a później w r. 1933 — „Children and Young Persons Act“. Na mocy tych ustaw t. zw. „Approved Schools“ obowiązane były przyjmować dzieci i nieletnich, którzy, aczkolwiek przestępstwa nie popełnili, zostali jednak uznani za potrzebujących starania i ochrony (children and young persons in need of care or protection). Do tej kategorii należą dzieci i nieletni, którzy wskutek braku odpowiedniej opieki, pozostając bez kontroli, są narażeni na moralne niebezpieczeństwo.

Jednocześnie w Anglii zostały wprowadzone również inne instytucje, mające wogóle na celu zapobieżenie popełnianiu przestępstw przez dorosłych. Nie będziemy się zastanawiać nad rozważaniem podstaw i zasad tych instytucyj, albowiem były one już wielokrotnie omawiane w naszej literaturze prawniczej³⁾, a ponadto przeniesienie tych instytucyj na teren państw kontynentalnych jest prawie niemożliwe, ponieważ metody i systemy, stosowane w W. Brytanji, są ściśle związane z charakterem narodu angielskiego, z angielskimi tradycjami i zwyczajami.

W ostatnim pięcioleciu w Danji, Finlandji, Norwegji i Szwecji „Stowarzyszenia Kryminologów“ rozpoczęły opracowywanie bardzo interesującego zagadnienia „o postępowaniu z punktu widzenia polityki kryminalnej z leniwymi elementami społecznymi“, przyczem w „Roczniku Stowarzyszeń Kryminologów Północnych“ za rok 1937 umieszczone zostały obowiązujące w tych państwach przepisy o stosowaniu środków zabezpieczających względem aspołecznych elementów, które jeszcze przestępstwa nie popełniły, przez umieszczanie ich w domach pracy, które też podajemy w ramach niniejszego artykułu w możliwie krótkim streszczeniu.

W Finlandji aspołeczne przejawy lenistwa u nieprzestępców są zwalczane na podstawie przepisów prawa administracyjnego, a zwłaszcza postanowień ustawy o włóczęgostwie i ustawy o alkoholikach, które należą do grupy ustaw profilaktyki społecznej, jakie weszły w życie z dniem 1 stycznia 1937 r.

Ustawa o włóczęgostwie odróżnia następujące kategorie osób aspołecznych: a) osoby zdolne do pracy, które jednak bez celu włóczą się tu i tam, b) osoby zdolne do pracy, lecz mające do niej wstręt i przeto stanowiące ciężar dla opieki społecznej lub innych osób, narażając je na konieczność uciekania się do opieki społecznej dla nich samych, lub dla osób, którymi prawo każe się im opiekować, c) osoby, które mają

³⁾ Palestra, 1937 r. Nr. 11.

zwyczaj żebrać, lub pozwalają żebrać nieletnim poniżej lat 18, nad którymi sprawują opiekę, d) osoby, które zdobywają zwykle środki do życia czynami, sprzecznymi z dobrymi obyczajami, lub środkami moralnie nagannymi, lub które pod innymi względami, przez swoje postępowanie przedstawiają niebezpieczeństwo dla porządku, bądź moralności publicznej.

Ustawa o alkoholikach przewiduje środki zabezpieczające, jakie mogą być przedsiębrane względem osobników, oddających się pijaństwu, w przypadkach: a) gdy wskutek swej nietrzeźwości mogą narażać siebie lub innych na niebezpieczeństwo, bądź gdy z powodu stanu opilstwa wywołali niepokój, hałas i t. p. i b) gdy wskutek pijaństwa zaniedbują swe obowiązki względem osób, nad którymi sprawują opiekę, bądź sami stają się ciężarem dla opieki społecznej.

Dla walki z powyższymi osobnikami w Finlandji powołane są *Komisje przezorności społecznej oraz władze policji państwowej i administracji* ogólnej. Komisja przezorności, po otrzymaniu wiadomości o pewnym osobniku aspołecznym, obowiązana jest przeprowadzić dochodzenie przez swego członka lub przez funkcjonariusza policji, zarządzić obserwację celem ustalenia trybu jego życia. Po zakończeniu dochodzenia Komisja zaprasza oskarżonego, objaśnia mu szkodliwe następstwa jego zachowania się, daje mu odpowiednie wskazówki i rady, udziela pracy, lecz jednocześnie uprzedza, że pozostaje on pod obserwacją i że w razie braku poprawy względem niego będą zastosowane surowsze środki.

W przypadkach, gdy sposoby przekonywania i ustalenia nadzoru nie wystarczają, na wniosek Komisji lub władzy policyjnej, gubernator może zastosować względem opornych środki połączone z pozbawieniem wolności, a mianowicie umieszczenie ich w *domach pracy* lub w *specjalnych zakładach dla alkoholików z obowiązkiem pracy*.

Czas trwania pobytu w zakładzie dla alkoholików wynosi maksymalnie 1 rok, w domach pracy — 2 lata, lecz w obu przypadkach termin ten może być przedłużony.

W *Norwegji* na mocy ustawy z dnia 31 maja 1900 r. środki zabezpieczające względem włóczęgów, żebraków i alkoholików *orzeka sąd*.

Zgodnie z postanowieniami cyt. ustawy — art. 4 i 5 — umieszczeniu w domach pracy podlega każdy próżniak lub włóczęga, *jeżeli okoliczności pozwalają przypuszczać, iż zdobywa on sobie środki do życia całkowicie lub częściowo w sposób prawem zakazany*. Ponadto umieszczeniu w zakładach pracy podlegają osoby zdolne do pracy, które mimo, iż odpowiednie organy oficjalne zaofiarowały im pracę, odmówiły jej przyjęcia, lub zostały wydalone na skutek złego prowadzenia się i z powodu tego oddają się żebractwu. Na mocy art. 18 i 19 tejsze ustawy podlegają umieszczeniu w zakładach dla alkoholików: a) osoby, które w stanie nietrzeźwości stają się winnymi wrzawy, hałasu lub aktów brutalnych, b) osoby, które trzy razy w przeciągu jednego roku były skazane za opilstwo i e) osoby, które z powodu nietrzeźwego trybu życia zaniedbują zaspokojenie potrzeb osób, którymi z mocy prawa muszą się opiekować. Czas pobytu w domach pracy i w zakładzie dla alkoholików trwa od 1½ roku do lat 4.

Duńska ustawa z dnia 30 maja 1933 r. zezwala *władzom admini-*

stracyjnym stosować karę pracy przymusowej do alkoholików i włóczęgów i ponadto do osobników, zaniedbujących swe obowiązki utrzymywania rodziny. Na mocy przepisów kodeksu karnego duńskiego z r. 1930 sąd może, jeżeli chodzi o postępowanie z przestępcami leniwymi, zastosować do oskarżonych za przestępstwo, podlegające przynajmniej karze więzienia, system domów pracy na przeciąg czasu od jednego roku do lat pięciu. W tych granicach o zwolnieniu decyduje władza administracyjna.

W Szwecji obowiązuje ustawa przeciwalkoholowa z r. 1916, która oparta jest na tych samych podstawach, co i ustawa fińska o alkoholikach, a przeto omawianie jej treści uważamy za zbędne, tem bardziej, że w artykule moim p. t. „Walka z alkoholizmem w Szwecji“, umieszczonym w „Gazecie Administracji i Policji Państwowej“ nr. 4 r. 1932, ustawa ta została szczegółowo rozważona. (Przedr. w „Trzeźwości“ Nr. 11 - 12 r. 1932).

Co się tyczy ustawy szwedzkiej o włóczęgostwie z r. 1885, to ma być ona w najbliższym czasie poddana gruntownej rewizji z punktu widzenia polityki kryminalnej, dotyczącej walki z elementami aspołecznymi.

Nowy projekt ustawodawczy przewiduje przyjęcie w stosunku do przestępców leniwych, jak również do zawodowych żebraków, włóczęgów i innych osobników aspołecznych systemu środków prewencyjnych i zabezpieczających, z których najsurowszem — byłoby umieszczenie w zakładzie, gdzie staranoby się przyuczyć ich do pracy⁴⁾.

Jeżeli chodzi o włóczęgów, pierwszym środkiem, jaki ma być wobec nich stosowany, jest dostarczenie im odpowiedniej pracy, a dopiero w razie jego bezskuteczności, poddanie ich systemowi, zdolnemu przyuczyć ich do pracy.

W tym celu proponowano ustanowienie w wielkich zakładach przemysłowych i handlowych specjalnych kuratorów, którzyby pośredniczyli w przyjmowaniu do pracy t. zw. włóczęgów. Ponadto część ich mogłaby być zatrudniona przy pracach, organizowanych dla zwykłych bezrobotnych. Rozporządzenie środkami pomocy i ich stosowanie powinno należeć do organów samorządowych t. j. do t. zw. „komisyj pomocy publicznej“. Stosowanie środków przymusu ma być pozostawione władzom sądowym, przyczem umieszczenie w zakładzie, będącym niejako szkołą pracy, byłoby uznawane za bardziej wskazane, niż wykonanie kary, wymierzonej wyrokiem sądowym.

Przy rozstrzyganiu zagadnienia o sposobach walki z powyższymi objawami aspołecznymi nasuwa się przede wszystkim kwestja, na czem polega „wstręt do pracy“ i co właściwie go stwarza, czy to jest wada charakteru, czy wychowania, otoczenia i t. d.?

Według zdania prof. Ferucio Banissoni⁵⁾, wstręt do pracy jest objawem swoistego schorzenia woli, polegającym na prowadzeniu przez jednostkę charakterystycznego trybu życia włóczęgowskiego, korzystania z ofiarności publicznej lub prywatnej, zadowolenia z najprymity-

⁴⁾ Karl Schyter: „O postępowaniu z punktu widzenia polityki kryminalnej z leniwymi elementami aspołecznymi“. 1938.

⁵⁾ „La psichotechnica del lavoro negli istituti di prevenzione e di penale“.

wniejszych niedogodnych warunków bytu, byle tylko nie podjąć jakiegokolwiek wysiłku do pracy fizycznej bądź umysłowej.

Pod pojęcie osobnika „leniwego“ podpada więc każda jednostka, co do której zachodziłoby domniemanie, iż jej czyny społeczne są głównie przejawem skłonności do prowadzenia życia beczynnego i nieuregulowanego. Na podstawie danych statystycznych ⁶⁾ należy skonstatować, że osobnik, obarczony tego rodzaju defektem, prędzej czy później wkroczy na drogę przestępstw, a przeto walka z takimi osobnikami jest niezbędna za pomocą środków prewencyjnych, gdyż tego wymagają zasadnicze podstawy polityki kryminalnej.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że najpotężniejszym środkiem walki z aspołecznym elementem, obciążonym wstrętem do pracy, jest poddanie go działaniu środków ochronnych, które mają go zahartować do pracy, ładu i uodpornić przeciwko poglądom przestępczym oraz wdrożyć do społecznego współżycia.

Dawniejsze ustawodawstwa wprowadzały domy pracy przymusowej w postaci kary. Uważanie zamknięcia w domu pracy za karę jest błędne z punktu widzenia metodologicznego. Nowoczesny dom pracy powinien mieć charakter wychowawczy i równocześnie być środkiem ochronnym, z zastosowaniem metod nowej nauki t. zw. „psychotechniki pracy“. Znany w tej dziedzinie uczyony Banissoni ⁷⁾ twierdzi, że psychotechnika ma na celu wynalezienie dla każdego osobnika odpowiedniego dla niego zawodu, przyczyniając się do powstania zapału i zamiłowania do pracy i zwłaszcza „owego najważniejszego czynnika — radości z dokonywanej pracy, przeświadczenia o powołaniu do niej i o misji wypełnienia swych zadań w sposób najdoskonalszy“.

Jednostkę społecznie niewydolną, twierdzi Banissoni, trzeba odpowiednią terapią wyleczyć. Najlepszym, najdoskonalszym środkiem tej terapii jest — właśnie praca.

Dr. Lichtensztein, opierając się na czteroletnim doświadczeniu lekarza szpitala psychiatrycznego przy więzieniu drohobyckim na XV Zjeździe lekarzy i przyrodników polskich, który odbył się 4 — 7 lipca 1937 roku we Lwowie, stwierdził bardzo dodatni wpływ leczenia zajęciowego pracą psychopatów. Pod wpływem systematycznej pracy, umiejętnie stosowanej, łagodnieją i dadzą sobą kierować, zdaniem d-ra Lichtenszteina, nawet najciężsi psychopaci, którzy w więzieniu uchodzili za najbardziej krnąbrnych więźniów ⁸⁾.

Według zdania d-ra H. Zajączkowskiego, najczęstszym przykładem nałogu alkoholowego są psycho-nerwice, zwłaszcza lękowe i psychopatia epileptoidalna. Wszelkie jednak inne rodzaje usposobień psychopatycznych, jak i początkowe okresy psychoz oraz niedorozwoje mogą być genezą nałogu alkoholowego. Oprócz różnych środków psychoterapii, stosowanych do tej kategorii chorych, jednym z czynników, najbardziej umożliwiających opanowanie i uregulowanie rozprężonego

⁶⁾ T. d'Arenza: „La vita penitenziaria attraverso le statistiche dal 1928 al 1933.“

⁷⁾ „La psychotechnica del lavoro negli istituti di prevenzione e di penale, rok 1937.“

⁸⁾ „Przegląd Więziennictwa Polskiego“. Zeszyt III, r. 1937. Str. 562.

przez nałóg życia alkoholika, — jest praca i „terapia zajęciowa“ odgrywa bardzo poważną rolę w doprowadzeniu pacjentów do pełni równowagi psychicznej⁹⁾.

Nauka prawa i nowoczesne ustawodawstwa wszystkich kulturalnych państw uznały za niezbędne stosowanie środków ochronnych względem osobników aspołecznych, alkoholików, żebraków, włóczęgów i t. p., którzy na drogę przestępstwa jeszcze nie wkroczyli, lecz wskutek skłonności do lenistwa nie tylko stanowią element szkodliwy, lecz nawet wprost wysoce niebezpieczny dla społeczeństwa.

Jednym z najwięcej radykalnych środków do walki z tą straszną klęską jest przedewszystkiem usunięcie u osobników aspołecznych czy to wrodzonej, czy nabytej skłonności do lenistwa, nieróbstwa i darmozjadztwa, za pomocą dostarczenia im odpowiedniej pracy przez instytucje opieki społecznej. Gdyby ten środek nie osiągnął pożądaných skutków, należy zastosować surowszy sposób przymusu przez umieszczanie takich osobników w domach pracy.

Instytucje domów pracy w dobie obecnej nabierają coraz większego znaczenia, gdyż mają na celu nie tylko zabezpieczenie społeczeństwa przed elementami aspołecznymi i antyspołecznymi, lecz reasocjację tych zdeprawowanych osobników, jako już zdrowych i uczciwych ludzi, za pomocą zastosowania do nich odpowiednich środków leczniczych (alkoholizm), uzupełnienia braków wychowania w rodzinie i wykształcenia szkolnego, zwalczania apatii i bezwładu woli, wpajania zamiłowania i nawyku do pracy.

W tem miejscu należy zaznaczyć, że okres postpenitencjarny jest również jednym z najważniejszych odcinków walki z przestępczością, gdyż w tym właśnie okresie należy jaknajszybciej przystąpić do zbudowania pomostu, po którym były więźnie mógłby wrócić znowu do uczciwego życia. Do wykonania tego doniosłego zadania powołane są „domy pracy dla zwolnionych więźniów“.

W Szwecji¹⁰⁾ Związek Opieki (Swenska Skryddsförbundet), mający na celu zwalczanie przestępczości i wykroczeń przeciwko moralności udziela pomocy zwolnionym z więzienia, warunkowo skazanym, prostytutkom, alkoholikom i t. p., jednocześnie zaś prowadzi t. zw. „przejściowe domy pracy i kolonje przejściowe“. Warunki pracy w tych zakładach są dość ciężkie, ale w miarę tego, jak pracujący wykazuje pilność i pracowitość, warunki jego ulegają polepszeniu. Do domów i kolonij przejściowych przyjmują tych zwalnianych więźniów, którzy nie mogą otrzymać pracy i nie mają przytułku. Za wykonaną pracę, osoby zamieszkałe w tych domach i kolonjach pobierają przy całkowitem utrzymaniu niewielkie wynagrodzenie. Czas pozostawiania tam jest dowolny. Zakłady te cieszą się wielkiem powodzeniem, gdyż są pierwszą odeskoczną od więzienia do wolnego życia.

Można z wszelką pewnością stwierdzić, że instytucja domów pracy będzie niewątpliwie w najbliższej przyszłości zrealizowana i wprowadzona w życie we wszystkich krajach kulturalnych, przy czem jednocześnie zostanie wydany i odrębny kodeks „postępowania zabezpiecza-

⁹⁾ Czasopismo „Trzeźwość, nr. 1—3, r. 1937.

¹⁰⁾ Otto Krebs: „Straffälligen Fürsorge“, Berlin 1929 r.

jącego i ochronnego“, a wtedy samo przez się będzie rozstrzygnięta kwestja wyboru władzy, która ma decydować o zastosowaniu środków ochronnych i zabezpieczających, kwestja, która w chwili obecnej w literaturze prawniczej stała się przedmiotem tak licznych kontrowersyj.

Stanisław Czerwiński.

0 PROPAGANDĘ NIEFERMENTOWANYCH SOKÓW OWOCOWYCH CZYLI T. ZW. NEKTARÓW, ALBO PŁYNNEGO OWOCU.

W ostatnim dziesiątku lat stwierdzić należy we wszystkich niemal krajach na świecie, silną propagandę „płynnego owocu“, zwanego również nektarem, a będącego niczem innym, jak tylko naturalnym sokiem, wyciśniętym z pewnych owoców lub jagód i odpowiednio przetworzonym. Do grupy tego rodzaju przetworów można również zaliczyć surowe soki z pewnych jarzyn, a nawet drzew, jak np. sok z marchwi, buraków, czarnej rzodkwi, pomidorów, rabarbaru, brzozy, grabu i in., które — podobnie, jak płynny owoc — mają zastosowanie jako środek dietetyczny lub leczniczy. Nie mogę na tem miejscu pominąć ważnej uwagi odnoszącej się do podanej wyżej definicji naturalnych soków owocowych (nektarów, płynnego owocu). Oto oddawna wyrabia się po domach „wina owocowe“, używając do tego celu przeróżnych owoców i jagód, niekiedy nasion zbożowych, jak np. żyta lub mąki żytniej. Wyciśnięty sok albo wyciąg z ziarna, zaprawiony zazwyczaj pewną ilością cukru, pozostawia się w spokoju na dłuższy czas, poczem następuje „oczyszczenie i wyklarowanie się cieczy“, którą przechowuje się we flaszkach lub w gąsiorach, zakorkowanych. Bardziej wtajemniczeni w arkana winiarskie domorośli wytwórcy, zaprawiają swe soki specjalną hodowlą odpowiedniej rasy drożdży, inni zaś wogóle drożdży nie dodają. Jedni i drudzy uzyskują jednak produkt, który pod żadnym warunkiem, nie może być nazwany nektarem, czy płynnym owocem z tego powodu, że jest wytworem fermentacji alkoholowej i zawiera w sobie nieraz bardzo pokaźny procent alkoholu etylowego. W tym wypadku, gdy się nie dodaje drożdży do soku owocowego, fermentacja alkoholowa mimo to przychodzi do skutku, chociaż — co prawda — z pewnem opóźnieniem, z tego powodu, że komórki drożdżowe dostają się do cieczy z powietrza, gdzie się w nim zawsze znajdują, względnie wprowadzone zostają do cieczy wraz z sokiem owocowym. Tego rodzaju „wina owocowe“, domowego wyrobu — jak miałem sposobność kilkakrotnie zbadać chemicznie — zawierają często 10, 11, a nawet 14,5% alkoholu, wobec czego nie mogą być uważane za niewinny napój bezalkoholowy i dzieciom nie wolno ich podawać nawet w bardzo małych ilościach bez szkody dla zdrowia. Przy wyrobie nektarów stosuje się celowo takie zabiegi, aby naturalny sok owocowy nie uległ fermentacji alkoholowej i dlatego wytwory te, poza minimalnym jakimś śladem, nie zawierają wogóle alkoholu. Czynniki, które stosujemy przy wyrobie nektarów, są następujące: pasteryzacja t. j. ogrzewanie świeżego soku do temperatury niższej od 85° C, lub sączenie soku nieogrzewanego przez t. zw.

ultrafiltry (np. E. K. sączki), na powierzchni których zostają zatrzymane komórki drożdżowe i inne drobnoustroje. Tej drugiej metody używa się przeważnie w większych wytwórniach nektarów, pierwszej zaś przy fabrykacji domowej.

Oprócz tych dwu metod, głównych, mamy szereg innych oraz ich modyfikacji, jak np. metodę Seitza-Böhiego, w której stosuje się gazy dwutlenek węgla, metodę prof. Sprengera z Holandji, (Zoete most), francuską modyfikację Maltzka. W najnowszych czasach stosuje się również promienie pozafioletkowe i t. d. Wyjątkowo wolno w niektórych krajach, jak np. we Francji, używać jako środka konserwującego dwutlenku siarki (w maksymalnej ilości do 80 mg w litrze), to znów benzoesu sodowego i in.

Na fakt olbrzymiego rozpowszechnienia nektarów w ostatnich latach wpłynęły rozmaite czynniki, najważniejszym jednak spośród nich okazał się nowoczesny rozwój nauki o składnikach odżywczych naszych pokarmów, czyli dział nauki żywienia, zwanej bromatyką, przedewszystkiem zaś witaminologia, której właściwym twórcą jest warszawianin Kazimierz Funk. Nie bez znaczenia jest również zjawisko ewolucji smaku u ludzi, na którą zwrócił uwagę pastor Rudolf. Ewolucja ta objawia się w pociągu do słodyczy z odrzucaniem goryczek, kwasów i t. p. oraz rozmiłowania w posiłkach wybitnie zimnych, głównie w lodach. Zjawisko to zaobserwowano w Ameryce, a następnie w Anglii, a także we Francji. Jedną z tajemnic spożywania pokalnych ilości nektarów jest fakt podawania ich w stanie zimnym, w którym najwybitniej ujawnia się ich właściwy, przyjemny smak. Silny rozwój sportów, wpłynął również w niektórych krajach na wzmożone spożywanie nektarów, albowiem prawdziwy sportowiec jest bezwzględny wrogiem alkoholu. Te dwa pojęcia: sport i alkohol wykluczają się wzajemnie, a zawodnicy, którzy nie przestrzegają tej prawdy — jak mieliśmy tego przykłady w ostatnich miesiącach — doznają ciężkich porażek i spotykają się z ośmieszeniem. Podrzedniejszą rolę w propagandzie nektarów, chociaż wcale wyraźną w niektórych krajach, jak np. w nowych Niemczech i byłej Czechosłowacji, odgrywa akcja towarzystw abstynenckich. Przypomnieć tu wypada, że Hitler w rozmaitych swych przemówieniach i artykułach, drukowanych np. w „Völkischer Beobachter“, nawołuje do abstynencji od alkoholu i tytoniu w imię tężyzny swego narodu i szczęścia niemieckiej ojczyzny, nadto sam służy żywym przykładem bezwzględnego abstynenta. Podobnie zmarły prezydent Czechosłowacji Masaryk, był znanym abstynentem i autorem dwu cennych broszur propagandowych o abstynencji.

Jak już nadmieniono — najważniejszym może czynnikiem, który wpłynął na rozpowszechnienie nektarów na świecie, było i jest w dalszym ciągu spopularyzowanie wiadomości o witaminach. Witaminy, zwane również życianami (termin wprowadzony u nas przez Prof. Lellesia), awitaminozy, czyli szereg schorzeń, spowodowanych brakiem dowozu witaminów do organizmu, wreszcie hiperwitaminozy t. j. uszkodzenia organizmu wywołane przez nieumiejętne przekarmienie sztucznymi preparatami witaminowymi — oto pojęcia, które operują dziś przeciętnie inteligentni laicy z większym lub mniejszym zrozumieniem tych terminów. Wiara w moc witaminów, jako czynników utrzymują-

cych nas w zdrowiu, względnie przywracających zdrowie, gdy ono znacznie upadać, jest i u nas dosyć powszechne, a zawdzięcza ją społeczeństwo nauce w dzisiejszej szkole, światowi lekarskiemu, a w niektórych krajach, jak np. we Francji, stowarzyszeniom, propagującym racjonalne odżywianie, którego tu ruchu osią, jest tam nasz rodak, profesor Uniwersytetu w Paryżu, Dr. Edward Pożerski. Analogiczne początki wspomnianego ruchu uświadamiającego spotykamy u nas w kilku towarzystwach kobiecych, a zwłaszcza w zakładach gospodarczego kształcenia kobiet. Jednym z najobfitszych źródeł witaminów A, B₁ — B₆ i C są właśnie owoce i jarzyny, a także ich przetwory przygotowane, jednak w ten sposób, że witaminy jako substancje chemiczne, nieraz bardzo wrażliwe na działanie wyższej temperatury, tlenu powietrznego, reakcji ośrodka, w którym się znajdują, nie uległy rozkładowi i zachowały swe życiodajne własności na dłuższy okres czasu, gdy nie rozporządzamy świeżymi produktami roślinnymi, a nawet na całe lata. Że sprawa przyrządzania i przechowywania naturalnych soków roślinnych ma nader doniosłe znaczenie dla ludzkości, mamy dowód w tem, że zajmują się nią umysły wielkich uczonych, tudzież, że poświęcono jej w ostatnich latach dwa międzynarodowe kongresy, nadto odbyło się kilka zjazdów międzynarodowych, w których brali udział reprezentanci kilkudziesięciu narodów z obydwu półkul świata. Pierwszy międzynarodowy kongres zebrał się w Paryżu w r. 1933, drugi w sierpniu 1937 w Berlinie pod egidą tamtejszego Ministerjum Wyżywienia i Gospodarstwa Narodowego, przy współdziałaniu 2.000 uczestników z 34 krajów. 24 rządów wysłało swych reprezentantów (Polskie Ministerjum Przemysłu i Handlu zastępował radca Nowacki). Z Polski brało udział w obradach i połączonej z kongresem wystawie przetworów i narzędzi 25 osób. Obok specjalistów naukowców ze sfer uniwersyteckich i instytutów, szkół gospodarczych, producentów nektarów, ogrodników i hodowców winnej latorośli, lekarzy, nauczycieli, dziennikarzy i in., znaleźli się również przedstawiciele kół abstynenckich, kobiecych, a nawet wytwórcy napojów alkoholowych. Jak nadmieniono — obok kongresów odbywają się również zjazdy Międzynarodowego Wydziału dla Bezfermentacyjnego Zużytkowania Owoców. W 3-cim tego rodzaju zjeździe, odbytym w Bonn w r. 1936 obradowali reprezentanci z 20 państw (z Polski przybyło kilka osób, a pośród nich znana autorka „Nektarów“ Dr. Z. Schechtlówna, wytwórca owocu płynnego p. Czajka z Kościanu i p. Bystrzejewska z Warszawy). Z obszernego sprawozdania wspomnianego zjazdu, względnie referatów poszczególnych mówców, jak również ze sprawozdań obydwu międzynarodowych kongresów, nabrać można wyobrażenia o wzrastającej w nader szybkim tempie produkcji nektarów na świecie, o postępach w metodach ich wytwarzania, o usiłowaniach w kierunku pewnego rodzaju standaryzacji produktów, wogóle o całokształcie całej sprawy.

Bezpośrednim celem niniejszego artykułu jest zwrócenie uwagi czytelników na metody propagandy, które należałoby się posługiwać u nas, aby osiągnąć, jak największe rozpowszechnienie niefermentowanych soków owocowych, mając oczywiście na oku cel wyższy, a mianowicie, zwalczanie alkoholizmu, jako choroby społecznej i to

przedewszystkiem owego „umiarkowanego picia“, które samo o sobie nie wie, że jest alkoholizmem i właściwem przedszkolem pijaństwa. Zaczynać należy od domu i pamiętać ciągle o tem, że uświadamianie słowem o skutkach alkoholizmu, a nawet świecenie przykładem abstynencji, pozostanie nadal półśrodkiem, najczęściej zawodnym, tak długo, dopóki nie napełnimy podczas przyjęć domowych i publicznych kieliszków, czy szklanek czemś, co nie będzie zawierało w sobie najzdradliwszego i najbardziej rozpowszechnionego narkotyku, jakim jest alkohol. Symboliczny kieliszek, czy szklanka lub puhar, pozostanie do końca świata naczyniem, którem ludzkość będzie się posługiwała w dniach radości i smutku, którem będzie się witała i żegnała, okazywała swe serdeczne uczucia, chodzi tylko o to, aby zmienić złą treść tego naczynia na dobrą, zastąpić ciecżą, która pod względem smakowym, zadowoli tych wszystkich, jacy dotychczas, nie znając umiejętności sporządzonych nektarów, o pełnym smaku i woni, nazywali je wodą kompotową albo czemś, co nie zawiera w sobie „sensu“, rozumiejąc przez ów sens — alkohol — duszę wszelakich „uczciwych“ truneków. Tutaj muszę silnie podkreślić, że nektary (nazwę tę uważam za bardzo trafną) powinny być napojem naturalnym, smakowo doskonałym, nie rozwadnianym, lub też zaprawianym chemicznymi środkami (kwas salicylowy, sacharyna, benzoosan sodowy, dwutlenek siarki i t. d.), które nie tylko psują smak, ale są niekiedy szkodliwe dla organizmu naszego. Za bardzo słuszny postulat uważam żądanie niektórych referentów na kongresach, aby produkcja nektarów pozostawała pod ścisłym nadzorem ustanowionych instytutów badawczych i wszelkie nadużycia przy ich fabrykacji były przykładnie karane.

Niektórzy autorowie uważają nektary za wytwór, który pojawił się na rynku handlowym dopiero w latach powojennych i to po roku 1920. Pragnę to twierdzenie sprostować o tyle, że już w roku 1912 w najbliższem swem otoczeniu abstynenckiem, spożywałem często we Lwowie, jak również w jednym z mniejszych miast Małopolski napój bezalkoholowy, wyrabiany z jabłek lub z wiśni, zwany „Ceresem“, który wytwarzała firma Schichta w Osieku (Aussig) nadto sprowadzałem z Mur (nad Murem) w b. Austrii pierwszorzędnej jakości winny moszcz bezalkoholowy, w którym nie stwierdziłem chemicznie żadnych dodatków konserwujących lub słodzących wyżej wymienionych. Spożycie nektarów w rozmaitych krajach europejskich i pozaeuropejskich wzrasta z każdym rokiem niemal w postępie geometrycznym. Gdy np. w r. 1926 (dane biorę z referatu d-ra H. Polzera z Berlina) spożycie nektarów w Niemczech wynosiło 2,5 miliona litrów, już w roku 1929 wynosiło 8, w 1931—16, 1934—30, 1935—43, w 1936 ponad 70 milionów litrów. Nad jakością produktów czuwa tamtejsze Tow. Gospodarczo ogrodnicze, którego opinia decyduje o dopuszczeniu danej jednostki do przemysłu nektarowego. Kandydat musi posiadać odpowiednie przeszkolenie we wskazanych przez Towarzystwo zakładach. Nektary z jabłek i gruszek, do których nie wolno dodawać cukru, są wolne od dodatków, gdyż dąży się do tego, aby w myśl życzenia Hitlera, płyny te stały się „napojem narodowym“. O zakresie propagandy nektarów przez jedno tylko towarzystwo kobiece „Deutsches Frauenwerk“ możemy nabrać wyobrażenia, skoro powiemy, że wymienione towarzy-

stwo w r. 1936 zorganizowało 2.224 kursów i wykładów o nektarach, przy czem posługiwało się własnym filmem, zainteresowało akcją 22.000 swych kół, czyli kilka milionów członków, znalazło żywe poparcie w prasie, radju, wśród nauczycielstwa, które stanowi dalsze kręgi żywej propagandy „napoju narodowego”. Brak miejsca nie pozwala mi na to, aby poświęcić więcej słów na podanie danych statystycznych z innych krajów, nadmienię tylko, że z przeciętnej rocznej produkcji winogron w Bułgarji, wynoszącej 500 milionów kg., spożywa się tam około 70 milionów surowego owocu, a na nektary przerabia 22 miliony, około 100.000 kg. obraca się na zgęszczony sok winogronowy oraz 30.000 kg na rodzynki.

Ojczyzną nektarów jest Szwajcarja, gdzie też przemysł tych produktów stanął najwyżej, oraz spożycie jest wybitnie wielkie (5 do 6 litrów na głowę mieszkańca). Reklama nektarów w ostatnich latach była tak silna, ceny tak niskie (12 Rp. za litr), że zapasy w niejednej miejscowości zostały zupełnie wyczerpane. Jeden z tamtejszych handlowców zdołał np. w ciągu kwartału sprzedać 69.000 litrów nektaru. W Zurychu istnieje od roku 1930 Centrala Propagandy Przetworów Owocowych (łącznie z winogronami), której działalność ujawnia się w wielu kierunkach. I tak: w okresie 2 do 3 tygodni dostarcza ona odpowiednich biuletynów dla 170 niemieckich i 65 francuskich czasopism, pisanych przez pierwszorzędnych naukowców i fachowców, zajmuje się akcją plakatowania anonsów i zaleceń nektarów na dworcach kolejowych, w handlach, na ulicach, wydaje propagandowe broszury i ulotki, urządza wystawy i stoiska z nektarami, prowadzi propagandę za pomocą filmów po kinach, udziela ustnych i pisemnych porad w sprawie hodowli owoców i doboru najodpowiedniejszych gatunków dla przeróbki na nektary. Nadmienić należy, że sadownictwo szwajcarskie jest wysoko rozwinięte, skoro na głowę mieszkańca przypada przeciętnie 3 drzewa owocowe. Od czasu do czasu organizuje wspomniana Centrala wykłady przez radjo, nadto utrzymuje stały kontakt ze stowarzyszeniami nauczycieli abstynentów i tą drogą zdobywa młodzież dla idei abstynenckiej. Podobnie i w Niemczech tamtejsze nauczycielstwo poświęca wiele uwagi sprawie abstynencji młodzieży. Związek nauczycieli abstynentów szkół średnich, powstały ze zlania trzech oddzielnych związków, liczy dzisiaj do 2.800 osób.

Także i Węgry w ostatnich latach zaczęły na większą skalę produkować nektary, przyczem sprawę ich wyrobu, a także propagandy ujął w swe ręce Oddział Doświadczalny dla Spożytkowania Owoców i Jarzyn przy król. węg. Zakładzie Ogrodniczo - naukowym w Budapeszcie. Z wyników badań tamtejszych dowiadujemy się, że spośród jagód i owoców, sok poziomkowy, zawiera najwięcej witaminu C (40,8) następnie morela (15,6), inne soki zawierają już znacznie mniejsze ilości witaminu C, bo od 1,2 (wiśnia), 1,8 (jabłko i brzoskwinia) do 3,6 (porzeczką).

W Stanach Zjednoczonych Ameryki Półn. zauważono po zniesieniu prohibicji niebywały wzrost spożycia nektarów z rozmaitych owoców, a między nimi z ananasu, którego wypito w r. 1925 ponad 40 milionów litrów.

Jeżeli obecnie zapytamy o stan propagandy i spożycia nektarów

w Polsce, to bez wszelkiej przesady i samochwalstwa musimy przyznać, że jesteśmy pod tym względem „na najlepszej drodze“. Propagandę na większą skalę prowadzi się w dwu punktach kraju: w Poznaniu (Wydział Propagandy Napojów Bezalkoholowych przy Polskiej Lidze Przeciwalkoholowej) i w Warszawie z ramienia Tow. „Trzeźwość“, nadto poszczególne oddziały towarzystw abstynenckich, jak np. oddział Ligi Przeciwalkoholowej we Lwowie usiłuje w wykładach popularnych zalecać, jak najgoręcej nektary i wpływami swymi spowodował utworzenie we Lwowie zastępstwa jednej, względnie, dwu firm wytwórczych nektarów i — jak stwierdzić należy — spożycie doskonałych produktów rośnie z każdym dniem. Co do ustosunkowania się naszych władz rządowych do kwestji wytwórstwa nektarów, musimy przyznać, że jest ono zupełnie poprawne. Tak samo stwierdzić mogę na podstawie sprawozdań reprezentantów rozmaitych krajów na zjazdach poświęconych nektarom, że stosunek rządów, jest wszędzie przychylny, a np. w Bułgarji zasługuje na podkreślenie silne fakt, że tamtejsza Generalna Dyrekcja Kolei w okresie winobrania, poleciła bez wszelkich ograniczeń przewozić surowy owoc w obrębie całego państwa bez żadnej opłaty, aby tym sposobem przyczynić się do zwiększenia spożycia surowego owocu i jego przeróbki na nektary. W naszych stosunkach należałoby poczynić starania, aby koszty transportu nektarów zostały wybitnie zniżone, gdyż przy przesyłce kilkudziesięciu butelek nektaru z Wielkopolski np. do Lwowa opłata kolejowa od jednej butelki wynosi około 36 groszy.

Więszych i mniejszych wytwórni nektarów, połączonych najczęściej z produkcją alkoholowych win owocowych, mamy już kilkanaście, z pomiędzy których wymienię te, które mi są znane bądź to tylko z adresu, bądź też na podstawie bytności w nich:

- 1) „Caprice“ (właśc. Hartwig — Kantorowicz) w Poznaniu.
- 2) Chmielowa nad Dniestrem (koło Buczacza). Wł. Dr. Głazewski i Synowie,
- 3) Dwikozy koło Sandomierza, przedsiębiorstwo na skalę europejską Związku Spółdzielni „Społem“,
- 4) Frank — Runowo Kraińskie,
- 5) Goldenring w Poznaniu,
- 6) Nektarnia zakładu św. Anny w Kamieniu Pomorskim,
- 7) Pudliszki koło Lwowa,
- 8) „Sana“ (wł. W. Czajka, prezes Zw. Wytwórców Nektarów) w Kościanie,
- 9) Szkoła Ogrodnicza Państwowa w Poznaniu,
- 10) „Veritas“ (wł. J. Jenkler) w Kamienicy ad Bielsko,
- 11) „Życiany“ (Tłocznia owoców i jarzyn) w Warszawie.

Niektóre z wymienionych tu wyżej firm, wytwarzają produkty, które — jak oświadczył mi, jeden ze znanych podróżników światowych — nie ustępują renomowanym napojom zagranicznym. We Lwowie np. wielkiem wzięciem cieszy się sok żurawinowy, sok z czarnej porzeczki i niezrównany w smaku sok winogronowy. Spotykam również soki owocowe wyrabiane w zakresie domowym, które nie ustępują w smaku produktom fabrycznym.

W odniesieniu do kwestji propagandy, względnie reklamy nektarów wśród społeczeństwa, które ich przeważnie nie zna lub bez podstawy z góry odnosi się nieprzychylnie, jestem tego zdania, że propagandę obok towarzyszów kobiecych winien wziąć w ręce przedewszystkiem świąt lekarski, natomiast abstynenci z marką fanatyków winni się usunąć nieco na bok, względnie „grać cicho drugie skrzypce“. Cóż lekarz i chemik powiedzieć może o nektarach? Oto czynniki, które działają w nektarach, są następujące: 1) cukier gronowy względnie owocowy w przeciwstawieniu do zwykłego cukru trzcinowego przedstawiają materiał nader łatwo strawny, przechodzący bezpośrednio w krew, 2) sole mineralne o własnościach alkalicznych czyli zasadowych, działają silnie odkwaszająco, a odkwaszenie organizmu u większości nas, którzy zakwaszamy swój organizm mięsem, potrawami mącznymi i t. d., jest konieczne, 3) bogactwo witaminów w sokach owocowych, ma dzisiaj pierwszorzędne znaczenie w lecznictwie, 4) fakt, że soki owocowe zawierają bardzo mało białka oraz prawie są wolne od tłuszczu, przedstawiają pokarm, dający mało ciepła, czyli nisko kaloryczny, natomiast dostatecznie objętościowy, którym łatwo zaspokoić uczucie głodu, 5) soki roślinne nie wykazują zasad purynowych w swym składzie, które to związki stanowią przyczynę gromadzenia się kwasu moczowego w organiźmie.

Wymienione wyżej własności soków owocowych okazują się wprost niezrównanym czynnikiem przy leczeniu całego szeregu schorzeń oraz chorób przemiany materji, jak np. otyłości (działa tu niska kaloryczność owocu, jako pokarmu), pewnych chorób nerek (dzięki małej zawartości białka następuje wybitne odciążenie w pracy tych organów), skazy moczanowej czyli gichtu, (brak puryn w owocach, które to puryny przemieniają się na kwas moczowy w organiźmie), chorób serca i naczyń krwionośnych (brak soli kuchennej w sokach owocowych sprawia zmniejszenie retencji, czyli zatrzymywania się wody w organiźmie, które powoduje obrzmienia, zobojętnianie elementu kwasowego i t. d.). Specjalnie doskonale skutki sprawia odpowiedni owoc (nektary) w chorobach jelit zarówno przy silnych biegunkach (nowoczesne leczenie czerwonki miazgą owocową!), jak i w zaparciach (zmniejszenie nadmiaru flory bakteryjnej pod wpływem naturalnych kwasów organicznych, znajdujących się w owocach) zawartość błonnika, np. w sokach nieklarowanych, za którymi przemawiają rozmaite względy; obecność pektyn, powodujących pęcznienie miazgi kałowej ułatwia wydzielenie kału, jady trujące zostają wyssane z jelit). Przy anemji zawarte w sokach owoców sole żelaza w formie łatwo przyswajalnej wzmagają ilość tego pierwiastku w krwi. Przy schorzeniach wątroby i woreczka żółciowego, kuracja winogronowa (nektary) okazuje zbawienne działanie, a to dzięki brakowi niewskazanego w tych chorobach tłuszczu, natomiast obfitej zawartości łatwo strawnego cukru. Nawet przy cukrzycy — wedle Prof. Heupkego — okresowe podawanie nektarów z pewnych jagód i w odpowiedniej ilości daje pomyślne wyniki. W chorobach gorączkowych, nektary oddają bardzo dobre usługi. Lista chorób, w których nektary są wskazane jest długa. Z pomiędzy tych chorób, wymienić należy formę astmy bronchjalnej, pewne cierpienia skórne, jak egzemy i wiele innych. Oczywiście jest rzeczą,

że stosowanie kuracji owocowej, względnie nektarowej przez dłuższy zwłaszcza okres czasu, odbywać się powinno wedle wskazań i pod okiem lekarza, który przepisuje dni ściśle owocowe, częściowo owocowe i dba wedle każdorazowego stanu chorego o to, aby oprócz składników, których dostarcza owoc (nektar), otrzymał w innych pokarmach wskazaną w danym wypadku ilość białka i tłuszczu z innych pokarmów, których owoc nie zawiera, albo tylko małe ilości.

Jak nadmieniono wyżej — stan wytwórstwa nektarów u nas w stosunku do stanu w innych zachodnich krajach naogół jest zadowalający, w każdym jednak razie uważać go należy za początkowy. Wedle mego przekonania, należałoby przedewszystkiem: 1) zorganizować na razie jeden instytut, który miałby za zadanie prowadzenie prac badawczych w kierunku składu chemicznego polskich odmian owoców i jagód, nadających się najlepiej na przeróbkę, opracowanie najodpowiedniejszych metod dla przeróbki tychże owoców, czuwanie nad prawidłowem prowadzeniem wszelkich wytwórni publicznych, których kierownicy z uzyskanym w Instytucie dyplomem, byłiby odpowiedzialni za jakość wyrobów. 2) Do zakresu działania Instytutu należeć winno prowadzenie szkoły nektarskiej oraz przeróbki na inne ewentualnie produkty owocowe (np. stężone soki, dżemy i t. p.), odbywanie kursów doształcających dla kierowników nektarni oraz instruowanie praktyczne osób prywatnych, które zasięgałyby rady w sprawie wyrobu nektarów. 3) Dział propagandy nektarów winien znaleźć się w rękach Instytutu, któryby wydawał jedno czasopismo naukowe i jedno popularne, broszury instrukcyjne, podręczniki, ulotki, wreszcie zajęł się stroną reklamy publicznej nektarów, za pomocą wykładów przez radjo, filmy, afisze i t. p. 4) Instytut winien patronować krajowemu towarzystwom ogrodniczemu i izbom rolniczemu, oraz współdziałać z nimi w zakresie związanym z przetwórstwem owocowym, ustalić minimalne i maksymalne ceny surowców, zalecać hodowlę najodpowiedniejszych odmian owoców i jagód dla poszczególnych połaci kraju, wreszcie normować ceny gotowych produktów.

W odniesieniu do Rządu naszego, należy poczynić starania, 1) aby wszelkie zakłady, w których odbywa się sprzedaż jakichkolwiek napojów alkoholowych, obowiązane były sprzedawać również nektary, 2) aby przywrócono w całej rozciągłości ustawę o ograniczeniu spożycia napojów alkoholowych z roku 1920, 3) aby poczyniono jak najdalej idące ułatwienia w odniesieniu do transportu surowców na nektary, gotowych nektarów, uwzględniono możliwości płatnicze podatków zarówno hodowcom owoców i jagód, jak i sprzedawcom wytworzonych z nich produktów.

Wprowadzenie w użycie w najszerszej mierze nektarów stanowić będzie jeden z najważniejszych czynników walki z alkoholizmem, a tem samem walki z przestępczością, pauperyzacją społeczeństwa i całym ogromem zła, który alkohol przynosi krajowi.

NIECO O KULTURZE SERCA.

Wojna, jaka nam wciąż zagraża, nie oszczędzi z pewnością ludności cywilnej, a nawet starców, kalek i dzieci, będzie to przeto wojna tak dzika i barbarzyńska, jakiej świat dotąd nie oglądał... Świadczy to wymownie o upadku naszej kultury, o zaniku uczuć szlachetnych i rozbudzeniu nienawiści między ludźmi, a wreszcie świadczy o rozpełnieniu na świecie niskich, zwierzęcych instynktów.

Taką jest epoka, w której żyjemy.

A od czego zaczął się ten upadek kultury i moralności?

Od rozkładu rodziny i zaniku w niej uczuć szlachetnych, a przede wszystkim *od upadku miłości małżeńskiej*, która jest spójnią i cementem życia rodzinnego.

Pierwszą szkołą moralności dla każdego jest dom rodzicielski; szkoła ta wtedy dopiero funkcjonuje prawidłowo, kiedy w rodzinie panuje głęboka miłość małżonków, oparta o *nierozzerwalny* związek małżeński.

Pod wpływem takiej miłości małżonkowie uszlachetniają się i uduchowiają, co wpływa dodatnio na ich potomstwo.

Słuszną uwagę na ten temat robi Marja Grossek - Korycka: „Ponieważ rozkosz płciowa jest najwyższą w szeregu zmysłowych zadowolnień — powściąganie jej dyscypliną tej czystości, jaką jest wielka miłość, sprowadza do *postępowanie w uduchowaniu* tych, dla których niedostępna jest inna czystość i często niedostępnym inny ideał“.

„Wybór jednego człowieka do współżycia na całe życie jest niezastąpioną niczem dyscypliną dla całej duchowej organizacji. Najpożądane dla życia na zawsze: *małżeństwo nierozwiązalne*, tylko nie z przymusu zewnętrznego, lecz z nakazu wewnątrz przekonania“.

„A właśnie tego przekonania dziś niema. Upadek ideału Wielkiej Miłości zamknął najbardziej działalną i najpowszechniejszą szkołę uduchowania.“ *)

I nie w tem jeszcze zło największe, że małżeństwa są dość niestałe i rozwody są w modzie, ale w tem, że człowiek nowożytny buntuje się przeciw monogamji i chce wrócić do wielożeństwa t. z. do poğaństwa.

„Dzisiaj centr ciężkości nie w tem spoczywa“ — mówi Marja Grossek - Korycka — „że się przedmiot miłości odmienia i że się żadnemu nie dochowuje wiary, ale że się dochować jej *nie chce* i że się *chce odmiany*.“

„że tej miłości jedynej i wiary nikt sobie dzisiaj nie życzy!“ (Tamże, str. 157). Jest to bajeczne spostrzeżenie.

Co jest przyczyną tego zwyrodnienia uczuć i sprzeniewierzenia się naczelnym ideałom ludzkości?

Wszak wychowani jesteśmy na cywilizacji łacińskiej, którą znamionuje monoteizm i monogamja, a dusza nasza aryjska z natury już

*) *O supremacji zła* — synteza współczesności. (Wydanie drugie). Warszawa, wydane z funduszu kultury narodowej. Str. 158—9.

skłonna jest do samozaparcia i ofiary, a tem samem uzdolniona do wielkiej miłości.

Skądże więc to cofanie się wstecz i ten nawrót do pierwotnego barbarzyństwa?...

„Cała Europa“ — mówi profesor Koneczny — „choruje obecnie na pomieszanie cywilizacyj — oto przyczyna wszystkich, a wszystkich „kryzysów“. Jakże bowiem można zapatrywać się dwojako, trojako, a w Polsce nawet czworako na dobro i zło, na piękno i szpetność, na szkodę i pożytek, na stosunek społeczeństwa i Państwa, Państwa i Kościoła; jakżeż można mieć równocześnie czworaką etykę, czworaką pedagogikę?! Tą drogą popaść można tylko w stan acywilizacyjny, co mieści w sobie niezdolność do kultury czynu. Następnie kręcenie się w kółko, połączone ze wzajemnem zzeraniem się. Oto obraz dzisiejszej Europy!“ *)

Pierwszą i najważniejszą szkołą moralności jest rodzina, wystarczy więc rozbić ją i sponiewierać, a moralność narodu upadnie. Otóż wypróbowanym *taranem do rozbijania rodzin chrześcijańskich okazał się alkoholizm*, który niszczy miłość małżeńską, prowadzi do ruiny materialnej i zatruwa potomstwo.

Gdzie — jak u nas państwo uległo pokusie materialnego zysku i zaprowadziło monopol spirytusowy i tytoniowy, tam powstaje sytuacja paradoksalna: mieszkańcom tego kraju wciska się do rąk truciznę alkoholową w imię patriotyzmu i... obrony kraju (!), a jednocześnie uderza się w dzwon alarmujący, że obywatele kaleczą się wzajemnie na ucztach, zebraniach rodzinnych, chrzcinach i weselach. Czy nie charakteryzuje to naszych stosunków?...

Tu dotarliśmy nareszcie do sedna rzeczy, poruszonej w tym artykule — do *kształcenia uczuć szlachealnych w narodzie przez walkę z alkoholizmem*, który uczucia te niszczy.

Alkoholizm bowiem, o ile pobudza w ludziach zmysłowość, o tyle podkopuje miłość duchową, na której wyrasta rodzina, a człowieka prowadzi do moralnego zwyrodnienia.

Kto przeto walczy z alkoholizmem, ten przyczynia się nie tylko do zdrowia i dobrobytu w kraju, ale jednocześnie pracuje nad podniesieniem moralnej i duchowej kultury, kształci charakter danego narodu.

To też dwadzieścia lat pracy na tem polu Towarzystwa „Trzeźwość“ w Polsce to wielka zasługa zarówno dla Państwa i narodu, jak i dla Kościoła i kultury.

W tej chwili jednak nie idzie mi o szczegółowe podkreślanie tych zasług, ale o nowy, *dalszy etap* w tej pracy.

Nie możemy bowiem poprzestać na tem, co już osiągnięto u nas na polu walki z alkoholizmem, ale musimy sięgnąć po większe zdobycze, musimy dążyć do całkowitego odrodzenia się moralnego narodu przez rozbudzenie w nim tej Wielkiej Miłości duchowej, na której upadek skarży się Grosseck-Korycka.

Do podjęcia w tym celu krucjaty, zdolny jest każdy rodowity Polak, ale przedewszystkiem powołani jesteście do tego my, abstynenci,

*) O wielości cywilizacyj (Kraków 1935). Str. 315.

bo całkowita abstynencja człowieka wynika zwykle z pobudek etycznie społecznych, a nie dla celów osobistych.

Abstynencja jest dobrowolnym aktem wyrzeczenia się alkoholu dla dobra ogółu, boć przecież wypicie kilku kieliszków wina w ciągu roku, na jakie pozwala umiarkowanie, nie może człowieka zrujnować materialnie, ani zaszkodzić mu na zdrowiu.

To społeczno-etyczne stanowisko, na którym obecnie stoimy dzięki abstynencji, uzdalnia nas do dalszych czynów abstynenckich, pozwalając nam sięgnąć po wielką miłość społeczną, której tak bardzo dziś potrzeba. Przykład pierwszego wielkiego abstynenta w Polsce porobiorowej, ks. St. Staszica, stwierdza to wymownie.

Aby więc chcieć tylko, aby pragnąć gorąco Wielkiej Miłości Boga i bliźniego, wszystko jest możliwe chrześcijaninowi, bo Bóg, Dobro najwyższe, jednoczy się z nim wtedy, gdyż sam jest miłością najwyższą i najdoskonalszą.

To też człowieka oceniać należy nie tylko według tego, czem on jest w danej chwili, i czego już zdołał dokonać, ale wedle tego, *do czego on dąży, czego pragnie, czem chce być w przyszłości*. O wartości człowieka świadczy ideał, który mu przyświeca i cel, do którego dąży.

Jeżeli szuka on przede wszystkim dobra publicznego i służy sprawie społecznej, jest prawdziwym żołnierzem Chrystusowym, który może sięgnąć po buławę hetmańską, byle umiał wyrzec się kariery osobistej.

I oto dochodzimy do konkluzji. W tej chwili jubileuszowe musimy się dźwignąć wzwyż! Musimy sięgnąć po wielką miłość Boga i Ojczyzny, miłość społeczną, czynną i ofiarną. Musimy się zdobyć na wielkie serca, które żyją na to, aby tym, którzy po nich przyjdą, było lepiej w Ojczyźnie. Na tem polega abstynencka kultura serca.

Daj nam ją, Boże!

Lwów.

Ks. Dr. Jan Ciemniewski.

SILNI, ZWARCI, GOTOWI!

„Jesteśmy silni, zwarci, gotowi!“ Hasło to jest dziś na ustach każdego Polaka.

Dzieci, młodzież, dorośli, starsi i starzy, kobiety i mężczyźni, wszyscy powtarzają te słowa i wszyscy chcą być silnymi, zwartymi i gotowymi.

Jesteśmy silni duchem, silni uzbrojeniem armji, silni wolą zwycięstwa i wiarą w prawość i powodzenie naszej sprawy, wiarą w nasz Rząd, w naszą Armję, w naszego Wodza.

Przecież cudzego nie chcemy, ale swego nie damy.

Jesteśmy zwarci, złączeni, spojeni; stanowimy jedność siły, woli, wysiłku i działania, gdyż wiemy, że zwartość potęguje naszą siłę i robi ją niezwyciężoną.

Jesteśmy gotowi dla Ojczyzny na największe poświęcenie, gotowi oddać swoje mienie, swoją wolę, swoją krew i swoje życie.

Jest to obecnie w Polsce objaw powszechny i szczery.

Potrzeba nam siły, aby pracować dla Ojczyzny, tak by, według słów Marszałka Śmigłego-Rydza: „aż w krzyżach trzeszczało“.

Potrzeba nam zwartości ponad partje i stronnictwa.

Jedna jest dziś partja — Ojczyzna i jedno stronnictwo — Polska.

Potrzeba nam gotowości służenia Państwu wiernie, gorliwego spełniania swych obowiązków, aby na zew Naczelnego Wodza — chwycić mocno za broń i bronić granic Państwa, całości i honoru Ojczyzny. Jesteśmy silni, zvarci i gotowi!

*

Uprzytomnijmy jednak sobie, że w Polsce ginie rocznie od wypadków 1.000 ludzi, powiększając grono wdów i sierot, 20.000 ludzi ulega ciężkiemu okaleczeniu, powiększając kadry inwalidów, a 100.000 osób ulega lżejszemu okaleczeniu, że straty z powodu wypadków wynoszą u nas rocznie przeszło 250 milionów złotych, że 83% wypadków powstaje z winy człowieka-robotnika, na skutek jego wad osobistych, powstałych przeważnie wskutek używania alkoholu.

Czy możemy na to sobie obecnie pozwolić? Czy stać nas na to? Oczywiście nie.

Każda jednostka ma wielką wartość. Musimy siłę, zwartość, gotowość doprowadzić do największego napięcia do szczytu wielkości. Nie powinno być u nas wypadków w przemyśle, w komunikacji — nigdzie, gdyż wypadki powodują stratę w ludziach i stratę w gotówce.

Alkohol powoduje wypadki, alkohol degeneruje rasę, zwyrodnia człowieka, robi go aspołecznym, niezdolnym do pracy i do obrony Państwa, ujemnie wpływa na potomstwo.

Precz z alkoholem, jako napojem! To musi być drugie nasze hasło!

Przecież w roku bieżącym nad tygodniem trzeźwości odbywającym się w całej Polsce pod hasłem: „Trzeźwość Obywateli podstawą obronności Państwa“ objęli protektorat:

Pan Marszałek Śmigły-Rydz i Jego Eminencja Kardynał Prymas Hlond.

Czyż to nie jest wskazówką i nakazem dla nas Polaków, jak mamy ustosunkować się do sprawy alkoholizmu?

Precz z używaniem alkoholu jako napoju.

Alkohol ma wielkie zastosowanie, jako siła popędowa, oraz w przemyśle chemicznym i potrzeba nam tego produktu bardzo dużo.

Więc nie ma obawy, że w razie zaprzestania używania alkoholu do picia, alkohol będzie marnować się bezużytecznie, że Państwo będzie miało z tego powodu straty. Musimy zwiększyć produkcję alkoholu kilkakrotnie, a jeszcze nie będziemy mieli tego artykułu za dużo.

Zwiększajmy produkcję alkoholu dla celów przemysłowych, ale przestańmy pić alkohol, a będziemy działać trzeźwo, sprawnie, bez wypadków.

Bądźmy trzeźwi, a przeto tem bardziej Silni, Zvarci, Gotowi!

Konstanty Kryśko.

Radom, dnia 30 kwietnia 1939 r.

ARTYZM I MEDYCYNĄ.

„Praca lekarza wymaga od jednostki doskonałego rozwoju osobowości, a zarazem całkowitego jej wydatkowania, a więc jest zawodem, w którym się ujawnia pełnia wartości Człowieka“.

Paul Valery.

Powyższe słowa wypowiedział Paul Valery na inauguracyjnym posiedzeniu Kongresu Chirurgów w Paryżu, któremu przewodniczył dnia 18 października 1938 r. Paul Valery, to jeden z największych współczesnych poetów i myślicieli, uasabiający szczyty ducha francuskiego i wirtuozostwa słowa.

A więc poeta, filozof przewodniczy, otwiera i wygłasza przemówienia na Kongresie Chirurgów. Na fakt ten złożył się cały szereg czynników umysłowości francuskiej, nad którymi nie będziemy się tu zastanawiać, ale podkreślić pragną zasadnicze tło, z którego ten fakt powstał, jako naturalny i konsekwentny jego wynik.

Oto bowiem istnieje pewne duchowe podobieństwo pomiędzy psychiką artysty, a psychiką lekarza-artysty. Jest to, rzecz prosta, niesłychanie szerokie ujęcie zakresu owych analogii psychicznych, pamiętając jednocześnie zawsze i o tem, że nie każdy piszący wiersze jest poetą, jak i nie każdy lekarz jest artystą. Postaram się o sprecyzowanie pewnych zasadniczych punktów styecznych między zawodem artysty, a zawodem lekarza, a przez to samo między psychiką artysty, a psychiką lekarza.

Analogja ta polega na tem, że zarówno artysta, jak i doktor mają jako ośrodek, jako podstawę swej działalności C z ł o w i e k a. Sztuka i medycyna są par excellence domeną Człowieka, jego życia psychicznego i fizycznego.

Jakąkolwiek będziemy nadawać definicję sztuce, jakkolwiek określimy jej cele i zadania, zawsze będą one dotyczyły i obejmowały swym zasięgiem istotę ludzką. Tak samo rzecz się ma z medycyną: *człowiek ją uprawia dla człowieka*. Zachodzi tu niesłychanie bliska bezpośredniość, całkowite zazębenie wszystkich władz lekarza z organizmem chorego, a więc kontaktują się dwie jednostki ożywione jednym pragnieniem: uleczenia i wyleczenia się. Artysta w swem dziele sztuki emanuje całe bogactwo swej psychiki, lekarz, lecząc, wydatkownie również wszystkie swe siły umysłowe, moralne i fachowe, by stworzyć *zdrowie* na miejscu choroby, a więc wartość dodatnią, pewne dzieło reprezentujące jego zdolności. Materjałem, z którego tworzy poeta, jest — słowo; materjałem malarza — płótno i farby; muzyka — tony i dźwięki, a lekarz tworzy w tak bardzo skomplikowanym materjale, jakim jest organizm ludzki, również pewne cudowne dzieła, jeżeli np. weźmiemy chirurga i uświadomimy sobie, czego on dokonuje subtelniemi dłońmi artysty, o których tak pięknie mówi artysta słowa Paul Valery.

Medycyna jest sztuką, w której poczucie odpowiedzialności łączy

się z drugą dziedziną wspólną artystom i lekarzom-artystom. Jest nią — p o w o ł a n i e, ów głos wewnętrzny, który mu każe zostać lekarzem, tak jak poecie każe pisać, muzykowi grać, malarzowi malować i t. d. Hipokrates, wyliczając kardynalne cnoty zawodu lekarskiego, na piątym miejscu postawił: *posłannictwo*. Czy słusznie? Czy nie ono powinno stać na naczelnem miejscu, bo kto je czuje w sobie, to z łatwością zdobędzie mądrość, męstwo, zapał i poświęcenie? Te cztery cnoty wypłyną z tej pierwszej, z którą trzeba przyjść na świat, z tej iskry bożej, decydującej o tem, kim jesteśmy.

Lekarz bez powołania, tak jak i artysta bez talentu, jest plagą i utrapieniem dla innych i dla siebie. Artysta tworzy dzieło sztuki, a czyż lekarz, stawiając ddiagnozę właściwą jakiegoś bardzo skomplikowanego schorzenia nie czyni tego samego. Na podstawie danych faktów, mocą swej wiedzy i intuicji tworzy konstrukcję choroby, tworzy jej zewnętrzny, oderwany całokształt, umożliwiający proces leczenia. Po za opanowaniem nauki medycznej, potrzebny jest indywidualny dar takiego scalenia wszystkich objawów, by powstała architektonika danej choroby, synteza chorego organizmu, wprowadzona wiedzą lekarza i jego intuicją. To samo obserwujemy w dziele sztuki: materiał twórczy, technika operowania nim i natchnienie, czy intuicja, lub iskra boża, jak to sobie kto chce nazwać, a istota i treść ta sama.

A teraz jeszcze jedno spojrzenie na sztukę i medycynę. Czem jest sztuka dla człowieka i czem on byłby, gdyby nie było wogóle sztuki. To samo pytanie postawmy i do sztuki lekarskiej. Nie mamy takiego okresu w historii ludzkości, w którym nie byłoby sztuki, odpowiadającej danemu poziomowi rozwojowemu, tak samo i sztuka leczenia w swej pierwotnej, prymitywnej formie sięga również zarania istnienia ludzkości. Sztuka wpływała z najistotniejszych potrzeb i służyła *ż y c i u*, pobudzając artystów do tworzenia, a szeroką, przeciętną masę ludzką do odczuwania wzruszeń i emocji piękna, dających siłę i umiejętność doskonalszego życia. Medycyna w swoim zakresie czyniła to samo, przyczyniała się do tego, by człowiek mógł jaknajdłużej zachować pełnię władz, pozwalających cieszyć się i radować życiem. Sztuka i medycyna od początku istnienia człowieka na kuli ziemskiej podały sobie ręce, by wspólnie uintensywniać życie przez odbudowywanie, odradzanie psycho-fizycznej struktury człowieka, którą on zużywa i psuje!

Artysta i lekarz we wspólnym wysiłku wynoszą *ż y c i e* na coraz wyższy szczebel rozwojowy, otwierają przed człowiekiem coraz szersze możliwości ogarniania, dysponowania i władania siłami, tkwiącymi w jego głębi. Sztuka i medycyna leczą człowieka, uskrzydłają go, dopomagają jego wrodzonym zdolnościom. wyjścia po za granice, którychby bez współudziału tych dwu potęg nigdy nie przekroczył.

Na świętość powołania stanu lekarskiego zwracał uwagę świat starożytny, ale leży to już w charakterze ludzkim, że dawno stwierdzone fakty lubimy mierzyć kategorjami współczesnego odczuwania i współczesnego myślenia — musimy sami wyczuć pulsowanie prawdy wiecznie żywej, którą nam mędrcy przekazali, o ile nie ma ona pójść do lamusa z bardzo szacownemi, lecz już nikomu na nic nie zdadnemi „starociami“.

Nie poruszam tu zupełnie tak bardzo namiętnie dyskutowanego zagadnienia, czy medycyna jest sztuką, czy wiedzą; chodziło mi o nakreślenie w wielkim skrócie pewnych linii wspólnych między artystą a lekarzem, względnie między artystem i medycyną, co przyczynić się może w pewnym stopniu do wyrobienia harmonijnego ujmowania zjawisk życiowych, pod kątem pogłębienia własnego światopoglądu i własnej linii życiowej. Zwłaszcza w obliczu szalejącego niebezpieczeństwa niszczycielskiego huraganu wojennego, który zawisł nad ludzkością i grozi lada chwila straszliwym uderzeniem — dobrze jest stowarzyszyć się myślą i uczuciem z temi dwoma potęgami — Sztuką i Medycyną, które człowiek stworzył nie w celu zagłady bliźniego swego, lecz dla afirmacji najszlachetniejszych pierwiastków Ducha, by służyć idei Dobra na ziemi.

*

*

*

Ostatnie miesiące przyniosły nam kilka autobiografji lekarzy, i właśnie niemi pragnę się zająć, zanim przejdę do omówienia niezwykle ciekawych i cennych „Pamiętników Lekarzy“, wydanych przez Zakład Ubezpieczeń Społecznych. Autobiografje te stanowią bardzo ciekawy zespół wysiłku literackiego, ujawniający przekrój indywidualnego życia lekarzy. Książkami temi będę się również posługiwać w celu dalszego rozwijania stale poruszanych przezemnie zagadnień, bo one właśnie treścią swą doskonale potwierdzają, stawiane w „Trzeźwości“, pewne ideologiczne założenia, które nadają wartość zasadniczą, podstawową życiu jednostki. Przekonamy się, że z każdego życiorysu będą się wyłaniać wspólne nastawienia, tendencje, prawdy psychologiczne, nabierające wagi zasad, dogmatów, tętających żywą treścią, promieniującą z psychiki ludzkiej i z samych procesów życia, toczącego się w danych ramach społeczno-państwowych. Z rozważań tych, zobaczymy, że zagadnienie walki z alkoholizmem, — mimo, że może nawet nie być o niem bezpośrednio mowy, — jest czynnikiem warunkującym rozwój i potęgę tego wszystkiego, co nam serce i rozum każe uznać za wielkie i piękne, a co krótko postaram się z tych prac szanownym czytelnikom podać, aby przedewszystkiem zachęcić do ich przeczytania. I to jest właśnie główny cel mego pisania, aby czytelników naszego pisma zniewolić do zapoznania się z omawianemi książkami, aby ich przekonać, że czytanie, to nie zwyczajowe pobieżne przerzucanie rozreklamowanych powieści, nie bierne polykanie tomów dla zabicia czasu, czy nudy, czy szukania rozrywki, lecz czynne, twórcze przeżywanie i przemyślanie tego, co się czyta. Niema może nic bardziej przeciwnego idei doskonałego czytelnictwa, jak owo bezkrytyczne, pasywne okarmianie się lekturą, obarczającą pamięć tylko, pewną sumą niepotrzebnych wiadomości. Zasadniczą rzeczą jest, by człowiek mógł na terenie czytanej książki rozwinać swój własny krytyczny, czy entuzjastyczny stosunek do niej, w którym brałaby udział cała jego istota duchowa, w którym jego myśli znajdowałyby motor ruchu samodzielnego, a życie uczuciowe bodziec do przeżyć zachwyty, lub protestu. Jednem słowem książka, musi budzić w czytelniku życie psychiczne i właśnie te, do omawiania których za chwilę przystąpię, nie będą chyba miały,

ani „niemych“, ani „głuchych“ słuchaczy. One krzyczą, łzy wyciskają; łzy bólu, że jest tyle niedoli i łzy szczęścia, że wśród niej znaleźli się lekarze, którzy strudżonym i ukrzywdużonym dali coś, co mieli najcenniejszego: *Serce, Wiedzę i Artyzm*.

*

*

*

Autor książki pod tyt.: „Jak zostałem chirurgiem“*), Georges Sawa jest Rosjaninem, synem arystokratycznej rodziny. Przewrót bolszewicki zupełnie zniszczył całą jego sytuację życiową. Jako 17-letni porucznik wojsk białych brał udział w bratobójczych walkach pod Astrachaniem i wyniósł z tej krwawej rzezi dwa jasno skryształizowane poglądy, które stały się podstawą jego życia: Oto one: „Destrukcyjna potęga wojny i rewolucji wpoiliła mi przekonanie, że jest rzeczą konieczną i zaszczytną zarabiać własną pracą na życie“. 2. „Mogę ratować tysiące ludzi, nie będę więcej zabijać“. „Postanowiłem, że zostanę tym, który przychodzi dzisiaj z pomocą biednym i cierpiącym: postanowiłem zostać lekarzem“.

I oto owo postanowienie, powzięte przy konającym, śmiertelnie rannym przyjacielu, okazało się głosem jego natury, powołaniem przemożnym, które dało mu siły przewyciężyć wszystkie przeszkody, złamać nieprawdopodobne przeciwności, zniszczyć wszystko, co zdawało się jest nie do zniszczenia i obalenia. Podziwiamy jego szaloną wytrwałość, nieugiętą wolę skończenia medycyny i zostania lekarzem. Historia jego życia, to wielkie bohaterstwo, podsycane i utrzymywane ciągle przez głos owego wewnętrznego powołania, które raz w całej pełni uświadomione, staje się nieustającą podniętą do upartego, krok za krokiem posuwania się ku jednemu celowi. Powołanie, czyli jasnowidzenie własnej drogi życiowej, owa nieodwołalna linja rozwoju, która się u szczęśliwych wybrańców losu zarysowuje dość wcześniej i dość silnie, by mogli iść po niej wytrwale i nieustępliwie — czyni z Sawy nie tylko lekarza-artystę, ale i człowieka pełnego, to znaczy opanowanego i ofiarne.

Czytamy z zapartym tchem opisy etapów podróży z pod Astrachania do Sofji. Z Sofji do Paryża, nie mając pieniędzy na bilet, jedzie 12 dni bądź na buforach ostatniego wagonu, bądź na dachach. Jest to coś tak niesamowitego w swej grozie, że jeżeli tylko zechcemy się wpatrzeć w przyczajoną — do takiego potwora-pociągu mknącego wśród ciemności nocy w dal — sylwetkę osmolonego, pokrwawionego, obszarpanego strzępu ludzkiego, w którym płonie tylko *wola* przeogromna i przełamuje wszystko i zdobywa cel, — to ogarnie nas uczucie pokory wobec wielkości siły charakteru, będącej ponad materją, ponad ciałem. Wiele kawałków z tej książki, świadczących o tego rodzaju bohaterstwie, powinno się znaleźć w czytankach dla starszych dzieci. Należy rozpłomieniać im dusze również i tem wszystkim, co jest heroiczne w zakresie świata psychicznego, co nie potrzebuje scenerji krwawych walk

*) Georges Sawa: „Jak zostałem chirurgiem“. Warszawa. Rój. 1939 r. Str.

z wrogiem zewnętrznym, lub dzikim zwierzem. Poczucie samoobrony wobec każdego najeźdźcy, czyhającego na naszą ziemię i naszą niepodległość jest wrodzone i silne w każdym z nas, ono w chwili istotnego niebezpieczeństwa zapewni państwu nietykalność granic. To są uczucia tak wspólne całemu społeczeństwu i tak zasadnicze jego strukturze, że można, a nawet trzeba więcej czasu poświęcić apoteozie bohaterstwa pokojowego i codziennego, bohaterstwa mającego swe źródło w umiłowaniu wartości, służących dobru, sprawiedliwości, moralności, a więc k u l t u r z e życia, jego afirmacji w tem, co piękne i szlachetne. Sawa zdążyła do Paryża po wiedzę z całą świadomością wewnętrznej potrzeby zdobycia sposobów leczenia i naprawiania krzywd, wyrządzanych ludziom cierpiącym. On się również sposobi do wojny, którą prowadzić będzie całe życie, ale ona w skutkach swych pozostawi uzdrowienie, ulgę, wyzwolenie.

Sawa lata całe pracował jako kelner, palacz, chłopiec do posług, aby tylko zdobyć nieco pieniędzy na niezbędne wydatki i na opłacenie uniwersytetu. Całemu temu niemal nadludzkiemu wysiłkowi towarzyszył wewnętrzny, kategoryczny nakaz nie ustawiania w pracy, nie upadania na duchu, towarzyszyło przeświadczenie, że nie wolno skapitulować, bo kapitulacja to zguba, to śmierć gorsza od tej, która zagłędała mu w oczy podczas jazdy na dachach przez długie górskie tunele.

W Sofji jako palacz w szpitalu rzucał „łopatą węgiel do paleniska od 8-mej rano do 10-tej wieczór za 2 szyllingi dziennie“. Po nocach w kostnicy szpitalnej i w sali sekcyjnej pracował na trupach, wyzyskanych już przez profesora i studentów, a z kupionych podręczników anatomji i fizjologii studjował dokładnie to, co widział na pokazach demonstrowanych przez profesorów podczas wykładów, na które miewał wolny wstęp jako pracownik fizyczny, a więc nikt nie zwracał nań specjalnej uwagi.

Pisze, że „praca w szpitalach trwała osiem do dziesięciu godzin; potem od szóstej po południu do drugiej nad ranem paradowałem w kelnerskim fraku i jeszcze co najmniej przez dwie dobre godziny czytałem, przygotowując się do porannych wykładów. Przez noce całe nie spałem więcej niż trzy do czterech godzin na dobę. Ponadto, martwiły mnie ciągłe bóle brzucha; tak jednak bałem się utracić choćby godzinę mojej emocjonującej pracy, że zamiast właściwego leczenia, karmiłem się ustawicznie bizmutem i aspiryną. Podtrzymywałem się myślą, że po egzaminach będę mógł zająć się tą dolegliwością i że jedyną ważną rzeczą w tej chwili jest otrzymanie dyplomu; jeżeli to osiągnę — nawet śmierć potem nie ma znaczenia“.

Powyższy obrazek jest z lat studenckiego biedowania we Florencji, gdzie się równocześnie krystalizować w nim poczyna wizerunek lekarza wzorowego: „Rzeczą zasadniczą w codziennej pracy jest zdobycie zaufania pacjenta“. „Zdolność natychmiastowej decyzji, zręczność i szybkość wykonania — są zazwyczaj tym właśnie czynnikiem, który decyduje o życiu i śmierci w tej gałęzi medycyny (chirurgja)“. Profesor Tanzi tak mówił do swego wyjątkowego ucznia: „Podstawą naszej pracy jest cierpliwość, cierpliwość i jeszcze raz cierpliwość! Jeśli pozwoli Pan opanować się rozdrażnieniu na widok tych licznych okropności, z którymi się Pan styka, będzie Pan szkodził pacjentowi

i samemu sobie. Nawet tak zwane poczucie humoru jest niebezpieczne w naszym zawodzie". A Sawa pisze, że „poczucie humoru okazało się dla mnie jeszcze trudniejsze do pokonania niż rozdrażnienie. Pomógł mi jednak przykład profesora i obycie, płynące z doświadczenia. To stało nakładaniem hamulca na rozmaite reakcje uczuciowe stało mi się wielką pomocą w latach późniejszych, kiedy nie byłem już niczym pomocnikiem, lecz musiałem działać na własną odpowiedzialność“.

Tu w tem krótkim zdaniu zawarta jest wielka mądrość i wielka sztuka zawodu lekarskiego. Umiejętność panowania nad sobą, umiejętność nałożenia swemu życiu uczuciowemu i wrażeńiowemu pewnych więzów, pewnych hamulców w ujawnianiu zachodzących procesów, są niezbędne dla lekarza, który z konieczności swego fachu powinien panować nad istotą, potrzebującą od niego pomocy. Takt, spokój, harmonja, przy jednoczesnem bystrem, wrażliwem i czującym spostrzeżaniu wszystkiego, co wchodzi w zakres osoby chorej, są podstawowymi warunkami prawdziwie twórczej i pozytywnej pracy lekarza. Są to cechy charakteru, które wraz z nabywaną wiedzą musi on w sobie wypracować. Osiągnięcie wielkiej sztuki władania sobą jest pierwszym krokiem do władania drugim człowiekiem, przychodzącym do lekarza po pomoc w poczuciu swej niemocy, i spodziewającym się otrzymać jakąś najbardziej mu w danej chwili potrzebną radę, jakieś rozjaśnienie mroku cierpienia, które go nawiedziły.

Skorośmy we wstępie poruszyli sprawę analogji między psychiką artysty i psychiką lekarza, to teraz musimy zaznaczyć, że w tym punkcie rozchodzą się linje styczne między przedstawicielami sztuki i medycyny. Artyści najwspanialsze swe dzieła tworzą w stanach wielkiego bólu, męki, lub też szczęścia, radości, ale zawsze będą to stany silnego, żywołowego napięcia emocjonalnego, dynamicznie szukającego wyrazu i ujścia w twórczości. Inne bowiem prawa rządzą światem martwego tworzywa, jakim jest sam przez się ton, słowo, czy farba, a inne duszą ludzką. Instrument, na którym gra artysta, jest całkowicie mu posłuszny, a dusza i ciało chorego, na których ma lekarz próbować swych sił, to skomplikowany, samodzielny, trudny do rozpoznania organizm, wymykający się zręcznie a nieufnie, wrażliwy, trwożliwy, a jednocześnie hardy i nieposkromiony, puszający się i nadrabiający miną, a w rzeczywistości najczęściej jakże biedny, skołatany, nieśmiały i żądny pociechy najtkliwszej. Człowiek chory idzie do lekarza przede wszystkim po owo jedyne, potrzebne sobie w danym momencie *słowo*, które uczyni, że proces leczenia stanie się ich wspólną sprawą, skierowaną na najlepszą drogę. Od tego, czy lekarz znajdzie owo „magiczne“ słowo, które może nawet nie być wypowiedziane, lecz musi koniecznie musnąć pacjenta kojącem tchnieniem wiary, że będzie lepiej, że już jest lepiej — zależeć będą losy zawartego stosunku. Bo pomiędzy chorym a lekarzem, tak jak pomiędzy człowiekiem a tą sztuką, dla której ma on specjalne zrozumienie, wyrasta więź wspólnego celu, wspólnego poszukiwania nowej rzeczywistości, uasabiającej wspólnie dokonany wysiłek, aby zniszczyć zło-chorobę, gnieźdzącą się w organizmie. Słowo takie cudotwórcze, więź taką pożądaną może dać lekarz, który uasabia spokój, opanowanie, a promienieje łagodnością, serdeczną wyrozumiałością i troskliwością.

Są to wszystko myśli powstające na marginesie książki Sawy. Teraz jeszcze nieco o nim samym. Bardzo pięknie pisze Sawa o swych profesorach chirurgach włoskich, u których pracował i którzy urabiali młodziutkiego, a tak niezwykle wartościowego studenta. Doskonale potrafił on oddać istotę wpływu, jaki profesor może mieć na młodzież, korzystającą nie tylko z wiedzy fachowej specjalisty, lecz i kształtującą całe swe nastawienie tak do medycyny, jak i do chorego według wzoru, który w ciągu długiego czasu ma przed sobą. Profesor przekazuje w ten sposób swoje metody pracy i wieloletnie doświadczenie, przygotowuje następców pewnego kierunku, który sam stwarza, lub reprezentuje. Stosunek studenta do profesora i odwrotnie staje się dla jednego i drugiego niezmiernie cennym czynnikiem dodatniego, pozytywnego dopingu w pracy. Błysk zachwytu w oczach ucznia dla profesora, wykonującego genialnie jakąś wysoce skomplikowaną operację, jest dla niego najcenniejszą nagrodą i zadośćuczynieniem za wysiłek całego życia. Tak samo pochwała z ust profesora, ujęta nieraz w formę tak dyskretną, że jest zrozumiałą tylko dla nich dwóch, ileż zachęty i radości może mieścić w sobie, tak zniewalającej do dalszej pracy! We wzajemnym stosunku profesora i studenta realizuje się bezpośrednio, żywy kontakt jednego pokolenia z drugim w dziedzinie wiedzy, czy sztuki — wytwarza się ciągłość kultury, idealne wcielenie mijających lat pracy w teraźniejszości, oraz śmiały jej rzut w daleką przyszłość.

W tej niezmiernie interesującej książce jest jeszcze jeden moment, na który chcę zwrócić uwagę. Każdy czyn dobry, to znaczy spełniony, jako wyraz pomocy bliźniemu, znajduje czasem oddźwięk zupełnie niespodziewany, na marginesie niejako właściwego terenu, na którym został spełniony. Potrąca wpływem swym ludzi, stojących obok, zaczyna żyć on w nich w postaci reakcji odczutej z jego powodu. Lekarz i pielęgniarka w angielskim szpitalu w Konstantynopolu, którzy zajęli się serdecznie i troskliwie biednym turkiem Harsanem i okazali mu pomoc, jakiej nikt nie chciał udzielić — w psychice Sawy — obserwującego ten ich dobry *czyn* — wywołali tak wstrząsające wrażenie *dobrocią*, promieniującą z ich stosunku do nędzarza, że przeżycie to zostawiło decydujący wpływ na przyszłe jego losy.

„Człowiek, który godzinę temu był wynędzniałym włóczęgą, stał się jak gdyby nową, szczęśliwą istotą dzięki mało efektownej, ale prawdziwej dobroci angielskiego lekarza. Kiedy tak stałem, patrząc zamysłonym wzrokiem na przechodzący tłum, zastanawiałem się nad zewnętrznyim chłodem Anglików — i zrozumiałem, że jest to tylko chęć niezakłócania sobie i innym spokoju.

„Widziałem już w Enzeli, ile Anglicy potrafili dla nas zrobić bez żadnego gadania; tu, w Konstantynopolu, doświadczyłem znowu ich cichej sprawności, połączonej z taktem i dobrocią; ale incydent w szpitalu miał decydujący wpływ na moje życie.

„Byłem niby łupina, unosząca się na falach oceanu, byłem samotnym nędzarzem, nie mającym ojczyzny. Doświadczyłem już nieraz, co to znaczyło. Należałem do powojennych Parjasów, do tych, którzy przegrali. Ale od tej chwili nie myślałem o tem, żeby zmienić swoją narodowość.

„Teraz w jednej chwili powróciła moja wiara w ludzkość. Czysty i sprawny szpital, dobroć personelu, samarytański postępek lekarza...

Widziałem wyraźnie swoją drogę przed sobą: będę studjował w Anglii i zostanę Anglikiem“.

Istotnem tu jest to, że *dobroć* czynna stała się podstawą całej jego pracy życiowej. Z medycyny uczynił sposób służenia cierpiącym.

Przyglądając się ogromowi ludzkiego cierpienia, wyrobił sobie Dr. Sawa zdecydowany pogląd na rolę Państwa współczesnego w zakresie zwalczania nędzy i ratowania zdrowia obywateli.

„Uważam, że jest obowiązkiem państwa dbać o życie i zdrowie biedaków, zwłaszcza o życie kobiet i dzieci. Wszyscy myślący ludzie zgodzą się, że jest to co najmniej tak samo ważne, jak zabezpieczenie państwa od napaści ze strony jakichś wojowniczych narodów. To ostatnie jest w każdym razie złem, którego rozmiary zmniejszać się będą z biegiem czasu; można więc chyba spodziewać się, że mała przynajmniej część owych miliardów, wydawanych obecnie na cele destrukcyjne, użyta będzie dla zmniejszenia cierpień niewinnych istot ludzkich.

„Pomoc państwa może tu iść rozmaitemi drogami. Skale podatku dochodowego mogą i powinny przewidywać zniżki dla posiadających dzieci, większe od obecnie istniejących, tak, aby sfery pracownicze i t. zw. klasy średnie nie odczuwały nowego dziecka, jako powiększenia ciężaru finansowego, Biedniejsze warstwy ludności muszą otrzymywać pomoc bardziej bezpośrednią, która nie może mieć charakteru dobroczynności, lecz obowiązkowej pomocy ze strony państwa“.

„My, którzy widzimy całą głębię nędzy i cierpienia, jak gdyby od w e w n ą t r z — wiemy, jak okrutne są rezultaty istniejącego stanu rzeczy. Próbujemy przesłonić istniejącą hańbę i zło s ł o w a m i; musimy jednak zrozumieć, że konieczne są tutaj *czyny*.

„Może w rezultacie poprawy atmosfery międzynarodowej narody cywilizowane będą mogły wkrótce twierdzić z dumą, że wydają na ratowanie życia ludzkiego tyleż, co na zabijanie ludzi. Gdy to nastąpi, będziemy już na dobrej drodze do osiągnięcia powszechnego pokoju“.

Jakiż był stosunek Sawy do alkoholizmu? Rozumiał doskonale, jaką klęską jest pijaństwo, które tak niszczyło pewną część jego rodaków emigrantów w Paryżu.

Przyjechawszy do tego miasta, pisze, że „dnie upływały smutno i szaro — noce jednak stały się dla mnie torturą (we wspólnym schronisku), gdyż moi biedni, bezdomni rodacy starali się zapomnieć o swoich troskach przy pomocy taniej wódki i okropnego nieoczyszczonego spirytusu. Kiedy alkohol dawał im zapomnienie i iluzoryczną ulgę, urządzali bójki i hałasy; w ten sposób wyładowywali swą depresję. Uderzyła mnie pewność, z jaką oni wszyscy mówili o powrocie do Rosji, do dawnego dostatku i dobrobytu, co miało według nich nastąpić najdalej za kilka miesięcy. Nie mogli pojąć, że majątki i dostatki nie wrócą do nich nigdy“.

Pisząc o pracy swej kelnerskiej (we Florencji), konstatuje, „że zawód kelnera polega głównie na ciężkiej pracy, którą często czyni jeszcze przykrzejszą zły humor gości. Najcięższą funkcją, jaką spełniałem w czasie pracy w „Aquila d'Oro“, było usługiwanie dwa razy na tydzień w barze po obiedzie. Goście składali się przeważnie z młodych

ludzi, i wkrótce doszedłem do przekonania, że amerykański zwyczaj chodzenia do baru wywarł bardzo zły wpływ na trzeźwych zwykle Włochów. Z chwilą, kiedy zaczęli pić cocktaile, ci młodzi ludzie nie umieli przeważnie zatrzymać się w porę. W rezultacie rzadko udawało nam się skłonić ich do opuszczenia lokalu o godzinie, kiedy bar oficjalnie się zamyka, t. j. o drugiej w nocy; poza tem trunki źle na nich działały. Nasi kelnerzy byli często traktowani brutalnie, a ja unikałem przykrości tylko przez obracanie wszystkiego w żart, tego mnie nauczono w Paryżu. Byłem też nieco wyższy i bardziej postawny od moich kolegów, i jest rzeczą prawdopodobną, że widok moich dużych dłoni utrzymywał awanturniczych gości w pewnych granicach.

„Pewnej nocy miałem do czynienia ze szczególnie hałaśliwą kompanją. Wypili już o wiele więcej niż należało, kiedy zakomunikowałem im o drugiej, że zamykamy. Bardzo ładna dziewczyna w wieczorowej sukni, będąca duszą całego towarzystwa, zamówiła trzy duże butelki likierów, i kiedy je podałem — zaczęła przyrządzać coctails.

„Brawo, Marja, krzyczeli chórem jej towarzysze. Trudno mi było protestować, gdyż właściciel byłby wściekły za przeszkadzanie tak dobrym gościom.

„O wpół do trzeciej przypomniałem im znowu o godzinie zamknięcia, a o trzeciej poprosiłem, żeby mieli trochę względów dla mnie, dodając, że muszę wstać przed siódmą, żeby podać do śniadania. Część towarzystwa wstała wówczas z miejsc, ale dziewczyna, którą nazywali Marją, gwałtownie zaprotestowała.

„Nie! krzyknęła, zbliżając się do mnie. Nie pójdziemy! Pan jest tutaj tylko kelnerem, płacimy Panu za Pana pracę i musi Pan nas obsługiwać!“

„Wracając na swoje miejsce, złościca odwróciła się jeszcze do mnie i dodała: „I teraz nie pójdziemy aż do 6-ej rano, specjalnie żeby Pana nauczyć wychowania!“ Było rzeczą widoczną, że alkohol uderzył jej do głowy i, że jeżeli nie chcą używać siły, ani zawołać policji — pozostaje mi tylko znosić wszystko z zaciśniętymi zębami.

„W końcu zdołałem przedrzemać parę godzin, siedząc na swojej niewygodnej barjerze za barem; kiedy towarzystwo wyszło o wpół do siódmej rano, miałem tylko czas umyć się i ogolić przed przystąpieniem do swoich rannych funkcji przy śniadaniu.

„Było to na dwa tygodnie mniej więcej przed egzaminami, kiedy bardzo dużo pracowałem, chcąc koniecznie zdać z odznaczeniem; zmarnowane godziny snu tem bardziej mnie irytowały. Kiedy jednak nadszedł dzień egzaminu, czułem się zupełnie dobrze przygotowany; pracowałem bardzo usilnie zarówno nad teorią, jak i nad praktyką“.

Sawa zdawał sobie wybornie sprawę, czem jest pijaństwo, ale zagadnienia alkoholizmu nie znał i nie rozumiał społecznego znaczenia, jakie ono ma. Jego życie wolne było od tego nałogu (rzadkie i towarzyskie używanie alkoholu nie wywierało na niego wlywu), a atmosfera psychiczna, która go otaczała, odgrodziła go całkowicie od możliwości szukania w kieliszku jakichkolwiek sensacji.

Zdobywa to, czego pragnął tak potężnie: zostaje doktorem-chirurgiem. Paryż — Florencja — Rzym — wreszcie stanowisko starszego ordynatora na oddziale chirurgicznym w Berlinie doprowadza go do

osiągnięcia zamierzonego celu: osiedlenia się w Anglii i na tem miejscu urywa się pamiętnik. Jest on przepojony najszlachetniejszym heroizmem, polegającym na tytanicznym wysiłku woli skierowanej ku jednemu celowi, będącym jego przeznaczeniem. Książkę tą możnaby również nazwać: „Jak zrealizowałem przeznaczenie?“ — Dużo, bardzo dużo dobrego dla siebie znajduje czytelnik każdy — bo każdy z nas ma coś do spełnienia „swego własnego“ w życiu, a ona właśnie może dodać sił do tego, zapału i mądrości.

*

*

*

Wśród różnorodnych zjawisk życia istnieje jedno, które chyba wszystkich jednakowo zachwyca i czaruje. Jest nim: młodość. Kryje ona w sobie niewysłowiony urok świeżości, zapowiadającej realizację osiągnięć z dziedzin będących dla nas najcenniejszymi przejawami dobra i piękna.

Książkę tryskającą żywiołem młodości jest „Pamiętnik Lekarki“ *) Dr. Z. Deltę. Jeżeliby się chciało w jednym słowie zawrzeć zasadniczy ton psychiki d-ra Sawy, to sądzę, że użylibyśmy słowa: bohaterstwo. Mówiąc o dominującej atmosferze książki dr. Deltę, nie umiałabym znaleźć innego określenia nad: młodość. Młodość — i to wspólnie rozkwitająca, pełna zapału i wiary w swe siły, mieniająca się entuzjazmem pracy, przenikającym do dna duszę tej kobiety.

Czytając „Pamiętnik Lekarki“, mamy przed oczami życie młodej dziewczyny, a później młodziutkiej kobiety, tętniące rytmem pracy, podejmowanej w poczuciu radosnej potrzeby ponoszenia trudu i realizowania w czynie bogactw swej żywotnej natury. Nie cofa się nigdy przed niczem, co stanowi niebezpieczeństwo oczywiste, ale co wynika z jej powołania, lub co się przyczynia do zdobycia większego doświadczenia, co rozszerza zakres jej wiadomości, lub pogłębia stosunek przyjacielski między nią a pacjentem. Medycynę rozumie i „odczuwa“ przede wszystkim, jako sposób nie tylko leczenia chorych, lecz jako most przerzucony ręką lekarza do duszy pacjenta, potrzebującej nieraz pomocy narówni z ciałem.

„Pacjent i lekarz, to takie łatwe przejście z duszy do duszy“.

„Mimi, która jest szwaczką, mogła przypuścić, parę lat z rzędu mnie obszywać, i nie dowiedziałabym się z pewnością nigdy, jakie w niej drzemia tęsknoty, jakie tragedje przeżywa, bo zresztą nie interesowałoby mnie to wcale. Ludzie, obok których nieraz co dzień przechodzimy, zwłaszcza z innej sfery, wydają się nam często bezdusznymi robotami, nad którymi się nie zastanawiamy, nic nas z nimi, poza wspólnym interesem, nie łączy, a pacjent z obojętnego człowieka staje się nagle bliski. Kiedy się poznaje jego ciało, chciałoby się dokonać rozbioru i jego psyche, a chory chętnie się temu poddaje i wdzięcznym sercem łączy do lekarza. Może wydaje się, że medicus jest wszechmocny, że zaradzi na wszelkie bóle, i na te, co gryzą ciało, i na te, co kruszą duszę. Niesłusznie też szpital wydaje się laikom zimnym, oschłym przy-

* Dr. Z. Delta „Pamiętnik Lekarki“. Rój. 1939. Str. 355.

bytkiem cierpień, boleści i nic ponadto. W szpitalu są nie tylko same cierpienia i bóle — w szpitalu często odzyskuje się zdrowie, radość i prawo do życia“.

„Jak dobrze być lekarzem — prócz niesienia ulgi w cierpieniu, prócz uzdrawiania, poznając, jak nikt może inny, nędzę i rozpacz ludzką, ma się nieraz możliwość ujęcia ciężkiego jarzma, przychylenia odrobiny szczęścia. Bo gdybym nie była lekarzem, w innych okolicznościach, czyby się było coś podobnego udało? Z pewnością nie! Jak żyd swoje przykazania, całuję w tej chwili mój dyplom“.

Zagadnienie odpowiedzialności staje przed autorką pamiętnika nie raz i nie dwa, lecz jest dla niej najważniejszą sprawą natury moralnej, ześrodkowującą doniosłość i wagę stanu lekarskiego.

„Czy tylko my, lekarze, dźwigamy na sobie ciężar odpowiedzialności za życie ludzkie? Tylko ten jedyny stan lekarski? Właściwie, nie. Nie jesteśmy odosobnieni. Odpowiedzialność za ludzkie życie ponosi młynarz, który prowadzi pociąg, szofer, który kieruje autobusem i wiezie pasażerów, strategik, który plan bitwy przeprowadza, wódz, który nieumiejętnie żołnierzy w ogień wiedzie, prokurator, który nieraz z urzędu na życie niewinnego nastaje, sędzia, który o niem rozstrzyga i t. d. A jednak to nie to samo! Tu właściwie nawet nie da się przeprowadzić analogji! Do nikogo z tamtych ludzi tak, jak do nas, nie podchodzi drugi człowiek z tem, że właśnie w nasze ręce oddaje wszystko, co ma najcenniejszego: życie i zdrowie. I w dobrej wierze i w pełnem zaufaniu mianuje nas strażą swoich skarbów, których nam sprzeniewierzać nie wolno“. „Ach, jak trudno być lekarzem—dobrym, mądrym lekarzem. Zawód to najcięższy z najcięższych. A jednak Bogu dziękuję, że go wybrałam“.

Jej bogate życie duchowe, szkolone doskonałą metodą introspekcyjną, zaostrzone samokrytycyzmem, stawia duże wymagania i usiłuje w całej pełni im sprostać. Piszę, że:

„Wydaje mi się, że nie ma większej samotności na świecie nad samotność lekarza w chwilach, kiedy w samym sobie nie ma dostatecznego oparcia“.

Jakże bliskie są te słowa dr. Deltę myślom innego lekarza, pisarza i muzyka zarazem, René Dumesnil'a, który w swej pięknej książce „L'âme du médecin“. *) powiada:

„Lekarzowi trudniej niż komukolwiek innemu pozostawać nieczułym na głos wewnętrzny, który w trudnych chwilach zwątpienia radzi i hamuje, rozjaśnia i nakazuje“.

Przejdźmy jeszcze do tego, co w „Pamiętniku Lekarki“ świadczy o zapale młodości autorki, obdarzonej również dużemi zdolnościami pisarskimi. Dr. Delta drwi najwyraźniej z przyczajonego niebezpieczeństwa zarażenia się infekcją cholery, tyfusu, szkarlatyny, dyfterytu, pracując radośnie kolejno w tych środowiskach zarazy i twierdząc z humorem, że zaraza nie ima się człowieka, który się jej nie boi. Wszystko, co spotyka na swej drodze, pokonuje lekko, radośnie, powiedziałabym, z tryumfującym uśmiechem młodości. Zawdzięcza tę moc cha-

*) René Dumesnil: „L'âme du médecin“. „Présences“. Plon-Paris. 1938. p. 242 + IV.

rakteru nie tylko swej bujnej młodości, lecz i temu, że idzie drogą swego powołania. Ona tak samo, jak i dr. Sawa, wykryła je bardzo wcześnie i wiernie idzie ku celowi.

„Moment promocji. Chwila, o której marzyłam z górą 5 lat. Co mówię! Niemal od chwili, kiedy myśleć zaczęłam“.

Nie potrzebuje, na szczęście, przełamywać takich szalonych trudności, jakie piętrzyły się przed Dr. Sawą, więc młodość jej mogła się wyżyć w zdrowym dynamizmie prężnych sił, radośnie i lekko podejmujących każdy trud, oddających się całkowicie każdej potrzebie, wyrażającej w obrębie ich ekspansji.

„Poza pracą (w szpitalu) każdy wolny moment wypełnia nauka i ślęczenie nad książkami medycznymi“. Po cholercie przychodzi kolej na tyfus. „Szpital musimy urządzić u siebie w jednym z baraków. Choroby do miasta zawlec nie można. Dostarczą nam wszystkiego, ale musimy w swoim rejonie tłumić infekcję i leczyć chorych. Znowu mnie, podłą kreaturę, radość rozpiera! Użyję na robocie, i to nie byle jakiej“. „Pławię się w tyfusie i pracy“. „Operacja upaja. Dobry chirurg czuć się musi, jak wirtuoz, porwany swoją sztuką“.

Z ową to normalnie i bogato przeżywaną młodością, wolną od tragizmu młodości d-ra Sawy, łączy się humor dr. Delty, będący nieraz beztróską odskocznia w chwilach, które mogłyby się stać zbyt deprymujące. Humor ten jest dziwnie miły, drga ufnością, młodością, nie ma w sobie nic ze sceptycyzmu, ani drwiny. Oto po prostu wyraz odprężenia chwilowego; pełny haust świeżego powietrza!

Jest jeszcze jedna sprawa, która się wprost narzuca, aby ją choć w paru słowach omówić. Oto dr. Delta staje przed dylematem: medycyna, czy Dan i czytelnik może mieć wrażenie, że to medycyna wymaga od kobiety, by się wyrzekła kochanego mężczyzny. Tymczasem jest to zupełnie mylne wrażenie. Bo to nie medycyna wymaga od dr. Delty wyrzeczenia się Dana, lecz Dan wymaga porzucenia medycyny i w tym właśnie tkwi istota zagadnienia. Dan, ów stuprocentowy mężczyzna. jak to się obecnie nazywa tego rodzaju typy, w swej bezgranicznej zazdrości, tudzież zdumiewającej zarozumiałości stawia wymagania i grozi: on, lub medycyna. Trzeba być naprawdę bezczelnie zarozumiałym, — a takimi jest większość mężczyzn — aby w swych uczonych ni-by mózgach, wytworzyć sobie pewność, iż oni mogą zastąpić kobiecie jej wrodzone powołanie, jej sztukę, jej wewnętrzny sens życia. Jest to wynik tysiącami lat hodowanego instynktu posiadania kobiety na swą wyłączną własność i stąd powstałego uczucia egoistycznej zazdrości. Zazdrość tę czuje mężczyzna wobec wszystkiego, co odrywa kobietę od centrum jej życia, jakim właśnie *on* ma się stać dla wybranej kobiety, którą raczył łaskawie obdarzyć swem uczuciem. Zdumiewające są bezdroża psychiki męskiej w stosunku do kobiety. Ten ponoć wytrawny psycholog, poradzi sobie może najwyżej z gąską (i to często ona go „wykiwa“), lub z przeciętnymi kobietami, które tak fatalnie zdają egzamin z otrzymanego równouprawnienia i swobody — ale są śmiesznie bezradni w oczach samodzielnie myślącej i naprawdę wolnej kobiety-człowieka, zdającej sobie sprawę i z własnych sił i możliwości, którymi rozporządza i mającej własną drogę życiową.

Gdyby Dan kochał mniej siebie, gdyby był człowiekiem-mężczy-

zną, a nie wyłącznie tylko mężczyzną, nie stawiałby nawet tak sprawy ich stosunku, aby Dr. Delta musiała wybierać między nim a medycyną, bo rozumiałby, że tego rodzaju żądania, to bandytyzm psychiczny, okradanie kochanej kobiety z jej skarbu, jakim jest powołanie, któremu się poświęciła, pomniejszanie jej wartości, spychanie wyłącznie do roli, którą on jej przeznacza. A w roli takiej nie każdej kobiecie jest dobrze, jest już takich coraz więcej, które same nakreślają sobie drogę i nie potrzebują kroczyć śladami innych. Czyż do pomyślenia jest, aby kochająca kobieta żądała od mężczyzny, by dla jej miłości wyrzekł się swego zawodu? Odsuńmy w naszym rozumowaniu względy natury materialnej, bo mam na myśli kobiety pracujące samodzielnie, a więc nie potrzebujące utrzymania męzowskiego, i zastanówmy się, czy znalazłaby się taka, któraby powiedziała: albo ja, albo twoja profesura, adwokatura, czy co innego. Takiego wymagania mózg kobiecy, mimo, że mniej logiczny i mniej ćwiczony, nie postawiłby nigdy, bynajmniej nie dlatego, że pociągnęłoby ono „rewolucję“ w zawodowym układzie stosunków, lecz dlatego, że absurdalność podobnego żądania jest zbyt jasna z teoretycznego punktu widzenia. Oto całe stulecia pewnych obyczajów, wynikających z prymitywnych form życia „zmały punkt orientacji“ mądrzejszej połowie rodu ludzkiego tak gruntownie, że ta druga słabsza i ciemniejsza powinna wyjaśnić, jak to jest naprawdę i jak być powinno. Te przesady wszelakie, narastające wiekami, dogadzały męskiemu egoizmowi, schlebiali jego pysze, zarozumiałości, służyły wygodzie, aż wreszcie stały się drugą naturą dumnego władcy. I tylko nieliczne wyjątki wyróżniają się odmiennym poglądem, odbiegają całą swą strukturą psychiczną od przeciętnego typu męskiego i stanowią rękojmię poprawy doli kobiet.

„Pamiętnik Lekarki“ powinien się stać ulubioną lekturą młodych ludzi, szukających swej drogi życiowej. Zobaczą, jak trzeba korzystać z młodości, by nie zmarnować tego skarbu, a uczynić z niej dobro innych i szczęście własne.

*

*

*

Przeszłość w rozmaitych postaciach odżywa w ludzkim wspomnieniu. Problem czasu, jego mocy tajemnego działania, krążenia, przenikania i swoistego zabarwiania materiału kompozycyjnego, w ostatnich czasach jest stale na warsztatach pisarzy. Obecnie mamy niezmiernie ciekawe książki (Nałkowska, Szemplińska), w których przeszłość, a więc *czas* odgrywają rolę nie tylko ram dla danej treści, lecz są czynnikami zupełnie specjalnego rodzaju konstrukcji, pierwszoplanowych zjawisk w psychice człowieka. Chodzi tu o skomplikowany proces rozrastania, przetwarzania, trawestowania pewnych faktów tak silny i tak realny, że przeżywanie minionego, w obrębie czasu teraźniejszego stwarza nową rzeczywistość.

Mnie chodzi o zaznaczenie czegoś niewspółmiernie łatwiejszego. Oto w sposób uproszczony można stosunek do przeszłości ująć w cztery zasadnicze kierunki.

Pierwszy, to patrzenie na nią jasno i trzeźwo. Widzimy wszystko, co było w zarysach ostrych, wyraźnych. Oddalenie w czasie podkre-

śła wypukłość konturów, pozwala sprecyzować wartościowość zasadniczego tła, oraz poszczególnych etapów odbytej wędrówki przez okres dzieciństwa, młodości, wieku dojrzałego. Trudno, rzecz prosta, człowiekowi zachować idealny, rzeczowy obiektywizm. Wszak to przecie chodziło o niego samego, tam w tej, mniej lub więcej odległej przeszłości, rozstrzygały się jego losy, zaczynały się dźiać sprawy, które w zmienionym kształcie jeszcze nieraz obecnie żyją, kładąc się zmorą na terażniejszości, lub też czyniąc ją pozycją dodatnią. Tem nie mniej w granicach ludzkiej możliwości — bezstronność pragnie się zachować.

Drugi, to stanowisko idealizujące wszystko, co było, zupełna za-trata poczucia dawnej rzeczywistości, zapatrzenie się w stwarzaną przez siebie fikcję, nie mającą odpowiednika w przeszłości. Widzi się w niej to, coby się chciało mieć przedewszystkiem w chwili obecnej, którą się przeżywa w stanie depresji, z uczuciem niechętnem, z nastawieniem wrogiem. Nie mając nadziei osiągnięcia pragnień w terażniejszości, umiejscawia się je w przeszłości, stwarza się atmosferę żalu, sentymentalnego oplakiwania i wzdychania za przeszłością, którą jednak w jej rzeczywistości przeżywalibyśmy bynajmniej nie w uczuciu szczęścia i zadowolenia. Bezkrytyczna apoteoza przeszłości, jest bardzo często objawem bezradnego i negatywnego stosunku do terażniejszości.

Trzeci, to właściwa ocena przeszłości, to umiejętność patrzenia na nią z perspektywy czasu dziecinnymi oczami, to zachowanie świeżości i prawdziwości wspomnień, zdolność widzenia swej postaci w kolejności istotnych zmian w niej zachodzących, ale nie strojenia jej w barwy, których nigdy nie miała i nie pozbawiania ich tych, jakimi się odznaczała. Sądzę, że taki stosunek do przeszłości mają ludzie „uda-ni“, ludzie, którzy w życiu osiągnęli poczucie zadowolenia i pełni. I jest jeszcze ostatni sposób reagowania na przeszłość. Patrzymy na nią po przez leciutką mgłę, spowijającą widnokrąg łagodną zasłoną. Są takie specjalne obrazy: linja dalekich drzew, kościół, łąka, sylwetka samotnego człowieka, trochę krzewów, piesek mknący przez pola, i... mgła — wszystko nią otulone... Na całym obrazku ta mgła jest najpiękniejszym motywem, jest naprawdę czemś subtelnem i zasadniczem, nadającym ton ogólny. Wszystko inne jest piękne, pięknnością mgły...

Są to wszystko uwagi, które nasuwa książka Andrea Majocchie'go „Żywot Chirurga“. Jest to powieść autobjograficzna napisana przez 50-letniego doktora „dla syna, studenta medycyny, któremu pragnąłem zostawić po sobie szczery testament duchowy. Czytając te notatki, przekona się on, z jakich trudów i poświęceń spleciona była nieustępliwa wytrwałość jego ojca, i to stanie się dla niego bodźcem do rzetelnej pracy“.

Nie wiem, czy to owe 50 lat tak mgiełkę uczyniły powabną, tak ją zgęściły ponad sierocem dzieciństwem, czy też osiągnięte wielkie powodzenie życiowe wybitnego włoskiego chirurga, nadało wspomnieniom jego koloryt pogody. Błękitem nieba włoskiego naświetlił dr. Ma-

*) Andrea Majocchi: „Żywot Chirurga“. Książnica Atlas. Warszawa. 1939. Str. 360.

jocchi swą powieść o życiu własnem, to też czyta się ją z uczuciem ulgi i odprężenia.

Przedewszystkiem okres zdobywania wiedzy medycznej nie był tak głęboko tragiczny, jak u d-ra Sawy, a pierwsze lata praktyki nie miały tego ponurego tła społecznego, w jaki wejdziemy przy omawianiu „Pamiętników“ naszych lekarzy. Owszem, od czasu do czasu Majocchi daje nam fotografię życia najniższych warstw w Medjolanie, ale on tam się zjawia jedynie po to, by jaknajsumienniej i jaknajartystyczniej dokonać zabiegu chirurgicznego, spełnić swój zawód i po załatwieniu wszystkiego czemprędzej stamtąd ucieka. Zagadnienia społeczne, jako takie nie docierają do jego psychiki, w postaci wiecznie dręczącej zmyry, nie dającej wytchnienia sumieniu. Nie obarczają one jego światopoglądu poczuciem współodpowiedzialności, współdziałania poniekąd w martyrologji, dokonywującej się, jako wynik zespołu czynników ustrojowych i psychicznych zarazem. Majocchi jest doskonałym typem lekarza-artysty, rozmiłowanym w swej sztuce chirurgicznej i stale podnoszącym ją do coraz wyższego udoskonalenia. Jest w jego sylwetce psychicznej pociągająca harmonja, umiar wewnętrzny, umiejętność zaprowadzenia takiego ładu, między rozmaitymi czynnikami życia psychicznego, iż żaden z nich nie rozrasta się nadmiernie, nie wytwarza miejsc specjalnie ropyjących, nabrzmiałych sprzecznościami, czy konfliktami. Wszystko jest ułożone w pewien system, sprawnie funkcjonujący i służący idealnemu wykonaniu pracy chirurgicznej, traktowanej jako najszczytniejsze posłannictwo służenia choremu człowiekowi. Jego absorbuje i pochłania nie człowiek, jako taki, lecz *choroba* człowieka, którą pragnie wygnać, a na jej miejsce zainstalować zdrowie. Jest to sublimowanie medycyny z doczepionej do niej nadbudowy środowiska społecznego, jest to podejście do *choroby*, a nie do człowieka chorującego. Stąd pochodzi uwolnienie atmosfery książki z tego wszystkiego, co stanowi gros wynurzeń polskich pamiętnikarzy.

Chcę tylko nie być źle zrozumianą. Pisząc powyższe słowa, nie oceniam, nie kwalifikuje, które stanowisko jest lepsze, słuszniejsze, a które gorsze. Konstatuję tylko *inność* podejścia do medycyny u d-ra Majocchi'ego, traktowanie jej wyłącznie jako sztuki, tworzącej zdrowie. Są to różne nastawienia w stosunku do medycyny, nie nadające się do wartościowania, do klasyfikowania w szufladach z napisem: gorsze — lepsze. Lekarz-artysta, lekarz-teoretyk wiedzy medycznej, lekarz-społeczny, lekarz-zawodowiec, są bezcennymi wartościami, równoległe obok siebie istniejącymi i na równi niezastępowanymi dla życia ludzkiego. Każdy z nich ma ogromne pole do działania; uzupełniają się oni wzajemnie i jakże cudownie wspierają.

Książkę Majocchi'ego, mającą tak wiele opisów niezmiernie tragicznych wypadków chorobowych, przepojoną cierpieniem ludzkim tak beznadziejnym, że nawet wysiłki lekarza-artysty nic nie mogą zaradzić, czyta się z uczuciem odprężenia jeszcze i dlatego, że mamy przed sobą normalne zjawisko wielkiej pracy doktora, który jednak ma możliwość w życiu osobistem, osiągnąć kompensatę sił i trudów wydatkowanych w pracy zawodowej. Ma czas na odpoczynek, na podróże, na książki, a więc mamy przed sobą jednostkę szczęśliwą, pełną, a nie *ofiara* zawodu swego i warunków społecznych. Człowiek w każdej pracy wydaje

z siebie pewne zasoby własnego organizmu psycho-fizycznego i warunkiem normalnego funkcjonowania organizmu, jest możliwość odpoczynku z jednej strony, a z drugiej pobieranie coraz to nowych wiadomości fachowych i ogólnokształcących. W przeciwnym razie zachodzi zjawisko (tak dobrze znane i codzienne) pasożytowania na organizmie lekarza, czy jakiegokolwiek innego pracownika — pasożytowania, równożącego się powolnemu unicestwianiu się, stopniowemu wyzbywaniu się nieodzownych, regeneracyjnych czynników. Czytając pracę Majocchie'go, opanowana byłam przez uczucie zazdrości i żalu wielkiego, że polscy lekarze, ci z „Pamiętników“, będąc skazani na taką szaloną walkę z dwoma okrutnymi wrogami: chorobą i nędzą, muszą się wyrzekać tego, co stanowi trwałą wartość, a więc stałego rozwijania i doskonalenia się zawodowego, oraz ogólnego samokształcenia. Może należałoby się jakoś specjalnie zainteresować losem ludzi, którzy długie lata przepracowawszy na placówkach podstawowej pracy społecznej, dobrze zasłużyli na moment zatrzymania się na miejscu, na moment odpoczynku, by zaczerpnąć powietrza, by odetchnąć, spojrzeć wstecz i naprzód i przygotować się do dalszego startu.

Czytaniu książki Majocchie'go towarzyszyły mi ustawicznie myśli o tych naszych bohaterach z wiosek i miasteczek, rozsianych po całym kraju. Uparte, natarczywe wizje piekła na ziemi, mówiły mi gorzką prawdę o marnowaniu się człowieka w Polsce, mimo, że „człowiek, to rzecz święta“, i uświadamiały, że Judym w swej pierwotnej postaci już nie istnieje, lecz ożył w nowem wcieleniu. „Le roi est mort, vive le roi“. Tylko owo „vive le roi“ nie jest niestety okrzykiem radości, lecz tragicznym wyznaniem z dna współczesnej rzeczywistości. Ale o tem obszerniej powiem nieco dalej.

Zagadnienia społecznego walki z alkoholizmem Majocchi nie zna zupełnie, nie podejrzewa nawet jego istnienia. Opisuje natomiast nie bez humoru oblicze zjazdowych bankietów.

„Zauważył ktoś złośliwie, że bankiety zjazdów są często zbyt obfite, a wówczas pozostają w oczywistej sprzeczności z nauką i ze zdrowymi, surowymi wskazaniem higieny. Istotnie, ci sami lekarze, którzy przed chwilą perorowali za umiarkowanym trybem życia, za powstrzymaniem się od nadużyć djetetycznych, od napojów wyskokowych, wkrótce potem przechodzą od jednego dania do drugiego, od homara do dziczyzny, podlewając wszystko musującym winem. Na szczęście jedynymi świadkami tego są sami lekarze (o święta naiwności, przyp. mój); gdyby do sali zajrzeli pacjenci, mogliby zawołać za niemieckim poetą: „Was für tolle Sachen auf dieser Welt geschehen!“ lub powtórzyć stare przysłowie łacińskie: „Medice, cura te ipsum!“ „Lecz pacjentów tam nie ma; internista czy chirurg pozbywa się swej surowej powagi profesorskiej, by na chwilę stać się smakoszem. A zresztą taki bankiet, to tylko zakończenie kongresu, drobny epizod. Kto troszczy się o swoje zdrowie i nie chce złamać djetetycznej wstrzeźliwości, może przecie nie brać w nim udziału“.

Trudno mi, na zakończenie, nie podkreślić, że miejscami uderza w tej powieści, jak sam autor nazwał swą książkę, pewien patos sztucznej egzaltacji, pewne zamięłowanie do koturnów, które w mojem od-

czuciu nie wychodzą na dobre całości, będącej poza tem niezmiernie ciekawą i pouczającą.

*

*

*

Bezpośredniością i ujmującą prostotą przemawia Mieczysław Pesta, w swym krótkim szkicu biograficznym pod tyt.: „Piaski“^{*)}. W podtytule „pamiętniki lekarza społecznego“ jest zawarty właściwy sens, istotna treść tej książki. Bo zwróćmy uwagę: nie lekarz-„społecznik“, jakby się to dawniej napisało, lecz lekarz „społeczny“. Słowo „społeczny“ jest tu określeniem pewnej specjalizacji w ogólnym zawodzie lekarza — specjalizacji, która nakłada obowiązki, stawia wymagania swoiste i nadaje odpowiedzialną rolę w całokształcie życia zbiorowego.

O tej to różnicy w określeniu „społeczny“, a nie „społecznik“ pragnę przedewszystkiem kilka słów powiedzieć — będzie to nawiązaniem również do tematu: Judyma już nie ma — Judym się odrodził. Judym był lekarzem „społecznikiem“, który dostawszy się na posadę do Cisów, powiada, że:

„Oto miejsce, gdzie mu będzie wolno włożyć jarzmo i drzeć starą glebę głęboko sięgającym pługiem. Będzie tu siał, będzie pracował za tłum ludzi, będzie oddawał światu wszystko, co wziął od niego. Nie pożałuje ramion, nie będzie skąpił potu! Niechże wiedzą, jak się wywdzięcza ten z motłochu, kogo przyjmą do swej kultury, komu udzielią cząsteczki swych praw do czynu“. „Otrzymałem wszystko, co potrzeba... Muszę to oddać, com wziął. Ten dług przeklęty... Nie mogę mieć ani ojca, ani matki, ani żony, ani jednej rzeczy, którąbym przycisnął do serca z miłością, dopóki z oblicza ziemi nie znikną te podłe zmyry. Muszę wyrzec się szczęścia. Muszę być sam jeden. Żeby obok mnie nikt nie był, nikt mię nie trzymał“.

A więc ideaja posłannictwa, ideaja ofiarowania siebie. Nurtuje w nim poczucie otrzymanego przywileju w postaci zdobytego wykształcenia, które pozwoliło mu wyjść ze sfery „szewców“. Szlachetność syna „motłochu“ wyraża się w tem, że pokaże on, jak przedstawiciel dóbr społecznych wywdzięcza się za otrzymaną łaskę. Jest to, rzecz prosta, postawa ideologiczna absurdalna w naszych oczach. Jakaż tu mowa być może o wdzięczności, o długi zaciągniętym. Jeden syn szewca otrzymał wykształcenie, a więc to, co mu się słusznie należało, i nie tylko jemu jednemu, lecz całej klasie społecznej wydziedziczonej i skrzywdzonej, i już płonie misją spłacania długu. To jest jeden czynnik psychologiczny ideologii Judyma. Drugi, to chęć wzięcia na swe barki przedstawicielstwa całej rodziny proletarjackiej w tem, co ona ma najszlachetniejszego. I to jest owa ukochana ideaja żeromskiego: samotny człowiek ma dokonać rzeczy najwspanialszych — jednostka wielka, twórcza, święta wyprowadza ludzkość ku światłu. Przy ocenianiu Judyma musimy zawsze pamiętać o tych dwóch szlakach jego myśli i uczuć.

*) Mieczysław Pesta: „Piaski“. Pamiętniki Lekarza Społecznego. Warszawa 1939 r. Rój. Str. 159.

Pesta pisze: „że w dziedzinie medycyny społecznej winniśmy już żeromszczyznę pokryć brązem, bo na to zasłużyła, a jej dalsze propagowanie byłoby przykrym i oczywistym dowodem, że nie spełniła swej roli“.

Otóż to jest coś, czego nie mogę pominąć milczeniem: Żeromszczyzna nie spełniła swej roli! Jak się pogodzić z tego rodzaju twierdzeniem? Żeromski wychował w Polsce pokolenie lekarzy i działaczy w najpiękniejszym stylu — ześrodkował ich zainteresowania w zagadnieniu społecznym, pojętem jako szczytne i święte posłannictwo, od którego nikomu nie wolno się uchylać. Czyż więc przy ocenie wysiłków, zmierzających do odrodzenia życia, wolno zapominać o roli lekarzy „idealistów“, mających za sobą pracę całego życia, a wychowanych w zasięgu myśli i ideałów Żeromskiego? Praca społeczna bynajmniej nie została zapoczątkowana dopiero w Polsce odrodzonej — formy jej organizacyjne są nowe, ale duch, ale ideaja ta sama. Młodzież przedwojenna z książek Żeromskiego uczyła się, jak żyć, by wreszcie bliźniemu było lepiej i usłyszała słowa - rozkazy, słowa - przykazania:

„Trzeba zacząć od rzeczy najcięższej, od posłania na śmierć siebie samego, gestem męża, który wie wszystko, a rozkazuje tylko sobie samemu“. I jeszcze: „Niech żyje wolny człowiek! Spójrzycie w czarne lustro moje i wzmóście się obrazem tego, czem człowiek być może, czem nie jest, czem był niegdyś, i czem być musi!“ I tyle, tyle innych...

Żeromski nie rozumiał znaczenia organizacyjnego, zespołowego działania — tak, to prawda. Ale on był wychowawcą człowieka w Polsce, i dla każdej jednostki myślącej i czującej Żeromski jest i jeszcze długi czas będzie przewodnikiem i mistrzem. Organizacja, to niewątpliwie potęga, ale organizację powinno tworzyć nie stado bezmyślnych baranów, lecz ludzie o wyrobionem sumieniu, uczciwi i zdyscyplinowani. Żeromski uczył, w jaki sposób się stać istotą godną nazwy człowieka, a tem samem kładł niezawodny fundament pod dzisiejsze życie organizacyjne. Fatalnem jest, że młodzież dzisiejsza na ogół nie zna Żeromskiego, nie rozumie, czem on był dla naszej kultury i literatury i nie dostrzega, ile w nim jest wartości nieprzemijających, najdosłowniejszych, a niestety, bynajmniej dziś nie kultywowanych. Takie uogólnienie, że Żeromszczyzna się przeżyła, może być podchwyczone jako pewnego rodzaju łatwe załatwienie się z pisarzem, będącym naprawdę wielkim odkrywcą biednego człowieka, zatraconego w dżungli stosunków społecznych. Środowiskowa powieść współczesna bez Żeromskiego byłaby zjawiskiem oderwanem, a ci co ją piszą, żyli niewątpliwie długo właśnie w atmosferze „Żeromszczyzny“, od której mogą odpadać pewne cechy, ale rdzeń, ale istota jest zawsze żywa i twórcza. Słusznie René Dumesnil *) powiada, że wartości psychiczne są pochodnią, od której zapalają się coraz to nowe ogniska. Każda epoka, stwarzając swoiste formy prac, czerpie ogień z pochodni wiekom całym przyświecającym, bo w nich są prawdy nieprzemijające i najcenniejsze. Żeromski wniósł wartości, które w zastosowywaniu współczesnego życia organizacyjnego, są koniecznością, są warunkiem zrealizowania postulatów, w ramach zespołowego budownictwa społecznego.

*) René Dumesnil: „L'âme du médecin“. Plon. Paris.

Judym chciał sam jeden reformować świat, chciał wyrzeczeniem się własnego szczęścia okupić szczęście braci. Dziś wiemy, że to była mrzonka. Lecz piękne mrzonki nie giną, tylko przyoblekają się w formy coraz to realniejsze, nie rezygnują wobec przemożnie panującego zła, lecz się konkretyzują i dostosowują do potrzeb, by stopniowo, powoli, ale nieustępliwie realizować się w życiu i życie przekształcać. Judym wczorajszy, samotny męczennik, przekreśla siebie w ofierze, — Judym zaś dzisiejszy ożył w zespole lekarzy społecznych, którzy wypełniają ciężką pracę, nie jako ofiarę, lecz w poczuciu wewnętrznego, potężnego nakazu, wykonują ją z pasją człowieka miłującego swój zawód i z entuzjazmem wiary w ostateczne zwycięstwo sprawiedliwości nad krzywdą. Duch Judyma wczorajszego żyje, w zmienionej postaci, w zorganizowanym, wspólnym wysiłku młodych lekarzy, tych Judymów dzisiejszych, by Polskę podnieść na wyższy poziom życia. Mało tego. Judymowie dzisiejsi, pracują już, by stworzyć Judyma jutrzejszego, to znaczy, takiego, który i dla *siebie* wywalczy takie warunki pracy i takie warunki życia, w których będzie mógł rozwinąć całą pełnię swych ludzkich możliwości dla dobra innych i dla dobra własnego. Będzie to Judym, realizujący słowa Paul Valery, wypowiedziane do lekarzy chirurgów: „praca lekarza wymaga od jednostki doskonałego rozwoju osobowości, a zarazem całkowitego jej wydatkowania, a więc jest zawodem, w którym się ujawnia pełna wartość Człowieka“.

Przejdźmy teraz do samej książki. Pesta zostaje lekarzem domowym U. S. w Piaskach pod Warszawą. Jest młodym człowiekiem, ma lat 29. Pracował jako asystent u d-ra W. w Łazowie i ma za sobą dwa i pół lata praktyki szpitalnej. Ma jasno sformułowany pogląd, przeciwstawiający się ideałom „świątłych postaci lekarskich przeszłości, tytanów mądrości i dobroci. Myśmy tymczasem czuli fałsz życiowy, który narasta uporczywie, bezwzględnie między ideałami starszego pokolenia lekarzy, a wymogami bieżącego życia. Odległy był od nas dziś tak bezwzględnie rzadki typ lekarza, który zarabiał krociowe sumy na bogatej klienteli, resztę czasu z zaparciem poświęca filantropji, leczeniu biednych. Arystokraci medycyny minionej epoki.

„Nie porywał nas też skądinąd lekarz biedak, idealista, który zdrowie i życie stradał, niosąc darmo pomoc cierpiącemu proletariatu-wi osiedli fabrycznych.

„Gotowi nawet byliśmy czoła uchylić przed przeszłością, ale wiedzieliśmy, że przyszłość taką nie będzie, nie może, nie powinna taką być.

„Wiedzieliśmy, że pomoc, udzielona choremu, nie może być jałmużną, akcją charytatywną, ani ofiarą składaną z swych zdolności i sił przez *lekarza społecznika* — jednostkę wzorową.

„Pomoc udzielana choremu winna być, czuliśmy, obowiązkiem społeczeństwa zorganizowanego, a niesiona przez fachowo przygotowanego do swych zadań lekarza społecznego, którym winien być każdy lekarz ogólnie praktykujący.

„Prawdziwy społecznik jest czymś rzadkim i nie da się poza pewnymi wąskimi granicami wyhodować. Rola jego jest doniosła w każdej formie ustroju społecznego. Dziś nam natomiast trzeba celowego

wychowania społecznego, poznania metod i warunków pracy zorganizowanej, walki społeczeństwa o poziom zdrowia ogółu“.

Trzeba przyznać, że „front“ do teraźniejszości jest zupełnie słuszny i rzeczowy, to też dr. Pesta, przybywszy do Piasków, aby się zapoznać z przyszłym terenem swej pracy, nie został ani zdziwiony, ani przerażony tem, co zobaczył. A przedstawiało się ono tak:

„Okna gołe, dół szyb zalepiony gazetami, w rogu przeciwległym mały piecyk żelazny, od którego szły blaszane rury poprzez cały pokój do komina. Jakieś stare krzesło ginekologiczne, umywalka, stół, podłoga czarna. Wilgoć na odrapanej ścianie przy piecyku. Wziął jakieś szczypce — tak, ginekologiczne szczypce i kładł niemi (doktór, który poprzednio mieszkał), kawałki węgla do piecyka, na którego dnie żarzyły się pewnie jeszcze resztki ognia“. „Rozglądam się, na parapecie okiennym leżały instrumenty podniszczone, gęsto z niklu odarte. Ściany i sufit zakopcone. Okna brudne, strasznie brudne“.

Dr. Pesta znał to wszystko bardzo dobrze, wszak w Łazowie „nauczyłem się abecadła lekarskiego. Prymitywu. Nauczyłem się na wsi przy świeczce dokonywać trudnych porodów, obrotów, wymóżdżeń, rozkawałkowań płodu. Asystowałem przy operacjach wyrostka i przepuklin, dokonywanych w szpitalu przy lampie naftowej. Pracowałem od 7-mej rano do 11-tej wieczorem, czasami do 1szej i 2-giej w nocy“.

Zdecydował się prędko i zainstalował się w Piaskach. Obok pracy lekarskiej rozpoczął jednocześnie stanowcze wychowywanie ludności miejscowej, naginanie jej do stosowania się do zarządzeń i przepisów leczenia się w U.S. Chodziło mu o wyrobienie uczciwego stosunku do lekarza i do instytucji. A więc wypowiedział walkę wszelkim agresywnym, brutalnym wystąpieniom do siebie chorych, żadnych ich żądań nie uwzględniając o ile były poparte gniewem, lub wrzaskiem. Domagał się, by zrozumiano, że nie wolno jest wzywać lekarza w nocy, gdy niema istotnej potrzeby, gdy doskonale chory może poczekać do rana. Chciał nauczyć, że wszelakie próby oszukiwania go i nadużywania przepisów prawnych, obowiązujących zarówno lekarza jak i pacjenta, będzie surowo karał. Jednem słowem rozpoczął od usiłowań zaszczerpienia niezbędnych do pracy norm obyczajowych, które umożliwiłyby współzycie doktora z ludnością i obu stronom zapewniły korzyści, Dr. Pesta nie zaniedbał zaprowadzić ładu i porządku w swem małym mieszkanku — uprzątnął brudy, które się rozpanoszyły podczas pobytu jego poprzednika i umeblował, odświeżone, pomalowane pokoje. Wspominam o tym fackie celowo, bo sądzę, że bynajmniej nie jest on błądy. Mamy uczyć wieść porządku, czystości, estetyki, jak może więc doktór mieszkać niechlujnie? Tu chodzi o podkreślenie, że przykład ma kolosalne znaczenie wychowawcze i że strona zewnętrzna życia lekarza, a więc człowieka wystawionego na obserwację ciekawych oczu, gra swoją dużą rolę w całym zespole innych czynników. Poza tem jest jeszcze i druga strona tego samego zjawiska: dla własnego samopoczucia, musi lekarz mieć ten dach nad głową czysty i miły. To jest właśnie wymaganie Judyma współczesnego: pracuję i chcę mieć coś wzamian, bodaj własny home estetyczny i zaciszny, w którym będę się odradzał, wypoczywał, sposobiał do dalszej pracy. Dlaczegoż lekarz społeczny ma się wyrzekać elementarnych potrzeb ludzkich, kiedy on jest po to, by

je w innych zaszczepiać, budzić, kultywować. Społeczeństwo nie chce hodować cierpiętników, wyrzekających się naturalnych, dodatnich potrzeb ludzkich, ono ma jednak prawo żądać od człowieka: pracy, pochodzącej z jego rozwiniętych, kwitnących sił. A biorąc pracę, to samo społeczeństwo obowiązane jest dać pracownikowi takie warunki, w którychby się nie potrzebował staczać niżej i marnować. Dr. Pesta ma w sobie to poczucie własnej godności ludzkiej i mam wrażenie, że będzie zawsze jej bronił przed każdym wyzyskiem i przed każdym zamachem na owe minimum dobrobytu, które każdy musi mieć, jeśli chce być pełnowartościowym członkiem społeczeństwa. Chciałabym również bardzo, by w gabinecie d-ra Pesty znalazła się półka na książki, a w niej komplet pism żeromskiego. Czytając je, dr. Pesta zrozumie i odczuje, że jest krew z krwi, kość z kości dziedzicem Judymowych marzeń, nadającym im kształt współczesności.

Teraz musimy się jeszcze zapoznać z ludnością, wśród której pracuje dr. Pesta. Opowiadano, że:

„Jeden z lekarzy, wojskowy, podczas przyjmowania pacjentów stale trzymał na stole rewolwer. Drugi, żyd, krzesłem dostał po głowie, kiedy odmówił jakiegoś lekarstwa; był taki, co szedł do chorego popychany rewolwerem przez depczącego mu po piętach człowieka. Inny, obłączony na poczcie, poszedł do chorego dopiero, gdy wystarał się o eskortę kilkunastu członków Związku Strzeleckiego“.

„Chory, jeżeli poczekalnia zamknięta, tak do drzwi będzie walił i w okno bił, że kolega odrazu się zorjentuje. Zwykły dzwonek, to zabawa chłopców, z których każdy, przechodząc koło domu, uważa za swój obowiązek pokręcić. Reagowanie, ewentualnie grożenie, prowokuje ich jeszcze więcej“.

Dr. Pesta pisze, że „w mojej pracy lekarza domowego, lekarza społecznego, stawiam na plan pierwszy jeden cel: nie idealizować, nie załamywać beznadziejnie rąk nad rozpiętością między ideałem i doktryną społeczną, a zwykłą rzeczywistością. W tej rzeczywistości robić sumiennie to, co można, choćby się to czasem nawet kłóciło z prawem. Być w swoim zawodzie pozytywistą“.

A po roku pracy w Piaskach pisze: „Zmieniło się nieco od czasu, jak tu przybyłem. Byłem i jestem stale przeciążony pracą. Latem, jesienią przyjmowałem przeciętnie siedemdziesięciu przeszło pacjentów dziennie. Któregoś dnia zanotowałem stu czterech pacjentów u mnie w gabinecie i ośm wizyt domowych. Bywały dni, w których ilość wizyt domowych przekraczała cyfrę piętnastu“. „Od listopada przydzielono nam trzeciego lekarza do pomocy. Przeciętna frekwencja dzienna pacjentów u mnie zmalała do pięćdziesięciu kilku“.

Jak długo będzie mógł lekarz pracować w takich warunkach, jak długo zachowa spokój, zimną krew i jasność myśli? Na to pytanie z dziedziny specjalnego rozdziału życia społecznego, którego tytuł brzmi: „Marnowanie się człowieka“, odpowie dzień jutrzejszy. Tem nie mniej trudno się nie troszczyć i nie smucić, że taką jest rzeczywistość.

W przygotowaniu do pracy zawodowej d-ra Pesty jest jedna poważna luka, a mianowicie zupełna nieznajomość zagadnienia walki z alkoholizmem. Bo tylko nieznajomością zagadnienia można wytłumaczyć

fakt, że ani razu o pijaństwie nie wspomina, a przecież trudno sobie wyobrazić, by Piaski i Łazów były oazą wyjątkową trzeźwości i by on nie napotykał w swej praktyce skutków tego nałogu. Nawet przy opisie bójek, nie napomyka o wódce.

„Poznałem z bliska naszą wieś. Prawie codzień spisywaliśmy przynajmniej jedną obdukcję. Chłop nasz lubi się bić i procesować. Nie pójdzie na zabawę bez bagnetu.

„Bagnet — w okolicy Łazowa — to długi cienki nóż kowalskiej roboty, chowany za cholewą.

„W jednym tylko miesiącu we wrześniu 1936 r. wykonałem cztery sekcje. Chłop uderzył sąsiada kłonicą w głowę. Sekcja stwierdziła śmierć na skutek złamania podstawy czaszki. Innemu, młodemu chłopcu, zawistny konkurent tak wbił bagnet w kręgosłup, że przebił dwa wyrostki kolczyste i zmiądzzył rdzeń pacierzowy. Biedak po czterech dniach przeniósł się na tamten świat. Trzecią sekcję wykonałem na kobiecie zmarłej podczas poronienia w czwartym miesiącu. Posądzono akuszerkę o niedozwolony zabieg.

„Po czwartym przypadku pozostały mi wyrzuty sumienia. Nie to, bym zaniedbał czegokolwiek, ale nie domyśliłem się powagi sytuacji. Nad ranem przyprowadzili chłopaka 18-to letniego, z malutką ranką na szyi. Nie cały cm. długa. Ranę opatrzyłem i kazałem zgłosić się nazajutrz. Nazajutrz wystąpiły objawy mózgowce. Zatrzymałem go w szpitalu. Po kilku dniach umarł. Sekcja wykazała, że rana drażyła do kręgosłupa na szyi, jeden wyrostek poprzeczny był nadłamany. Tą drogą zakażenie przeniknęło do opon mózgowych. Rana została zadana bagnetem.

„Chłopi mówili mi zawsze, że kary sądowe są za łagodne. Zastanawiałem się, czy dyskusja nad karą chłosty istotnie nie ma pewnego sensu“.

Mam pewność, że zastanowienie się, w jakim stanie był ów chłopak nad ranem pchnięty bagnetem, miałyby wielki sens i mogłoby naprowadzić D-ra Pestę na właściwą drogę zapobiegania takim wypadkom, bez pomocy chłosty, czy kar sądowych. My jesteśmy przekonani, że lubi się bić przedewszystkiem chłop pijany, na trzeźwo tylko w wyjątkowych wypadkach jeden drugiemu wpakuje bagnet między żebra. I właśnie rola lekarza społecznego polega również i na prowadzeniu propagandy przeciwalkoholowej, zmierzającej do zapobiegania tego rodzaju bójkom, które w ogromnej większości wypadków zachodzą po pijanemu.

Prof. d-r Alfred Sokołowski pisał, że alkoholizm jest jedną „z największych bolączek społecznych naszego wieku“, a walka z nim „należy bezspornie do najważniejszych, a zarazem najtrudniejszych zagadnień naszej epoki“. W innym miejscu ten znakomity nasz uczonek powiada: „W każdym razie dziś śmiało powiedzieć możemy, że walka społeczna z największym jego wrogiem, t. j. alkoholizmem, przyjęła nie tylko racjonalny, na nauce oparty, lecz jednocześnie wysoce szlachetny i humanitarny kierunek, co daje wielką otuchę, że i nad tą plagą ludzkości, podobnie jak nad innymi, które w czasie poprzednich wykład-

dów bliżej omawialiśmy, zdołamy, może nie tak prędko, jakby tego sobie życzyć należało, jednakże ostatecznie zatryumfować“ *).

Prof. dr. Leon Popielski, uczeń słynnego prof. Pawłowa, twierdzi, że „teraz, kiedy budujemy naszą przyszłość narodową, musimy wszystko usunąć, co prowadzi do nienormalnego, patologicznego przebiegu przeobrażeń i przekształceń społecznych... Musimy dążyć do usunięcia pijaństwa, co jest równorzędne z zupełnym usunięciem wódki i rozmaitych napojów alkoholowych z codziennego użytku“.

Prof. dr. Benedykt Dybowski uważa, że „walka z pijaństwem powszechnem jest sprawą dla dobra społeczeństwa stokroć razy ważniejszą, niż walka z analfabetyzmem“.

Dr. Witold Chodźko, b. Minister Zdrowia Publicznego pisał, „że alkoholizm jest wielką klęską społeczną i dlatego bezwzględna walka z nim należy do obowiązku nie tylko społeczeństwa, ale przedewszystkiem państwa“.

Dr. Kazimierz Dłuski skonstatował, że „alkoholizm powoduje zubożenie szerokich warstw ludności i doprowadza je niejednokrotnie do krańcowej nędzy. W rodzinach, gdzie panuje alkoholizm, obok nędzy pojawiają się warunki, sprzyjające powstawaniu różnych chorób zakaźnych, przedewszystkiem zaś gruźlicy. Warunkami tymi są: obojętność na potrzeby kulturalne i higieniczne, w ten sposób alkoholizm przyczynia się ogromnie do rozpowszechnienia gruźlicy. Zmniejszając odporność ustroju na chorobotwórcze zarazki, alkoholizm jest złem tem gorszem, że przyczynia się do zwyrodnienia potomstwa i usposabia przyszłe pokolenia do szeregu chorób nie tylko fizycznych, ale i psychicznych“.

Dr. Henryk Zajączkowski stwierdza „z innymi badaczami sprawy alkoholizmu, że żyjemy w okresie, w którym alkoholizm rozszerza się w zastraszający sposób, że skutki tej groźnej plagi społecznej dają się dotkliwie odczuwać przedewszystkiem spowodu wzrostu liczby zachorzeń psychicznych alkoholowych“.

Płk. dr. Jan Nelken jest zdania, „że wykroczenia i przestępstwa alkoholowe są najczulszym termometrem rzeczywistego stanu sprawy alkoholowej w danym kraju“.

Prof. dr. Mieczysław Michałowicz dochodzi do przekonania, że „nie ma prawie autora polskiego, któryby nie poruszył w swych utworach roli lekarza w społeczeństwie naszym i należy przyznać, że ten sąd o lekarzu, jako o czynniku społecznym wypadł dodatnio. Niech więc i nadal pozostanie dodatnim i niech do wielu pól pracy, przybędzie lekarzowi jeszcze jedno pole: pole walki z tak potężnym wrogiem, jakim jest alkoholizm. Zwłaszcza lekarz dziecięcy, pracujący dla zdrowia przyszłych pokoleń, ma pod tym względem wielkie zadanie przed sobą“.

Prof. dr. Jan Mazurkiewicz, podkreśla, że „alkohol jest jednym z głównych czynników zwyrodnienia osobniczego i zwyrodnienia, przekazywanego dalszym pokoleniom przez rodziców alkoholizujących się, a więc powoduje pogarszanie się rasy w znaczeniu biologicznym, nie mówiąc już o wszelkich ujemnych skutkach natury ekonomiczno-spo-

*) Dr. Med. Alfred Sokołowski: „Wielkie Klęski Społeczne i walka z niemi“. Gebethner i Wolff. Warszawa. 1917 r. Str. IV+375.

łecznej. Tych szkodliwych stron alkoholu jest tak wiele, że walka z nim jest koniecznością społeczną“.

Prof. dr. Rafał Radziwiłłowicz krótko zdefiniował rolę lekarza: „rola lekarza w walce z alkoholizmem jest bardzo ważna, jego zadania pierwszorzędne i odpowiedzialność za niespełnienie tych zadań bardzo wielka“.

Zwracam uwagę na broszury: D-ra Aleksandra Kuropatwińskiego: „Stan Lekarski, a idea abstynencka“ (1930), Prof. D-ra P. Gantkowskiego: „O stosunku lekarzy do walki z alkoholizmem“ (1934) i J. Szymańskiego: „Lekarze Polscy o alkoholizmie i walce z nim. Myśli i aforyzmy“ (1933), oraz art. prof. D-ra R. Radziwiłłowicza: „Rola i zadanie lekarza w walce z alkoholizmem („Walka z alkoholizmem“ zeszyt XIV — XVII 1929).

Pozwoliłam sobie przytoczyć opinie profesorów-lekarzy zamiast udawadniać własnymi argumentami, konieczność szerokiego uwzględnienia przez lekarza społecznego zagadnienia walki z alkoholizmem. Ich głos jest tu decydujący. Są to przedstawiciele wiedzy i najkompetentniejsi świadkowie nieskończonych tragedji, które ciągną się łańcuchem nieprzerwanym z pokolenia na pokolenie, w postaci przede wszystkim pomniejszonej odporności organizmu ludzkiego, a zwiększonej pobudliwości systemu nerwowego, łatwo bardzo ulegającemu mniej, lub więcej ciężkim schorzeniom. Stanowcze stanowisko zajęte przez ludzi nauki, powinno się stać nieomylnym słupem orjentacyjnym dla lekarzy społecznych na ich drodze ku uzdrawianiu warunków socjalnych. Dr. Pesta słusznie powiada, że lekarz powinien nie tylko leczyć chorych, lecz zająć się i profilaktyką, otoczyć opieką zdrowego człowieka. A jak to można robić bez uwzględnienia roli, jaką alkoholizm gra we wszystkich komórkach naszego życia? Bez wykazania zdrowym, że doprowadza on do ruiny materialnej i moralnej, bez udowodnienia chorym i wykojejonym, jak błądzili, pozwalając alkoholizmowi rozwielić się w swem życiu, ani zdrowia się nie utrzyma, ani chorych nie wyleczy.

I tu niejako samo się narzuca stwierdzenie, jak fatalnym jest fakt braku katedry alkoholologii na uniwersytetach. Niepodobna sobie wyobrazić, aby młodzi lekarze opuszczali mury uniwersyteckie w stanie takiej zupełnej niewiedzy, czem jest alkoholizm (jak to się dzieje obecnie), gdyby mieli kurs alkoholologii wyłożony przez profesora. To też niezmiernie słusznie dyr. dr. Stanisław Deresz pisał, że „wprowadzenie nauczania alkoholologii na wydziałach lekarskich wszechnic jest konieczne dla prawidłowego rozwoju medycyny zapobiegawczej. Lekarze winni zwrócić baczniejszą uwagę na chorobotwórcze znaczenie alkoholu“.

Katedra alkoholologii na uniwersytetach jest kwestją palącą, od której w dużej mierze zależy owocność pracy lekarza społecznego.

Tak mówią o alkoholizmie lekarze. A co napisał w tej sprawie Żeromski, pisarz, który, jak wiemy, stan lekarski wyniósł do godności kapłaństwa? Otóż jest taka jedna rozmowa—niezapomniana przez tych, którzy za czasów swej młodości uczyli się z niej wielu prawd i którzy z pytania Olesia, „jak odnaleźć własną duszę“, uczynili codzienną żarliwą modlitwę o „świętość dla własnej duszy“, by się potem ona w jakimś czynie mogła rozplómić.

Oleś mówi do Czarowica, że „chciałby człowiek dowiedzieć się, co robić, żeby w sobie znaleźć świętą duszę. Czy się modlić wciąż we dnie i w nocy, czy pościć, czy się umartwiać i spowiadać, czy pracować a pracować? A jakże potem wysłać ze siebie świętą duszę na świat? Bo przecie świętość na świecie musi być, tylko jej nikt a nikt nie może wy-dostać. Ona leży pod rumowiskiem, jako ten żywy człowiek, co go za-sypały zwalone domy... Ludzie wszyscy wiedzą i szepcą między sobą o tem, że ona tam jest pod tymi głazami. Niektóry człowiek, to drży na ciełe od myśli, że ona tam półmartwa leży pod zwaliskiem, że na jej piersiach rumowie i piach... A po wierzchu tłum łązi, robi, baraszkuje. hula, śmieje się, skacze do tańca. Oddałby człowiek swoją krew, żeby w sobie świętą, chwacką duszę znaleźć, coby wyszła na te gruzy z kilo-fem...”

Czarowic odpowiada: „Nie łatwa na to odpowiedź... Gdybyż to człowiek mógł ująć stylisko ciężkiego kilofa, ażeby co dnia odwalać gruzy, pod którymi świętość leży! Gdybyż mógł nie znać innej troski, nad troskę, którą stwarza praca, i innej myśli nad jasną myśl o odkopaniu świętości. Ale ziemia przeludniła się od kanalji, która pracownikowi kradnie kilof, młot z rąk wydziera, podstępnie zawała głazami chodnik odkopany. Łotrostwo dybie na czcigodną pracę, chowając sztylet pod połą pięknej szaty. Usłyszycie o posłannictwach, o apostołstwach, o prawach narodowych i społecznych, uwierzycie i będziecie biegli bosemi swemi nogami. Ale wkrótce ujrzycie sami, jak łotrostwo łotrostwu wydziera łupy, zdobyte potem i krwią bezimiennych nędzarzy, jak zgnilizna oszukuje zgniliznę, byleby jaknajdłużej trwać... Musi pracownik odrzucić sprawiedliwy kilof i uczciwy młot, odpasać najdostojniejszą szatę, fartuch skórzany. Musi jeszcze wdziać żelazne rękawice i zbroję okrucieństwa. Trzeba jeszcze mieczem bezlitosnym ścinać i rzucać w jamy mogił kanalję, wyrosłą ze zwyrodnienia ludzkiego rodzaju. Trzeba jeszcze z ramienia rąbać łupiestwo i uprzywilejowany gwałt.

„Jedno wam doradzę: nie bierzcie nigdy do ust wódki. Wszystko, co czyni człowiek prawy, musi wytryskiwać z trzeźwości myśli i zimnego stoku niepodnieconego uczucia. Ani jeden krok człowieka prawego nie może być rezultatem sztucznego podniecenia. Cokolwiek powstaje za sprawą wódki, jest niskie, nieplodne, niecelowe, nieduchowe, historyczne, a najczęściej podle. Z trzeźwości myśli i z siły niepodnieconego uczucia narodzi się tak wielka zdolność do ofiary, jak w twoim ojcu, Michał — wytryśnie, jak owoc z kwiatu, niestrudzona praca i upór nieprzełamny, oraz to, co jest najdostojniejszą cnotą mężczyzny, żeby umiał przez całe życie godnie dochować wierności młodej tajemnicy swojego serca. A jak mianowicie ma postępować człowiek prawy, co czynić i dokąd iść — tego ja nie wiem, braciszku moi. Sami szukajcie drogi swojej“...

„Dochować wierności młodej tajemnicy swojego serca“. To były słowa, które strzegły tamto pokolenie lekarzy, przed wyrzeczeniem się ideałów młodości, to był program sięgający do dna zagadnień narodowych i społecznych, to było hasło, któremu w porywie młodych serc przysięgano wierność.

„Samy szukajcie drogi swojej“. To brzmiało znów rytmem kroków maszerujących naprzód ku wielkim celom i daleko ukrytej świę-

tości. A w pochodzie miało się pewność, że się własna dusza objawia — mocna, hartowna i wierna.

*

*

*

„Cytadelę“¹⁾ A. J. Cronina przeczytałam po zapoznaniu się z „Pamiętnikami Lekarzy“ i doznałam uczucia ulgi, pewnego pokrzepienia na duchu. Jest to być może słaba pociecha, płynąca z przekonania, że nie tylko u nas jest źle, ale że się niedobrze dzieje i w innym państwie, które nie przechodziło 120-letniej niewoli i któremu nikt nie przeszkadzał w wolnym urządzaniu sobie życia, tem niemniej powstaje złagodzenie sądu o naszych stosunkach, pewna wyrozumiałość na braki. Bogata Anglja, demokratyczna i kulturalna, szczytująca się wielkimi osiągnięciami we wszystkich chyba dziedzinach, ma kulisy życia zawodowego stanu lekarskiego i stanu sanitarnego (według tego autora) tak ciemne i tak zacofane, że poczynania nielicznych śmiałków, zmierzające do naprawy stosunków, robią wrazenie głosu wołającego na puszczy.

Powieść Cronin'a maluje obyczajowe wykonywanie zawodu lekarskiego, będące właściwie różnorodnymi sposobami wyzysku, stosowanego planowo i cynicznie w stosunku do chorych naprawdę, lub też chorych z „urojenia“. Tym ostatnim nie mówi się, że właściwie nic im nie brakuje, tylko wyzyskuje się ich przewidzenia, zapisuje nic nie znaczące lekarstwa, byle zarabiać, byle nabijać kieszenie. Chorych leczy się dawno przebrzmiałymi metodami, nie uwzględnia się nowych wyników wiedzy. Stan zacofania lecznictwa prowincjonalnego jest skandaliczny, zrutynizowanie środków osiągnęło szczyt mechanicznego aplikowania paru lekarstw, wykluczającego indywidualne traktowanie chorego. Rutyna i wyzysk, sprzysiężenie stanu lekarskiego w celu ograbienia pacjentów i bezduszne, martwe operowanie poszufladkowanemi wiadomościami w ciągu dziesiątków lat nieodświeżanemi; oto w paru słowach scharakteryzowanie stanu lekarskiego kraju, według Cronin'a. Poprostu oczy się przeciera w zdumieniu i przerażeniu. Starsi lekarze biorą sobie do pomocy młodszych i cały zarobek ich zabierają dla siebie, płacąc asystentom znikomy procent, nieproporcjonalnie mały do tego, co sami sobie zatrzymują.

Młody lekarz, Andrzej Manson, przybywszy do zapadłej osady górniczej w południowej Walji, ożywiony zapalem do pracy, pełen projektów i marzeń co do swej działalności, napotyka mur niechęci i nieufności ze strony zwartego klanu lekarskiego, który od razu zorjentował się w niebezpieczeństwie, jakie przedstawia dla nich jednostka, o silnej indywidualności, pragnąca rzetelnie pracować i uczciwie wykonywać swój zawód. Bardzo prędko zorjentował się dr. Manson, że:

„sytuacja była osobliwa i daleko odbiegała od wszystkich jego wyobrażeń. Jednak, mimo wszystko, jedynie ważną rzeczą była praca, reszta nie miała znaczenia. Tęsknił za pracą. Przyśpieszył nieznacznie kroku. Szedł w radosnem uniesieniu, szedł do pierwszego swego pacjenta“. „Teraz — bardziej niż kiedykolwiek — zdawał sobie sprawę, jak wiele znaczyła dlań praca. Świadomość ta żyła w nim nieustannie we-

1) A. J. Cronin: „Cytadela“. Warszawa, Przeworski. 1939. Str. 465.

wnętrznem ciepłem. Była jakby ogniem, przy którym rozgrzewał się w chwilach zmęczenia, niepokoju, rozczarowania“.

„Andrzej rzucił się w wir kampanji przeciw-tyfusowej z żarliwym zapalem, właściwym swej płomiennej i gorącej naturze. Kochał swą pracę i czuł się uszczęśliwiony sposobnością, która się nadarzyła mu na początku kariery medycznej. Pracował w radosnem uniesieniu“.

Kampanja przeciw-tyfusowa jest tak charakterystyczna dla panujących tam stosunków, że niepodobna o niej nie wspomnieć. Gdy dr. Manson skonstatował wypadki tyfusu, zwrócił się do starszego lekarza Page, u którego pełnił rolę asystenta, z pytaniem, co robić. Odpowiedź brzmiała:

„Zawsze było z tem trudno. Nie mamy szpitala, nie mówiąc już o odosobnionych pokojach. Gdyby pan zetknął się z niebezpiecznym przypadkiem, proszę zatelefonować do Griffitha w Toniglan, odległego stąd o 15 mil. Griffith jest sanitarnym inspektorem rejonu. Znow zapanaowało milczenie. Obawiam się jednak, że nie wiele pomoże“.

Istotnie, alarmujące telefony do d-ra Griffith'a nie dały żadnego rezultatu, gdyż nigdy nie można go było zastać w domu, a raczej odpowiadał on sam w tubę telefoniczną, że jest nieobecny, że wyjechał na partję golfa. Zbadano wodę w kanale i przekonano się, że ona jest źródłem zarazy. Ale Griffith'a nie można było przekonać, że kanał należy zburzyć, a nowy wybudować.

Inny lekarz, Filip Denny, znający warunki miejscowe i tak jak Manson będący człowiekiem czynu, poinformował d-ra Andrzeja, że „winę ponosi tu główny kanał. Przecieka djabelnie i zatrzuwa połowę conajmniej studni w niższej części miasta. Aż do znużenia dobiejałem się w tej sprawie do Griffith'a. To jest leniwa, wykrętna, nieodpowiedzialna, układna świnią. Podczas ostatniej rozmowy telefonicznej zapewniłem, że zbiję mu mordę, gdy go spotkam“.

Chcąc położyć kres epidemji, dr. Denny z dr. Mansonem, postanawiają wysadzić dynamitem kanał, gdyż Denny twierdzi: „że można napisać tuzin listów i w rezultacie przyślą tu za pół roku niedołęznego urzędnika. Nie. Przemyślałem to już wszystko. W jeden tylko sposób można ich zmusić do budowy nowego kanału. Jak? Gdy wysadzi się w powietrze stary“.

Postanowili i oto w jaki sposób dokonali czynu, za wykrycie którego ponieśliby niewątpliwie ciężką karę.

„Noc była ciemna, a na każdej przecznicy porywisty wiatr i strugi deszczu siekły w twarz. Denny opracował starannie plan i obrał najodpowiedniejszą porę. Ostatnia zmiana zjechała do kopalni przed godziną. Kilku wyrostków wałęsało się na końcu ulicy przed sklepem ryb starego Tomasza, poza tem ulica była pusta.

„Obaj mężczyźni i pies szli powoli. W kieszeni ciężkiego płaszcza Denny niósł sześć ładunków dynamitu, skradzionych tego dnia z prochowni kamieniołomów przez syna jego gospodyni, Toma Seagera. Andrzej niósł 6 puszek od kakao, każda miała przedziurawione dno. Oprócz tego miał elektryczną latarkę i długi lont. Szedł niedbałym krokiem, z podniesionym kołnierzem płaszcza. Od czasu do czasu rzucał ukradkowe spojrzenie na Filipa. Targany sprzecznymi uczuciami i myślami, odpowiadał półsłówkami na zwięzłe uwagi Denny'ego. Zastanawiał się

posepnie, coby też pomyślał o nim poczciwy, wyznający niezachwiane zasady profesor Lamplongh, gdyby wiedział o tej strasznej nocnej wyprawie.

„O razu za Glydar Place dotarli do głównego wjazdu kanału. Zardzewiała pokrywa żelazna przytwierdzona była do oblupanego cementu. Przystąpili do pracy. Brudna pokrywa leżała nietknięta od lat, lecz po dłuższej chwili szamotania się udało się ją dźwignąć. Wówczas Andrzej skierował dyskretne światło latarki w cuchnącą głębię, gdzie po wykruszonym murze sączył się leniwie brudny strumień.

„Piękny widok, nieprawda? — syknął Denny. — Niech pan spojrzysz na te pęknięcia i szczeliny. Niech pan spojrzysz po raz *ostatni*.

„Nie padło już więcej żadne słowo. Z niepojętej przyczyny zmienił się nastrój Andrzeja. Czuł w sobie potężny poryw, radosne uniesienie i zapal, dorównujący zapalowi Filipa. Zaraza uśmiercała ludzi, a małostkowa biurokracja nie przedsiębrała żadnych środków zaradczych: Nic tu nie mogła już pomóc troskliwość lekarza i butelka lekarstwa z ładną etykietą!

„Zwawo zabrali się do roboty. Do każdej puszkę wkładali ładunek dynamitu. Odcinali lonty odpowiedniej długości i przytwierdzali je. Zapałka błysnęła w ciemności, ukazując bladą, zaciętą twarz Filipa i drżące dłonie Andrzeja. Pierwszy lont zasyczał. Jedna po drugiej wpadały niszczycielskie puszki wgiąb, unoszone leniwą strugą. Najpierw wrzucili puszki z najdłuższymi lontami. Andrzej widział wszystko, jak przez mgłę. Serce waliło mu ze wzruszenia. Nie była to może tradycyjna praktyka medyczna, lecz była to niewątpliwie najwznioślejsza chwila w jego życiu. Gdy ostatnia puszkę z krótkim lontem leciała z sykiem wdół, Hawkins zaczął się uganiać za szczurem. Nastąpiła wstrząsająca chwila, wypełniona ujadaniem psa i dławiącym lękiem, iż dynamit wybuchnie tuż pod ich stopami. Udało im się wreszcie złapać psa. Przykryli wjazd i co siłą rzucili się w górę ulicy.

„Dobiegli zaledwie do rogu Radnor Place i przystanęli na chwilę, by rzucić okiem za siebie, gdy nagle — bum! — pierwsza puszkę wybuchła.

„Na litość boską! — zawołał tryumfalnie Andrzej. — Dokonałiśmy tego, Filipie!

„Denny stał mu się nagle bliski, pragnął uścisnąć jego dłoń, pragnął krzyknąć ze szczęścia.

„Szybko i wspaniale następowały po sobie przygluszone wybuchy: drugi, trzeci, czwarty, piąty i ostatni, cudowny huk eksplozji, która nastąpić musiała o ćwierć conajmniej mili w dole wąwozu.

„Tak — powiedział Denny przytłumionym głosem. — Zdawało się, że cała, utajona gorycz jego życia wyładowała się w tem jednym słowie. O jedno święństwo mniej!“

„Nazajutrz przed godziną ósmą przybył samochodem dr. Griffith, męczyszna okazałej tuszy i o cielistym wyrazie twarzy. Był zatrwożony. Wyrwał go z ciepłego łóżka i dosadnie zwymyślał radca Glyn Morgan. Griffith mógł lekceważyć wezwanie miejscowych lekarzy, lecz niepodobna było nie posłuchać gniewnego rozkazu Glyn Morgana. W samej rzeczy Glyn Morgan miał powód do złości. Nowa willa pana radcy, położona w odległości pół mili w głębi doliny, otoczona została ka-

łużami cuchnących brudów. Pan radca, wspomagany przez dwóch stronników, Hamara Daviesa i Deawna Roberta — donośnym głosem dawał do zrozumienia inspektorowi sanitarnemu, co o nim myśli.

„Griffith, ocierając pot z czoła, zbliżył się pod koniec tego przemówienia do Denny'ego, który wraz z Mansonem stał wśród zaciekawionego i zbudowanego tym kazaniem tłumu. Dreszcz trwogi wstrząsnął Andrzejem na widok zbliżającego się inspektora. Po niespokojnej nocy radość nieco przygasła. Gdy w zimnym świetle poranka ujrzał zniszczoną drogę, odczuł niepokój i zmieszanie. Jednak Griffith nie żywił żadnych podejrzeń.

„Ach, człowieku, człowieku — bełkotał. Będziemy musieli teraz przeprowadzić nowy kanał dla pana.

„Twarz Denny'ego pozostała niewzruszona. Ostrzegalem pana przed wielu miesiącami — powiedział chłodno. Czy przypomina pan sobie?

„Tak, tak, w istocie! Lecz skądże mogłem przewidzieć, że ten przekłety kanał pęknie w ten sposób? Nie pojmuję, jak to wszystko mogło się stać.

„Denny spojrział nań obojętnym wzrokiem.

„Gdzież jest pańska znajomość urzędzeń sanitarnych, doktorze? Czy nie wie pan, że gazy ściekowe mają wielką siłę wybuchową?

„Następnego poniedziałku podjęto budowę nowego kanału“.

Oto jak w Anglii przeprowadza się podstawowe zasady higieny zapobiegawczej w 1924 r. Z satysfakcją przytoczyłam powyższy urywek. Niech zatwardziali pesymiści i ci, co stale, „zawodowo“ narzekają na nasze stosunki, dobrze go sobie zanotują w pamięci i zechcą dojrzeć, że obok wielkich braków i niedociągnięć robi się u nas wiele i w wysiłku dopędzenia zaległości, bynajmniej nie jesteśmy na szarym końcu.

Stan szpitalnictwa angielskiego również nie jest do pozazdroszczenia, skoro w samym Londynie sprawa ta tak się przedstawia:

„W wielu nagłych wypadkach niezbędny był natychmiastowy zabieg chirurgiczny w szpitalu. Tu Andrzej napotykał największe trudności. Umieszczenie pacjenta w szpitalu — nawet w najgroźniejszym wypadku — należało do najtrudniejszych na świecie zadań.

Takie wypadki zdarzały się zazwyczaj późną nocą.

W płaszczu i marynarce, narzuconych na pyżamę, w szaliku na szyi, w kapeluszu zsuniętym na tył głowy, telefonował wówczas Andrzej do wszystkich po kolei szpitali, błagając, zaklinając, grożąc, lecz wszędzie spotykał się z tą samą odmową, z krótkim, bezczelnym pytaniem: „Jaki doktor? Kto? Nie, nie! żałuję, nasz szpital jest przepełniony!“

„Wracał do Krystyny, siny z wściekłości.

„Nie jest wcale przepełniony. W St. John mają mnóstwo łóżek dla protegowanych chorych. Dla obcego są zimni, nieprzystępni. Chętnie ukręciłbym łeb temu młodemu szczeniakowi! To haniebnie, Kris! Zdarza mi się uwięźnięta przepuklina i nie mogę znaleźć łóżka! W Londynie! sercu zatraconego Imperjum Brytyjskiego. Tak prezentuje się nasz system szpitalnictwa. I jakiś filantropijny głupiec oznajmia pewnego dnia na bankiecie, że jest ono najwspanialsze na świecie. Dla biedaka pozostaje wciąż dom zarobkowy. Wypełniają formularze: ile

pan zarabia? jakie wyznanie? czy pańska matka pochodziła z prawego łoża? A jego dręczy tymczasem zapalenie otrzewnej!“ „Pokonywał trudności, zmagał się często z brudem i nędzą, a Krystyna nieodmiennie mówiła:

„To jest prawdziwa praca. I to wydaje mi się najistotniejsze.

„Nie może to jednak sprawić, by pluskwy stroniły odemnie — odburknął Andrzej, idąc do łazienki“.

Manson przeciwstawia poznawanym fatalnym stosunkom swoją młodą, nieużytą energję do pracy i namiętną potrzebę zwalczania rzeczy, które wydają się mu niemożliwemi do tolerowania. Zrozumiał również, że chcąc pozyskać posłuch i szacunek zarówno wśród kolegów, jak i wśród społeczeństwa, musi zdobyć pewne tytuły naukowe, zapewniające lekarzowi autorytet i awanse późniejsze. Obok więc ciężkiej pracy zawodowej, zaprzęga się do systematycznej nauki, przygotowującej do egzaminu na Członka Królewskiego Towarzystwa Lekarskiego. Było to przedsięwzięcie trudne, wymagające ogromnego napięcia woli, to też

„niekiedy uderzała Andrzeja śmieszność całej sprawy; słyszał zdala drwiący śmiech, gdy w tym odcięty od świata mieście górniczem siedział przy stole ze swoją żoną, powtarzając za nią *caput, capitès*, albo *Madame, est-il possible que?*, brnąc przez deklinacje, nieregularne czasowniki, czytając na głos Tacyta i dobyty skądś patryjotyczny podręcznik „Pro Patria“.

„Musiał przy tem uporać się z praktyką, na naukę pozostawały tedy długie noce. Podtrzymywany na siłach czarną kawą i z mokrymi ręcznikami na czole przedzierał się naprzód, czytając do wczesnych godzin rannych. Gdy zaś zasypiał, budził się obłany potem, udręczony senną zmorą, a głowę rozrzedzały formuły, terminy i niewyciężone trudności jego ułomnej francuszczyzny“.

Nauka ta przypomina mu lata studjów uniwersyteckich, które również do lekkich nie należały.

„Stypendjum Glena i z humorem traktowana głódówka pozwoliły Andrzejowi przebrnąć przez studja na uniwersytecie, a potem — w Szkole Medycznej w mieście Dundee. Wdzięczność wobec fundacji i nadmierna uczciwość kazały mu pośpieszyć do południowej Walji, gdzie świeżo dyplomowani medycy mogli otrzymać najwyższe wynagrodzenie, sięgające 250 funtów rocznie“.

Pojechał tam, by ratami jaknajprędzej spłacić stypendjum.

Upragniony tytuł, Członka Królewskiego Tow. Lekarskiego po udanym egzaminie, otrzymał — dopiął celu. Miał więc przed sobą otwartą drogę do awansów i karjery.

Na razie całkowicie pochłonęła go praca nad zbadaniem wpływu pyłu antracytowego na choroby płucne, rozumiał doniosłość, wynikającego z takich badań, zapoczątkowania prawodawstwa z dziedziny chorób zawodowych, mogącego mieć wielkie znaczenie społeczne.

„Po pełnym przeglądzie klinicznym stanu płuc wszystkich robotników swego rejonu i uporządkowaniu osiągniętych danych, miał w ręku niezbity dowód przewagi chorób płucnych wśród górników z kopalń antracytu. Choroby płuc zbierały wśród starych górników tych kopalń pokłosie śmierci trzykroć prawie obfitsze niż wśród robotników

kopalń węglowych, Andrzej ułożył serję tablic, odtwarzających często-
tliwość chorób płuc wśród różnych grup pracowników z kopalń antra-
cytu“. „Należało z kolei dowieść, że pył działał szkodliwie, że niszczył
tkanki płuc, że nie był czynnikiem ubocznym bez znaczenia, lecz spraw-
cą zła. Andrzej musiał dokonać szeregu doświadczeń na świnkach mors-
kich dla wyświetlenia wpływu i działania pyłu krzemionki na płuca“.
„Bez trudu zdobył kilka świnek morskich. Urządzenie niezbędne dla
doświadczeń było proste“. „Potem zbudował prostą komorę pylną.
W określonych godzinach dnia umieszczano tam zwierzęta, gdy inne—
niewystawione na działanie pyłu — służyły za materiał porównawczy“.

I tu się zaczyna coś, czemu trudno jest dać wiarę. Podczas nie-
obecności Andrzeja, wtargnęła do mieszkania komisja, składająca się
z czcigodnych osób miejscowego zorganizowanego i wszechwładnego
kołtuństwa, zabrała świnki w świętem oburzeniu, że się nad nimi znę-
ca doktor i by zapewnić im zupełne bezpieczeństwo, poleciła je... utopić,
a doktorowi wytoczono proces.

Działo się to wszystko w 1924 r.

Jeden z przyjaciół Mansona, Oven, słusznie powiada, że „człowiek
taki jak pan, który spełnia zadania pioniera i jest dostatecznie uczci-
wy, by głosić otwarcie swe poglądy, musi z konieczności... — no, więc,
powinien pan wiedzieć, że są ludzie, którzy pragną skrócić panu kark“.

Karku Mansonowi nie skręcono, ale przejście to deprymująco po-
działało na niego: „czuł się zmęczony, podrażniony, znękany. Zastana-
wiał się w rozgoryczeniu, czy przez całe życie będzie przebijał głową
kamienne mury?“

Wypadek ten, wraz z całym szeregiem innych trudności, zaważył
niewątpliwie na szali późniejszego załamania się d-ra Mansona i zbo-
czenia z drogi młodzieńczych ideałów. Tego rodzaju przejścia są próbą
sił, próbą odporności wewnętrznego świata, przez które przechodzi ka-
żdy, kto w swej działalności przeciwstawia się wszelkiej łatwiznie i wy-
godzie, tak umiłowanej przez szary, przeciętny tłum, mający, nieste-
ty, swych popleczników i obrońców pomiędzy stróżami ustanowionego
ładu i porządku.

Andrzej pracował ciężko „nie dlatego, niestety, że miał zbyt wie-
lu pacjentów, lecz powodu śniegu, ciężkiej „wspinaczki“ do wyżej po-
łożonych części rejonu i znacznych odległości. Podczas odwilży, gdy uli-
ce przeistaczały się w grzęzawisko przed ponownem zamarzeniem
w nocy—wędrowki były ciężkie i trudne. Często wracał do domu z prze-
moczonymi końcami nogawek, tak, że Krystyna kupiła mu kamaszki,
Gdy wieczorem opadał znużony na fotel, kłękała i zdejmowała mu cięż-
kie buty i podawała pantofle. Nie był to akt usługi, lecz miłości“.

Jakże to bliźniaczo podobne do powrotów z pracy naszych leka-
rzy społecznych! Albo badanie chorych „w małej, szczęśliwej klitce,
służącej za pokój przyjęć. Od natłoku pacjentów pokoił nasiąkł odorem
potu i wilgotnych ciał. Przychodzili górnicy z potłuczonymi kolanami,
okaleczonymi palcami i chroniczną podagrą. Ich żony i dzieci przezie-
bione, kaszlące, dotknięte wszelkimi drobnymi dolegliwościami“.

Dr. Manson pragnął w każdej dziedzinie życia przeprowadzić re-
formy, które wydawały mu się niezbędne. Zastanawiając się nad ja-

kością stosunków, panujących pomiędzy lekarzami, doszedł do przekonania, że:

„nie tworzyli wspólnoty, nie współdziałali, nie utrzymywali przyjaznych stosunków. Byli sobkami, wrogo dla siebie usposobionymi, w myśl konkurencyjnego systemu, panującego w zawodzie lekarskim na terenie całego kraju. Każdy starał się zdobyć dla siebie jak największą liczbę pacjentów. W rezultacie powstawały zawistne podejrzenia i wrogie uczucia. Andrzej widział naprzykład, jak Urquhart powitał pacjenta Oxborrowa, który przyniósł mu swoją kartę; wziął do połowy opróżnioną butelkę lekarstwa z rąk chorego, odkorkował ją, powąchał wzgardliwie i ryknął:

„A więc to dawał panu Oxborrow! Niech to djabli! Powoli zatruwał pana“.

Tego rodzaju odezwanie się o koledze wobec pacjenta, w warunkach solidarności zawodowej i etyki byłoby zupełnie wykluczone. Manson uważał, że niewłaściwym jest system pracy lekarskiej. „Harujemy i zameczamy się, wzajemnie się zwalczając, jakbyśmy nie byli członkami tej samej społeczności lekarskiej ze wspianiami możliwosciami wspólnej pracy! Każdy ze znanych mi lekarzy zaklina się, iż praktyka jest psiem życiem. Powie wam, że haruje, zdziera nogi, nie ma chwili wolnej dla siebie, nie ma czasu na posiłek, musi być gotów na każde zawołanie. Dlaczego tak jest? Dlatego, że w naszym zawodzie nie podjęto prób organizacji. Dam wam jeden przykład, choć mógłbym przytoczyć dziesiątki. Nocne wezwania! Wszyscy wiemy o tem, iż kładziemy się spać z obawą, że nas obudzi wezwanie do chorego. Nasze noce są okropne, bo wisi nad nami groźba wezwań. A gdybyśmy wiedzieli, że nie można nas wezwać? Gdybyśmy na początek zorganizowali system współpracy nocnej?“

Gdy się zastanawia nad stosunkami panującymi w Anglii w zakresie lecznictwa, na podstawie książki Cronin'a, to się ma wrażenie, że źródło złego leży nie tyle w tragicznej nędzy materialnej i ciemności mas, lecz przede wszystkim w wypaczeniu moralnem środowiska lekarzy, urzeczonych perspektywą osiągnięcia jaknajwiększych zysków, za jakąkolwiek cenę. Każda droga prowadząca do tego celu jest dobra — nie ma żadnych więzów, któreby mogły powstrzymać w biegu do zdobycia rekordu bogactw. Jest to zjawisko nie występujące masowo w naszym świecie lekarskim; są, rzecz prosta, jednostki, którym własna kieszeń jest bliższą niż sumiennie i uczciwie wykonywany zawód — to są — może nawet liczne, ale wyjątki. Ogół lekarzy, to ludzie, których słusznie otaczamy większem uznaniem, niż przedstawiciele innych fachów, gdyż przywykliśmy widzieć w nich wartości moralne, wpływające z samego rodzaju pracy, będącej pomocą cierpiącym, w tem najszerszem tego słowa znaczeniu. Tu trzeba jaknajwyraźniej podkreślić różnicę, istniejącą pomiędzy naturalnem i słusznem wymaganiem lekarzy, by praca ich dawała im możliwość zaspakajania potrzeb materialnych i kulturalnych, bo tylko wówczas będą się czuli o tyle dobrze, że praca ich stanie się w całym tego słowa znaczeniu pełnowartościową i wydajną, a pogonią za bogactwem, za luksusem, graniczącą z zatręceniem poczucia dobra pacjenta. Chodzi o ów wewnętrzny umiar, o równowagę takiego uregulowania kwestji materialnej, któraby nie po-

ciągała za sobą krzywdy chorego. Są to rzeczy niesłychanie względne, trudne do ścisłego określenia. Sprawdzian tych norm tkwi niewątpliwie w sumieniu lekarza. René Dumesnil*) kategorycznie podkreśla, że to wszystko, co u zawodowców innego działu pracy ludzkiej, jest czemś naturalnym, dozwolonym, a nawet koniecznym, dla lekarza już bywa niedopuszczalnym z punktu widzenia specjalnej etyki lekarskiej. Wyrośliśmy w atmosferze pewnego kultu dla stanu lekarskiego i tego już niepodobna wyrwać z naszego światopoglądu. Działa tu, rzecz prosta, wiecznie żywy wpływ Judyma, który nas za młodu kształtował. A wiedzieliśmy dobrze, że nie jest on typem tylko książkowym, bośmy ciekawymi oczami młodości patrzyli na lekarzy, szerszemu ogółowi nieznanym, lecz jakże cenionym i kochanym przez ludność ubogą naszych kresowych miasteczek, którzy nieśli serdeczną i mądrą pomoc zarówno biednej żydówce, ostrożnie kładnącej na biurku... jajko, jak i takiemu pacjentowi, który zostawiał 1 rb. sr. Wydany obecnie „Pamiętnik Lekarzy“ jeszcze silniej, jeszcze przemożniej utrwała przeświadczenie, że prawdziwym lekarzem może być tylko człowiek mający do tego, powołanie“. Ta świadomość „powołania“ staje się rękojmnią, że trudna, zagmatwana strona materialna przez tego rodzaju ludzi, będzie załatwiana należycie i sprawiedliwie.

Historja życia młodych, szlachetnych lekarzy zasadniczo jest wszędzie do siebie podobna. Zabarwiony specjalnym kolorytem lokalnych warunków, ale zawsze ten sam zorganizowany, tępy, mściwy i zawistny sprzeciw czynników zacofania, ciemnoty i tępoty umysłowej staje do walki z młodością i z tem wszystkim, co ona reprezentuje najszlachetniejszego i najwartościowszego. Trzeba podkreślić, że Judym w walce o Cisy, nie napotyka na równie silny cynizm wyrafinowanej przebiegłości, ani już na tak do gruntu zapełniałą „góre“ wpływowych potentatów, jak to ma miejsce w życiu Mansona, a pamiętajmy, że jedną książkę od drugiej dzieli dobre dwadzieścia kilka lat (opisywane są przez Cronina lata 1924 - 25). No, i miejmy na uwadze, że to się wszystko dzieje w Anglii, kraju, który zawsze był wolny i bogaty i nikt obcy nie hamował naturalnego rozwoju.

Cronin niezmiernie plastycznie przedstawił demoralizującą potęgę pieniędzy. Człowiek w pogoni za stałym powiększaniem zysku, wyzbywa się wszystkich cech uczciwości, elementarnej lojalności wobec bliźniego, którego traktuje jako łup, dla swej żarłoczności nigdy nienasyconej. To wszystko, co wiemy o wyzysku wielkiego kapitału przemysłowego da się zastosować, według Cronina, do zorganizowanej kasty dobrze sytuowanych lekarzy, którzy lukratywną domenę leczenia niemal zmonopolizowali w swem ręku. Młodszy narybek lekarski musi się tej świetnie prosperującej mafji, wysługiwać, oddając znaczną część zarobku szanownym swym patronom, a po pewnym czasie jednostki lojalne, potulne, bierne, bez inicjatywy, bez ideałów, w drodze łaski bywają wspaniałomyślnie dopuszczane do zgranego towarzystwa wydrwigraszów i otrzymują swoją porcję, swój udział w zaszczytach i bogactwie. Natomiast z tymi śmiałkami, co mają odwagę zamącać błogi stan rzeczy, co wnoszą niepożądane, zgubne, niebezpieczne „nowinki“ lekar-

*) René Dumesnil: „L'âme du Medecin“.

skie i jeszcze niebezpieczniejsze ideje społecznej sprawiedliwości, prowadzą walkę stałą, zjadłą, mściwą i nieprzebierającą w środkach. Chodzi o to, by takiego intruza zetrzeć na miazgę, unieszkodliwić, unicestwić. Albo też, gdy taki młody człowiek, w ogniu walki, której wytrzymać nie ma sił, skapituluje, pokornie się podda dotychczasowemu wrogom i przyrzeknie grzecznie posłuszeństwo, wówczas rozbrojonego przeciwnika zapraszają do wspólnego „interesu“, przebaczą winy, obdarzają zaufaniem, zaszczytami, pieniędzmi, by już nigdy nie wymknął się z ich sfery i nie zaczął płać nowych figlów. Są pewni, że łatwo zdobywany pieniądź, ostatecznie „wykończy“ niesfornego młokosa, że dobrobyt całkowicie oziębi zapał i zasklepi w dosycie gorące ongiś serce. Na własnej skórze doświadczył, jak smakuje bieda i poniżenie zawodowe, jak gorzką jest świadomość beznadziejności tego wszystkiego, co tak dręczy, zupełnego zatracania godności i miłości własnej, którą wszak każdy posiada. Tu narastać poczyna konflikt między tem, czem się chciało być i co się chciało zrobić, a możliwością działania, która jest całkowicie sparaliżowana przez kolegów starszych. Nierówność szans w tej walce jest oczywista. To też przeważnie zwycięża małość natury ludzkiej, jej ułomność, hipnotyzowana perspektywą bogactwa i powodzenia.

Andrzej Manson również się załamuje. Sukces, jaki osiąga stopniowo w Londynie, duże zarobki, które jednak od razu poczynają go nie zadawać, lecz budzą żądę coraz to nowych, pchają go na drogę, którą kroczą jego wczorajsi wrogowie, starsi koledzy. Zaczyna czynić ją w nią to samo, co oni, zatracając ideały młodości, zamiera pragnienie twórczej pracy badawczej, wyłania się nowa, odmienna postać d-ra Andrzeja: elegancka, modna. Staje się rozrywaniem lekarzem modnych dzielnic Londynu. Bardzo ciekawie przedstawił Cronin proces stopniowego spadania wartości moralnych, etycznych, przy równoczesnym wznoszeniu się dobrobytu, bogactwa.

„Jednak — mimo usilnych starań — Andrzej nie był już sercem przy tej pracy. Nie mógł odnaleźć żywiołowego entuzjazmu dawnej pracy badawczej. Zbyt wiele miał doniosłych wypadków w swej praktyce i jego umysł zbyt był pochłonięty, by móc skupić się na niejasnych, może nawet urojonych objawach. Wiedział doskonale, ile czasu wymagało dokładne badanie pacjenta. On tymczasem ustawicznie się śpieszył. Ten argument był nieodparty. Wkrótce obwarował się szafcem logiki. Po prostu nie mógł dokonać takiej rzeczy.

„Biedacy, którzy zgłaszali się do przychodni, niewiele żądali od Andrzeja. Jego poprzednik był niewątpliwie prostakiem i póki hojnie zapisywało się leki i od czasu do czasu rzucało się dowcip, popularność trwała niczem niezagrażona. Andrzej nawiązał przyjazne stosunki z doktorem Milliganem i wkrótce przejął jego metodę traktowania stałych pacjentów. Wzywał ich gromadnie przed swe biurko i szybko pisząc: *Mixtura repetatur* — powtórzyć lekarstwo — nie pamiętał o dawnych swych naigrywaniach i szyderstwach z tego klasycznego frazesu. Był na najlepszej drodze wiodącej do sławy doskonałego lekarza szpitalnego“.

„Jak kochał teraz pieniądze, jak straszliwie je kochał! Praca w Victorji (szpital) była bez znaczenia wobec żarliwego pragnienia

materjalnych sukcesów. Nawet w przychodni zapisywał lekarstwa ludziom, którym nic nie było i nakazywał im ponownie się zgłosić“.

„Narkotyk powodzenia był krzepiący i szumiął w krwi, jak pobudzający eliksir“.

Załamaniem linii życiowej d-ra Mansona było zjawiskiem przejściowym, po pewnym czasie przychodzi opamiętanie. Nie mamy miejsca na drobiazgowo analizowanie procesu odradzania się dawnych ideałów. Zwycięzają one ostatecznie i Andrzej zrywa ze światem możnych lekarzy, powraca do „siebie“, do swoich młodzieńczych ideałów.

„Nagle obrzydło mi to wszystko. Zdaje się, że porzucę tutejszą pracę na pewien czas. Na przestrzeni mili kwadratowej naszego kraju żeruje za dużo szakali. Istnieje pewna ilość lekarzy, pracujących uczciwie, dobrze, przyzwoicie, lecz reszta — to szakale. Szakale stosują właśnie niepotrzebne zastrzyki, usuwają migdały i wyrostki robaczkowe, nie wyrządzające szkody, przerzucają sobie pacjentów, jak piłki, dzielą się łupem, spędzają plody, zalecają pseudonaukowe środki, polują bez przerwy i wychnienia na gwineje“.

„Zamierzam uczynić próbę i przestać myśleć o pieniądzach i materjalnych sukcesach. One nie są probierzem wartości lekarza. Gdy lekarz zarabia pięć tysięcy funtów rocznie, coś w tym szwankuje. I dlaczego należy zbijać fortunę na cierpieniach ludzi?“ „Uzmysłowił sobie z niepospolitą wyrazistością, że szczęście było wewnętrznym doznaniem, w pełni duchowym i niezależnym, jakkolwiek brzmiałyby argumenty cyników, od osiągnięć materjalnych. Przez wszystkie te miesiące, gdy walczył i gonił za bogactwem i wysokim stanowiskiem, osiągając wszelkie materjalne sukcesy, ludził się, iż był szczęśliwy. Lecz nie był szczęśliwy. Żył w ustawicznej gorączce i im więcej zdobywał, tem więcej łaknął. Pieniądże: rozmyślał z goryczą. Wszystko dla tych brudnych pieniędzy. Z początku pragnął tysiąca funta rocznego dochodu. Gdy osiągnął tą sumę, natychmiast ją podwoił i uznał ją za maksimum. Lecz zdobyte maksimum nie zadowoliło go. Tak działo się przez cały czas. Pragnął coraz więcej. Nienasycenie zabiłoby go w końcu“.

Żona Andrzeja, Krystyna, to osobny rozdział tej powieści, rozdział bardzo piękny i całkowicie odmienny od skreślonego piórem Żeromskiego, a który można nazwać również imieniem kobiecym: Joasia. Dwa były momenty, które skłoniły Judyma do odtrącenia Joasia.

Pierwszy narastał pod wpływem panującego powszechnie szablonu, zresztą całkowicie usprawiedliwionego, traktowania żony jako pewnego rodzaju kosztownego ciężaru. Kobiety same powodowały takie mniemanie. Można było wydzielić typ kobiety szlachetnej, dobrej, kochającej, biernej, służalco zapredanej mężowi, bez względu na to, jakim on był człowiekiem i całkowicie materjalnie uzależnionej od niego, i kobiety egoistki pełnej wymagań i żądań, którym on nie zawsze mógł sprostać. W jednym i drugim wypadku cały ciężar utrzymania rodziny spadał na mężczyznę. I tego ciężaru na swoje barki Judym, zapatrzony w ideję pokuty i odpowiedzialności wobec swojej klasy, czuł, że nie ma prawa brać na swoje barki. To był jeden powód, a drugi, to lęk przed możliwością stania się samemu „dorobkiewiczem“, zdracząc swoich braci z suteryn. Że Joasia mogła go podtrzymać na drodze wyżej, uczciwej pracy społecznej, tego Judym zrozumieć i wyczuć nie

mógł. W tem tkwiła tragedia Judyma i Joasi. Raz jeszcze mężczyzna skrzywdził do głębi kobietę, zdeptał uczucie i nie dojrzał w niej człowieka. A przecież ona zdawała sobie doskonale sprawę, że są na świecie „poczciwi ludzie, których tępe serce nie przebija ścian domu rodzinnego“. Przecież to ona pisała w swym przedziwnie pięknym pamiętniku, że są młodzi ludzie, którzy „kochać bardzo głęboko umieją i nie sprzedali jeszcze siły, płynącej z czystego serca, ani męstwa, ciskającego rękawicę wszelakiej podłości“. A któż więcej, jak Judym, potrzebował właśnie obok siebie towarzyszek mającej serce i męstwo do walki o nowe oblicze odwiecznych, mrocznych spraw? W ostatniej decydującej rozmowie przed ostatecznym rozstaniem się, Joasia mówi o wspólnej pracy społecznej, lecz Judym nie odczuł i nie zrozumiał, jak bardzo ona odbiegła od owego szablonu kobiet przeciętnych, a on... pozostał niestety, w ramach sądu narzuconego mu przez opinię.

Czytając o Krystynie, żonie d-ra Andrzeja Mansona, niepodobna nie wspominać Joasi, która długo żyła wśród nas tak realnie, jakby nie była postacią z książki. Tragedję jej przeżywało się (w młodości), jako pierwszą, własną, a brutalną krzywdę, zadaną przez zły los. Gniewało się na Judyma za zdegradowanie Joasi (a więc i nas), za potraktowanie jej jako zawady na tej wyniosłej drodze, po której zamierzał sam iść. Wówczas nie rozumiało się psychologicznych pobudek takiego czynu, które obecnie wydają się jasne. Krystyna potwierdza naszą ówczesną pewność, że kobieta nie musi być koniecznym ciężarem, że może i powinna samodzielnie stać obok mężczyzny i razem pracować. Krystyna uosabia zastępy kobiet współczesnych, które, pracując zawodowo, udawadniają samoistną, indywidualną wartość i zupełną niezależność materialną od męża.

Ale Krystyna idzie obok męża nie tylko przekonana najzupełniej o wartości ideałów, które on reprezentuje, nie tylko całą swą postawą życiową ułatwiająca mu wykonanie zawodu, lecz w okresie, gdy on się załamał, zdradził i nie dochował „wierności młodej tajemnicy swojego serca“, pozostaje całkowicie jej wierna i odchodzi psychicznie od Andrzeja. Z bogactw, którymi obsypuje ją mąż, nie tylko nie korzysta, lecz uważa je za największego swego wroga, przestaje być mu towarzyszem i przyjacielem, usiłuje natomiast stale i wytrwale powstrzymać go od tego wszystkiego, co grozi mu zgubą moralną. Cierpi bardzo. Moment wspólny z Joasią: utraty ukochanego człowieka. Joasię odepchnięto, by nie przeszkadzała w pracy ideowej — Krystyna odchodzi sama, odepchnięta przez przeniewierstwo ideałom, które popełnił Andrzej. Uczucie najbardziej osobiste w miłości ginie, wobec narastania nowego oblicza na miejscu dawnego, kochanego. Nowy Andrzej jest dla niej obcy. Cronin bardzo ciekawie i prostymi środkami technicznymi przedstawił proces psychologiczny, dokonywujący się w kobiecie, która śledzi i obserwuje zmiany zachodzące w strukturze psychicznej człowieka kochanego, oraz moment coraz to wyraźniej z tego powodu występującej obcości.

Krystyna żyje jakiś czas w obrębie natarczywego pytania: a więc to jest ten sam człowiek, którego tak kochałam, z którym byłam tak bardzo szczęśliwa? I gdy na miejscu pytania, zjawia się już pewność, że owa nowonarodzona „inność“ jest tak dla niej nie do wytrzymania,

jest tak zabójczo obca, odchodzi jako żona, jako przyjaciel, jako towarzysz, — pozostaje w domu ktoś obcy, daleki, żywy cień umarłej przeszłości.

Jest jedna niesłychanie wymowna scena między Krystyną a Andrzejem po zebraniu towarzyskiem w środowisku ludzi bogatych, w którym oboje wzięli udział. Krystyna powiada:

„Wszystko było okropne. Jedzenie, meble, sposób, w jaki rozmawiali o pieniądzach, pieniądzach, przez cały czas o pieniądzach. Może nie spostrzegłeś, jakim wzrokiem patrzyła na moją suknię. Mam na myśli panią Hampton. Bez trudu można było odgadnąć jej myśli, iż wydaje na jeden zabieg kosmetyczny więcej niż ja w ciągu roku na suknie. To była niemal śmieszna chwila, gdy dokonała w salonie odkrycia, jakim to ja jestem zerem. Ona jest natomiast córką Whittona, Whittona od whisky! Nie zdołasz sobie nawet wyobrazić, jaka toczyła się konwersacja zanim wróciliście do salonu. Wykwintne ploteczki, kto z kim spędził week-end, co powiedział fryzjer, jak wypadło ostatnie spędzenie płodu, ani jednego słowa o czemś uczciwym. Dała do zrozumienia, że „czuje słabość“, jak to określiła, do dyrygenta orkiestry tanecznej w Plaza Hotel.

„Ironiczne słowa dyszały djabełską pasją. Andrzej posądził niesłusznie Krystynę o zazdrość i wymamrotał: Zarobię pieniądze dla ciebie, Kris, kupię ci mnóstwo kosztownych sukien.

„Nie chcę pieniędzy, — odparła porywczo. — I nienawidzę kosztownych sukien.

„Ależ, kochanie... Chciał ją objąć w pijackim odruchu.

Nie ruszaj mnie! Brzmienie jej głosu poraziło Andrzeja. Kocham cię Andrzej, ale nie wówczas, gdy jesteś pijany.

„Siedział cicho, wtulony w kąt, rozwścieczony. Po raz pierwszy odepchnęła go.

Doskonale, moja pani. Skoro sobie tego życzysz...

Zapłacił kierowcy i wszedł do domu, wyprzedziwszy Krystynę. W milczeniu skierował się do oddzielnej sypialni. Wszystko wydawało się niechlujne i ponure po niedawnym wykwincie. Wyłącznik elektryczny źle działał, przewody w całym domu były wadliwe. Do djabła! zaklął, rzucając się do łóżka. Muszę wydostać się z tej dziury! Pokażę jej! Zarobię pieniądze. Co począć bez nich?

„Po raz pierwszy od czasu ślubu spali w oddzielnych pokojach“.

I Andrzej istotnie jej „pokazał“ zarobione pieniądze, za które mogła kupować najpiękniejsze suknie i otoczyć się zbytkiem, gdyby wówczas „zazdrość“ przez nią mówiła. Krystyna od razu oceniła nicność moralną, kryjącą się pod powłoką bagactwa, momentalnie wyczuła niemożność pogodzenia ze sobą dwu światów: świata uczciwej pracy, dającej pełne prawo do kulturalnego życia i świata nadmiernego luksusu, będącego zaprzeczeniem etycznych i zdrowych podstaw istnienia ludzkiego. To też z zarabianych przez męża pieniędzy nigdy nie korzystała, nigdy się nie przemieniła w wystrojoną damę. Pozostała dawną pracowitą Krystyną, której wystarczają ramy kulturalnego, skromnego środowiska, odpowiadającego zarobkom uczciwego, etycznego lekarza.

I tak trwa aż do momentu radosnego tryumfu, aż do chwili,

w której Andrzej zrywa z przejściowym stanem zaprzędania siebie molochowi bogactwa i powraca do swojej dawnej postawy życiowej, do swoich „warjactw“, które w oczach Krystyny właśnie „jedynie mają znaczenie“.

I nadchodzi koniec w momencie najradośniejszym z całego życia. Andrzej bowiem powrócił, jest tym dawnym Andrzejem z przed lat. Powrócił z dobrowolnego wygnania z krainy złotem i krzywdą ludzką przepojonej, powrócił do twardej, surowej, młodzieńczej służby, niesionej radośnie cierpiącym i potrzebującym. Mają już na zawsze razem pozostać w tej pracy i szczęściu najgłębszem.

Dlaczego przychodzi fatalny los i zabiera Krystynę w chwili, gdy przebiega ulicę, niosąc Andrzejowi pakuneczek z ulubionym jego serem na kolację? Autobus wpada na nią. Śmierć na miejscu.

Dlaczego?

Nie wiem, nie umiem wyczuć intencji autora.

*

Przed rozpoczęciem analizowania zagadnień, poruszanych przez „Pamiętniki Lekarzy“, pragnę w kilku słowach podkreślić niezmierną doniosłość tego rodzaju wydawnictwa. Zastanówmy się najpierw nad *Rolą i zadaniem Ubezpieczalni Społecznych*.

Rola i zadanie Ubezpieczalni Społecznych.

Ubezpieczenia społeczne są wielką zdobyczą świata pracy, są jedną z podstaw, na sprawiedliwości opartego nowego ustroju społecznego, który zaczął się wyłaniać, jako konieczność przeciwstawienia się chaosowi powojennemu, jako realna rama, ujmująca podziemne prądy ruchów społecznych w normę ustalonych i konkretnych wartości, przynoszących niewątpliwie dobro masom. Zorganizowanie leczenia dla ludzi, którzy prywatnie leczyć się nie mają za co, połączone jednocześnie z nie mniej ważnym działem szerzenia higieny i kultury zdrowia — jest krokiem naprzód w podniesieniu poziomu życia najszerzych warstw, krokiem bardzo poważnym, bez którego niepodobna jest już wprost wyobrazić sobie, jak mogłyby one istnieć przy obecnym układzie stosunków, tak bardzo anormalnych i tak bardzo ciężkich.

I chodzi tu o cały świat pracy — zarówno o pracowników fizycznych, jak i umysłowych, jedni bowiem i drudzy nie zarabiają tyle, aby się mogli leczyć prywatnie.

Wiemy, jaką niechęcią wolny stan lekarski powitał instytucję Kas Chorych—wszyscy doskonale pamiętamy wyteżoną akcję przeciw ubezpieczeniowemu lecznictwu. Przypomina nam to dr. Cz. Gawarecki w swoich „wspomnieniach“, pisanych z głęboką znajomością stosunków społecznych, pełnych cennych uwag i przemyślanych spostrzeżeń.

„Olbrzymia większość lekarzy ustosunkowała się wrogo do Kas Chorych. Zasklepieni w swej pracy, pochłaniającej całkowicie uwagę i zaciekawienie, nie spostrzegli, że na świecie dokonywują się olbrzymie przeobrażenia metod i organizacji pracy, stosunków gospodarczych i społecznych. Ufni w swą odwieczną niezależność, burzyli się na sa-

mą myśl pracy organizowanej, zależnej od biurokracji, no i gorzej płatnej. Ci, których konieczności materialne nie zmusiły do przyjęcia pracy w Kasach, zwalczali je w opinii publicznej. Zaś część z pośród pracujących w Kasach, spełniała swe funkcje bez przekonania, jedynie dla zarobku.

„Ślepe stosowanie i przestrzeganie przepisów przez administrację, a wynikające z lęku przed odpowiedzialnością za samodzielne myślenie i decyzje, musi doprowadzać do parodjowania życia i nieświadomego sabotażu.

„Między idejowców medycyny społecznej, dążących do istotnego udostępnienia pomocy lekarskiej rzeszom ludności, wkręcił się i spryciarz życiowy, „wierny zwolennik“, pieczeniarsz, który „stara się“ wykazać przed zwierzchnością swą 200% lojalnością i... nadmierną gorliwością przyczynia się do parodjowania intencji, celów, idei i pracy ubezpieczenia.

„Znalazł się i inny typ entuzjasty ubezpieczenia. Propagował je za pomocą rozrzutnego sypania świadczeniami celem zaspakajania choćby nawet urojonych roszczeń ubezpieczonych.

„Pokutujące zwłaszcza w sferach inteligentkich przywary starszylacheckie w postaci lubowania się w pozorach pańskości, muszą przeszkadzać przy wszelkich usiłowaniach usprawnienia i unowocześnienia życia, które przecie staje się coraz bardziej skomplikowane i trudne.

„Przeminął chyba bezpowrotnie statyczny okres dziejów, kiedy na rozległych i wolnych terenach mógł człowiek bytować niezależnie od techniki i więzów organizacji“.

Dr. Jan Hoser określa w sposób następujący cele lecznictwa ubezpieczeniowego:

„Lecznictwo społeczne coraz bardziej zmienia swoją istotną strukturę i z leczenia chorób przechodzi do zapobiegania im i stworzenia takich warunków w życiu człowieka, by choroby te wogóle nie powstawały. Niemożliwe jest prowadzenie akcji zapobiegawczej w szerokim zakresie bez wysiłku zbiorowego. Niecelowem — oparcie tej akcji o jakieś nowe stwarzane w tym celu instytucje i oddzielanie profilaktyki od lecznictwa społecznego, z którym w bardzo wielu dziedzinach najściślej się wiąże. Dlatego też myślę, że najlepiejby było całą akcją zapobiegawczą na wsi zespolić z Ubezpieczalniami Społecznymi“.

„Ubezpieczenia społeczne są dla lekarza, mającego żyłkę społeczną, istną kopalnię doświadczeń i zagadnień“.

I to wszystko nie jest frazesem. 670 stron „pamiętników“ jednym głosem mówią o niedoli ludzkiej, którą lekarze Ubezpiecz. Społ. pomniejszają przez zwalczanie choroby, gdyż mogą podejść do chorego dość wcześniej, zahamować jej rozwój i powrócić zdrowie.

To też słusznie dr. Cz. Gawarecki się skarży, że „wielka idea sprawiedliwości społecznej — ubezpieczenie na wypadek choroby i niezdolności do pracy, wprowadzona w życie za pomocą Kas Chorych, zakrawała na szyderstwo. W mowie potocznej nazywano instytucję tę po prostu „chorą kasą“. Instytucja, mająca wcielić w życie ideję najbardziej ludzką: nieść pomoc w jakżeż częstych trudnościach, a nawet tragedjach codziennych, stała się najbardziej niepopularną, wprost znieawidzoną, wyśmiewano ją i zwalczano.

„Kasy Chorych powstały nagle i z niczego w kraju biednym, zaniedbanym pod względem gospodarczym i społecznym, a zniszczonym i zrujnowanym przez wojnę. Nie było przygotowanych budynków, ani odpowiednich kadr pracowników.

„Pracujący w kraju kapitał, w przytłaczającej większości obcy, nie polski, egoistyczny, rabunkowy, przyzwyczajony przed wojną do traktowania rynku polskiego, jak kolorowej kolonji, zwalczał w sposób przebiegły i zamaskowany wszystko to, co mogłoby naruszać jego niezwykle przywileje i zyski większe, niżby mógł zdobywać na prawdziwie europejskich rynkach. Rekiny społeczne umieją pięknie mówić i dowodzić, umieją wpływać nie tylko na opinię publiczną, umieją strzelać z za plotu.

„Ogół ludności nie był przygotowany do zrozumienia, a tem bardziej do praktykowania solidaryzmu społecznego.

„Ludzie wychowani i przyzwyczajeni do prymitywnych form gospodarki koszyczkiem i grosiczkiem, uważali się za pokrzywdzonych, jeśli opłacając składki ubezpieczeniowe, nie mieli potrzeby dyskontowania od razu świadczeń. Taki sposób myślenia rodził wewnętrzne uczucie niesprawiedliwości i krzywdy dlatego, że... nie chorują. Dla zaspokojenia wewnętrznego uczucia niesprawiedliwości wymierzano sobie zadośćuczynienie za pomocą zgłaszania się po sztuczne zapotrzebowania w myśl bolszewickiej zasady „grabić zagrabione“. Zacołowanie umysłowe i krótkowzroczne sobkowstwo nie może dostrzec w ubezpieczeniu społecznym asekuracji od wypadków losowych, ale widzi tylko to, co sobek jest zdolny zrozumieć w swej tępej niskiej duszy — interesik, spekulacyjkę, szwindelek, a co najwyżej handelek“.

Dr. Jan Hoser, w swoim bardzo ciekawym pamiętniku daje szkie zadania, należących do kompetencji lekaka społecznego, a podkreślając, jaką doniosłą rolę gra on w całokształcie życia, przypomina, że:

„Ubezpieczenia przyczyniły się walnie do rozproszenia mroków ciemnoty i przesądów. Tam, gdzie dawniej medycyna ludowa leżała w rękach wiejskich znachorów, akuszerok, „babek“, golibrodów, „zubnych wraczków“, bab odczyniających uroki, domorosłych weterynarzy, a nawet kowali, tam zaczął rozwijać działalność lekarz społeczny, szerząc kult higieny, uświadamiając ludność i przekonywując naocześnie o błogosławionych skutkach naukowego lecznictwa. Szczególnie było to potrzebne dla ludu wiejskiego. To też późniejsze wyłączenie robotników rolnych spod opieki lekarzy ubezpieczeniowych było szkodliwym krokiem w tył“.

Narzekania i utyskiwania na Ubezp. Społ. trwają ciągle. Nie mojem zadaniem jest zastanawianie się nad tem zjawiskiem. Ub. Sp. jako instytucja, uosabiająca ideję należnej pomocy dla świata pracy, jest jedną z najpotrzebniejszych i najszlachetniejszych w samem założeniu. Instytucję tą prowadzą i kierują nią... ludzie, tylko ludzie... a więc popełniają błędy, przewinienia — są w niej poważne braki, poważne niedociągnięcia, ale przy tych wszystkich brakach i wadach jest ona czemś niezastąpionem i wszelakie ataki na nią skierowywane, wydają mi się często wielkiem nieporozumieniem, dezorjentującym i tak mało zorjentowaną naszą przeciętną publiczność. Można krytykować takie, a takie zarządzenie, takiego i takiego urzędnika, doktora, czy dyrektora, ale

sama instytucja, mimo wszystkie swe ułomności daje tak wielkie korzyści ludności ubezpieczonej, że trzeba mieć chyba dużo złej woli, by tego nie widzieć.

Oczywistość owych korzyści wystąpiła w całej pełni w momencie, gdy zostało zniesione ubezpieczenie robotników rolnych, gdy kontrast sytuacji ubezpieczonych i nieubezpieczonych uwypuklił tragedję tych ostatnich.

Do tej sprawy jeszcze powrócę, tu tylko nadmieniam, że owo powszechne niemal lekceważenie lecznictwa ubezpieczeniowego jest wynikiem tradycyjnych nastawień, sobiepańskich, egoistycznych i ciasnych nawyknień, zarówno obyczajowych, jak i myślowych, które tumanią i obalamują człowieka współczesnego, nie pozwalają mu realnie spojrzeć na rzeczywistość. I zresztą, o co tu chodzi — kogo stać na leczenie prywatne, niech swobodnie z niego korzysta, ale kto na to nie ma, to powinien wyrobić w sobie uczciwy, rzeczowy i wyrozumiały stosunek do Instytucji, mającej na celu jego dobro. Doskonałości na świecie nie ma, dlategoż wymagamy, by Ub. Społ. była taką doskonałością, na której nie możnaby znaleźć ani jednej plamy? Czyż prywatni lekarze, wszyscy bez wyjątku, to ideały nieomyślnej wiedzy, bezinteresowności i altruistycznego podejścia do każdego chorego?

Chciałabym, by nasi czytelnicy, należący do świata pracy, a którzy dla tych, czy innych powodów mimo korzystania z pomocy Ub. Sp. odnoszą się do niej niechętnie, zechcieli zrewidować swój stosunek do niej i przestali na nią pomstować. Przedewszystkiem w narzekaniu, w pomstowaniu i biadolaniu, kryje się moment bardzo negatywny dla tego, kto to robi, kryje się rozdrażnienie, zatruwające samopoczucie człowieka i obniżające jego życiową energję, a następnie wyrządza się krzywdę Instytucji, w której pracują ludzie z wielkiem poświęceniem i oddaniem. Dlaczego więc świat pracy, potrzebujący pomocy, ma się źle odnosić do swych braci, również ze świata ciężkiej i odpowiedzialnej pracy, których wysiłek całego życia idzie na to, by ratować innych przed niebezpieczeństwem choroby. Trzeba zrozumieć, że doktor w białym kitlu, to nie „pan“, którego należy oszukać, okpić, którego wolno obrzucać stekiem wymysłów i gróźb, o ile nie zadośćuczyni nieuzasadnionym wymaganiom, lecz starszy „brat“, tak samo często śmiertelnie znudzony i do głębi wstrząśnięty niedolą, z którą ma stale do czynienia. Ta wrogość ubezpieczonych, na którą się skarżą wszyscy pamiętnikarze, jest objawem niesłychanie przykrym, a często wynikającym wyłącznie z niskiego stanu ogólnej kultury, a właściwie z zupełnego jej braku. Spotyka ona lekarzy tak bardzo wartościowych, jak ci, których pamiętniki omawiam.

Rozumiem, że wśród zespołu lekarzy w Ub. Sp. są i tacy, którzy nie dorosli do swych zadań i obowiązków, rozumiem, że istnieć musi cały szereg słusznych rozczarowań i rozżaleń na poszczególnych lekarzy, ale to wszystko nie upoważnia do postępowania, uniemożliwiającego dobry, pełen zaufania stosunek między pacjentem, a doktorem.

Jeszcze raz przypominam, że zdarzają się pacjenci również bardzo niezadowoleni ze swego, nieraz drogo opłaconego prywatnego doktora, a przecież nie wyprowadzamy stąd wniosku, że wolno praktykujących lekarzy są nic nie warci.

„Pamiętniki Lekarzy“ odsłaniają życie polskiej prowincji — życie biednych ludzi i tych, którzy przyszli do nich, aby w miarę swego najlepszego rozumienia, nieść im ratunek i pomoc. A więc poniekąd dwa światy: świat ludzi chorych i ludzi zdrowych uosobiony w postaci lekarza.

Oba te światy interesują bardzo i pociągają, nasuwając czytelnikowi całe szeregi myśli i wniosków. A więc przedewszystkiem zajmijmy się lekarzem.

Rola i zadania Lekarza Społecznego.

Jest on lekarzem z powołania i tylko dlatego może pracować w takich warunkach. Lekarz społeczny bez powołania, byłby według mego zdania, lekarzem, przynoszącym szkodę Instytucji, ubezpieczonym i samemu sobie. To, co pisałem na początku o powołaniu stanu lekarskiego, znajduje całkowite potwierdzenie w książce samych lekarzy.

Powołanie u lekarza społecznego, tak samo, jak u lekarza naukowca, czy u artysty, jest czemś podstawowem. Bo w słowie „społeczny“ kryje się tajemnica zawodu, którego bez powołania nie można wykonywać, tak jak bez natchnienia nie można być twórcą. W tem to tkwi charakterystyczna cecha zawodu lekarskiego, polegająca na, wyraźnie zarysowanej potrzebie psychicznej *tworzenia* realnej wartości, mającej na celu *dobro*.

Są wypadki, że lekarz nie śpi całą noc, bo myśl jego pracuje nad postawieniem djagnozy ciężko chorego pacjenta, badanego wieczorem. Pierwotna djagnoza, po głębszem zastanowieniu się nad nią poczyna go niezadawać, powstają wątpliwości, a więc jeszcze raz analizuje objawy, ssumowuje je, bada i wreszcie rano, w pewnym momencie cały proces choroby staje mu się jasny — ma przed sobą całość przebiegu chorobowych zmian przed oczami i jak w natchnieniu stawia właściwe rozpoznanie choroby. Jest szczęśliwy, rozpoczyna działać z całą pewnością, jak należy leczyć. Czyż podobnych stanów nie zna artysta? Owego nurtującego niezadowolenia z tego, co przed chwilą napisał? Ileż on nocy poświęca na ulepszanie, udoskonalanie napisanego, by w pewnej chwili olśnienia znaleźć jedynie właściwe ujęcie tego, co chciał wypowiedzieć!

Dla lekarza chory każdy staje się objektem, na którym ześrodkowuje wszystkie swe władze psychiczne, aby wyczarować najcudowniejsze osiągnięcie, jakiego można dokonać: a więc *zdrowie* na miejscu choroby. Dr. Jan Hoser powiada, że:

„Lekarz społeczny słyszy i widzi znacznie więcej, niż ktokolwiek inny“.

Zaostrzenie zmysłu wzroku i słuchu przy wrodzonej wrażliwości na cudzy ból, cudze nieszczęście, wytwarza właśnie typ ludzi, którzy umieją i pragną się wyżywać w pracy nad przekształceniem człowieka, który do nich przyszedł w stanie oplakany, w nową, inną postać, przedstawiającą wartość społeczną i indywidualną. Z osobnika mało-wartościowego przetwarzają pełnowartościową jednostkę. Materiałem, z którego tworzą, jest sam... człowiek. Ale to jeszcze nie wszystko. Dr. Jan Hoser uzasadnia, że:

„Lekarze społeczni są tymi, którym powinno być przyznane ustawowe prawo stawiania wskazań nie tylko ściśle zdrowotnych, ale i społecznych“.

Żądanie takie, wydaje mi się najzupełniej słuszne, bo któż lepiej i wszechstronniej od nich zna potrzeby społeczne, tudzież najpilniejsze braki? Tam wszędzie, gdzie się mają rozstrzygać losy człowieka, któż może być bardziej uprawnionym od lekarza, znającego tak dobrze całokształt spraw ludzkich, do stanowienia praw i norm, wymaganych przez życie?

Dr. Hoser pracę i twórczość lekarzy-naukowców nazywa „wielkim czynem społecznym“ — natomiast tym lekarzom wolno praktykującym, którzy mają na celu wyłącznie pobieranie wysokich honorarjów, przeciwstawia szerokość idejowych widnokręgów, realizowanych przez lekarza społecznego, czy jest on pracownikiem Ub. Sp., czy też wiejskim lekarzem, samotnie niosącym swój trud, nieraz na odległych krańcach naszego kraju.

Dr. Jan Hoser pisze, że: „tylko mniejszość ideologów lekarskich zdaje się rozumieć, jak potężną broń dostaje wzamian w rękę lekarz, który umie swą wolność stanową oddać na usługi zbiorowości, nie wypuszczając jej z rąk. Są to pionierzy, którzy o wolności ciągle nie mówią, a jednak wolność zachowują. Nie urzędniczeją w znaczeniu biernym, lecz sami stają się czynnymi administratorami zdrowia publicznego wszędzie tam, gdzie sięga ich myśl i władza. Wielu uważa, że „wolność stanu“ i „wolna praktyka“, to synonimy.

„Trudno o gorszy komunał.

„Działalność wolnego praktyka w cieniu gabinetu ogranicza się do obsługiwania cielesnej powłoki jednostek. Zaczyna i kończy na jednostce, na niezawsze wykonanej jednostronnej poradzcie. Lecznictwo prywatne, indywidualne, jest mimo swoich niewątpliwych wartości działalnością dość ciasną. Wolna myśl lekarska kręci się dokoła osi tylko małych światków, ile ich pod postacią prywatnych pacjentów wejdzie do poczekalni. Wyleczenie czyjegoś bronchitu, lub usunięcie czyjegoś wyrostka robaczkowego, nie popycha naprzód losów tego wielkiego świata.

„O ileż dalsze horyzonty otwierają się dla wolnego ducha lekarskiego, gdy wyjdzie z zacisza gabinetu i posłucha warkotu motorów w fabryce, przyglądnie się znojowi hutnika, zejdzie do suteryn zagruźliczonej rodziny, zakasze rękawy do pracy przy masowem lecznictwie i zapobieganiu!

„Gdy dostanie w ręce władzę dysponowania funduszami zdrowia publicznego, jednym błyskiem decyzji, jednym pociągnięciem pióra stwarza nieraz to, czego w działalności prywatnej nie mógłby stworzyć wraz z tysiącem podobnych jemu „chałupników“ - lekarzy.

„Lekarz społeczny, to dowódca frontowego odcinka. Lekarz prywatny, to przeważnie szary szeregowiec.

Lekarz piszący pod godłem „Salus aegorti suprema lex“ udawania konieczność ubezpieczeń szerokich warstw pracowniczych i pisze, że „dzisiaj bezrobotny w mieście jest zdany na łaskę opieki społecznej Magistratu, małorolny lub bezrolny na wsi na łaskę gmin, lub dworów. W wielu wypadkach zwłaszcza na wsi i po dworach, opieka ta jest

żadna, cała ta masa małych ludzi rzucona jest na pastwę losu podczas choroby, lub nieszczęśliwego wypadku. To musi się zmienić i to w najbliższej przyszłości. Chory człowiek, już z racji swego nieszczęścia, powinien mieć zapewnioną bezpłatną pomoc lekarską, oraz bezpłatne leki, a w razie choroby zakaźnej bezpłatne łóżko w szpitalu. Nie chodzi tu o filantropję, gra idzie o większą stawkę: o stan zdrowotny szerokich mas, o podniesienie ich kultury fizycznej, o skuteczny front walki z groźnymi epidemjami, na którym nie powinno być wyrw i luk. Powszechny obowiązek ubezpieczeń od choroby, lekarze na straży zdrowia szerokich warstw ludności, oto powinny być hasła naszego pokolenia“.

W lecznictwie ubezpieczeniowym znika jeszcze jedna bardzo drażliwa sprawa — wynagrodzenia lekarza. Dr. Karasiówna stwierdza, że: „w praktyce prywatnej między leczącego i leczonego wkracza potężny czynnik — pieniądz, który wprowadza sprzeczność interesów lekarza i chorego, pieniądz na wsi zbyt skąpy, by mógł wystarczyć na lekarza i leczenie, wystarcza najwyżej na jedno“.

Dr. Sabina Skopińska pisze, że:

„interwenuję w życie ludzkie w ramach swej pracy w Ubezpieczalni Społecznej. Dzięki temu nie potrzebuję dokonywać ogromnie przykrej ceremonji, jaką jest po zbadaniu chorego żądanie zapłaty. Jest to moment niemiły, aczkolwiek nieodzowny dla lekarza, który też musi żyć. Nie krępuję się również zasobnością kieszeni chorego, o ile zachodzi potrzeba dokonania analiz chemicznych i bakterjologicznych, lub też prześwietlenia roentgenowskiego.

„W razie jakichkolwiek wątpliwości mogę zawezwać do chorego specjalistę, prosząc o zbadanie. Dysponuję też w każdej chwili w naszym wypadku szpitalem i mogę kierować chorego na pobyt do sanatorium. Jakże to wszystko znakomicie ułatwia stawianie diagnozy i leczenie z dobrym wynikiem“.

Dr. S. Giebocki zaznacza, że:

„Likwidowanie honorarjum lekarskiego jest dla mnie nie szczytowym punktem najwyższego zadowolenia w moim stosunku do pacjenta, lecz wręcz przeciwnie, jest momentem bezwzględnie najkłopotliwszym i może najnieprzyjemniejszym. Praca lekarza jest szczytną i honorową służbą, mającą w sobie bardzo wiele cech kapłańskich.

„Zresztą rozumiano to już dwa tysiące lat przed nami, uważając, iż „divinum est dolorem sedere“ — „boską rzeczą jest potrafić uśmierzać bóle“. I podobnie jak kapłan nie powinien wystawiać rachunków za usługi religijne, tak też, uważać należy, iż likwidowanie honorarjów lekarskich jest złem koniecznym, które może zastąpione kiedyś zostanie inną formą zabezpieczenia lekarzom bytu i przyszłości“. „Przebieg leczonego, ratując mu najwyższe jego dobro, zdrowie i życie, spełniam szczytną służbę, wznosząc mnie na szczyty społeczeństwa“.

„Ubezpieczalnia zapewnia mnie byt, a więc nie potrzebuję uniażać się przed każdym pacjentem żądaniem zapłaty za wyświadczoną usługę.

„Najlepszą drogą do majątku jest nie egoistyczny materializm, lecz właśnie altruizm, chęć służenia ogółowi. Służcie gorliwie i sumiennie, myślcie nie o wynagrodzeniu, lecz o człowieku, który się do was

z zaufaniem zwraca z prośbą o pomoc. Bądźcie lekarzami-kapłanami, nie lekarzami-kupcami!”

Warunki pracy lekarza społecznego.

Teraz z kolei wypada się nam zapoznać z warunkami pracy lekarza społecznego.

Przy badaniu tych warunków znów trudno nie wspomnieć, że wytrzymać ją, znieść cały ogrom przeciwności i udręczeń może tylko człowiek uzbrojony w pancerz *powołania*, tak szczelnie wypełniającego jego naturę, że ma dość sił, by się nie załamać i stać wiernie na raz wybranym posterunku. Człowiek taki jest ożywiony wielką ideją moralną, głębokim głosem nakazu, który bynajmniej nie jest przymusem, lecz uosobieniem najlepszej woli zrealizowania tego wszystkiego, co się narzuca z zewnątrz, jako najpilniejsza potrzeba.

„Pamiętników“ dr. Karasiówny i dr. Skopińskiej niepodobna czytać bez uczucia głębokiego wzruszenia.

Tak jak pokolenie przedwojenne wychowywało się w świetle Judydymowych marzeń, tak obecne powinno się rozczytywać w „Pamiętnikach lekarzy“, aby się uczyć wielkiej mocy ducha, staczającego walkę świętą o realizację najwyższych wartości moralnych, po przez owo codzienne wykonywanie twardej służby dla dobra bliźniego.

Aldous Huxley w swej ostatnio wydanej książce *) dowodzi, że najtrudniejszą i najważniejszą czynnością psychiczną jest zdolność „dawania“ siebie innym. Otóż „pamiętniki“ zaświadczają, że lekarze, którzy je pisali, mają naprawdę tę zdolność w wysokim stopniu rozwiniętą, a wypływającą z naturalnego źródła swego, jakim jest *powołanie*. Oni jakgdyby nie pracowali nawet nad wyrobieniem jej w sobie, ona w nich po prostu... jest. I to nadaje ich wypowiedziom ton wielkiej, ujmującej prostoty, szczerości, oni już tacy są, bo nie mogą być inni, to nawet jakgdyby nie jest ich zasługą, bo z darem tym przyszli na świat.

Dr. Karasiówna pisze: „Dzisiaj jest dzień nagłych wypadków. O 5-tej rano budzi mnie służąca. Po 14 godz. pracy poprzedniego dnia należałoby dłużej spać. Ale dziewczynę jakąś żmija ukąsiła. Trudno! Wypadek nagły. Jeżeli nie wstrzyknę surowicy, może umrzeć. Wstaję i wchodzę do ordynacji. Dziewczyna młoda, świetnie wygląda. „Gdzież panią żmija ugryzła?“ „Tu w nogę“. Na nodze ani śladu ukąszenia. „A kiedy to się stało?“ „Zeszłego roku właśnie o tym czasie“. „Więc poto mnie pani wczas rano z łóżka wyciąga“. „A no bo teraz idę na Kalwarję i wstąpiłam po drodze zapytać, czy mi się co nie stanie“.

„O 11-ej przedpołudniem jest jeszcze około 30-tu ubezpieczonych. Otrzymuję zawiadomienie, że muszę wyjechać zaraz do Lachowic do żony ubezpieczonego. Dostała krwotoku. Skąd —niewiadomo. Z nosa, czy z macicy? I nie dowiem się. Ktoś przyszedł na pocztę w Lachowicach i telefonował stamtąd na pocztę w Suchej, bo w domu telefonu nikt nie ma. Z poczty przysłano do mnie posłańca z wiadomością. Nie ma kogo zapytać o bliższe informacje.

„Więc zabieram narzędzia do wszystkich możliwych krwotoków

*) Aldous Huxley: „La fin et les moyens“. Plon. 1939. p. VII+395.

i jadę pociągiem. Biorę tragarza do rzeczy, bo zabieram pół ordynacji. Biorę drugiego w Lachowicach i szukam mieszkania ubezpieczonej. Znam tylko jej nazwisko. Po długich a ciężkich cierpieniach znajduję. W łóżku leży młoda kobieta różowa i uśmiechnięta.

„A gdzież ten krwotok? pytam.

„A no był wczoraj — odpowiada — z nosa się łało“. „Więc po to mnie pani odrywa od 30 ubezpieczonych dzisiaj, żebym jechała do krwotoku, który był wczoraj. Do wypadków nienagłych wyjeżdżam popołudniu. A tu wogóle mój przyjazd był niepotrzebny.

„Doktór jest od tego, żeby przyjeżdżał, kiedy go się wzywa, za to pani płacą — słyszę odpowiedź. A płacą mi nie całe 300 zł. miesięcznie. Nie powtórzę, co usłyszałem od „chorej“. Ani tego, co ja jej powiedziałam. Nie wszyscy lubią brzydkie wyrazy.

„Czekałam dwie godziny na pociąg powrotny. Tragarze nosili rzeczy. Wróciłam do domu o 4-tej popołudniu.

„20 ubezpieczonych jeszcze czekało. Tylko ci, co byli naprawdę chorzy, odeszli. Nie mieliby siły tak długo czekać.

„W międzyczasie wzywano mię do porodu. Furmanka zajeżdżała dwa razy, bo innych lekarzy też nie można było znaleźć.

„Ale przed chwilą przysłano posłańca na rowerze, że przyjazd niepotrzebny, rodząca zdążyła umrzeć“.

„Gdzie się dwóch bije, tam trzeci korzysta. Jedyne wypadek, kiedy korzysta lekarz. Zdarza się najczęściej w okresie wesel. Bez bitki nie ma wesela.

„Zazwyczaj budzą mnie o 2-iej, lub 3-ciej w nocy, jeden, lub dwóch chłopów porżnęło się nożami. Jest na godzinę szycia. Pokrajany płaci z radością 40 zł. za szycie i za świadectwo lekarskie. Niech strona przeciwna ma koszty. Im cięższe uszkodzenie, tem bardziej się cieszy. Posiedzi tamten dłużej w więzieniu.

„Zaledwie spać się położyłam, przyjeżdża strona przeciwna. Jest znów godzina szycia. Znow płacą z radością 40 zł. Przecie to tamtych kosztuje. Znow cieszą się, że ciężkie uszkodzenie. Zwłaszcza ten, który stracił oko“.

„Raz na dwa tygodnie jest w Suchej jarmark. Każdy ma okazję, żeby przyjechać do lekarza. I prywatny i ubezpieczony. Nie będzie osobno furmanki płacił. I tak musi być na targu.

„Tylko, że na ten mądry pomysł wpadli wszyscy, cała wieś — jedna, druga i trzecia. Nie mogę policzyć czekających. Przepychają się wszyscy do drzwi. Każdy chce być pierwszy. Na każdego furmanka czeka. Są ubezpieczeni. Są prywatni. Wszyscy razem. Nie ma dziś godzin, nie ma w ogóle badania. Jest urwanie głowy, koniec świata.

„Nie wolno mi odmówić nikomu. A nuż jest naprawdę ktoś poważnie chory.

„Zaoszczędził kilka złotych na furmance. Tylko, że do badania musi przyjść jeszcze raz.

„I wypadki w jarmark łatwo się trafiają. To chłopci pokrajają się nożami. To znowu koń kogoś kopnie. Albo ktoś goni złodzieja i nogę złamie. Jeżdżę na rowerze, furmance, w dorożkach. Przesiadam z fury na furę. W przerwach wpadam do domu coś załatwić. Ciągłe ruch. Nie mam czasu wyłapać wszy, które mnie oblaży. Wieczorem przyno-

si Komendant Policji dziecko. Noworodek znaleziony na jarmarku. Ziębnięte leżało parę godzin na deszczu. Niewiadomo, gdzie je umieścić. „Niech się przez chwilę zagrzeje u mnie“ mówię. „Upłynęły miesiące i lata — grzeje się dotychczas.

„Nie zapomnę tego jarmarku. Ruch był jak we młynie. Ubezpieczeni, prywatni, wypadki.

„Prywatni wyjątkowo płacili. W gotówce i w naturze. „Zarobiłam 2 kopy jajek, 55 zł., 15 wszy i dziecko“.

„Wyjazdy wieczorem do większej przyjemności nie należą. Zwłaszcza, że dzisiaj były już cztery jazdy, oprócz normalnej liczby pacjentów w domu — około 80. Jest już 10-ta wieczór. Wcześniej się wybrać nie mogłam. Furman czeka trzy godziny. Dobrze, że nie poszedł popić trochę do karczmy, do rowu pasażera nie wysypie.

„Więc jedziemy, najpierw ulicą oświetloną elektrycznymi lampami, kultura — Europa. Potem gościńcem nieoświetlonym. Furman nie zabrał latarni ze sobą, powiada, że tak lepiej widać. Ma świecić koniowi pod ogon, a sobie w oczy, to woli jechać bez latarni. Czasem przejeżdża auto. Wreszcie wydostajemy się na polną drogę. Potem przepływamy się przez rzekę. Potem wyjeżdżamy na wysoką górę. A na górze leży w chałupie dziecko — pięcioletni syn ubezpieczonego, chory na zapalenie płuc.

„Zrobimy mu od razu zastrzyk — mówię — ale jeden zastrzyk, to mało. Trzebaby mu przez kilka dni najmniej dwa razy dziennie robić zastrzyki. Ja tak często do was nie mogę jeździć i 6 godzin dziennie tracić. Niech jeździ higienista z Ośrodka, albo najbliższa akuszerka... Ona też potrafi zrobić zastrzyk.

„Co pani chce dziecku robić zastrzyk? nigdy na to nie pozwolę, mówi ojciec, zastrzykami truje się ludzi. Nie chcę, żeby moje dziecko umarło. „Radzę chłopu przyjść do mnie zobaczyć, ile ludzi dostaje zastrzyki, a jakoś nikt nie umiera.

„Zdrowemu to można dawać zastrzyki — mówi chłop — chory tego nie wytrzyma. Jak on po zastrzyku osłabnie, to co my potem zrobimy. Wolę pójść do doktora za pieniądze, żeby mi leków do picia przepisał. Zastrzyków żadnych robić nie dam. Na tę chorą kasę, to zawsze coś wymyślę“.

„Półtorej godziny trwała rozmowa. Kamfochiny dziecku nie wstrzyknęłam. Znów powrót z górki po ciemku, po wybojach i kamieniach, przeprawa przez rzekę, jazda polną drogą, jazda gościńcem. Wszystko razem cztery i pół godziny. Osobno łapanie wszy, które mnie oblaży w chałupie“.

Pamiętajmy, że tak spędziła dr. Karasiówna noc po całym dniu pracowanym i przed dniem następnym, który będzie również poświęcony domowym chorym, tudzież bliższym i dalszym wyjazdom, — pamiętajmy również, że brak zaufania ze strony ojca dziecka do lekarza, czyni cały jej wysiłek bezużytecznym i zmarnowanym i w tem tkwi tragizm tego wypadku.

„Miałam wczoraj dwa wyjazdy do Krzeszowa, odległość 15 kilometrów. Jeden wyjazd 6 godz. — 5 godz. drogi, pół, lub jedna godzina u chorego. Doskonała proporcja.

„Jedzie się najpierw gościńcem, potem boczną drogą, potem ka-

mienistą ścieżką na górkę. Jest krótsza droga przez góry i przez rzekę. Kiedy woda w rzece mała, można tamtędy jechać. Nawet sankami. Puste pola, samotna kapliczka, jedno drzewo sterzące nagimi konarami ku niebu. Nastrojowo. Przypominają się bajki o duchach i widmach. Zwłaszcza, gdy pada gęsty śnieg i tworzy na polach fantastyczne zaspę, z zadymek i nocy wylaniają się widziadła, a wiatr wyje głosem upiorów. Człowiek odziany w ciepłe futro, z nogami przykrytymi baranicą, patrzy i słucha.

„Tylko, że w nocy, sanki się rozleciały. W najbardziej nastrojowym punkcie, w pobliżu samotnej kapliczki, również samotnego drzewa. Do ludzkich domów daleko, gwoźdźcia i młotka nie ma skąd wziąć. Nawet uczciwego patyka nie znajdzie. Śnieg wyżej kolan, ciemno.

„Musiałam zejść z sanek. Trzymać z furmanem boki wozu, żeby do reszty nie odpadły. Nieść futro, żeby nie zginęło po ciemku. Miały upiory na co patrzeć. Wyły teraz ze śmiechu.

„Sanie i wozy nie zawsze rozszczepiają się w kierunku podłużnym. Potrafią i w poprzek.

„Wiózł raz tędy mój szwagier księdzka — pociesza mnie furman — a tu nagle wóz się napoły rozdzielił: przodek i tyłek osobno. I furman z przodkiem pojechał, a księdzka na tyłku zostawił. Głuchy trochę był, nie słyszał, że księdzka woła.

„Więc ucieszyłam się bardzo, że nie spotkał mnie los nieszczęśliwego księdzka. Mogłabym zostać sam na sam z tyłkiem sanek w pustym polu. Siedziałabym na tym tyłku do rana“.

Dziecko, Wicek, do którego tak jechała dr. Karasiówna, zmarł, bo przyjechała za późno.

„A gdyby Wincenty (ojciec) był wezwał lekarza o 8 dni wcześniej! Gdyby był dwa razy dziennie dostał zastrzyk. Dwa razy dziennie przez 8 dni. Niewiadomo.

„Dwa razy dziennie po 6 godz. t. j. 12 godz. czasu. Dwa razy dziennie po 30 zł. przez 8 dni wynosi 460 zł. Liczymy mu zniżkowo 320 zł. (po 20 zł.). Lekarz nie ma 12 godzin dziennie czasu dla Wicka. Wicek nie ma 320 zł. dla lekarza. Dlatego Wicek umarł.“

Nazajutrz dr. Karasiówna zostaje znów wezwana do Krzeszowa. Odbywa tą samą podróż. Została jednak przywieziona za wcześniej — rozpoznania nie można postawić. Lecz po raz drugi nie wezwą już jej do tego samego chorego dziecka, bo niema na zapłacenie 30 zł. Gdy choroba wybuchnie, dziecko nielezione zginie.

„Spodziewam się dzisiaj jeszcze jednej furmanki z Krzeszowa. Prawo serji. Mam przecucie, że przyjedzie. Znów za wczas, albo za późno. Za wczas, żeby rozpoznać, lub za późno, żeby wyleczyć. Jak zwykle.

„Nie pojedę już po raz trzeci do Krzeszowa. Mam dość. Zaczekam trochę. Zaczekam, aż się zbierze więcej chorych. Najmniej trzydziestu. Zaczekam, aż przyjdą po rozum do głowy. Położą się wszyscy razem w jednym domu. Niech każdy złoży 30 zł. tyle co za jeden przyjazd lekarza. Razem 900 zł. Zgodzę się wziąć tylko 200 zł. za miesiąc. Przyjadę codziennie. Do wszystkich naraz. Nie będzie dla jednego za wczas, dla drugiego za późno. Zarobią na tem. Zostawię im

700 zł. na służbę, pielęgniarkę, furmana. Może i lekarstwa za to kupią. Dostanie każdy potrzebne zastrzyki. Będzie miał opatrunki i djetę. Będzie miał lekarza codziennie. Będzie miał pielęgniarkę na miejscu. Będzie odesłany na czas do większego szpitala, gdy zajdzie potrzeba.

„Nie będzie leżał chory między chorymi. Nie będzie zarażał własnych dzieci.

„Zaczekam, aż w każdej wsi będzie szpital, lub jeden na kilka wsi.

„Zaczekam 200 lat, może 500. Nie pojedę dziś do Krzeszowa“.

„Wróciłam późno w nocy do domu. Śpię. Śni mi się przyjemny sen. Jestem wysoką figurą, dokładnie nie wiem jaką. Nie chciano mię poinformować. Mam do opracowania projekt. Zorganizować pomoc lekarską przy porodach na wsi. Pieniądzy, jak zwykle jest mało, nawet w śnie.

„Robi się drewnianą przybudówkę do mieszkania każdej akuszerki, dwie izby, jedna dla rodzających, druga dla położnic. Telefon.

„Na okolicznych górkach kobiety dostają bólów porodowych. W każdym siedlisku są nosze: dwa kije i płachta. Dwóch chłopów potrafi zanieść rodzącą do stacji porodowej najdalej za godzinę. Niejedna zajdzie jeszcze sama. Stacje rozrzucone są po całej wsi. Wzdłuż głównej drogi. Nie ma biegania tam i spowrotem po akuszerkę i z akuszerką. Nie ma szukania położnych po chałupach. Nie trafi się, żeby wyjechała, nie zgubi i nie zapomni narzędzi. Zamiast za 5 godzin ma się ją za godzinę. Tę samą piątkę, którą płaciła w domu, płaci jej rodząca na stacji. Tem samem co w domu się wyżywi. Dla akuszerki wygoda.

„W każdym miasteczku jest mały szpitalik położniczy. Jeden z miejscowych lekarzy pełni dyżur. Jest personel pomocniczy, salka dla zabiegów, pomieszczenie dla położnic. Telefon. Auto. Stacje wiejskie zgłaszają telefonicznie nieprawidłowe porody. Auto przywozi rodzącą. Prawidłowe rodzą na stacjach.

„Nie ma jeżdżenia po lekarza i z lekarzem, lecz tylko w jedną stronę. Nie ma niepewności, że się go nie zastanie w domu. Ma się go za godzinę. Jest światło, jest stół i asysta. Jest zawsze odpowiedni moment. Jest czas odesłać do większego miasta, gdy duży zabieg jest potrzebny.

„Budzi mnie hałas. Wpada rozczochna służąca. Ze strachu oczy wyszły jej na wierzch. Pewnie znowu ktoś rodzi. Pewnie krwotok.

„Bandyci są w domu“ krzyczy. Obracam się z ulgą na drugi bok.

„To świetnie — mówię — chwala Bogu, że nie poród“.

Dziwna rzecz, jak każde zdanie pamiętnika Dr. Karasiówny wywołuje powstanie skondensowanego obrazu rzeczywistości, załamującej się w psychice autorki, a powracającej do nas w zwartym ujęciu zakulisowej prawdy, o ogromie zagadnień społecznych, które on reprezentuje. Każdy wypadek opisany stylem zwięzłym, zwartym, odzwierciedla warunki pracy lekarza i warunki życia pacjenta w sposób tak sugestywny, jakby to były nie słowa, lecz zjawy rzeczywistości, podsunęta przed nasze oczy w swym najwierniejszym kształcie. Zatraca

się poczucie tego, że się nie widzi tego wszystkiego własnymi oczami, tylko czyta, — zatracą się świadomość tego, że to przeżywa ona, dr. Karasiówna, a nie my sami. Czyż tego rodzaju plastyczność opisu nie jest dowodem bardzo dużych uzdolnień literackich, dużego wyrobienia pisarskiego?

I jeszcze jedno: ani odrobiny sentymentalizmu — niczego co trąci łatwizną wzruszeń łzawych, pokrywających — jakże często — płaski egoizm. U niej każde szorstkie słowo nabrzmiało jest goryczą prawdziwie głęboko kochającego serca, pragnącego zawsze i wszędzie *Dobro* dawać i w tem dawaniu znajdującego sens i treść życia. To, o czem marzy Aldous Huxley realizuje kobieta - lekarz, po zapadłych wioskach polskich nie jako ofiarę, lecz z pełni swego serca, w którym Dobroć panuje i wszechwładnie rządzi.

Może komuś się wyda nużąca i niepotrzebna taka duża ilość cytat umieszczona przezemnie? Ale skoro mamy wydawnictwa, będące zbiorem tak zw. „myśli wybranych“ danego pisarza, to uważam, że wypisy z ogromnego zbiorowego tomu, ilustrującego pewne zagadnienia, ułatwić mogą czytelnikom zaznajomienie się z daną sprawą i skuteczniej przekonają go o słuszności takiego, a nie innego stanowiska. Naogół ludzie są niecierpliwi i niezbyt lubią brnąć przez gruby tom, zawierający może trochę tylko materiału ich specjalnie obchodzącego. Ale wyszukiwać go, zestawiać i porównywać, to już czynność, do której nie mają ani ochoty, ani nawet... czasu. Otóż wypisy takie zestawione grupowo, udostępniają zapoznanie się z daną dziedziną i poszerzają zakres wiadomości, nieraz bardzo ważnych, podstawowych. Wypisy z „Pamiętników“, poczynione z myślą naświetlenia pewnych zagadnień, spopularyzować mogą aktualność wielkiej organizacyjnej i społecznej roboty, prowadzonej przez lekarzy - autorów, a tem samem przyczynią się do wytworzenia tak potrzebnego „klimatu“ zaufania między chorym i pacjentem, ułatwią wzajemny stosunek tych dwu stron zainteresowanych i złączonych więzią wspólnych dążeń i starań.

„Pamiętniki“ są historją obyczajów i stosunków miasteczek i wsi, są jednocześnie historją tego wielkiego, bohaterskiego wysiłku, jaki najdzielniejsze jednostki, w ramach zorganizowanej Instytucji Ub. Sp. ponoszą stale i wytrwale, by przetwarzać i ulepszać życie w Polsce. Są one historją narastania fundamentów nowego ustroju, oparte go o sprawiedliwość społeczną. A z urywków tych „Pamiętników“ czytelnicy nasi nabiorą przeświadczenia o znaczeniu wartości moralnych, tak silnie zakorzenionych w psychice autorów - lekarzy, że stają się one w nich potężnymi motorami całego życia. Każda cytata, którą podam, to wyrwany z całości epizod tylko, ale jakże wymownie świadczą o tem, że jedynie duch ludzki jest potęgą zdolną stawić skuteczny opór złu i małości.

Wszyscy lekarze jednakowo przedstawiają warunki, w jakich upływa im praca zawodowa i z jednakiem lekceważeniem odnoszą się do tego, co stanowiłoby mogło ich osobistą krzywdę. A raczej inaczej należy rzecz tę ująć: doznana niesprawiedliwość nie pomniejsza ich gorliwości w pracy, nie zniechęca — wywołuje tylko naturalną i konieczną reakcję w postaci zrozumienia, że szerokie warstwy należy

wychowywać, że oni i tej pracy powinni nie zaniedbywać. Zasadniczą cechą charakteru lekarzy jest nastawienie na „dawanie“, a nie no „branie“. W dawaniu ujawnia się potrzeba manifestowania czynnego stosunku do życia.

Ludzie ci, odznaczają się zachwycającą pogodą, umiarem, opanowaniem. Zastanawiałam się często, czy to nie jest pozór, umiejętność noszenia maski spokoju i równowagi, tak niezbędnych w ich zawodzie? Lecz nie dostrzegłam jej nigdzie, raczej te najgłębsze warstwy ich psychiki są mimo wszystkie przejścia utrzymane w harmonji, mającej swe źródło, jak mi się wydaje, w *powołaniu*, któremu są wierni.

Chwilami przypominają najszlachetniejszy typ sportowca, który w pokonywaniu przeszkód znajduje radość i szczęście. Lekarze, zwalczający chorobę, patrzą na rozkwitające zdrowie, będące jedynem bogactwem ludzi pracy i mają to radosne poczucie, że oni to obdarzają potrzebujących, tem, bez czego nie mogą istnieć.

Dr. Sabina Skopińska pisze, że „jestem lekarzem, który w swoim życiu udzielił około 100 tysięcy porad lekarskich. Dwanaście lat mej pracy oddałam Ubezpieczalniom Społecznym i chciałabym teraz uświadomić sobie rezultaty tej pracy.

„Prawo życia, które nadaje ciężar gatunkowy wszystkiemu na świecie i śmierć, ta bezlitosna śmierć, z którą my lekarze walczymy i walczymy, determinują najskuteczniej moje osiągnięcia.

„Pamiętnik ten jest słabym odbłyskiem tej nieustannej, zacieklej walki, walki w której cierpi nie tylko chory, ale i ten, kto idzie mu z pomocą.

„Nie są to czcze powiedzenia dla lekarza, walczącego o życie swoich pacjentów, bo przecież jego bezsilność wobec niektórych wypadków męki chorych, trafia w niego samego.

„Cóż poradzę, że tak mało radości jest w tym pamiętniku?“

A jednak i z jej pamiętnika przebija właśnie radość w tem może innym znaczeniu, niż się ją powszechnie rozumie — jest to wewnętrzny przekorny, uparty, tryumf, wypływający z tego poczucia, że się mimo wszystko, wbrew wszystkiemu, robi swoje i w tem robieniu jest zwycięstwo, jest postęp, jest ciągle niszczenie bakterji zła. Lekarz społeczny ogarnia swym wpływem całokształt życia ubezpieczonych i stara się je wyprowadzić na tory normalniejsze. I poczucie tej możliwości przetwarzania rzeczywistości bodaj w małym zakresie, jest radosną afirmacją pracy wogóle, dającą wytrwałość i pobudzającą do nieustępliwości i wysiłku. I niewątpliwie z tej umiejętności pracy uczynili lekarze swój codzienny obrządek. Naogół społeczeństwo nasze nie umie pracować — tą niechęć do pracy obserwujemy nieraz i z przerażeniem musimy skonstatować, że pewien tylko, stosunkowo niewielki procent ludności odnosi się do pracy, jako do wielkiego planu życiowego. Bo praca po za tem, że stwarza pewne wartości materialne potrzebne do utrzymania życia indywidualnego i zbiorowego, jest jednocześnie niezastąpionym treningiem psychicznym, w którym się ćwiczy cała osobowość nasza i zdobywa najwyższe osiągnięcia rozwojowe.

Ale wróćmy na chwilę do dr. Karasiówny. Oto jeszcze jeden obrazek bardzo wymowny dla warunków, w jakich żyje lekarz.

„Siedzenie ze słomy okazuje się najpraktyczniejsze, gdy jedzie się chłopskim wózkiem. Najmniej odczuwa się złą drogę. Najgorsze jest drewniane. Po dwóch godzinach jazdy, gdy człowiek wysiada z wózka, nie wie, czy ma wszystkie wewnętrzności.

Słoma łagodzi wstrząsy. Brzuch się nie rozleci. Jednak słoma przedstawia duże trudności techniczne. Trzeba umieć na snopku siedzieć. Geometrycznie w środku. Powiem ściślej: środkiem w środku. Bo jeżeli tylko trochę zboczy się z linii środkowej, wyrasta zaraz z jednego boku góra, a z drugiego przepaść. Góra rośnie, przepaść się stopniowo pogłębia. Po kwadransie pasażer siedzi na dnie wozu. Snopak wysunął się w górę. Poza tem gdy koń rusza, spada się z zadartymi w górę nogami w tył, poza siedzenie słomiane. Gdy jedzie się do góry, człowiek zsuwa się w dół powoli. Gdy na dół, spada się na plecy furmana. Jeżdżenie na siedzeniu słomianem jest osobną sztuką. Każdy doświadczony lekarz ją posiada. Po trzech godzinach słomianych trudności przyjechałam do chorego“ i t. d.

Nie mogłam nie podać tego urywku, tyle jest w nim humoru pokrywano właściwie niedolą naszego życia. Zawsze to samo zjawisko marnowania czasu, sił i zdrowia ludzkiego. To wszystko jest faktycznie spuścizną po czasach niewoli, a my musimy odrabiać zaległości, powstałe w wyniku historii. Ogrom prac, rozpoczętych na obszarze Polski, a zmierzających do zaprowadzenia całego szeregu ulepszeń i reform niezbędnych, jest jeszcze stale owem załatwianiem wczorajszych zaniedbań, A z niezrozumienia konieczności prowadzenia tych robót w tempie rekordowym, wypływa cały szereg braków, zdawałoby się elementarnych. Lekarze, których pamiętniki omawiam, doskonale zdają sobie sprawę z przyczyn takiego stanu rzeczy i zajęli wobec niego postawę, będącą przykładem dla nas wszystkich: nie narzekać, a robić swoje — wytykać błędy i braki, a jednocześnie samemu usilnie je tępić i szerzyć zdrowe poglądy, odpowiadające potrzebom obecnej epoki.

Ta książka jest po prostu kopalnią pozytywnych pierwszorzędnych wartości, mimo, że pozornie wydać się może, jedynie zbiorem najciemniejszych stron życia obecnego, przesiąkniętego do dna ludzką krzywdą i łzami.

Jak pracuje lekarz społeczny?

Dr. Sabina Skopińska pisze, że „wstawanie do chorego w środku nocy jest jednym z najcięższych obowiązków lekarza, tem bardziej, jeżeli ma się w perspektywie całodzienną pracę następnego dnia“.

„15 kilometrów jazdy autem po błocie, dołach i kałużach. Mocny samochód i doświadczony, dobry szofer, a mimo to jestem taka „strzęsiona“, że serce czuję koło gardła. To już nie ten lekarz, który w zaraniu swej praktyki przeszło 6 km. pędził pieszo, aby chorego odesłać do szpitala na operację. Dopiero 8-my rok tej jazdy po błocie, piachach i dołach, a skutki już czuję. Ósmy rok pracy w dzień i w nocy i już choruję na serce. Nogi się podemną trzęsą, kiedy wychodzę z samochodu. Chora, do której mnie wzywają, leczy się podobno na gruźlicę. Drewniana chata, w której pacjentka mieszka, kryta jest deskami. Wokół

plotek, a tuż za nim, przed samymi oknami chatki, stosy gnoju, który widocznie przechowuje się w tym miejscu aż do wiosny. Obok piwnica z ziemniakami, pieńek do rąbania drzewa, pies w budzie i przeraźliwe błoto, błoto, błoto...“

„Załatwiłam możliwie szybko resztę chorych i pobiegłam prawie pędem do Wielkiej Starołęki.

„W łóżku leżał mężczyzna o dość atletycznej budowie. Jęczał strasznie. Tętno przyśpieszone, brzuch twardy, jak deska.

„Jeszcze szybciej pobiegłam do Starołęki telefonować po karetkę. Chory musiał być natychmiast operowany.

„Po miesiącu chory przyszedł do mnie osobiście podziękować za ratunek (fakt w warszawskiej ubezpieczeniowej praktyce rzadko spotykany).

„Był to wypadek pęknięcia żołądka. Dzięki mojej „galopadzie“ pacjenta zdążono jeszcze w czas zoperować. Moja wizyta z drogą 16 kilometrów pieszo trwała niecałe 40 min.

„O młode, zdrowe serce początkującego lekarza! Jesteś zdolne do wyczynów sportowych!

„Obecnie nie biegłabym klusem 6 kilometrów, gdyż groziłoby to tem, że do lekarza trzebaby było wzywać pogotowie. A przecież to tak niedawno, zaledwie dziesięć lat temu.“

„Jeszcze jestem młodym lekarzem i jestem przygotowana na wstawanie do chorych w nocy. Jednak w tę noc, w pierwszy dzień Świąt Bożego Narodzenia wolałabym spać spokojnie. Mój synek miał dopiero dwa miesiące.

„Tymczasem o godzinie drugiej i pół w nocy obudził mnie krzyk przeraźliwy pod moimi drzwiami. Służąca otwiera. Okazuje się, że przed domem, gdzie mieszkam, kobieta rodzi. Przyprowadził ją do mnie jakiś mężczyzna. Opowiada, że on i ona są bezrobotni i bezdomni. W lecie wędrowali z miejsca na miejsce, szukając roboty w polu, a teraz w zimie, mieszkają w stogu siana pod Minikowem. Ale przecie w stogu siana, zimą nie można dziecka urodzić! Mężczyzna wiedział, że jest w Starołęce lekarz, więc przyprowadził do mnie bezdomną kobietę. Z mojego mieszkania na dworzec było parę kroków. Zatelefonowano po Pogotowie. Pacjentka wijąc się z bólu, pomału schodzi do karetki, krzycząc przeraźliwie. Nim karetka ruszyła, dziecko przyszło na świat. Dałam kobiecie pieluszki i koszulki mojego synka, aby miała w co maleństwo ubrać. To była gwiazdka 1926 r.“

I oto w 1935 r. warunki materialne dr. S. Skopińskiej poczęły się jaknajfatalniej układać. Po przeprowadzeniu ustawy scaleniowej, straciła ona dochód z udzielania pomocy robotnikom rolnym, a i dochody w poznańskiej Kasie Chorych również zmały. Prywatnej praktyki nie było, lecz mimo to urząd podatkowy wymierzył podatek od zarobku 200 zł. miesięcznie.

„Pamiętam dobrze ten ranek 4 czerwca 1935 r. Stos zaległości podatkowych i moja zupełna bezradność. Zrobiło mi się słabo. Ledwo miałam siłę zadzwonić na służącą. Zawezwała ona jednego z kolegów lekarzy, który zastępował mnie w te nieliczne dni, kiedy byłam zmuszona wyjechać z Poznania na jakieś zebranie w t. zw.: teren. W razie choroby, lub jakiegokolwiek innej przyczyny, Ubezpieczalnia poznańska

sama automatycznie nie przysyłała zastępcy. Zastępcę trzeba szukać i opłacać z własnej kieszeni. Dr. G. najpierw mnie zbadał i orzekł, że poprosi profesora J., aby mnie przyjęto na miesiąc do szpitala. Stan mego serca był niedobry, a w domu nie było mowy o wyleczeniu. Tak się też stało. Miesiąc poleżałam na klinice uniwersyteckiej, aż wreszcie mięsień sercowy się wzmocnił. Wracalam znów do pracy, ale już z powziętą decyzją — opuszczam Poznań“.

A dr. Karasiówna tak kończy swój pamiętnik:

„Zachorowałam“. Jak to dobrze, że istnieją choroby. Nie tylko dlatego, że lekarz z nich żyje. Dlatego, że może też zachorować“.

Zachorować to znaczy... odpocząć. Coś tu jest bardzo nie wporządku. I ta troska materialna, to prześladowanie podatkami człowieka, który nic nie ma, po za bezgranicznym oddaniem służbie społecznej wszystkich swych sił najlepszych!

„Pamiętników Lekarzy“ nie można czytać zaprędko — trzeba się wmyśleć w pewne zjawiska, trzeba je również wyodrębnić z masy ciekawych i różnorodnych zagadnień, a wówczas nabierają one wyrazistości i jędrności. Ileż razy przy rozmaitych okazjach podkreślałam moment marnowania się sił ludzkich! I oto właśnie mamy tu świadectwa dwu wybitnych kobiet - lekarzy, których wydajnej i ofiarnej pracy tak bardzo potrzebuje społeczeństwo, a które tak strasznie marnują siły i zdrowie w walce z przeciwnościami i trudnościami. Kłopoty finansowe dr. S. Skopińskiej, toć przecie jakiś koszmar tem więcej potworny, że istniejący jednak w ramach instytucji, mającej na celu służenie zdrowiu ludności. Czyżby jej pracownik, będący mózgiem i podstawową komórką całej organizacji był wyjątkiem i nie podlegał ochronie? Nie badam wysokości opłat za wizytę, tylko stwierdzam, że lekarz społeczny, dający taką pracę, jak ta, którą z „pamiętników“ poznajemy, musi być wolny od trosk materialnych. To są wymagania słuszne i naturalne, a istnienie odwrotnego stanu rzeczy, jest czemś nienormalnym i podcinającym również i byt samej instytucji, sprzeniewierzającej się własnym ideologicznym podstawom. Są inspektorzy i inspektorki pracy w fabrykach, badający warunki pracy w fabrykach — tu o to nie chodzi, bo nikt cudów nie dokona i nie zmieni warunków pracy lekarza społecznego, — lecz trzeba mu dać takie wynagrodzenie, by wolny był od troski o codzienny kawałek chleba i dach nad głową.

Społeczeństwo wielu rzeczy nie rozumie, trzeba mu na nie uparcie zwracać uwagę. Postanowiłam z chaotycznego (z konieczności) materiału „Pamiętników“ uczynić wyciąg tego, co wydaje mi się najistotniejsze i mające służyć urobieniu należytej opinii. Lecznictwo społeczne i ogólna kultura, obok szkolnictwa, jest frontem pokojowej walki o nowe jutro naszego państwa.

W tym froncie „Trzeźwość“, jako organizacja walcząca o zdrowego fizycznie i moralnie człowieka w ciągu 20 lat pomału, dzień po dniu, rok za rokiem, umacniała swe stanowisko, prowadząc obok walki z alkoholizmem, propagandę kulturalną w najszerszym tego słowa znaczeniu. W rozwoju czytelnictwa widzimy potężnego sprzymierzeńca do walki z alkoholizmem, to też zawsze pilnie śledzimy ruch wydawniczy. Gdy pojawiły się „Pamiętniki Lekarzy“, odrazu spostrzeżliśmy, jak wielkie znaczenie ma ta książka wogóle, a w szczególności dla nas.

Zobaczyliśmy, jak się załamują w psychice lekarzy te zagadnienia, którym nieraz wiele miejsca poświęcaliśmy, stwierdziliśmy niesłychaną bliskość ideową, w znaczeniu wspólnego zrozumienia pracy społeczno - kulturalnej, jako podstawy do dalszych reform społecznych, a wreszcie odczyliśmy rzetelną wartość indywidualną każdego z autorów tego cennego wydawnictwa. W obawie, że tak gruby tom nie dostanie się do bardzo szerokich warstw, postanowiłam wydzielić część zagadnień, bardziej nam bliskich, spopularyzować je za pośrednictwem naszego piśma, i puścić w świat w formie dostępniejszej.

Grupując cytaty do działu „jak pracuje lekarz społeczny“, powodowałam się pragnieniem wykazania jakie nosi cechy charakterystyczne praca wykonywana z „powołania“, jaka w niej cenna siła twórcza, jak w obecnych warunkach jest ofiarą, a co daje wzamian. A wszystkie te rozmyślania odbywają się w kole Judymowych zmagani, i choć ona w promieniu współczesnych zapotrzebowań i nastawień przebiega nad pionem całej roboty społecznej lekarzy, zaciążył testament serca Żeromskiego. Ono to żyje w pracy u podstaw, która jest orką pod zasiew przyszłości lepszej, radośniejszej.

Przykład życia lekarzy może niejednemu otworzyć oczy na wartość wysiłku, bodaj nawet najmniejszego, byle podejmowanego z myślą o wytworzeniu czegoś pozytywnego. Jednocześnie przekonać on powinien, że każdy z nas może ulżyć ciężkiej doli, będącej udziałem lekarza, jeżeli siebie w y c h o w a, jeżeli nie pozwoli sobie na wyzyskiwanie świadome, czy nieświadome dobrej woli i czasu doktora, zawsze śpieszącego z pomocą potrzebującemu. A że tak jest — posłuchajmy co pisze dr. S. Skopińska :

„Serce bolało mnie tego dnia bardzo. Z wysiłkiem odwiedziłam sześciu chorych na mieście. Myślałam: „ostrożnie, masz czas“. Serce jest narzędziem, które zawsze nie jest w porządku u lekarza. Patrząc z troską na godziny, kiedy skończy się dzień pracy. Każde nacylenie się nad chorym w czasie badania, każde sięgnięcie do kartoteki, było dla mnie wielkim wysiłkiem. Wreszcie godzina 6-ta. Przyjęcia skończone. Mogę się położyć. Służącej mówię, że koniec i żeby nikogo nie wpuszczają. Kładę się, zaczynam zasypiać, lecz wkrótce rozpoczyna się dzwonienie.

„Jakiś „pan“, jak twierdzi służąca, bynajmniej na chorego nie wyglądający, chce się ze mną widzieć w celu zasięgnięcia informacji. Służąca perswaduje mu, że tylko w godzinach przyjęć może się ze mną widzieć i że teraz nie ma mnie w domu. Pacjent zaczyna dzwonić bez przerwy. Dostaję ataku serca. Służąca wykręca elektryczny dzwonek, który przestaje dzwonić. Pacjent zaczyna wówczas walić w drzwi nogami. Usłyszawszy jednak, że telefonicznie wzywa się policję „chory“ odchodzi. Następnego dnia zjawia się na trzy minuty przed szóstą. W poczekalni było jeszcze pięciu chorych. Służąca nie chciała go wpuścić, lecz ze względu na to, że szło mu tylko o informację, otworzyła mu drzwi. O godz. 6 min. 45 po załatwieniu pięciu oczekujących pacjentów przyszła i na niego kolej. Podał, że jest prawnikiem, bezrobotnym, zatrudnionym w jakiejś filantropijnej instytucji. Legitymacji nie miał, tylko zaświadczenie. Miał zastarzałą chorobę weneryczną i prosił o skierowanie do specjalisty. Ależ pan mógł się bez skierowania, wprost u-

dać do specjalisty. Chorzy weneryczni nie potrzebują mieć skierowania od lekarza domowego. Pocóż więc to całe piekło, pocco ta awantura? Wspomniałam o swoim ataku sercowym, o tej nocy źle przespanej i wielu wielu innych nocach, w które też nie mogłam zasnąć z powodu trosk zawodowych. Jakże psie życie prowadzi lekarz Ubezpieczalni“.

Dr. Tadeusz Skorecki pisze, że „zaczyna się ciężki dzień. Z jakimś lękiem zaczynam codzienną pracę ambulatoryjną dla ubezpieczonych, z jakąś niepewnością i obawą czy do końca wytrzymam.

„Łatwo tę rzeczywistość przedstawić w szeregu obrazów zmieniających się jak w kalejdoskopie. Typy i typki, pretensje i wymagania, klótnie, spory, kwasy, niezadowolenie, przycinki, nieraz nawet awantury. Wszystko stale dzień po dniu podobne do siebie. Zmieniają się poszczególni pacjenci, lecz nie zmieniają się wcale ludzie, którym stale nic się nie podoba i którzy stale są niezadowoleni.

„Bardzo rzadkim gościem jest w ambulatorjum człowiek kulturalny, rozumiejący nie tylko siebie, ale i mnie, lekarza. Po wyjściu podobnego pacjenta wdycham: byłby raj, gdyby wszyscy byli tacy“.

Ażeby tak każdy z ubezpieczonych zapragnął, zapracowanemu bliźniemu swemu, lekarzowi, śpieszącemu mu zawsze z radą i pomocą, wnieść nieco słońca i pogody, trochę uśmiechu i tej życzliwości serdecznej, która wytworzy więź wzajemnego zaufania tak potrzebnego w ich stosunku. A wszystko to wzamian za poradę otrzymaną.

Dr. Cz. Piekarski również stwierdza owo lekceważenie czasu lekarza, graniczące niemal z okrucieństwem. „Godzina 23. śpię w najlepsze od 15 min., gdy budzą mnie do „nagłego wypadku“ we wsi oddległej o 12 kilometrów. Muszę wstać, ubrać się, posłać po samochód, gdyż telefon w nocy jest nieczynny. Budzą się przytem wszyscy domownicy, gdyż przybyli po mnie na rowerach dwaj osobnicy zachowują się bezceremonjalnie i hałaśliwie. Jadę. Drobny 18-letni leży w łóżku z bólem brzucha. Miał wymioty prawdopodobnie z przejedzenia. Przy badaniu nie stwierdzam żadnych objawów chorobowych, ani też temperatury. Na moją uwagę, że zupełnie niepotrzebnie wyciągnięto mnie z łóżka, że pacjent równie dobrze mógłby do mnie przyjść w dzień, spotykam się z odpowiedzią, że nie oni dla mnie, lecz ja jestem dla nich. Opłacają kasę chorych, więc muszę być na każde zawołanie. Widząc, że zapisuję tylko rycynus, podnoszą prawdziwą awanturę: źle jest, gdy doktor patrzy tylko na termometr, chory musi dostać lepsze i droższe lekarstwo, nie braknie nawet ordynarnych wymyślań pod adresem moim i Ubezpieczalni. Na moją stanowczą uwagę, by się zwracali do mnie grzecznie, bezczelnie odpowiadają, że ja mówię po miejsku, a oni po wiejsku, i że inaczej mówić nie umieją“.

Czyż można się więc dziwić, że dr. Cz. Gawarecki kreśli następującą sylwetkę swego kolegi lekarza z Ubezpieczalni, sylwetkę powstałą w dużej mierze z racji owej fatalnej atmosfery, którą pacjent brutalny i egoistyczny zatruwa psychikę doktora.

„Oczy zawsze wesołe i lekki stały grymas wargi podkreślały uśmiech nie schodzący z tej twarzy. Zawsze żywy, czynny i pogodny. Takim go znałem na Uniwersytecie i takim widywałem w ciągu szeregu lat po dyplomie.

„Wiedziałem, iż obecnie pracuje jako lekarz domowy Ubezpie-

czalni na rejonie podstołecznym. Przysyłał do Zakładu swych pacjentów do konsultacji.

„Spotkaliśmy się przypadkowo w niedzielę i zostałem uderzony zmianą jego wyglądu i samopoczucia. Lekko pochyłony, oczy znużone, fałdy nosowe pogłębione, rękoma nie rozprawia, jak dawniej, a wykonywa od czasu do czasu ociężały gest rezygnacji.

„Pytam, czy chory.

„Oświadcza, że zdycha.

„Czemu?

„Warunki pracy zatruwają życie pacjenta. Pacjenci nie liczą się zupełnie z ustalonymi godzinami przyjęć, ani z porą doby. Zgłaszają się, kiedy im się podoba. Niektórzy przychodzą po pijanemu. Na uwagę żony, lub służącej, iż zgłaszają się o niewłaściwym czasie, odpowiada ją stekiem wymyślań, wyzwisk i wyliczaniem rodowodów, odgrażają się. Pomocnice domowe nie chcą u mnie pracować. Wzywać policji i nie lubię i nie chcę. Protokół policyjny nie zmieni ludzi, a tylko wnosi rozdrażnienia i daje żer łowcom sensacji i skandali. Wolę zdobyć mir i zaufanie pacjentów choćby za cenę największego przepracowania i cierpliwości, niż zostać bohaterem brukowców. Ubezpieczeni nadużywają mej pracy w sposób przykry i uciążliwy. W minionym tygodniu musiałem odbyć w ciągu jednej nocy trzykrotnie wędrowkę po wertepach do jednego babsztyla, któremu dolegała najzwyczajniejsza niestrawność po libacji. Gdyby ci ludzie nie byli ubezpieczeni i musieli płacić za każde wezwanie i każdą poradę, to ilość mej praktyki spadłaby do paru procent. Najokrutniejszy władca i despota, utrzymujący lekarza dla swojej tylko osoby, nie nadużywałby go tak, jak wielu ubezpieczonych. Sądzą oni, że lekarz został oddany dla zaspakajania ich widzi misię.

„Żalił się dalej mój kolega na swój stan takiego przemęczenia i niewyspania, że nie ma ani chęci, ani sił na jakąkolwiek rozrywkę, ani nie ma możności zajrzenia do książki.

„Sądząc po swoim wyczerpaniu, uważa za niemożliwość wytrzymania dłużej takiej orki. Cóż będzie w takim razie, gdy obecnie zatrudnieni lekarze przekroczą swój wiek największej wydolności i stanu sił.

„Ma mglistą nadzieję, że zmniejszą ilość przydzielonych mu ubezpieczonych, ale sprawa o tyle trudna, że podobny stan istnieje na wielu obwodach.

„Znałem niezwykłą pracowitość kolegi i jego uczynność, wiem, że zależy mu na pracy i nie mam żadnych podstaw do podejrzewania go o jakiegokolwiek przejawianie stanu“.

Dr. Tadeusz Skorecki pisze, że „pracowałem w miejscowości, dookoła której w promieniu około 15 kilometrów nie było innego lekarza. Pracą byłem zamęczany. Wieczorami z głową ociężałą, pełną nie wrażeń, lecz przemęczenia, rzucałem się, jak kłoda, na niezbyt wygodne, pożyczone łóżko, natychmiast zasypiając do chwili, kiedy silne pukanie wzywało mnie do nowego pacjenta. Prócz wypoczynku brakło również i pieniędzy; instytucje bowiem płaciły „z dołu“, a pacjenci prywatni, tradycyjnym zwyczajem „byli winni“.

Lekarz piszący pod godłem „Salus aegroti suprema lex“ podaje nam wymowną litanję prac:

„Jeszcze wysoki stos kart chorobowych przede mną, gdy czuję, że jestem zmęczony. Ucho stara się słuchać uważnie, ale kora mózgowa reaguje coraz powolniej, badanie pacjenta trwa 2 lub nawet 3 razy dłużej, jak normalnie, przy tem co najważniejsze, cierpliwość moja wyczerpuje się, a zdolność wnikania w psychikę chorych jakby zatraca się. Należałoby teraz właściwie trochę odpocząć, zaczerpnąć głęboko świeżego powietrza — jednym słowem: odprężyć się. Pracuje się przecież prawie cały czas w ciągłym pośpiechu, nie jest to zaciszny gabinet wziętego lekarza wielkomiejskiego, który ma określony czas przyjęć i może każdemu pacjentowi poświęcić $\frac{3}{4}$, lub całą godzinę, tu musi się pracować szybko, wydatnie i celowo, poczekalnia jest pełna chorych, którzy niecierpliwie czekają na swoją kolej w warunkach niekoniecznie dobrych. Cały system nerwowy jest napięty do ostatecznych granic, serce i mózg pracują z wytężoną energją, dalej, prędzej, szybciej, bo ludzie czekają, przychodzą nowi, bo wszyscy muszą być załatwieni, bo po południu są wyjazdy, a po wyjazdach znów przyjęcia wieczorne, a czasem i całonocne dyżury. Ręka pisze błyskawicznie recepty, maluje jakieś nieczytelne hjeroglify na kartach chorobowych dalej, prędzej, szybciej, by móc więcej czasu poświęcić badaniu chorego i zająć się nim dłużej.

„Zegar gdański w poczekalni wybija godzinę 12-stą, ale jeszcze daleko do końca ordynacji. Liczą karty chorobowe: jeszcze jakichś 8 chorych. Za jakąś godzinę będę chyba gotów.

„Kilka minut przed pierwszą. Ostatni pacjent szykuje się do wyjścia. Jeszcze kilka niezbędnych pytań, gdzie należy oddać mocz do badania, lub w jakich godzinach przyjmuje ten lub ów specjalista, czy lekarstwo będzie płatne, lub jak należy je zażyć — i oto drzwi zamykają się za nim.

„Przez chwilę kręcę się, jak otumaniony. Maszyna, pracująca we mnie pod wysokiem ciśnieniem, ciągle jest jeszcze w ruchu. Koła toczą się, dźwignie się unoszą, pasy wirują — wszystko we mnie kipi i przewala się. Zauważam, że wykonuję cały szereg zbędnych ruchów, tu coś wkładam, tam wyjmuję, tu podnoszę, tam znowu zrzucam — nakręcony automat, którego sprężyna niezupełnie jeszcze rozluźniła się. Nareszcie wracam trochę do siebie. Powietrze w gabinecie jest złe, ale w poczekalni jeszcze gorsze. Szeroko otwieram okno, by wpuścić świeże powietrze. Następnie dezynfekuję się starannie i wchodzę do poczekalni. Tutaj jest okropnie brudno, gruba warstwa błota i kurzu pokrywa podłogę. Walają się po niej łupiny od owoców i kawałki starych gazet. Przystąpiwszy próg mieszkaniny, zdejmuję marynarkę i zawieszam ją na kołku za grugą kotarą. Następnie wdziewam bonżurkę, myję jeszcze raz ręce pod kranem wodą i mydłem i znowu odkazam w alkoholu. Nareszcie i z tą ceremonją jestem gotów.

„Myślałam, że już nie wypuszczą cię z tego gabinetu — przyjmuję mię żona z wyrzutem — obiad już gotów od pół godziny. Możesz już podawać — odpowiadam, choć nie czuję najmniejszego łaknienia. Muszę jeszcze tylko zatelefonować do Ubezpieczalni, by mi przysłano wcześniej konie. Mam dzisiaj 15 wyjazdów“.

Chwilkę zastanówmy się nad tymi urywkami. Wyłania się z nich naprawdę tragiczny obraz życia lekarzy społecznych. Oto pracują w ciężkich warunkach, wynikających także i z zupełnego niezrozumienia przez szerokie warstwy ludności sensu i znaczenia ich działalności, marnują siły niepotrzebnie, zamiast nimi gospodarować rozsądnie, by mogły starczyć jaknajdłużej. Higjena życia, którą mają propagować, jest niedostępna dla nich, a cały tryb ich dnia przeczy podstawowym zasadom higieny pracy. Wytwarza się paradoksalna sytuacja, że ci, którzy walczą o zdrowie innych, swoje zatracają. Stajemy tu wobec powszechnie znanego zjawiska marnowania się człowieka, ale w tym wypadku zachodzi fakt, zakrawający na bolesną ironję. Lekarz zatracza szybko tężyznę i odporność organizmu, a społeczeństwo obojętnie przyjmuje daninę jego zdrowia. Jest to rabunkowa gospodarka właśnie tym materiałem ludzkim, który powinien być specjalnie ochraniaany, gdyż przedstawia wyjątkową wartość indywidualną i społeczną. Zmiana takiego stanu zależy w dużym stopniu od samego społeczeństwa, od ubezpieczonych. Niechby oni np. przestali wzywać *niepotrzebnie* w nocy lekarzy do siebie do domów, położonych nieraz w odległych miejscowościach. Wyjazdy owe są plagą, a jednocześnie objawem barbarzyństwa ze strony ludzi, którzy może nawet nie są tak źli, tylko po prostu nie zastanawiają się, a rozumują egoistycznie, błędnie. Trzeba podnieść poziom ogólnych wiadomości z dziedziny higieny i niesienia pomocy w nagłych wypadkach zachorowań, aby można było likwidować je domowymi środkami, nie trudząc lekarza dla błahych przyczyn.

Chciałabym, aby te „Pamiętniki Lekarzy“, po za banalną i zdawkową reakcją czytających, dającą się wyrazić kilkoma westchnieniami: „jakie to okropne“, „jakie straszne“, — spełniły również rolę wychowującą niesforne społeczeństwo, by otworzyły oczy na istotny stan rzeczy i zmodyfikowały stosunek ubezpieczonych do Instytucji, opierającej się na pracy ludzi, oddanych wielkiej sprawie przebudowy stosunków społecznych, poczynając od samych podstaw, od szerzenia higieny i zdrowia.

Pilnie wyszukiwałam w tej pracy wszystkiego, co rzuciłoby jakieś światło na sposób spędzania wolnego czasu przez lekarzy i nie mogłam nic znaleźć, natomiast mogę stwierdzić, że oni wogóle wcale go nie mają. A to przecie przeczy podstawowym zasadom normalnego, zdrowego życia i jest przyczyną, iż muszą się oni „wykańczać“ znacznie prędzej, niż wówczas, gdyby wolny czas był ich udziałem.

Życie nasze obfituje w paradoksy. Trudno o bardziej bolesny od tego, który obserwujemy w życiu lekarza społecznego. Władze Ubezpieczalni powinny również wejrzeć w sytuację istniejącą i ze swej strony uczynić wszystko, by lekarze mieli należne każdemu pracownikowi możliwości życia w warunkach, które nie wymagałyby od nich ofiar i samozaparcia, graniczącego z pomniejszaniem wydajności samej pracy. Szary zaś człowiek, ubezpieczony, do którego podąża lekarz na każde jego zawołanie, niech zrozumie, że mu nie wolno wyzyskiwać cudzych sił i cennego czasu. Wprost tragicznem wydaje mi się zjawisko, iż człowiek ciężkiej pracy fizycznej nie rozumie również ciężkiej i odpowiedzialnej pracy lekarza. Jest to niewątpliwie objaw ciemnoty, nie mogącej pojąć, że istnieć powinien jeden zwarty obóz ludzi pracy umysłowej.

wej i fizycznej i że nie wolno lekceważyć tych pierwszych, bo bez nich cofnęlibyśmy się w mroki pierwszych epok życia na ziemi. A że ciemnota i nędza są wielkie, to świadectwem tego są właśnie „Pamiętniki Lekarzy“, odsłaniające niemal wszystkie zakamarki, w których się one rozpostarły wszechwładnie i z takim trudem dają się usuwać.

Nie można jednak walczyć z ciemnotą skutecznie, jeżeli się nie da ludności pewnych znośnych warunków życia, pewnej, bodaj doraźnej pomocy, gdyż niepodobna czekać z założonemi rękami aż spadnie z nieba nowy ustrój, bo wówczas już może nie będzie komu z niego korzystać. Podnoszenie zdrowotności, nie tylko drogą leczenia chorych, lecz przede wszystkim szerzenia higjeny, przeciwdziałanie rozwijaniu się wielkich chorób społecznych, jak alkoholizm, gruźlica, choroby weneryczne, spoczywające w ręku Ubezpieczalni Społecznej, mają na celu nie tylko poprawę obecnych stosunków, lecz przygotowują społeczeństwo do stopniowej realizacj odrodzonych form życia lepszego, pełniejszego.

Rola Ubezpieczeń Społecznych na wsi.

Jak wielką rolę odgrywają Ubezpieczenia Społeczne, da się najlepiej zaobserwować przy porównaniu losów ubezpieczonych pracowników z losami pracowników rolnych, nieubezpieczonych, zdanych na łaskę gminy i ziemiaństwa. Skutki krzyczącej niesprawiedliwości, która dotknęła ludność wiejską, są świadectwem najlepszym, iż Ub. Społ. zaspakajają istotnie potrzeby ludności, dola ubezpieczonych jest lżejszą znacznie od doli proletariatu wiejskiego, pozbawionego pomocy Ubezpieczalni. Braki Ubezpieczalni, na które tak się skarżą ludzie ze wszystkich warstw, bynajmniej nie pomniejszają tej roli, którą ona zajęła w życiu naszego społeczeństwa. Są wśród niej również i źli urzędnicy, źli lekarze, źli dyrektorowie, tem nie mniej jest to instytucja o bezsprzecznych, wielkich zasługach, na które nie należy zamykać oczu, lecz podnosząc je, wymagać, by istniejące braki usuwała, udoskonalała aparat administracyjny i wykonawczy.

Skolei wypada mi podać garść cytat o nędzy wsi polskiej, pozbawionej Ubezpieczalni Społecznej.

Nędza wsi polskiej.

Zaznajomienie się z opinią lekarzy, znających doskonale teren wiejski, da nam możność nie tylko poznania warunków, w jakich żyje lud nasz, lecz i przekonania się, jak wielka krzywda go spotkała, przez odebranie praw do świadczeń społecznych. Najbardziej chyba zatwardziali sceptycy zrozumieją, że należy proletariatowi wiejskiemu dać bodaj *prawo leczenia się*, by choć odrobinę było mu łatwiej wyżyć i lżej borykać się z ogólnie panującym bezrobociem. Tak można w paru zdaniach wypowiedzieć wrażenia, które się otrzymuje przy czytaniu „pamiętników“. Czy wrażenia te odpowiadają całkowicie faktycznemu stanowi rzeczy, czy niema w nich pewnej jednostronności — nad tą sprawą zastanowię się przy końcu omawiania sprawy Ubezpieczalni Społecznych.

Dr. Karasiówna, której pamiętnik odznacza się głęboką *wiedzą*

o doli człowieka, zmagającego się z ogromem niesprawiedliwości społecznej, twierdzi, że:

„Właściwym rozwiązaniem problemu dla wsi może być tylko uspołecznienie lecznictwa, połączone ze stworzeniem dużej ilości prymitywnych przynajmniej szpitali“.

A ileż bolesnej goryczy i ironji zawiera urywek następujący:

„Popołudniu przychodzą pracownicy rolni. Nie ma ich dużo. Przed paru laty zniesiono ubezpieczenie fernali, gajowych i robotników leśnych. Na folwarku zapanowała radość; nie muszą płacić do Ubezpieczalni. Mogą wybierać lekarza. Mogą wzywać trzech do tej samej choroby. Dostaną droższe lekarstwa. Ponoszą tylko 10% kosztów, resztę pokryje pracodawca. Fornal ma być zapewniony. Mieszkanie, zboże, ziemniaki, mleko. Jeszcze zarabia 8 zł. miesięcznie: na tłuszcz do ziemniaków, na ubranie. Dla siebie i dla rodziny. Stać go na chorobę do wysokości 80 zł. według 10% przepisów. Nie musi jeść z omastą, nie musi się ubrać.

„Dlatego od 4 lat jest dobrze. Po zniesieniu ubezpieczenia podniósł się stan zdrowotny pracowników rolnych... O wiele mniej chorują, — $\frac{1}{4}$ tego, co przedtem. Im kto mniej zarabia, tem rzadziej i krócej choruje. Jeszczeby się pan zarządca obraził i pracę wypowiedział“.

Dr. Sabina Skopińska, którą już też nieraz cytowałam, a do której trudno nie powracać, tyle jest w jej wypowiedziach serca i bezinteresownego oddania się chorym, podaje obrazek, którego tytuł podałam na początku tego rozdziału: „Nędza wsi polskiej“:

„Pytam się całkiem serjo, zupełnie na zimno, choć serce się we mnie tłucze, choć pisać nie mogę, bo słowa moje wydają mi się takie marne: kto wie i kto zdaje sobie sprawę z tego, co się dzieje z ludnością wsi polskiej? Rzucam to pytanie tym, co są wykształceni i rozumni. Czy wiedzą, czy zdają sobie sprawę z tej nędzy, jaka panuje w chatkach najkulturalniejszej naszej dzielnicy polskiej? Panuje tam gruźlica, rozpościerająca skrzydła, niby potworny wampir, który wpatrzony jest w ciszę cmentarną polskiej wsi. Ileż razy nasuwają mi się na myśl słowa Wyspiańskiego: „Byle polska wieś zaciszna, byle polska wieś spokojna“, gdy jako młody lekarz zagłębiałam się w tajniki owego sielankowego wiejskiego życia. Od tego czasu nie mogę być spokojna i szczęśliwa, nie mogę zapomnieć tego, co zobaczyłam.

„Przypominam sobie zimą, 1931 r. Przy drodze stoi chata, przed nią kałuża gnojówki nawpół zamarzniętej. Na dworze świeci słońce. W chacie ciemno. Małeńkie szybki w oknach pokryte sopłami lodu. W izbie siedzi kobieta, oparta o tylną ścianę komina w kuchni. Widocznie zabrakło nawet opału, nawet kilku drewek, by ogień wzniecić. W izbie cicho. Nie widać ani śladu gotowanego posiłku, lub jakichkolwiek przygotowań do przyrządzenia najnędzniejszej strawy. Kobieta karmi dziecko piersią, a raczej jakimś żółtawym workiem ze skóry ludzkiej. Dziecko jest sine i oczka ma zamknięte. Chyba śpi. Kobieta mówi jakoś niewyraźnie, że ją głowa boli, że ją mdli, że ją „żga“.

„Patrząc na ten mroźny spokój i ciszę, pytam się, kiedy jadła. Kobieta bełkoce coś niewyraźnie, że stary poszedł w pole odkopać ziemniaków. Nie pytam się już o to, czyje to ziemniaki, co mnie to obchodzi. Najprawdopodobniej poszedł kraść. I we mnie w tej chwili za-

stygły wszelkie zdrowe odruchy. Dałam jej od siebie na chleb 2 zł. i zapisałam butelkę tranu dla dziecka i dla niej glicerofosfatu oraz aspiryny. Nawet pies nie czekał, gdy wychodziłam z chatki.

„Powiało na mnie taką ciszą i obojętnością, że zdawało mi się, iż jestem na starym zapomnianym cmentarzu. Przypomniały mi się jakieś nastroje średniowieczne, tak świetnie uwidocznione na obrazach Breugla w Galerji Wiedeńskiej. Zima. Gdzie okiem sięgnąć, mróz i śnieg. Mróz i śnieg w izbach chłopskich. Mróz i śnieg w naszych sercach, które tego nie czują i nie pojmują tej nędzy. Tak. Chłopi w średniowieczu, być może, wiedli podobne życie w całym świecie, ale obecnie wiodą je chyba tylko u nas“.

Rzecz prosta, jest to jedno z najjaskrawszych wewnątrz izby wiejskiej, tem niemniej przeciętny poziom życia ludu jest niesłychanie niski. Odebranie prawa korzystania z pomocy Ubez. Społ. według pamiętnikarzy stwarza w rezultacie jeszcze beznadziejniejszą sytuację, skazującą wielkie rzesze chłopskie na ostateczną zagładę.

Dr. Sabina Skopińska przypomina sobie, jak grypa „w okolicach Starołęki istotnie szalała. Pozostało z tego okresu tylko wspomnienie następujących wrażeń: dojazd do wsi, w której znajdowali się chorzy, połączony był z niesamowitemi wprost przeszkodami. Dwie łopaty, deski, łańcuch na koła — były nieodzownymi atrybutami lekarza, który chciał odwiedzić chorego. Wreszcie po przebyciu drogi do wioski, a 8 kilometrów jechało się wtedy nie raz dwie do trzech godzin, rozkopując śnieg i podkładając deski pod koła samochodu, trzeba było robić wizyty. Czasem w jednej wsi 15 osób chorowało na grypę. W pamięci mojej rysuje się dziś obraz zimnych i ciemnych izb, brudnych pierzyn, pod którymi dosłownie parowały ciała ludzkie, gdyż, jak wiadomo, grypa o wysokich temperaturach powoduje silne pocenie się chorego. Nie zdaję sobie sprawy, ile kilogramów aspiryny i innych preparatów antygrypowych zapisałam w czasie tej mroźnej jesieni. Ale jakoś się udało. Nie przypominam sobie, aby ktoś umarł i powikłań grypowych było wśród chorych niezmiernie mało.

„W czasie tej epidemji pracowałam po 16 godzin na dobę, a wizyty swe u chorych mogłam wykonać tylko dzięki pomocy dobrego samochodu. Było ich bowiem nieraz 25 do 30 dziennie. Robiłam je „za dnia“. Wieczorem po powrocie do domu, gdy się ściemniło, przyjmowałam chorych w gabinecie, zupełnie, jak w szpitalu polowym na wojnie — 24 godz. dyżuru, 12 odpoczynku i t. d.“.

Epidemja, o której mowa, miała miejsce w 1929 r., a więc wówczas, gdy rolnikom przysługiwało prawo korzystania z Ubezpieczalni. Wyobrazić sobie łatwo, że epidemja nie miałyby tak łagodnego przebiegu, gdyby chorzy byli pozbawieni pomocy lekarskiej, jak to ma miejsce obecnie.

Dr. Sabina Skopińska stwierdza dalej, że:

„obecnie w większości wypadków, wczesne rozpoznanie gruźlicy pozwala ją skutecznie leczyć. Nie ulega żadnej wątpliwości, że ubezpieczenia społeczne w walce z tą chorobą dają nieocenione rezultaty. Bo czyż w jakimkolwiek innym przypadku młody robotnik, czy też jego żona mogliby wyjechać na dwa, trzy miesiące do sanatorium, czyż mogliby się leczyć w szpitalach i stosować różne zabiegi?

„Do tych faktów ludzie przyzwyczaili się już tak dalece, że nie oceniają ich istotnej wartości. Jedyńie robotnicy rolni, którzy stracili ubezpieczenia, najlepiej mogą ocenić, jak dalece pomagają im ubezpieczenia społeczne, szczególnie jeśli chodzi o walkę z gruźlicą.

„Obecnie, gdy nie ma już ubezpieczeń społecznych na wsi, wzywa się lekarza dopiero wtedy, gdy ktoś jest konający. Zresztą robotnik rolny nie ma pieniędzy na opłaty lekarskie, a pracodawcy, nie chcąc narażać się na koszta, decydują się na sfinansowanie pomocy lekarskiej dopiero w ostateczności“.

Doktór, używający pseudonimu „Salus aegroti suprema lex“, stwierdza kategorycznie, że:

„Małorolna i bezrolna ludność nie jest w ogóle w stanie leczyć się z powodu okropnych warunków materialnych, w jakich bytuje. Wyłączenie tej biernej, a materialnie upośledzonej warstwy społecznej z dobrodziejstw ubezpieczeń społecznych, jest niechybnym wyrokiem śmierci, oraz kalectwa na niezliczoną ilość istot niewinnych, przez los okropnie upośledzonych. Na wsi panuje jeszcze w formie najprymitywniejszej walka o byt. Chorego pozostawia się samemu sobie: zwycięży chorobę, znaczy ostał się w brutalnej walce o byt, zmogła go natomiast choroba, widać nie było dla niego miejsca pod słońcem. W porównaniu z położeniem małorolnego lub bezrolnego chłopca w wypadku choroby, położenie robotnika, który pracuje, jest mimo niskich zarobków, fatalnych często warunków mieszkaniowych, c niebo całe lepsze. Przynajmniej podczas choroby ma zapewnioną pomoc, pewne oparcie w ubezpieczeniach chorobowych. Robotnik jeśli tylko ma pracę, a zdrowie mu służy, zawsze da sobie radę, nawet w najgorszych okolicznościach. Zupełnie bezbronny i zdany na łaskę losu jest dopiero wtedy, gdy zachoruje i nie może kontynuować pracy. I tu właśnie zaczynają ubezpieczenia chorobowe swą błogosławioną działalność“.

„Wszelkie próby leczenia ubogich chorych zawsze były sporadyczne, zawsze były owiane duchem filantropji, czy to było leczenie chorych przez zakonników po klasztorach, czy to za pewną stałą opłatą przy cechach średniowiecznych. W całej historii nie ma precedensu ustawowego ubezpieczenia na wypadek choroby obowiązkowego i przymusowego. W szarych paragrafach ustawy ubezpieczeniowej nie ma już mowy o filantropji: jest tylko obowiązek i przymus. A przymus dlatego, że przezorny ustawodawca przewidział, że nie wszyscy zrozumieją doniosłość i wagę ubezpieczeń społecznych, a był tak dalece przekonany o korzyściach, jakie każdy ubezpieczony będzie z nich czerpał, że nie wahał się narzucić je siłą nieuświadomionym. Wiedział też, że pracodawca, nawykły do korzystania z siły robotnika w czasie jego zdrowia, tylko pod przymusem nie uchylił się od częściowych świadczeń dla niego podczas choroby. Wśród powodzi ustaw, które zalewają społeczeństwa od zarania dziejów, mało znajdzie się takich, które byłyby owiane szczerem pragnieniem niesienia pomocy małemu człowiekowi, szaremu obywatelowi — jak ustawa ubezpieczeniowa“.

Wielka wartość ubezpieczeń społecznych, stwierdzona przez samo życie, sprawia wrażenie, że fakt pozbawienia wsi praw korzystania z niej, kryje kulisy, jakiegoś zbiorowego, zorganizowanego *egoizmu*, który, dobrze pamiętamy, często się kryje w wysoce patetycznych fra-

zesach, broniących czyjegoś *interesu*, przedstawianego, jako jedynie słuszne i racjonalne stanowisko, którego zaniechanie przyniesie szkodę... dobru publicznemu. Jakże często popełniano największe krzywdy społeczne, w imię wzniosłych haseł, maskujących czyjąś perfidną grę, prowadzoną w celu utrzymania wygodnego status quo ante.

Dr. S. Giebocki, pisze, że:

„Jeśli w Sejmie ubolewa się nad niskim poziomem zdrowotności w kraju, by następnie jednym tchem położyć winę za stan taki na karb wadliwej jakoby działalności ubezpieczeń społecznych, to my, szarzy lekarze z terenu, nieznani żołnierze walki o zdrowie ludu, możemy odpowiedzieć: zły stan zdrowia ogółu naszego ludu jest właśnie wynikiem tego, że nie pozwala się Ubezpieczalniom o zdrowie ludu się troszczyć, lecz troskę tę pozosawia się niefachowym i nieodpowiedzialnym jednostkom, pracodawcom rolnym. Natomiast w przypadku drobnych samodzielnych rolników troskę tę pozostawia samym zainteresowanym, a w dzisiejszych warunkach małorolny nie ma zupełnie możliwości leczenia się.

„Gdyby więc i te rzesze oddać w opiekę Ubezpieczalniom, wtedy dopiero nastąpiłyby u nas zachodnio-europejskie stosunki zdrowotne, a w statystykach śmiertelności zniknęlibyśmy z kompromitującego dla mocarstwowej Polski ostatniego miejsca“.

W innym miejscu dr. S. Giebocki pisze, że:

„...jeśli porównać sprawę opieki lekarskiej do sprawy oświaty i nauczania, to można powiedzieć, że podobnie, jak miliony dzieci wiejskich nie ma możliwości nauczania się czytania, pisania i rachunków, tak też miliony wieśniaków nie ma możliwości korzystania z opieki lekarskiej.

„Hasłem dnia w szkolnictwie musi być dziś — każdemu dziecku zapewnić naukę w szkole powszechnej.

„Hasłem dnia w lecznictwie społecznym — każdemu choremu zapewnić opiekę lekarską“.

Dr. Cz. Gawarecki pyta:

„Czemu wieś polska bytuje w skostnieniu przedwiecznej formy organizacji społecznej? Czemu nie organizuje się i nie ubezpiecza na wypadek choroby, podobnie jak od ognia? Czemu ten chłop w kwiecie i sile lat ma osierocić rodzinę, lub stać się źródłem jej zarażenia. Czemu wieś polska musi karleć i wyrodnieć rasowo? Czemu tam muszą kamienieć serca?“

Dr. Cz. Piekarski, charakteryzując stan zdrowotny wsi, pisze, że:

„... wyjątkiem są dzieci zupełnie zdrowe, prawie wszystkie chorują na krzywicę, która powoduje to, że z takiego dziecka wyrasta słaby, wątły i chorowity człowiek. Niezaprzeczną zasługą ubezpieczeń społecznych na wypadek choroby było objęcie niemi pracowników rolnych i ich rodzin i udostępnienie im opieki lekarskiej. Suche statystyki udzielonych porad i wizyt lekarskich, oraz kosztów wydanych leków nie dają najslabszego pojęcia o tem, ile dobrego zrobiono dla zdrowia przede wszystkim młodszego pokolenia, ile uratowano istnień ludzkich, ile dzieci uchroniono od chorób i kalectwa. Są to wspomnienia dalekie od przesady, które nasuwają się lekarzowi, mającemu bezpośrednią styczność z całą biedą i nędzą ludzką, nieuświadomioną i nawet skrzętnie

skrywaną przed oczami ogółu. Z tego punktu widzenia lepszym nawet było dla społeczeństwa nadmierne korzystanie z Kas Chorych, niż zupełny brak opieki lekarskiej, zwłaszcza dlatego, że naogół człowiek wiejski nie uświadamia sobie konieczności leczenia, lekceważy początki choroby i zwraca się do lekarza często zbyt późno". „Upadek lecznictwa na wsiach odbił się w szczególnie bolesny sposób na kobietach i dzieciach, które z natury rzeczy najbardziej chorują i najczęściej potrzebują opieki lekarskiej“.

Przy końcu swego „pamiętnika“ dr. Cz. Piekarski wyraża przekonanie, że:

„... bezwątpienia palącym zagadnieniem jest objęcie ubezpieczeniami społecznymi wsi polskiej, a przede wszystkim ubezpieczeniem na wypadek choroby. Wtenczas dopiero ubezpieczenia te spełnią swe prawdziwe społeczne zadanie, gdy obejmą, jeżeli już nie całą, to przynajmniej znaczną większość ludności pracującej“. „Ubezpieczalnie społeczne coraz więcej wysuwają się na plan pierwszy życia zbiorowego i łagodzą różnice materialne, powstałe pomiędzy klasami posiadającymi i żyjącymi tylko ze swej pracy. Organizacja lecznictwa przechodzi głębokie zmiany strukturalne. Opieka lekarska popularyzuje się coraz bardziej i staje się ogólnie dostępną. Zapotrzebowanie na pracę lekarza wzrasta i wzrastać będzie. Na pierwszy plan występuje potrzeba nie tylko leczenia chorych, ale i utrzymania zdrowia społeczeństwa, które u ludzi pracy jest jedynym kapitałem, przedstawiającym realne wartości dla Państwa“.

Dr. Jan Hoser, pisząc o powszechności ubezpieczeń społecznych, zaznacza, że:

„... instytucja Ubezpieczeń Społecznych, to jakby bastjon obronny dla pewnego odcinka. Odnosi się wrażenie, że poza obstrzałem tej fortecy rozciągają się pozbawione ochrony nieużytki, na których gdzieś niedługo tylko widzi się oazę szpitala, czy ośrodka, czy spółdzielni zdrowia.“

„Najrozleglejsza pustynia, to *wieś pozbawiona opieki zdrowotnej*.“

„W chwili wyłączania robotników rolnych i leśnych z ubezpieczenia chorobowego, pracowałem na odcinku mieszanym, mając w rejonie podmiejskie osiedla i niektóre okoliczne wsie. Wraz z innymi buntowałem się podówczas przeciwko oddaniu robotników rolnych samowoli pracodawców rolnych, od których z małymi wyjątkami nie spodziewałem się uświadomienia w sprawach ubezpieczeniowo-zdrowotnych“.

„Pomoc dla robotników rolnych musi być przywrócona. Jeżeli ubezpieczenia nie mogą sobie z tem dać rady, to obowiązkiem ogółu społeczeństwa, władz. parlamentu i skarbu państwa jest im w tem pomóc.“

„Gdyby nie Ubezpieczalnie Społeczne, Państwo musiałoby dla tego odcinka zdrowotnego świadczyć w inny sposób, obciążając podatkiem wszystkich obywateli kraju. Jeżeli więc jest instytucja, która to Państwo samorządnie zastępuje, ma prawo domagać się od niego pomocy. Za najważniejszą pomoc uważam nietolerowanie ataków na ubezpieczenia, jako takie, nietolerowanie zaległości składkowych, niedopuszczanie do obniżania składek poniżej granicy, przy której już świadczyć przyzwolicie niepodobna, przeciwdziałanie łamaniu zasady powszechności, a wre-

szcie wydanie dawno zapowiadanych rozporządzeń w sprawie współdziałania instytucji państwowych i samorządowych z instytucjami ubezpieczeń społecznych“.

Na zakończenie tego działu parę wymownych cyfr, podanych przez dr. Karasiównę:

„90% pacjentów na prowincji, to chłopci. Dlatego mam w praktyce prywatnej 50% śmiertelności.

„Prawie wszyscy wzywali w stanie beznadziejnym. Ci, którzy daby się wyleczyć, ograniczyli się do jednej wizyty. Więcej nie przyszli“.

„Muszę policzyć, kto umarł w ostatnim roku z ubezpieczonych. Pamiętam wszystkich. Około dwunastu osób. Dwa nowotwory. Trzech gruźlików. Jeden starzec z nieomogą krążenia. Kilkoro niemowląt. Przez ambulatorjum przesunęło się około 3.000 ubezpieczonych. 0,4% śmiertelności“.

Chorobowość i umieralność pracowników rolnych.

Sprawie tej dr. Cz. Piekarski poświęcił wiele wstrząsających stron swego pamiętnika, wykazując absurdalność wytworzonej sytuacji, pozbawiającej pracowników rolnych pomocy Ubezpieczalni Społecznej. Oto kilka charakterystycznych urywków:

„Co wpływało na tak znaczne zmniejszenie się ludzi leczonych (po zniesieniu Ubez. Społ. w rolnictwie), wynoszące według naszych obliczeń około 5% sumy leczonych dawniej przez Kasy Chorych? Niewątpliwie obawa robotników przed tem, że w razie częstego chorowania mogą utracić pracę. Zgłosiła się do mnie raz kobieta z krwotokiem macicznym. Gdy po zbadaniu jej powiedziałem, że potrzeba operacji wyskrobania macicy w szpitalu i leczenia szpitalnego, odpowiedziała mi, że mąż jej pracuje wprawdzie w majątku ziemskim, ale nie chciano jej dać kartki do lekarza. Ona sama woli umrzeć, niż mąż ma stracić pracę. Przynajmniej dzieci będą miały co jeść. Bywały i są obecnie majątki, z których ani jeden chory w ciągu kwartału nie zgłasza się do lekarza. W początkach wprowadzenia nowego systemu opieki leczniczej była mowa o tem wśród pracodawców, że trzeba wpłynąć w jakiś sposób na robotników, aby zbyt często nie korzystali z opieki lekarskiej. Sam słyszałem, jak proponowano wprowadzenie premji w wysokości 5 zł. kwartalnie dla tych rodzin, które najmniej będą chorowały. Okazało się to jednak zupełnie niepotrzebne. Wystarczył pewien nacisk urzędników gospodarczych, wydających kartki do lekarza, by robotnicy bali się o przekazy te upominać. Prócz tego stosowało się i obecnie stosuje na szeroką skalę rozmaite potrącenia z tytułu kosztów pomocy lekarskiej. Potrącenia za leki, za dostarczone choremu furmanki i t. d. Robotnik na wsi rzadko się orjentuje w tem, czy potrącenia te są słuszne, czy nie i, bojąc się dodatkowych wydatków pod groźbą ewentualnej utraty pracy nie upomina się o swe prawa“.

Zwłaszcza sytuacja chorych wenerycznie przedstawia się tragicznie. Pewna chora rodzina (ojciec, matka i dziecko), korzystając z pomocy Ubezpieczalni, prowadziła systematycznie przepisaną kurację. Gdy zaś zwolniono pracowników rolnych z Kasy Chorych:

„Od razu rodzina ta przestała się leczyć. W parę miesięcy później

wiezvano mnie do dziecka. Pokryte było całe strupami, nos i usta owrzdziła w stanie bardzo poważnym. Uprzedziłem rodziców, że dziecko jednak, pomimo, że nie wykazywało dotąd objawów kiły, jest chore, że trzeba je leczyć nadal i że tak samo oboje muszą przejść jeszcze kilka kuracji swoistych. Pan X. prosił, bym zapisał im jakieś lekarstwo wewnętrzne, gdyż do zastrzyków do mnie przyjeżdżać więcej nie mogą, bo zwróciłoby to uwagę pracodawcy i w razie podejrzenia tylko, że jest on chory na kiłę, bezwątpienia straciłby od razu posadę. Nadmieniał, że chętnieby zrezygnował z leczenia na koszt pracodawcy i sam zapłacił za leczenie, lecz nie może tego uczynić z braku pieniędzy. Wprawdzie pracodawcy są mu winni kilka tysięcy złotych, za niewypłaconą od lat pensję, jednak on niema widoków na uzyskanie gotówki na najpilniejsze swe potrzeby. Proponowałem, że ze względu na stan jego żony i dziecka, będę ich leczył bezpłatnie, że wyrówna swoją należność w przyszłości. Chodziło o zapłacenie dość znacznych kosztów lekarstw. Mimo wszystko nie zdecydował się na rozpoczęcie leczenia. W kilka miesięcy później wezwano mnie znowu do żony. Stwierdziłem, że rozwinęło się u niej ciężkie zapalenie tętnicy głównej na tle kiłowym. Powiedziałem stanowczo, że nie można chorej leczyć inaczej, niż jak to już mówiłem. Chora, licząca dwadzieścia dwa czy trzy lata, bardzo miłutka, żywa i wesoła, zmieniła się nie do poznania. Wprost przykro było na nią patrzeć, tem bardziej, że ratunek był zupełnie możliwy. Związany jednak tajemnicą lekarską, nie mogłem nic zrobić pomimo woli męża i jej samej. Chciałem już pójść do właściciela majątku i opowiedzieć o wszystkim, lecz błagano mnie, bym tego nie robił. Zapytano mnie przy sposobności, na co choruje żona i dziecko urzędnika, że potrzebuje tak długo się leczyć. Powiedziałem, że jest to choroba, która wymaga leczenia szpitalnego. Na to znowu pracodawca ze względu na koszt, nie chciał się zgodzić. Byłem jeszcze kilkakrotnie u tej rodziny, aż do samego wyjazdu ze Śremu przed dwoma laty. Chora żyła jeszcze jakimś cudem, lecz była tak zniszczona i wyczerpana chorobą, że nie opuszczała łóżka. Mąż z dobrego i troskliwego, jakim był, gdy go poznałem, zmienił się prawdopodobnie pod wpływem zakażenia kiłowego i zajęcia mózgu i systemu nerwowego, na co wskazywały już pewne objawy, na zupełnie zrezygnowanego na los swój, żony i dziecka. Nie wiem, co się dalej z nimi stało. Prawdopodobnie kobieta i dziecko już nie żyją. Jest to los jednej rodziny, którą można było łatwo uratować, gdyby zapewnić jej w porę odpowiednie leczenie. A ile temu podobnych wypadków i cichych nieznanych nikomu tragedij zaszło od czasu wydania ustawy sceleniowej?*

„Leczenie chorób wenerycznych, z chwilą zwolnienia pracowników rolnych zanikło zupełnie. Chorzy obawiają się wykrycia swej tajemnicy i wolą nie leczyć się wcale. Jak to już wspominałem, wieś nie jest wolna od tych chorób i prawie wszędzie istnieją ogniska kiły, a i rzeżączka spotyka się częściej niżby to można było przypuszczać. Zaprzestanie leczenia jest równoznaczne z dalszem rozpowszechnieniem się i nasileniem tych chorób. Trudno naturalnie wykazać cyfrowo to nasilenie, że ono istnieje, nie ulega wątpliwości. Również zaprzestano leczyć taką plagę społeczną, jaką jest gruźlica. To, że chory gruźliczy pójdzie nawet raz po raz do lekarza, dostanie kilka zastrzyków wap-

na, lub zapisze się mu lekarstwo z apteki, nie jest odpowiedni i właściwym leczeniem w dzisiejszym pojęciu wiedzy gruźliczej. Leczenie sanatoryjne gruźlicy robotników rolnych nie istnieje. Ciekawą by była ankieta, ilu z nich leczyło się na koszt pracodawców w sanatorjach przeciwgruźliczych. Napewno żaden“.

„Przywieziono do mnie swego czasu dziewczynę chorą na ciężkie zapalenie wyrostka robaczkowego z temperaturą 40°, wozem z kilkunastu kilometrów odległości. Gdyby to było za czasów Kasy Chorych, napewnoby był lekarz u niej, a może nawet niejeden. Znalazłby się i samochód sanitarny dla przewiezienia chorej do szpitala i wszystko poszłoby gładko. Teraz, po uzyskaniu kartki od lekarza, stwierdzającej konieczność umieszczenia chorego w szpitalu, zaczynają się dopiero korowody. Ktoś z rodziny idzie do właściciela z tą kartką. Właściciel denerwuje się, telefonuje do lekarza, czy szpital jest tak koniecznie potrzebny? Czy nie dałoby się kilka dni potrzymać w domu. Może choro-
roba przejdzie i obejdzie się bez szpitala.

„W razie jednak przekazania chorego do szpitala za zgodą właściciela majątku, nie tak łatwo jest choremu osiągnąć upragniony cel. Szpitale znają swoją klientelę i w większości wypadków żądają zapłaty z góry, wiedząc, że po wypisaniu chorego nie można będzie się jej doprosić. Dopiero bieganie, starania o pieniądze na wpłatę zaliczki do szpitala. Nie tylko trudną sprawą jest uzyskanie w rzeczywistości wyjątkowych wypadkach leczenia szpitalnego. Większość majątków ziemskich wskutek niepłacenia swych należności dziś wogóle nie ma żadnego kredytu. Chory po otrzymaniu zwykłej recepty od lekarza idzie do apteki. Aptekarz, straciwszy dosyć pieniędzy na niezapłaconych rachunkach, nie chce wydać lekarstwa bez zapłaty gotówką. Wypisuje tylko na receptę ile lekarstwo ma kosztować. Chory z kartką idzie do domu, szuka właściciela majątku, lub pertraktuje z nim najczęściej przez urzędnika gospodarczego, by otrzymać pieniądze na lekarstwo. O ile recepta wydaje się zbyt droga, telefonuje się do lekarza i pyta się dlaczego tak drogo, czy to potrzebne, czy nie można zapisać coś innego, lub też po prostu skreśla się jedno z lekarstw z recepty, lub zaznacza się, że należy wydać mniejszą dawkę. że w takich warunkach pracownikowi odechce się nieraz zasięgnąć pomocy lekarskiej, to zupełnie zrozumiałe“.

Jaka szkoda, że choroby nie posiadają cnoty cierpliwości, jaką się odznaczają sami pacjenci, wędrujący od Anaasza do Kaifasza z kartą rozpoznania i receptą, które ich, jednak, same przez się nie uzdrowią.

Dr. Cz. Gawarecki pisze, że „wyrobnicza wiejska pozostawiona jest samej sobie. Tu nie obowiązuje ubezpieczenie na wypadek choroby i macierzyństwa. Wystarczy pomoc policji — dostarczą do szpitala leżącego na drodze. Gdyś chory, gdy nie możesz pracować, zdychaj w przydrożnym rowie“.

Dr. S. Giebocki pisze o sposobie leczenia chorego na jaglicę. Otóż:

„...najpierw musi przejść taki chory przez leczenie domowe we dworze. Tak więc i w tym wypadku — w odpowiedzi na prośbę o wystawienie przekazu do lekarza, dano chłopakowi rozczyn kwasu bornego, zalecając wymywać tym sobie oczy.

„Ponieważ to nie pomagało, a chory w dalszym ciągu domagał się

kwitu do lekarza, dano mu rumianek, aby ugotował sobie wywar i tym oczy wymywał. Ponieważ i to nie skutkowało — dano mu wreszcie kwit. Lekarz stwierdził jaglicę i zgłosił o tem lekarzowi powiatowemu. Właściciel majątku, któremu chory chłopiec okazał otrzymane urzędowe wezwanie do leczenia się, zrobił wówczas najmądrzej i najpraktyczniej, zwolnił chłopca od pracy, motywując to nie broń Boże chorobą (gdyż tego robić nie wolno), lecz jakimś drobnem, czy też wogóle zmyślonem przewinieniem.

„W innym przypadku zgłosił się do mnie parobek, pracujący nie na majątku, lecz u bogatego gospodarza. Znów stwierdziłem jaglicę i zawiadomiłem o tem lekarza powiatowego. Po kilku dniach przylatuje wystraszony chłopak z urzędowem wezwaniem do leczenia się i mówi, że gdy tylko pokazał swemu gospodarzowi to wezwanie, ten od razu oznajmił mu, iż nie może potrzebować pracownika, który co kilka dni będzie latał do miasta na leczenie się, wobec czego chłopak ma się zdecydować, albo się będzie leczyć, a wówczas zostanie zwolniony z pracy, albo też, jeśli chce pozostać, to ma sobie wybrać z głowy leczenie jakichś tam „igliców“ (jaglicy). Chłopak ma się rozumieć wybrał to ostatnie i przyleciał do mnie, abym wystawił mu poświadczenie, że już się wyleczył i dalszego leczenia nie potrzebuje.

„Poświadczenia takiego nie wystawiłem, lecz mimo to nie słyzałem, aby lekarz powiatowy zmusił chłopaka do leczenia się, a jego gospodarza do ponoszenia związanych z leczeniem kosztów. Wogóle od chwili zniesienia ubezpieczeń społecznych w rolnictwie, najlepszą a wszechstronną metodą leczniczą stała się w majątkach ziemskich t. zw. terminatka, t. j. wypowiedzenie pracy.

„Pracownika chorego na jaglicę, kiłę, gruźlicę, czy też wogóle spracowanego „leczy się“ dziś terminatkami i to z niezłym rezultatem, gdyż pracownicy, czując nad sobą miecz Damoklesa w postaci terminatki, wogóle przestają się zgłaszać do lekarza, i trzeba chyba jakiejś ciężkiej i przytem gwałtownej choroby, jak krwotok, skręt kiszki, czy zapalenie płuc, aby lekarz zetknął się z chorym. U mniejszych gospodarzy stan jest jeszcze gorszy, z tą różnicą, iż parobek nie otrzymuje tu terminatki, lecz jeśli jest chory i chce się leczyć, to się go wprost wyrzuca na drogę, z akompanjamentem odpowiednich epitetów!“

Dr. S. Giebocki jest przekonany, że „przez przekazanie Ubezpieczalniom opieki nad pracownikami zginą od razu wszystkie anomalje, które obserwowaliśmy poprzednio. Pracownik chory na płuca, znajdzie drogę do lekarza i sanatorjum, dziewczyna chora na kiłę, nie będzie potrzebowała tłumaczyć się dziedzicze poco idzie do lekarza, a co najważniejsze, będąc sumiennie leczoną, przestanie być żywym i zawsze groźnem źródłem zarazy, dzieci chore na krzywicę, otrzymają tran i kwarcówkę, a co najważniejsze, wszyscy pracownicy będą mieli wogóle odwagę zwracania się do lekarza z prośbą o pomoc, podczas gdy dziś, wszelka próba otrzymania pomocy lekarskiej uważana jest za casus belli, za krok wrogi wobec pracodawcy“.

W tem miejscu nasuwa się pytanie, jak Państwo i jak społeczeństwo wychodzą na tego rodzaju gospodarce materiałem ludzkim, stanowiącym o naszym bycie niepodległym i możliwościach naszego rozwoju? Zdrowie ludności i zdrowie poborowych przy takim

systemie „nie leczenia“ jest bardzo poważnie zagrożone i wymaga przeprowadzenia zmian radykalnych, któreby zmieniły obecną sytuację. Państwo i społeczeństwo mają tu wspólny interes i wspólne obowiązki ratowania młodych pokoleń, no i tych, co są jeszcze w pełni sił przed beznadziejnym stacjonowaniem się w przepaść coraz to większego zwyrodniania rasy ludzkiej. Jak można naprawdę poważnie nawoływać do szerokiej akcji propagandowej na rzecz higieny i kultury zdrowia, skoro nie można leczyć wielkich ognisk chorób społecznych, automatycznie zarażających zdrowe dotychczas środowiska?

Sądzę, że zbiór cytata podanych przezemnie, udawadnia wyraźnie i niezbitcie wielką rolę społeczną, jaką mają do spełnienia w naszym Państwie Ubezpieczalnie Społeczne.

Przeszkody realizacji ubezpieczeń społecznych na wsi.

Tak się przedstawia według „Pamiętników Lekarzy“ stan stosunków panujących obecnie na wsi po przeprowadzeniu ustawy scaleniowej.

A jak jest w rzeczywistości?

Trudno nie zadać sobie tego pytania, gdyż poruszone są zagadnienia istotnie niezmiernie doniosłe. Chodzi o los ludności wiejskiej, a więc podstawy bytu Państwa naszego. Należy się starać o zachowanie jaknajdalej idącego obiektywizmu przy ocenianiu wszelakich zjawisk życiowych, a im one są ważniejsze, tem umiar w sądzeniu niezbędniejszy. Fałszywem byłoby mniemanie, że w okresie obowiązujących ubezpieczeń społecznych w woj. Pomorskiem, Poznańskiem, na Śląsku i częściowo w Małopolsce, działo się wszystko jaknajlepiej. Całe szeregi nadużyć ze strony pewnej liczby ubezpieczonych, wynikających z ciemnoty i braku wyrobionego poczucia obowiązku, paraliżowały częstokroć prowadzenie normalnej gospodarki rolnej, tak ściśle związanej z porami roku, wymagającymi okresów specjalnie wytężonej pracy. Ubezpieczeni symulowali choroby w czasie najbardziej gorącym, w którym zaniedbanie i niewykonanie danej roboty, narażało na nieuniknioną wielką stratę pracodawców, a jednocześnie obniżało ogólny poziom ekonomiczny. Uznając całkowicie słuszność wymagań pracowników rolnych do otrzymywania świadczeń społecznych, należnych im w całej pełni,— trzeba, dając je, jednocześnie prowadzić akcję wychowawczą, aby oni zrozumieli, że mają również sami pewne *obowiązki* w stosunku do pracodawcy, do warsztatu, przy którym pracują, tak jak ten pracodawca ma względem zatrudnionych u siebie ludzi. Pewna część ubezpieczonych często skwapliwie oszukuje lekarza, pracodawcę i ubezpieczalnię, udając chorobę właśnie w tym jedynym, najważniejszym momencie, gdy ziemia woła o rękę ludzką, o pracę, której odrobić po czasie właściwym już nie można. I tu leży cała trudność sprawy.

Niewątpliwie w narzekaniu ziemiaństwa na Ubezpieczalnię Społeczne było wiele złej woli, owego kastowego *egoizmu*, ale także prawdą jest, że ubezpieczeni przy całej swej nędzy i ciemnocie, będąc zupełnie zdrowymi, potrafili również *egoistycznie* wykorzystywać w niejednym wypadku Ustawę ubezpieczeniową, tak, że zastosowywanie jej rujnowało gospodarkę. Na terenie więc Ubezpieczalni Społecznych spoty-

kały się dwa *egoizmy* dwu warstw społecznych, a Ustawa scaleniowa miała na celu złagodzenie ostrza tych konfliktów. I znów powtórzę, co już raz pisałam; tworzyli ją ludzie i tylko ludzie, a więc daleką jest od doskonałości; jak każde dzieło ludzkie, posiada braki, usterki, które samo życie najlepiej wykazuje. Nie odpowiada ona całokształtowi potrzeb wsi, mającej wszelkie prawo walczyć o ubezpieczenia społeczne, chroniące ją od chorób i degeneracji. Ale musimy pamiętać, że piękna zasada jaknajszerzej pojętej sprawiedliwości społecznej, może być zawsze wykorzystana na rzecz egoizmu indywidualnego, czy gromadnego, a tem samem przestanie już być tem, czem była w teorii. Ciemny, bezwzględny, tępy egoizm masy szlacheckiej dawnej Polski, nie powinien ożyć w ciemnej masie chłopskiej. Ci, co wyszli z tej masy i zdobyli wiedzę, mają przedewszystkiem obowiązek tępić *egoizm* swych braci i wychowywać ich w poczuciu obowiązków obywatelskich. Żądanie słuszných praw do życia pełnego, przysługuje każdej jednostce i każdej warstwie społecznej, ale każda jednostka i każda warstwa społeczna ma *obowiązki* i musi przestrzegać pewne normy etyczne, nadające życiu osobistemu i zbiorowemu wyższy poziom. To też przy czytaniu „Pamiętników Lekarzy“ z radością znajdowałam urywki, świadczące, że lekarze walczą z wszelkiego rodzaju nadużyciami ze strony pacjentów. Jest to zaszczerpianie zasad uczciwości i lojalności w stosunku do instytucji, z którą są w ciągłym kontakcie.

Tych kilka uwag wydały mi się konieczne, aby czytelnik nie wyobraził sobie, że zniesienie Ustawy scaleniowej, a wprowadzenie powszechnie obowiązujących Ubezpieczeń Społecznych, wprowadzi natychmiastowe przekształcenie na lepsze warunków wiejskich. Tak nie będzie. Za dużo jest jeszcze ciemnoty i egoizmu, pozostałych z lat niewoli. Jest źle, ale robi się stale by było lepiej, by zbudować Polskę sprawiedliwą i silną. Nie zapominajmy, że najładniej pomyślana Ustawa nie przyspieszy nagle istotnej poprawy stosunków, o ile *człowiek* będzie jej nadużywał dla swoich egoistycznych zachcianek.

Walka z alkoholizmem.

Ale do tych wszystkich zadań, wyliczanych przez pamiętnikarzy, należy dodać jeszcze jedno, niezmiernie ważne, podstawowe, warunkujące rozkwit pomyślny wszelkich prac i poczynań, a mianowicie: zorganizowanie na terenie Ubezpieczalni planowej walki z alkoholizmem. Przedewszystkiem Ubezpieczalnie Społeczne powinny ująć w swe ręce prowadzenie uświadamiającej pracy o skutkach alkoholizmu, gdyż jest on jednym z najsilniejszych wrogów społecznej przebudowy stosunków, której one właśnie mają służyć. A do inicjowania, wykonywania i prowadzenia tej pracy, któż bardziej się nadaje, jak nie lekarze społeczni, ci ludzie z głębokiego *powołania*, sprawujący służbę najszczytniejszą, mającą na celu ochronę *człowieka*, tego istotnego skarbu, jakim Państwo i społeczeństwo rozporządza.

Przechodzimy do ostatniej grupy naszych zagadnień, omawianych spowodu „Pamiętników Lekarzy“, do zagadnienia walki z alkoholizmem w świetle tego, co oni o tej sprawie sami napisali. Najpierw cytaty, potem wnioski.

Dr. Sabina Skopińska notuje, że „we wsiach, (Poznańskie), do których dojeżdżałam, spotykałam stosunkowo bardzo mało pijanych. Być może, że ludzie nie mieli się za co upijać, gdyż wśród robotników rolnych, których leczyłam, panowała tak wielka nędza, że o pieniądzach na kupienie wódki nie było mowy.

„Niechlubny wyjątek stanowiła wieś Dąbrówka, w której była gorzelnia. Leczyłam tam stelmacha. Był on stale bardzo zajęty i zapracowany i nigdy dotychczas nie korzystał z porady lekarskiej. Gdy się do mnie zgłosił na badanie, ulegając namowie żony, stwierdziłam u niego zwyrodnienie mięśnia sercowego w bardzo znacznym stopniu, połączone z rozszerzeniem komory serca, oraz znaczne powiększenie wątroby. Ponadto chory cierpiał na rozedmę płuc i bardzo wiele kaszlał. Gdy zaleciłam pacjentowi leżenie, wyśmiał się ze mnie, oświadczając, że chorym wcale nie jest, a tylko prosi o lekarstwo na kaszel. Wogóle był pewny siebie i w dobrym humorze. Ludzi pewnych siebie na wsi spotyka się bardzo rzadko. To też dobrze sobie zapisałam w pamięci tego wesołego stelmacha.

„Gdy następnym razem zwrócił się do mnie o poradę lekarską, stwierdziłam znaczne pogorszenie stanu zdrowia. Że ten człowiek mógł chodzić i pracować jeszcze i do tego był zawsze w dobrym humorze! Chcąc go zastraszyć i zmusić, aby się położył choć na parę dni do łóżka, powiedziałam mu, co myślę o stanie jego zdrowia.

„Pan wkrótce umrze, jeżeli się pan nie położy. Właściwie powinienam pana skierować do szpitala.

„Rzadko który doświadczony lekarz mówi takie rzeczy pacjentom, ale w tym wypadku nie miałam innej rady.

„Niewiadomo komu pierwiej sędzono — odparł rezolutnie stelmach.

„Poczułam wtedy od niego silną woń alkoholu.

„Przejeżdżając później kilka razy przez Dąbrówkę, zwykle około godziny pierwszej po południu, zastawałam swego pacjenta „podgazowanego“, miał bowiem zwyczaj pijać do obiadu. Jednak od chwili, gdy odbyłam z nim ową rozmowę, czując widać niewłaściwość swego odezwania się do mnie, jako do lekarza, pacjent przestał korzystać z mojej pomocy. W miesiąc potem, odwiedzając chorych w Dąbrówce, gdy już wyjeżdżałam ze wsi, przypomniałam sobie o stelmachu.

„Co się z nim dzieje — zapytałam szofera.

„A umarł już tydzień temu“.

Jednak trudno się oprzeć zdziwieniu, że obok rady położenia się, nie padła druga przestroga, nie wolno pić. Rzecz jasna, że w tym stanie ani łóżko, ani abstynencja nie uratowałyby stelmacha — tem nie mniej zakaz używania alkoholu, który w tak zaawansowanej chorobie niczy może nie pomógł, wyszedłby niewątpliwie z domu pacjenta, żona opowiadałaby sąsiadkom, że pani doktor zabroniła wódki, bo szkodzi i t. d. Byłaby to najpopularniejsza propaganda przeciwalkoholowa, skierowująca uwagę ludzką na rady lekarza, z którego zdaniem się liczą. Wódka szkodzi, oto słowa, które powinny padać z ust lekarzy przy każdej sposobności, bo zawsze nie wiadomą jest droga, jaką one prze-

bywają, by zbudzić oddźwięk, tam często, gdzie się najmniej tego spodziewamy.

Spowodu biedy mało ludność wiejska pije. Może tak jest w niektórych miejscowościach Polski. Wiemy również, że często ostatni sprzęt domowy się wynosi, ostatni łań zastawia, lub sprzedaje, byle zdobyć kieliszek wódki. To jedno, a następnie, gdy się poprawią stosunki gospodarcze, a o to nam przecie wszystkim chodzi, to wówczas powetuje sobie ludność przymusową abstynencją i zacznie pić na całego. Jeżeli w jakiej wsi spowodu biedy mało piją, to trzeba korzystać z momentu trzeźwej głowy i uczyć, że wódka może bardzo prędko zniszczyć lepszą sytuację materialną i zrujnować zdrowie.

W drugim miejscu dr. Skopińska również stwierdza, że:

„... stosunkowo na wsiach ludzie piją bardzo mało, a w miasteczkach i miastach więcej. Natomiast pijaństwo o ile kwitnie, to kwitnie w stolicy Polski. Jest to bardzo proste. O ile pijak przepije wszystko, co ma, ale o ile ma dobrą kompanję, to będzie pić dalej na cudzy rachunek. Na wsi takiej kompanji wybornie funkcjonującej, permanentnie brak — skąd więc pijak weźmie pieniądze na wódkę? A w stolicy: przyjeżdża urzędnik, nauczyciel, czy rolnik, każdy chce się zabawić. Warszawianie — wiadomo — naród wesoły. Szczególniej ci z baru. Towarzystwo tylko czyha na takiego frajera, co kolejki stawia i popisuje się swoją ciemną prowincją.

„Pijacy stanowią, jakby pewien rodzaj bractwa.

„Mniej zawiąny jegomość opiekuje się bardziej pijanym i jest dla niego niby niańka troskliwy. A jak czule ze sobą rozmawiają, gdy spotkają się po dłuższym niewidzeniu się na „obiedzie“ w barze „Wytworność“, z którego udają się kolejno na pierwszy, drugi, trzeci i i czwarty „podwieczorek“ do innych restauracji.

„O suteryny duszy ludzkiej! Jakże mało i jakże rzadko schodzą tam ci, którzy mogliby oświecić świadomością te ponure nory psychiczne, w które wpadają młodzi ludzie. Jakież spustoszenie czyni alkohol w szeregach naszej inteligencji i to tej najzdolniejszej. Pijaństwo ma już swą literaturę, a do „Służby Państwowej“ sumienia Ameryki, Lewis Sinclair'a nie mam co dodawać. Nie o to mi chodzi. Jako lekarz, musiałam zająć pewne własne stanowisko do wypadków pijaństwa, które, jakże niestety często spotykałam w mojej praktyce i to bynajmniej nie w tak zw. „dołach socjalnych“.

Dr. S. Skopińska mówi o chorym alkoholiku, pisarzu, że:

„...pacjenta leczono dość energicznie w przychodni. Moja rola więc ograniczała się do powtarzania lekarstw tam zapisywanych. Wreszcie zaproponowałam choremu, że poinformuję się, czy istnieją zakłady dla nerwowo chorych, w których mógłby się leczyć. Skomunikowałam się z lekarzem neurologiem i usłyszałam smutną rzecz, że te lecznicze zakłady dla nerwowo chorych, w których leczą alkoholizm, nie dają gwarancji wyleczenia, gdyż alkoholicy zawsze znajdują sposób, by wydostać wódkę do picia, nawet w najbardziej zamkniętym zakładzie. Poleciałam gorąco koledze neurologowi mego pacjenta, jednak nie zgłosił się on do niego. Alkoholicy widocznie tak kochają swoją wódkę, że wszystko, co może im alkohol obrzydzić, omijają starannie“.

Niewątpliwie, że alkoholizm inteligencji, to osobna karta w dzie-

jach historii alkoholizmu. Trzeba wydzielić dwa psychologiczne momenty, powodujące pijaństwo: moment picia nałogowego i picia obyczajowego. Ten ostatni przechodzi często również w nałóg, bywa jednak skuteczniej leczony od nałogu ludzi dotkniętych nim, z racji predyspozycji wrodzonych.

Lecznictwo alkoholików w zakładach specjalnych (Świack i Gościejewo) — mimo, że do wszystkich, nawet zamkniętych zakładów wódka może się dostać — ogólnie biorąc, daje gwarancję wyleczenia, o ile choroba nie jest zaawansowana, o ile nie ma podłoża zdecydowanie psychopatycznego i o ile pacjent ma *wolę*, nastawioną na konieczność wyleczenia się. Zresztą, nie wiem, czy wogóle są choroby, należące do kategorii poważnych, ale zasadniczo uleczalnych, co do których lekarz w każdym indywidualnym wypadku mógłby dać gwarancję wyleczenia? Konieczna tu jest sprawność chorego organizmu, pomagająca procesowi stosowanego leczenia. Alkoholizm należy do rzędu schorzeń poważnych, na wyleczenie go również się składa nieodzowny potrzebny czynnik indywidualnego wysiłku, obok różnych kuracyjnych zewnętrznych zabiegów. Niepodobna więc zawsze ręczyć za pomyślny wynik leczenia, tak jak nie można z góry przesądzać o nieuleczalnym stanie chorego. Często bardzo atmosfera zakładu i indywidualny wpływ lekarza sprawia, że podczas długich miesięcy pobytu w nim, pacjenci nie korzystają z przemycanej wódki, utrzymują się w dobrej formie i powoli się sposobią do powrotu do normalnego życia i do zawodu, rzuconego spowodu choroby.

„życie alkoholików — powiada dr. S. Skopińska, jest jednym odmem. Przychodziły do mnie żony pijaków, użalając się na swój los. Sami chorzy, powtarzam, nie zgłaszali się z tego rodzaju cierpieniami“.

Lekarz pod pseudonimem „Salus aegroti suprema lex“, opisuje mieszkanie robotnika sezonowego: „okropna nędza, ojciec rodziny przytem nałogowy pijak. Rodziny utrzymać nie może i nie ma zresztą wcale ochoty do tego, ale pieniądze na wódkę jakoś zawsze się znajdują. Gdy pracuje, zagląda czasem do mnie do gabinetu, aby się trochę podleczyć na serce. Jest ciekawy, czy alkohol źle działa na organy wewnętrzne, choć właściwie wszystko mu jedno i jest gotów nawet natychmiast „z miejsca“ umrzeć, — zapewnia mnie z całą powagą — jeśli do trumny włożą mu kilka flaszek wódki, jako zapas na przyszłe życie“.

W innym miejscu powiada, że „nałogowych alkoholików jest w moim rejonie bardzo mało, można ich na palcach policzyć. Nie znaczy to, by mieszkali w nim tylko sami abstynenci, jeden lub drugi nie odmówi przy „poczęstunku“ i potrafi porządnie „pociągnąć“, nie przechodzi to jednak w nieodparty, rujnujący zdrowie nałóg“.

Dr. St. Giebocki podkreśla ciekawy moment odosobnienia towarzyskiego, spowodowanego tem, że nie gra w karty i nie pije.

„Przybywając do Barcina, miałem właściwie w pozycji aktywów tylko to, że byłem jeszcze kawalerem, poza tem jednak nie miałem za sobą nic, coby przemawiało za mną do serc i mózgow miejscowych. Nie umiałem pić, nie miałem na to, by urządzać bibki, w kościele nie przepychałem się do pierwszych ławek, pochodziłem z innej dzielnicy i innego środowiska, to też niedługo trwało, a sławetna „opinja“ zwróciła się całkiem niedwuznacznie przeciw mej skromnej osobie“. „Ponieważ,

jak to zaznaczyłem uprzednio, na mojej nowej placówce jakoś nie mogłem się zżyć z miejscowymi „obywatelami“ — wódki nie piłem, kart nie lubiłem, innych rozrywek nie było, przeto siłą rzeczy można było zabić śmiertelną nudę małomiasteczkową w sposób najprostszy, najtańszy i najpożyteczniejszy, mianowicie pracą zawodową“.

U d-ra S. Giebockiego spotykamy się z anachronizmem poglądu, że „jeżeli chory się zaziębi i ma zwykłą grypę, to alkohol często dobrze mu zrobi na takie przeziębienie, pod warunkiem, że chory zostanie następnie w łóżku i dobrze się wypoci. Gorzej, gdy ludzie zastosowują wódkę w innych wypadkach“.

Ileż to wykrętnych ułatwień dla ludzi pożądanego alkoholu kryje w sobie tolerowanie go przy grypie, a nawet konstatowanie, że „dobrze robi“.

Dr. S. Giebocki przyznaje, że „alkohol częściowo też przyczynia się do krwawego przebiegu zabaw wiejskich, przeważnie jednak alkohol dodaje tylko animuszu awanturnikom, którzy przychodzą na zabawę ze z góry już ułożonym planem wywołania bójk i zmasakrowania upatrzonego z góry przeciwnika. Większe znaczenie ma alkohol dla powstania bójek podczas jarmarków. Na zabawach bije się przeważnie młodzież. Na jarmarkach natomiast bije się już starsze pokolenie. Chłop nasz lubi wykorzystać wszelkie okoliczności dla nadużycia alkoholu.

„Żeni się — trzeba wypić, rodzi mu się dziecko, okazja do wypicia, umiera mu żona, czy dziecko, — trzeba zalać rebaka i tak w kółko. To też gdy na jarmarku sprzeda konia, czy krowę, to również należy to oblać.

„Oblewa się tak dokładnie, że po jarmarku z dobrych 50% uczestników tegoż jest już porządnie pijanych. Co prawda ustawa nie pozwala sprzedawać wódki w dniu jarmarczne, lecz któżby się o to troszczył.

„Gdy dobrze się zacznie kurzyć z czupryn, wtedy znowu idą w ruch pałki i butelki i rzadko, który jarmark nie obejdzie się bez tego, bym nie musiał kilku poszkodowanym zeszywać i bandażować pokaleczone głowy“.

Doskonale dr. S. Giebocki przedstawił zakorzenienie się u ludu obyczaju pijackiego. Należy jednak zapytać, czy tylko u ludu? A inteligencja nasza, czy również nie korzysta skwapliwie z każdej okazji, by pić. Mam wrażenie, że pije ona często i bez okazji, powodowana odwiecznym nawykiem używania alkoholu i znajdowania w nim łatwego pocieszyciela w troskach i rażnego towarzysza w dniach wesela i radości.

Dr. Jan Hoser miał w swej praktyce pacjenta, który

„...przepijał przeważną część zarobku, a na domiar złego pracował w fabryce wódek jako mechanik. Miał więc sposobność popijać alkohol, gdzie popadło. Osobnik dość inteligentny i zdolny, wykwalifikowany w swoim zawodzie. W chwilach trzeźwości typ spokojny i społecznie dodatni. Syn w skutek pijaństwa ojca nie mógł kończyć szkoły

zawodowej. Córka dorastająca, wcale urodziwa, groziła zaprzepaszczaniem tego jedyne go posagu, jaki posiadała. Matka, kobieta z „lepszego sfery“, jak sama twierdziła, rozpacziała spowodu całego tego stanu rzeczy i czuła, jak dżiczeje i duchowo stacza się coraz niżej. Jej brutalne odruchy w stosunku do męża pijaka, prowokowane zresztą przez niego samego, tłumaczyła rozpaczą. Próbowwała wszelkich środków dla odzwyczajenia go od nałogu. Wszystko bez skutku. W ostatnich czasach rozpił się tak, że grozi mu usunięcie z posady. Wówczas chyba się otruci...“

Oto wszystko (poza sposobem leczenia apomorfina i paroma wypadkami nałogowego picia), co znalazłam o pijaństwie w tym wielkim tomie.

Uderzającym jest fakt zupełnej nieznajomości zagadnienia walki z alkoholizmem, wśród lekarzy piszących powyższą książkę. Oni nic nie wiedzą, że walka ta opiera się z jednej strony na niewątpliwie pewnych podstawach społecznych, a z drugiej na pracach lekarzy-naukowców, których badania zwłaszcza z dziedziny zmian, wywoływanych przez alkohol w systemie nerwowym i mózgu, są fundamentem teoretycznego działu alkoholologii. Nie dostrzegają alkoholizmu, jako wielkiej klęski społecznej — notują poszczególne wypadki ostrego alkoholizmu, rzucające się jaskrawością swą w oczy każdego. Trzeba to powiedzieć wyraźnie: lekarze społeczni (ci z pamiętników) kompletnie nie rozumieją społecznego znaczenia klęski alkoholizmu, ani nie zdają sobie sprawy, że trzeba z nią energicznie i systematycznie walczyć.

Dr. Cz. Piekarski, pisząc obszernie o rozmaitego rodzaju Poradniach, odgrywających tak wielką rolę w ogólnej organizacji zdrowotnej kraju, nie wspomina nic o poradniach przeciwalkoholowych, które wszędzie tam, gdzie są, spełniają niesłychanie odpowiedzialną pracę. Doktor Piekarski nadmienia wprawdzie, że:

„... od 9 do 13 maja 1937, urządzono w Ośrodku wystawę przeciwalkoholową. Eksponatów i instruktora do objaśnień dostarczyła Polska Liga Przeciwalkoholowa. Zwiedziło wystawę przeszło 1500 osób i dzieci szkół powszechnych. W czasie trwania wystawy wygłoszono 21 pogadanek o szkodliwości alkoholu“.

Jednorazowe obejrzenie najlepszej nawet wystawy przeciwalkoholowej, nie wielu przekona, nie do głębi przeobrazi tradycję, zakorzenione nastawienia, nie wykaże całej grozy i całego niebezpieczeństwa dla obecnych i przyszłych pokoleń coraz to bardziej zwiększającego się alkoholizmu.

Wystawy przeciwalkoholowe są tylko jednym ze środków, którymi rozporządza ruch przeciwalkoholowy i działa dorywczo, pobieżnie, o ile nie jest wzmocniony innymi metodami pracy.

Dr. S. Giebocki przy omawianiu chorób społecznych, jak gruźlica i wenerja nie uwzględnia alkoholizmu, który jest ich sprzymierzeńcem, nieodłącznym towarzyszem, a niejednokrotnie — przyczyną.

Stanowisko lekarzy, autorów pamiętników, w sprawie walki z alkoholizmem, jest bierne nawet wówczas, gdy się mówi o pijaństwie; a przecież walka z alkoholizmem nie ogranicza się wyłącznie do zwal-

czania jego ostrych form, lecz przede wszystkim polega na wychowywaniu trzeźwego obywatela i to całkowicie uświadomionego o powodach trzeźwości.

Taką to metodę wychowawczą na terenie Ubez. Społ. powinien prowadzić lekarz społeczny, a wraz z nim higienistka, pielęgniarka, położna, jednym słowem ci wszyscy, co mają bezpośredni i bliski kontakt z chorym i jego rodziną.

Ale by to czynić, muszą sami lekarze być gruntownie przygotowani do tego jeszcze jednego działu pracy, który się tak mocno zająbia o front przeciwgruźliczy i przeciwweneryczny.

Brak katedry alkoholologii na uniwersytetach fatalnie się mści na lekarzach, którzy, opuszczając uczelnię, nie mają pojęcia ani o leczeniu alkoholizmu, ani o profilaktyce alkoholizmu. To też Kursy Przeciwalkoholowe, urządzone rok rocznie przez Państwową Szkołę Higieny powinny mieć jako słuchaczy lekarzy społecznych. Byłoby to częściovem wyrównaniem braku ich wykształcenia zawodowego.

Poza tem lekarze społeczni powinni przejść obowiązkowy staż w zakładach leczniczych dla alkoholików i narkomanów w Świacku, i alkoholiczek i narkomanek w Gościejewie. Zakłady te wykażą niszczycielskie działanie alkoholu na organizm ludzki, ujawnią tragiczną bezsilność leczenia wypadków, które nie od razu, lecz stopniowo zostały doprowadzone do stanu beznadziejnego schorzenia, przez umiarkowane, dozwolone „nieszkodliwe“ dawki alkoholu, towarzysko wypijanego.

Zakłady te, całą swoją tragiczną wymową, uświadomią ich, że zadaniem lekarza społecznego jest niedopuszczanie do rozpajania się ludności. Tą drogą może nastąpić pewne odciążenie lecznic przeciwalkoholowych od nieuleczalnie chorych nałogowców. Chodzi o to, by lekarze stanęli do walki z obyczajem umiarkowanego picia, które pomału niesie zagładę i obarcza społeczeństwo całe, ciężarem utrzymywania nieszczęsnych ofiar.

Lekarze społeczni nie piją, lecz to jeszcze jest za mało. To tylko bierna postawa, którą niewątpliwie zamienią na czynną, bo tak im na-każe czujne, wrażliwe sumienie społeczne, gdy tylko poznają tragizm i rozpiętość klęsk, wywoływanych przez alkoholizm.

Dobiegam do końca. „Pamiętniki Lekarzy“ mają wymowę cichego bohaterstwa. Mówią o łzach i biedzie ludzkiej, a jednocześnie o sile przemożnej, twórczej tych, co niedoli człowieka biednego, zbudować pragną tamę, mocą swej pracy ofiarnej.

Dziś już nie tylko „sosna rozdarta“ płacze nad dolą kraju —

dziś — czujemy to wszyscy — wstał do czynu cały naród, by zrealizować nowy typ człowieka *sprawiedliwego i wolnego*. A w pracy tej lekarze społeczni, ci z *powołania* głębokiego, będą zajmować zawsze czołowe miejsca. Ujawnią oni *artyzm w medycynie*, służąc wielkiej sprawie odrodzenia *życia*.

Hanna Nałęcz-Ostrowska Szymańska.

ŚMIERĆ BORU.

(wspomnienie z przed 70-ciu lat).

Kraj lat dziecińczych, on zawsze zostanie
Święty i czysty, jak pierwsze kochanie.

A. Mickiewicz.

Wychowywałem się w małej 15-sto dymowej wiosce — kolonji, która powstała z uwłaszczenia, przeprowadzonego przez rząd rosyjski w 1864 r.

Z południa wioska graniczyła z ziemiemi folwarcznemi, z północy z ziemiemi gospodarzy sąsiedniej wioski, ze wschodu z dużym borem, co się nazywał „modrzewiną“, jako, że w tym borze, należącym do pewnego właściciela kilku folwarków, magnata, księcia, rosło wiele przepięknych modrzewi. Były to wspaniałe drzewa wysokie, proste, jak kolumny, z igliwem zielonem i miękkim, a delikatnem, drzewa wysokie, na jakich 30 — 40 łokci o korze gładkiej. Były to prześliczne drzewa. Ten bór, a raczej smutne jego resztki, żyją do dziś. Z zachodu był bór mieszany, przeważnie sosny, może stu kilkudziesięcioletni, może po wojnach szwedzkich wyrosły; miał ślady zagonów, zarosły gęsto śliczną sośniną i brzożami, zalegał około 300 m. przestrzeni i łączył się z innymi borami, które stanowiły razem ogromny blok borów.

Dziś nie ma z nich i śladu.

Tak więc, kolonja D. pobudowała się po 1864 r. między dwoma borami, na nowinie po wyciętym lesie, karczując pnie i uprawiając pola. Różniła się od starych przydworskich wiosek tem: że nie miała karczmy, że ziemie miała scalone, i że stanowiła wieś jednorzędową, pobudowaną w środku pól.

Modrzewina, był to bór prastary, od wschodu, jak wyżej napisałem. Bór zaś z zachodu, należał do pewnego młodego właściciela, widocznie wesołego usposobienia, który do tego boru tylko na polowanie przyjeżdżał. To też co zimę, słyszeliśmy w owym borze szczekanie psów i dźwięki myśliwskich trąbek. Widocznie bawiono się wesoło i beztrosko.

Aż pewnego razu po okolicy gruchnęła wieść, że p. M. sprzeda je bór; w tym celu zjechał ów młody właściciel do miasteczka B., najął sobie mieszkanie, u Żyda jadł rybę faszerowaną, pił szabasówkę, zabawiał się z młodemi dziewczynami obu obrzędów. A żydkowie faktozry, szukali kupców na owe 300 m. boru.

W osadzie B. takich potentatów nie było, znaleźli się oni w mieście powiatowem. Poprostu trzech zamożniejszych Żydów, złączyło swoje kapitały i kupiło u owego pana o historycznym nazwisku 10 włók wspaniałego boru za 100.000.— zł. Było to nawet 70 lat temu ogromnie tanio.

Z wioski, w której przeszło moje dzieciństwo, gdy chciało się iść do kościoła, trzeba było iść przez bór. Piękna to była droga; szło się drożynami i ścieżkami, w lecie po obu stronach ściany olbrzy-

mich drzew, a spodem zielone podszycie, śpiew i świergot ptaków, zimą cisza i okiśń szronu, albo śnieg na gałęziach drzew, prócz tego w lecie jagody, grzyby, orzechy laskowe. A w zimie bory zasłaniały wioskę od zimnego wiatru, więc ludzie wsiowi lubili bory. Ale stało się: bór, co nas otaczał z zachodu, został sprzedany. I zaraz też zaczęli przychodzić do boru, na śmierć skazanego, rozmaici ludzie, robotnicy: 1) belcarze, 2) tracze, 3) klepkarze, 4) gonciarze i 5) prości t. zw. sąźniarze, czyli drwale, co scinali drzewa, niezdatne na materiał ciesielsko - stolarski i t. p., ścinali te drzewa, piłowali je na kłocę, łupali i układali w t. zw. sąźnie, było to drzewo opałowe.

A najpierw stanęły zabudowania dla Zarządu, w tym domu osiadł mózg tych, co mieli zamordować bór, było ich trzech: kasjer, pisarz, i gajowy. Rozumie się, byli to wszystko Żydzi z miasta, po za nimi zaczęli się sprowadzać t. zw. „baraczarze“, a więc ludzie różnych fachów przy przeróbce drzewa. Tartaków w czasie owym Żydzi do tarcia drzewa nie używali, wszelkie gatunki tartego drzewa wyrabiali „tracze“ to samo i t. zw. „kantówkę“ którą robili belcarze i t. d. Baraczarzami nazywano robotników leśnych, którzy przechodzili z lasu do lasu. Gdy wykończono las jeden, przechodzili do drugiego i tak im życie schodziło. Byli to ludzie zupełnie odmiennego typu, różne rozbitki życiowe. Pary ludzkie żyły z sobą najczęściej na „wiarę“, zarabiali tyle, aby przeżyć. A ponieważ zarząd mordowanego lasu, zazwyczaj utrzymywał towary pierwszej potrzeby, przeto rachunki tak były prowadzone, że „baraczarz“ pracując — zawsze był winien i grosz gotowy rzadko dostawał do ręki. My, małe wiejskie dzieciaki, byliśmy ogromnie ciekawi zobaczyć owych obcych przybyszów „baraczarzy“, to też pewnego dnia ja może 5-cio letni dzieciak, poleciałem do boru w to miejsce, gdzie postawiono pierwszy barak. Ów barak była to po prostu buda z okrągłaków, opartych na dębowym drągu, wspartym na „sochach“ nakrytych mchem i liśćmi i narzucaną na to ziemią. Było tam i ulepione z gliny palenisko ze zbudowanym z gliny i kawałków cegły kominem, było też z gałęzi sporządzone wyrko, na którym na barłogu leżała sparaliżowana kobieta, którą wraz z paroma garczka-mi przywiózł w dużej taczce jej mąż sąźniarz, Kacper, który przy mnie, przyszedłszy z roboty, napalił ogień i sam zaczął warzyć dla siebie i dla żony kaleki, ubogi posiłek. Rozumie się, że wówczas małym jeszcze dzieckiem, nie rozumiałem heroizmu tego starszego już człowieka, który od kilku już lat woził, karmił, odziewał i jak mógł obsługiwał swoją żonę. Kaleka była Kacpra ślubną żoną. Zrozumiałem to daleko później, kiedy zobaczyłem i zrozumiałem, jak to lekko rozchodzą się małżeństwa i to nie z biedy, nie z kalectwa jednego z małżonków, ale — ot — tak sobie, dla zmiany, czy zabawy.

To poświęcenie męża, dla kaleki żony, tego uboższego „baraczarza“, Kacpra, który już dawno nie żyje, zostało mi na całe życie. I rozumię dziś, że w tem „baraku“ pod siermięgo uboższego wyrobnika, była wielka cnota miłości małżeńskiej, którą po 70-latach ujawniam i opisuję.

Około domów zarządu pobudowano kilka baraków, w każdym osiadła „rodzina“ baraczarza. Stąd poszli w bór: belcarze i tracze, gonciarze i klepkarze; pierwsi wycechowane drzewo zaraz „spuszczali“

i na miejscu rżnęli lub obrabiali, drudzy również drzewo spuszcza-
li, rżnęli je na odpowiedniej długości kłocę, które okoliczni chłopcy zwo-
zili na plac przed zarządem i tam już wyrabiali gonty i klepki, a cały
parowozowy plac, pokryty się „kozłami“ bali, desek, łat, i różnej „kan-
tówki“. A niedługo pozabijane drzewa przerobione na materiał budo-
wlany, zostały wywiezione przez okolicznych gospodarzy do miast i
miasteczek, albo też na opał.

A bór umierał przez lat kilka, trupy zostały wywiezione, a około
pni puszczać się zaczęły nowe pędy brzoź i dębów.

Ale niedługo okoliczni chłopcy zaczęli wykupować ziemię poleśną
płacąc za nią tę samą cenę, jaką żydzi zapłacili wraz z prześlicznym
borem. A mały chłopczyzna, co niegdyś biegał na bosaka do boru po ja-
gody, co później pasał tam bydło, co jeszcze później, gdy już podrósł,
woził „sagi“ do cukrowni i dostawał 10 gr. na chleb i śledzia, z czego
miał własne źródło dochodu, bo ani chleba, ani śledzia nie kupił, ale
te dziesiątki kapitalizował i kupił za nie skrót „Robinsona Kruzoe“
i to stało się początkiem jego późniejszego księgozbioru.

Więc i on zarobił na śmierci boru, bo zresztą nikt na tej śmierci
nie zarobił, ani „baraczarze“, którzy zarobili ledwie tyle, że mogli
z biedą przeżyć, a jeżeli im co zostało to... przepili. Ani chłopcy, co ła-
mali wozy i zamęczali konie, wywoząc z boru „towar“, ani nawet ży-
dzi, choć grubo zarobili, a jednak zeszedli na dziady, ani ci, co ziemię
polską kupili, bo ich wnuki tam biedują.

A lasu pięknego wielka szkoda — jako umarłego.

Tomasz Nocznicki.

XXII MIĘDZYNARODOWY KONGRES PRZECIWALKOHOLOWY W HELSINKACH

OD 30 LIPCA DO 4 SIERPNIĄ 1939 R.

pod wysokim protektoratem

PANA PRZEZYDENTA REPUBLIKI FIŃSKIEJ

K Y Ö S T O K A L L I O

1

PANI KAISA KALLIO

PRZEWODNICZĄCY HONOROWI

VÄINÖ VOIONMAA

Profesor Uniwersytetu w Helsinkach — Minister handlu i przemysłu

ALEKSI LEHTONEN

Biskup z Tampore.

ARVO MANNER

Prefekt prowincji Viipuri.

O D E Z W A ŚWIATOWEGO ZWIĄZKU PRZECIWALKOHOLOWEGO

Z uczuciem wielkiej radości przyjmujemy zaproszenie czynników
miarodajnych i towarzystw przeciwalkoholowych fińskich na Kongres

w Helsinkach. Zwracamy się z zaproszeniem do wszystkich działaczy przeciwalkoholowych o wzięcie udziału w Kongresie. Da on możność dużej liczbie uczestników wypowiedzenia się podczas dyskusji, gdyż większość referatów będzie wcześniej wydrukowana.

Finlandja jest krajem wyjątkowo ciekawym dla gości kongresowych, gdyż ma za sobą historyczną przeszłość pełną chwały.

Przed stu laty miała ona spożycie alkoholu bardzo wysokie — alkoholizm był wielce rozpowszechniony. Zawdzięczając wielkiej wytrwałości fińskich działaczy przeciwalkoholowych, ich niezmordowanemu wysiłkowi, zmierzającemu ku odpowiedniemu uświadomieniu szerszych warstw ludności, oraz właściwemu prawodawstwu przeciwalkoholowemu, Finlandja jest dzisiaj w Europie krajem o najmniejszym spożyciu alkoholu.

A jednak, mimo to, fińscy działacze przeciwalkoholowi nie zaprzestają pracy — podtrzymywani przez Rząd i Parlament kontynuują ją stale, udoskonalając metody propagandy, mogące służyć dla wszystkich przykładem. Będzie to dla nas prawdziwą radością móc na miejscu zapoznać się z systemami walki z alkoholizmem stosowanymi w Finlandji.

Należy również dodać, że Finlandja w czasie 22 lat swej niepodległości, dokonała wielkiego wysiłku w kierunku rozkwitu ekonomicznego i kulturalnego. Jest to kraj znany ze wspaniałomyślnej gościnności, o przepięknej przyrodzie, dającej turystom niezwykle widoki. Wszystko to, niewątpliwie przyczyni się do tego, że udział w Kongresie w Helsinkach w dniach 30. VII — 4. VIII 1939 będzie wyjątkowo liczny, że zgromadzi on wielki zastęp działaczy ruchu przeciwalkoholowego i jego przyjaciół.

Haga i Lozanna w lutym 1939.

prezes: *J. R. Slotemaker de Bruïne*
sekretarz generalny: *R. Hercod.*

O D E Z W A KOMITETU ORGANIZACYJNEGO KONGRESU.

Zorganizowanie XXII Międzynarodowego Kongresu Przeciwalkoholowego powierzono Finlandji. Mimo, że organizacyjny okres przygotowawczy jest wyjątkowo krótki, organizacje przeciwalkoholowe fińskie przyjęły ten zaszczytny obowiązek, tem więcej, że Państwo i miasto Helsinki przyrzekły swój cenny udział.

Podczas wytrwałej pracy nad skuteczną obroną przed niebezpieczeństwem alkoholowem, Finlandja skonstatowała bezsilność pojedynczego kraju w rozstrzygnięciu tego wielkiego zagadnienia. To też wszystkie sposoby, zmierzające do obudzenia zainteresowań sprawą alkoholizmu na terenie międzynarodowym, mają u nas gorących zwolenników.

Zwracamy się z zaproszeniem do działaczy przeciwalkoholowych wszystkich krajów na Kongres do naszej stolicy od 30 lipca do 4 sierpnia.

nia. Program Kongresu pozwoli uczestnikom zapoznać się z ostatnimi wynikami badań z dziedziny alkoholizmu i przedyskutować dokonane osiągnięcia, zmierzające ku utrwaleniu trzeźwości.

Długie dnię lata nordyckiego, wody wielkich jezior, piękność przyrody naszego kraju, dadzą kongresowiczom możliwość wypoczynku po poważnych naradach.

K. K. Aro Kalle Kauppi Viktori Karpio.

Helsinki w marcu 1939 r.

P R O G R A M

XXII. MIĘDZYNARODOWEGO KONGRESU PRZECIWAŁKOHOLEWEGO W HELSINKACH 30 LIPIEC — 4 SIERPIEŃ 1939 R.

NIEDZIELA, 30. VII.

Nabożeństwa.

Zebrania oddzielne poszczególnych towarzystw.

Przerwa.

Uroczystość otwarcia (w starym domu Akademickim: *Finland-ja*).

Przemówienie Prezesa Komitetu Organizacyjnego.

Przemówienie Pana Prezydenta Republiki Fińskiej, KYÖSTI KALLIO.

Kantata: słowa LAURI POHJANPÄÄ — muzyka ARMAS JÄRNEFELT.

Przemówienie p. Min. J. R. SLOTEMAKER'A de BRUINE, prezesa Międzynarodowego Zw. P.

Przemówienia przedstawicieli rządów zagranicznych.

Przemówienie przedstawiciela miasta Helsinki.

Przybycie delegacji młodzieży.

Przemówienie p. R. HERCOD, sekretarza generalnego Międzynarodowego Związku Przeciwalkoholowego.

Zamknięcie przez p. VÄINÖ VOIONMAA, Min. Handlu i Przemysłu. Przyjęcie u Ministra Opieki Społecznej.

PONIEDZIAŁEK, 31. VII.

Zebrania poszczególnych towarzystw.

Przerwa.

Posiedzenie plenarne:

Referaty:

Pani Dr. ELIANE le BRETON, kierowniczkę badań w uniwersytecie w Strasburgu: „Alkohol i energja mięśniowa“.

Dr. ERNEST GABRIEL z Wiednia: „Zagadnienie „Süchtigkeit“.

L. HARMAJA, Prof. Uniw. w Helsinkach: „Alkohol i podniesienie stopy życiowej“.

Przyjęcie u Pana Prezydenta Republiki.

Uroczystość stulecia FRANCES VILLARD (w starym domu Akademickim), program specjalny.

WTOREK, 1.VIII.

Posiedzenie plenarne:

„Formy udziału Państwa w walce z alkoholizmem“. (Referaty przedstawicieli poszczególnych państw — drukowane) — pp. VIKTORI KARPIO (Finlandja); GERHART FEUERSTEIN i ERNST BAUER (Niemcy); ADOLF HANSEN (Danja); KH. NEYTCHEFF (Bułgarja);; E. KUBJAS (Estonja); VILDE (Łotwa); R. JACOBSEN (Norwegja); J. SZYMAŃSKI (Polska); A. AXELMAN (Szwecja); Pani RANDOLPH CLARKSON (Anglja) i Referat główny, p. ROBERT HERCOD, sekretarz gen. Międz. Zw. Przeciwalkoholowego.

„Wylimitowanie dochodu prywatnego ze sprzedaży alkoholu“. Referenci: Dr. fil. p. ERIK ENGLUND (Sztokholm); p. CECIL HEATH, Sekretarz Związku Królestwa Zjednoczonego (Londyn).

Przerwa.

Posiedzenie plenarne:

„Indywidualne używanie alkoholu, jako problem moralny“:

Z punktu widzenia filozoficznego: p. A. DROSDAL, Sekretarz generalny Rady Narodowej nauczania przeciwalkoholowego, (Oslo);

Z punktu widzenia katolickiego: Prof. ks. kanonik J. HERMANN, (Lucerna);

Z punktu widzenia protestanckiego: Ks. pastor DAWID EDEN (Finlandja) i ks. pastor HENRY CARTER (Londyn).

„Dziedziczność i walka z narkotykami ze specjalnego punktu widzenia prawodawstwa niemieckiego“: p. RUTTKE, referent: Dr. praw, radca w Min. Spraw. Wew. (Berlin).

Wycieczki statkiem.

Przyjęcie herbatą Kongresu przez władze miasta Helsinki.

ŚRODA, 2. VIII.

Posiedzenie plenarne:

„Alkoholizm i wyuczasy wiejskie“.

a) Alkoholizm:

Referent: Prof. dr. G. SZULC, dyr. Pań. Inst. Hig. (Warszawa).

(Do dyskusji zapisany LEONHARD ILLISSON (Estonja).

b) Wywczasy:

Referent: K. STRAUB, sekretarz organizacji Ognisk dla wszystkich, (Zurych).

„Alkoholizm i jego wpływ na uzdolnienia zawodowe“. Referent Dr. COURTENAY C. WEEKS, (Londyn).

Przerwa.

O b r a d y s e k c y j n e:

Sekcja A.

„Znaczenie i rezultat badań nad zawartością alkoholu we krwi“. Referent: Dr. P. I. TUOVINEN, (Helsinki).

„Lekarze i alkohol“. Referenci: Dr. E. BRUNS, Prezes niemieckiego Urzędu do walki z nadużyciem alkoholu, (Berlin); Dr. WIERENGA, lekarz miejski w Utrechcie;

Dr. TAAV LAITINEN, Prof. Uniw. w Helsinkach.

Sekcja B.

Dyskusja nad zasadami nauczania przeciwalkoholowego.

Wprowadzający: Dr. IVAN BOLIN, rzeczoznawca nauczania przeciwalkoholowego w Dyrekcji Głównej szkolnictwa w Szwecji, (Sztokholm);

Dr. MAX OETTLI, dyr. sekretarjatu przeciwalkoholowego w Lozannie (Szwajcaria).

Przerwa.

Wycieczka do Aulanko — obiad.

CZWARTEK, 3. VIII.

Posiedzenie plenarne:

„Alkohol i wychowanie młodzieży“.

Referenci: Dr. KITZING, Pani A. ARRIËNS, superintendent międzynarodowego związku młodzieży I. O. G. T. (Do dyskusji zapisany Ks. IRWIN, Londyn).

„Praca przeciwalkoholowa wśród młodzieży i dzieci w Finlandji“. Referent: Prof. P. HILJA VILKEMAA, (Helsinki).

„Mistrze sportu międzynarodowego i użycie alkoholu“.

Referenci: G. STÖCK, zawodnik olimpijski (Berlin);

EDWIN WIDE, nauczyciel, ALSTEN, (Szwecja);

P. AKSELI KASKELA, były dyr. Instytutu Sportowego, dyr. Organizacji Domów Wycieczkowych, (Helsinki).

Przerwa.

Posiedzenie plenarne:

„Produkcja i spożycie alkoholu w świetle statystyki międzynarodowej“.

Referent: TAPIO VOIONMAA, Min. pełnomocny (Helsinki).
„Organizacja czasów robotniczych i ich znaczenie w walce przeciwalkoholowej“.

Referenci: p. VAN der MEULEN (Holandia).

Przerwa.

Oddanie hołdu na cmentarzu dr. Matti Helenius - Seppällä i Alli Trygg - Helenius.

Wielki wieczór urządony staraniem Komitetu Organizacyjnego (W starym domu Akademickim). Muzyka. Przemówienia gości zagranicznych. Chór. Tańce narodowe. Pokazy gimnastyczne i t. d.

PIĄTEK, 4. VIII.

Posiedzenie plenarne:

„Argumenty obrońców alkoholu“.

Referent: Dr. HANS SCHMIDT, prof. uniw. w Halle.

„Jak pozyskać kobiety do walki z alkoholizmem?“

Referenci: Pani MILDA KEMPELS, (Ryga), P. ELLA BOOLE, (New York) i p. IDA WISE SMITH (Evaston).

Przerwa.

Praca w sekcjach:

Sekcja A.

„Międzynarodowa współpraca do badań nad alkoholem“.

Referenci: Prof. Uniw. Dr. EDG. ZUNZ, (Bruksela);

U. TUOMINEN, sekretarz generalny federacji „Raittiuden Ystävät“, Helsinki. Ktoś z amerykańców.

„Alkohol i żywienie“.

Referenci: Dr. CARL OTTOSEN, (Danja), Dr. KH. NEY-TCHEFF, (Sofja).

Sekcja B.

„Podstawy prawodawstwa w lecznictwie alkoholowym“.

Referenci: HARRY VENOJA, licencjat prawa (Helsinki); ERNEST de CRAENE, Prof. Uniw. (Bruksela).

„Lecznictwo alkoholików w rozmaitych krajach północnych“.
(Oprócz tego sprawozdania z każdego kraju północnego).

Referent generalny OLAF KINGBERG, prof. Uniw. Sztokholm (Szwecja);

Referent specjalny dla spraw Finlandji S. S. SALMENZAARI, Szefer departamentu w Min. Spraw Społecznych (Helsinki).

Sekcja C.

„Współczesne metody propagandy przeciwalkoholowej“.

Referenci: I. O. RUGAART, red. (Holandja);

LARS LARSEN - LEDET, red. (Danja);

ERNST BAUER, dyr. (Berlin).

(Do dyskusji zapisany Dr. PAUL DAUPHIN (Arles): „O podstawach propagandy wychowawczej“).

„Spożytkowanie bezalkoholowe owoców“.

Postęp techniczny. Referent: Dr. H. POLZER (Berlin).

Znaczenie zużytkowywania bezalkoholowego owoców dla walki z alkoholizmem“.

Referent: H. GACHOT, prof. Uniw. w Strasburgu.

„Zużytkowanie bezalkoholowe owoców w krajach północnych“.

Referent: ALEKS. PRIMA, radca minist. Tallinn (Estonja).

Przerwa.

Plenarne posiedzenie — zamknięcie. Głosowanie rezolucji. Sprawozdanie z prac sekcyjnych i z poszczególnych zagadnień.

Wieczór pożegnalny.

Przemówienie przewodniczącego Kongresu.

Odpowiedzi uczestników zagranicznych.

NASZE XX-LECIE.

20-cia lat temu w sali Tow. Higjenicznego 18-go maja 1919 roku, czyli w pierwszym roku po odrodzeniu Polski, przy licznych zgromadzeniu ludzi w owym czasie najbardziej wpływowych, zorganizowano Polskie Towarzystwo walki z Alkoholizmem „Trzeźwość“ i równo 20 lat temu w tej samej sali i tego samego dnia (18. V.) obchodzimy jubileuszowe zebranie.

W owym czasie w Sejmie, prowadzono ożywione debaty nad sprawą walki z alkoholizmem; byli liczni zwolennicy, myślnano nawet o wprowadzeniu całkowitej prohibicji — byli też i przeciwnicy — w wyniku ostatecznym Sejm uchwalił ustawę przeciwalkoholową, ustawę, którą działacze antyalkoholowi zagranicą uznali za najlepszą, a którą potem zmieniono i zdeformowano do niepoznania.

Towarzystwo nasze w odrodzonej Polsce, przyjęło tradycję poprzednio egzystujących w każdym zaborze Towarzystw przeciwalkoholowych i zebrało w swoim gronie działaczy z różnych zaborów i tem samem stało się ogólnopolskiem. Wobec tego 20-to letni jubileusz, jako jubileusz powojennego towarzystwa, należy uznać za uzasadniony.

Sięgając w przeszłość ruchu antyalkoholowego w środowiskach polskich, nie tylko porozbiorowych, ale nawet i przedrozbiorowych, musimy stwierdzić, że działalność przeciwalkoholowa jest bardzo dawna i wytrzymuje w zupełności porównanie co do tego ruchu z innymi

kulturalnymi narodami — mamy więc prawo nie na jubileusz 20-to letni, ale na znacznie większy. Możemy dowieść, że zrozumienie szkodliwości alkoholu i propaganda w celu zwalczania tego zła, rozpoczęła się bardzo dawno. Pomijając Kazania Skargi i Birkowskiego, szereg ustępów w pismach Reja, czy Kochanowskiego — musimy podkreślić epokę Sejmu Czteroletniego i stanowisko w sprawie konieczności walki z pijaństwem, takich wybitnych ludzi, jak Staszic i Krasicki. Następnie działalność na polu walki z alkoholizmem w Polsce Tow. *Szubrawców* i młodzieży *filareckiej* w Wilnie zasługuje na najwyższe uznanie.

Działalność Księdza Karola Antoniewicza T. J. i duchowieństwa naszego w epoce przed powstaniem 1863 r. w zakresie walki z klęską alkoholizmu, stanowi piękną kartę w naszych dziejach porzbiorych *).

Były to wszystko usiłowania i dążenia wprawdzie najszlachetniejsze, ale brakło im systematyczności i ciągłości, częściowo wskutek niedostatecznej znajomości całokształtu zagadnienia alkoholizmu.

Pełne poznanie zagadnienia stało się dostępne dopiero pod wpływem badań naukowych, czasów ostatnich i dziś mamy możliwość prowadzić racjonalną propagandę, uzasadniając wywody o konieczności zupełnego zaniechania spożycia alkoholu badaniami i doświadczeniami naukowymi.

Do jakiego jednakże stopnia sprawa jeszcze wymaga jej popularyzowania, może nas przekonać to, że nawet obecnie młodzi lekarze wychodzą z uniwersytetu z przeświadczeniem, że niewielkie ilości alkoholu, że picie „umiarkowane“ nie jest szkodliwe.

W społeczeństwie nie ma należytego zrozumienia danej sprawy. — Najczęściej spotykamy się z żartami, kpinami i zazwyczaj pierwsze kroki są niesłuchanie trudne; z wielkiem poświęceniem udaje się naszym działaczom zdobyć pewną okolicę, zebrać grupę ludzi, zorganizować koło, rozpocząć pracę. Wystarczy jednak, aby okoliczności zmusiły daną jednostkę do przeniesienia się do innej miejscowości, aby sprawa zamarła i dobrze rozpoczęta akcja, zanikła zupełnie.

Ogromny wpływ miał zeszloroczny wszechświatowy Kongres Przeciwalkoholowy w Warszawie. Powaga i znaczenie poszczególnych delegatów, znanych ze swej działalności naukowej i społecznej — wpłynęły na to, że Rząd Polski i świat naukowy warszawski odniósł się do Kongresu z pełnym uznaniem, a to musiało oddziaływać i na społeczeństwo polskie. Dziś na kpiny zdobywają się tylko ludzie niekulturalni, dziś teren jest już łatwiejszy, tem nie mniej pracy jest bardzo dużo, a ludzi czynu mało. Niedosć samemu rozumieć szkodliwość alkoholu, trzeba zdobyć się na najenergiczniejszą propagandę, tylko przy połączonych wysiłkach możemy liczyć na wyniki zadawalające.

*) Patrz red. *Jana Szymańskiego*: „Najbliższe zadania polskich abstynentów“ („Walka z Alkoholizmem“ Nr. 1. r. 1913), „Kilka słów o stanie sprawy zwalczania alkoholizmu w Polsce“, („Walka z Alkoholizmem“ Nr. VII, z r. 1920), „Stanisław Staszic“ str. 4, 1929, „La lutte contre l'alcoolisme en Pologne“, („Trzeźwość“ Nr. 8 z r. 1937), „Poglądy Krasickiego na sprawę alkoholizmu“, str. 16, 1936, „Poglądy Jędrzeja Śniadeckiego na sprawę alkoholizmu“, („Trzeźwość“ Nr. 5-7 z r. 1938).

Niech ten dzień jubileuszowy będzie dniem przełomowym w historii naszego ruchu, niech od tego dnia rozpocznie się mobilizacja wszystkich sił, a w danej chwili, kiedy Polska przeżywa tak bardzo ważne momenty historyczne, przyczynimy się i my do rozwiązania tych spraw na naszą korzyść, wysyłając do walki zastępy propagatorów naszej idei, która ma bardzo wielkie znaczenie w okresach spokojnej pracy, ale jeszcze większe w czasach przełomowych, w chwilach wytężonej walki całego narodu o byt i honor Państwa.

Aleksander Iżycki.

DOBROWOLNA DANINA ZE ZDROWIA I MIENIA.

(Streszczenie prelekcji, wygłoszonej na Dekadzie „Trzeźwości“ w dn. 1 marca r. b.).

Od niepamiętnych czasów, jak tylko rodziny potworzyły klany i szczepy, i później, gdy powstały pierwsze zarysy zorganizowanego życia zbiorowego, *gromada* wymagała pewnych ofiar dla wspólnego dobra. Wymagania te z jednej, a ofiary — z drugiej strony wzrastały wraz z rozwojem poszczególnych państw i państwewek. Można nawet na szeregu przykładów udowodnić, że im bardziej zwarte i bojowe były narody, tem większych ofiar wymagały od swych poddanych. Poczucie państwowości, które naprz. u niektórych ludów koczowniczych, jak Mongołowie, lub półkoczowniczych, jak Pieczyngowie i później Tatarzy, najwyżej było rozwinięte, wymagało od swych członków większych ofiar szczególnie z krwi, niż u narodów, które to poczucie słabiej miały zarysowane. To, co państwo wymagało od swych poddanych, ograniczało się do daniny z mienia, co przybrało postać podatków i z krwi — co przeobraziło się na służbę wojskową i gotowość wojenną.

Nie ma w żadnej części świata państwa, narodu, narodziku, czy państewka, w którychby nie istniał przymus podatkowy i obowiązkowa służba wojskowa. Wyjątek całkowity stanowi taki karykaturalny mikroorganizm państwowy, jak Monaco, utrzymujące się z dochodów z domu gry i — na przeciwnym poziomie Anglja, gdzie wprowadzie od niepamiętnych czasów istnieją podatki (i to b. wysokie), ale gdzie w czasie pokoju nie było przymusu wojskowego i gdzie wprowadza się go dopiero w małej zresztą skali, obecnie.

We wszystkich tych i innych zorganizowanych państwach przymus podatkowy i obowiązkowa służba wojskowa zaopatrzone są w twarde rygory: opornym płatnikom grożą grzywny, licytacje, w niektórych nawet państwach więzienie i temi samemi, lub jeszcze surowszemi karami obostrzone jest uchylanie się od służby wojskowej.

Wiemy dobrze, że bez pieniędzy i armji nie może istnieć żadne państwo, to też obydwa obowiązki, ciężące na nas z tego tytułu, są dla nas całkowicie zrozumiałe. Mimo, że Polacy nie są najwzorzorszymi płatnikami podatków, i u nas zdarzają się wielkie dobrowolne ofiary pieniężne na szpitale, szkolnictwo, na FON i FOM, a ostatnia pożyczka Lotnicza świadczy o wielkiem zrozumieniu i wyrobieniu obywatelskiem Polaków. W dziedzinie służby wojskowej mamy jaknajpiękniejsze tra-

dycje i nasze dawne formacje „wolontarskie“, a obecnie ochotnicze są dowodem, dającym nam w tej dziedzinie najchlubniejsze świadectwo.

Jeżeli w tych obu dziedzinach mamy się czem pochwalić, to znaczy, że rozumiemy ciążące na nas *obowiązki*. Nieraz też zdarzały się w tych dziedzinach fakty, że dawaliśmy ofiary z krwi i mienia ponad obowiązek i ponad możność.

Dotąd wszystko jest w porządku, jednakże są dwie dziedziny dochodów państwowych, w których żaden z obywateli nie ma obowiązku uczestniczyć, a w których pewna część obywateli i to najbiedniejszych składa olbrzymie ofiary *dobrowolne*, rujnując tem swe najskromniejsze, często nędzarskie budżety, podkopując byt swych rodzin i marnując swe zdrowie. Mamy tu na myśli wydatki, jakie ponoszą pijacy i pijący na rzecz monopolu spirytusowego i palacze — w dziedzinie tytoniowej.

Mnóstwo ludzi nie pali i nie pije i żaden rząd nigdy nie robił im z tego powodu żadnych szykan, ani nacisków. Pod tym względem, chwała Bogu, nie ma ani u nas, ani nigdzie żadnych nacisków, przeciwnie, niż naprz. z podatkiem dochodowym.

A tymczasem!

Podatek dochodowy nie bez trudu ściągany w całej Polsce nieraz przy pomocy egzekucji i licytacji, przynosi w ostatnich latach przeciętnie 200 do 250 milj. rocznie. Tyle się ściąga i gromadzi. Tymczasem dochód monopolu spirytusowego przynosi czystego zysku znacznie więcej, bo przeszło 300 milionów rocznie. Ale myliłby się, kto by sądził, że tylko 300 milionów złotych przepija w Polsce ludność co roku. Przepija znacznie więcej: około 650 milj. rocznie, bo Monopol więcej pochłania na swoje wydatki, niż przysparza w gotówce państwu, t. j. skarbowi.

Jakżeż nazwać tych ludzi, którzy rok rocznie sumę olbrzymią bezmała dwie trzecie miljarda dobrowolnie zanoszą do szynków, kolonjalistów i sklepów monopolowych. Czy są to szeregowcy z musu corocznie powoływani do armji pijaków polskich?

Nie, to ochotnicy!

Co wzamian otrzymują ci wolontariusze. Czy sławę, czy zaszczyty, czy poczucie spełnionego obowiązku? Nic zgoła z tego. Ich jedyną rekompensatą jest ruina zdrowia, pogrążenie w nędzy własnych żon i dzieci, rozstrój nerwowy, a nieraz występki i zbrodnia.

Bywali w dziejach ludzkości bohaterzy wiedzy, którzy zdrowie i życie poświęcali dla dobra swych rodaków i ludzkości. Franklin, wynalazca piorunochronu, zginął od pioruna, Hensen, szukając i znalazłszy zarazek trądu, zginął od tej strasznej choroby. Ale to były ofiary dla dobra ogólnego, gdy tymczasem pijacy, rujnując byt swój i swoich rodzin, przynoszą tylko ogromny ciężar i zamęt. Dostarczają ze swych szeregów wszystkich prawie idiotów i warjatów; potężny odsetek zbrodniarzy, morderców i podpalaczy również i z nich się rekrutuje. Więc co warci są tacy „ochotnicy“? Komu są potrzebni? Napewno nie skarbowi żadnego państwa, bo w ogólnym bilansie, na długi dystans licząc, więcej obciążają budżet każdego państwa, niż przysparzają mu dochodów. A ile przynoszą szkód moralnych, nie dających się obliczyć, a idących może w miljardy? A ile łez i przekleństw?

Szeregi tych straceńców-obłąkańców, tak ochoczo niosących swoje złotówki, (z których tworzą się miliony) do szynków i sklepików, muszą być przerzedzone. Uświadomienie im tej potwornej ofiary, jaką na śmietniku swego nałogu składają z mienia i zdrowia swego i swych najbliższych, może otrzeźwi niejednego.

Trzeba też uświadomić im, sobie i komu należy, że nie są to odpryski od jakichś wielkich bogactw, lecz olbrzymia danina składana z najędźniejszych zarobków wyrobniczych, a nieraz z jeszcze nędźniejszych zasiłków bezrobotnego proletariatu. Niech ci ochotnicy wiedzą, że najwyższa stawka w podatku dochodowym od milionerów nie dochodzi do 50%, gdy tymczasem im zabiera wódka nieraz wszystko, całe 100% ich tygodniówek. Gdy tego braknie — niosą do szynków poduszki, kapoty, buty swoje i dziecięce.

Taki to straszny, z trupa głową, sztandar wywiesiła nad swymi zastępami wódka. Ochotnicy, garnący się pod jej złowrogie skrzydła, oddają jej nieraz wszystko, a sami giną, przeklinani przez rodzinę, naród, ludzkość, złorzecząc swej psiej niedoli, do której ich zagnał nałóg i głupota.

Stanisław Biernacki.

ROZRYWKA — POTRZEBĄ ZDROWIA

Rozrywka po pracy, rozrywka, jako oderwanie się od trosk życia codziennego, jest konieczną potrzebą człowieka.

Upodobania indywidualne decydują o rodzaju rozrywek, które są różne, mniej lub więcej kulturalne, albo niekulturalne; zależne są również od zdrowia, wieku, no... i pieniędzy. Od najdawniejszych czasów starożytnych znanym jest krzyk tłumu rzymskiego, domagającego się chleba i igrzysk („panem et circenses“); to samo hasło pozostało, jako słuszne wołanie, powstałe z głodu ciała i ducha, aż do współczesnej nam epoki w historii ludów. Do najaktualniejszych współczesnych rozrywek (bo tylko o takich pisać będę) należy zaliczyć muzykę, radjo, taniec, teatr i najpopularniejsze kino. Ludzie samotni, zdenerwowani, sosjetofobi (nie lubiący towarzystwa) odganiają pustkę swego życia przez radjo, które nieraz spełnia zadanie domowego lekarza, codziennie wizytującego o tej samej godzinie swoich pacjentów.

Muzyka dodatnio wpływa na psychikę i nerwy, zastępując często uspakajające i znieczulające lekarstwa.

Znane są wypadki, kiedy podczas operacji stosowano muzykę, jako środek znieczulający z jak najlepszym wynikiem, co się tłumaczy odbieraniem silniejszego wrażenia słuchowego, niż czuciowego w tym samym czasie w ośrodku centralnym w korze mózgowej, często sąsiadującym. W wojsku, w pochodach uciążliwych, na manewrach i na wojnie — muzyka zawsze odgrywała potężną rolę w budzeniu ducha, energii, oszałamianiu i narkotyzowaniu chwilowem.

Wesołe piosenki żołnierskie, teatr i kino w obozach były i są najlepszym skutecznym lekarstwem na neurastenję i różne depresyjne sta-

ny duchowe żołnierzy. Ale najbardziej uwidocznią się zbawienny wpływ muzyki w sanatorjach i szpitalach dla chorych nerwowych i umysłowych: odpowiednie jej stosowanie poskramia najbardziej gwałtownych chorych i zastępuje nasenne środki i brom.

Taniec jest formą towarzyskiej rozrywki, świadczącej o stopniu kultury danego narodu i o wybitnych jego odrębnych cechach. Jako taki znany jest od początku świata. Tańcem wyrażać można wszystkie uczucia, jest to mowa ducha i ciała bez słów, uplastyczniona w harmonijnych falowaniach, ruchach i gestach.

Dawne tańce — skakania, męczące i możliwe tylko dla ludzi młodszych, nigdy już nie wrócą; nowoczesne tańce, to estetyczna harmonijna gimnastyka pod tak muzyki, możliwa do wykonania w najmniejszym mieszkaniu, a przez to dostępna dla wszystkich.

W ciężkiej walce o byt, która zmusza kobietę do pracy współrzędnej z mężczyzną, nie ma czasu na bale, zaczynające się o północy, a kończące białym mazurem. To też — bankructwo balów jest dziś powszechne.

Zastępują bale dancingi, umożliwiające bez żadnego zachodu i wielkich toalet żadnym tańca, tę kulturalną i higieniczną rozrywkę, w porze wolnej od codziennych zajęć, a więc po południu i wczesnym wieczorem. W Paryżu są dancingiienne, w porze przedobiadowej nawet, traktowane poprostu jako gimnastyka, zwłaszcza dla osób otyłych i starszych, nie chcących wychodzić z fasonu i linii. Istotnie tańce nowoczesne są tak niemęczące, że mogą stanowczo je uprawiać osoby starsze, aż do najpóźniejszej jesieni swego życia.

Amerykanie mają najwięcej radości życia w sobie.

Obserwuje się to z ich filmów, niekiedy może brutalnych, ale zawsze prawie rozbijających nas — humorem, prostotą komizmu, dziecięcnością odbierania wrażeń i koniecznym Happy-endem (szczęśliwym zakończeniem). „Wszystko jest dobre, gdy ma dobry koniec“, mówi Amerykanin; żaden film, żadna sztuka teatralna lub powieść ze smutnym epilogiem nie może tam liczyć na powodzenie.

Więc naprzykład, dzień należy kończyć „na wesoło“. Każdy w Ameryce stara się wieczór spędzić w kinie, na dancingu, w teatrze, w klubie sportowym, lub w towarzystwie ludzi pogodnych, a broń Boże — nie mizantropów, melancholików i wogóle zarażonych bakcyliami wszelkich depresji, zmniejszających energję czynu.

Najlepiej jest bowiem kłaść się do snu z wesołemi, optymistycznemi myślami, żeby wypocząć należycie przez noc i nazajutrz z podwójnym zapalem zaprząć się do codziennej pracy życia.

Zasada ta jest słuszną!

Człowiek jest towarzyskiem stworzeniem, a już w każdym razie — parzystem; — w samotności — kiśnie duchowo i marnieje.

Week-end (odpoczynek) w sobotę i niedzielę należy się każdemu.

Udostępnienie jak najszerszym masom szlachetnego typu kulturalnych rozrywek, jest jednocześnie najlepszym środkiem walki z plagą alkoholizmu i innych nałogów (choćby np. karciarstwa).

Karciarstwo, to ostatnia namiętność ludzi przeżytych, które także daje chwilowe złudzenie ucieczki od ciężarów życia.

Dr. Jadwiga Świąrowska.

Zarząd Główny T-wa „Trzeźwość“ urządza od kilku lat, co 10 dni wieczory odczytowo-koncertowe, t. zw. „Dekady Trzeźwości“, cieszące się bardzo liczną frekwencją publiczności. Stanowią te „Dekady“ przez dobór prelegentów i różnorodną treść odczytów (przy szczególnem uwzględnieniu zagadnienia alkoholizmu i jego zwalczania), rodzaj Uniwersytetu Ludowego. Dodanie części artystycznej było bardzo szczęśliwym pomysłem, gdyż „Dekady“ w ten sposób stały się naturalną propagandą i wzorem, jak dobrze i pożytecznie spędzać czas wolny. Przed „Dekadą“ czynna jest zawsze wypożyczalnia książek i w ten sposób wciąga się szersze masy do czytania, a więc i w sferę zainteresowań wyższych — kulturalnych. Taka metoda (jedna z wielu) walki z alkoholizmem wymaga dużego wysiłku i pracy, oraz czujności organizacyjnej, wymaga czasu, ale w wynikach swych jest niewątpliwie konstruktywna i wydajna. (Przyp. Red.).

WŚRÓD KSIĄŻEK.

Proletariat i kultura.

(Warunki społeczne i gospodarcze).

Książka p. t. „Proletariat i kultura“ D-ra Feliksa Grossa, Warszawa, 1938 r. Nakł. Zw. Zaw. Prac. Kol. ma być, jak zaznacza autor we wstępie, „obrazem tych zjawisk, które warunkują kultyuryzację warstw robotniczych“. Jest początkiem większej całości, która zajmie się na podstawie prowadzonych wspólnie przez autora obecnej pracy z prof. Zygmuntem Mysłakowskim badań, sprawą stopnia i rodzaju chłonności kulturalnej mas, nazywanych dla uproszczenia zbiorowym mianem proletariatu.

W pracy obecnej autor zajmuje się tylko warunkami, w jakich żyje proletariat. Są to warunki społeczne, gospodarcze, a częściowo i psycho-gospodarcze, w których kształtuje się rodzima kultura proletariatu, oświata robotnicza i dążności samokształceniowe.

Autor nie zajmuje się specjalnie sprawą alkoholizmu, jednak na każdej niemal stronie znajdujemy dowody, że alkoholizm istnieje i że jest groźną klęską społeczną. Krótkie zdania, rozsiane po całej pracy, np. „maltretowanie żony i dzieci zwyczajnie pod wpływem alkoholu są zdarzeniami życia codziennego proletariatu“, świadczą, że autor rozumie groźbę położenia i że środki zaradcze uwzględni, mówiąc o konieczności rozbudzenia w robotnikach zainteresowań, których im dotychczas brak i które są zaspakajane wyłącznie napojami alkoholowymi. Środki te widzi on we wstępowaniu robotników do organizacji politycznych, związków zawodowych, kulturalnych i oświatowych, zakładaniu świetlic, należeniu do stowarzyszeń sportowych.

Jako współczynniki gospodarcze kultury mas, autor rozpatruje

plące i budżety, czas pracy, warunki mieszkaniowe i osadnictwo robotnicze.

Omawiając sprawę płac, autor bardzo słusznie podaje budżety rodzin robotniczych, gdyż to jedynie pozwala na zorientowanie się, w jaki sposób robotnik zużywa zarobki i jakie potrzeby może on z tych zarobków zaspokoić.

Z zestawienia budżetów robotniczych w Polsce w latach 1927 i 1928 dowiadujemy się, że robotnik wydawał na alkohol i tytoń w roku 1927 — 4,1%, zaś w r. 1928 w grupie według rocznych wydatków na jednostkę konsumcyjną do zł. 599 — 2,2%, 600 — 899 zł. — 3%, 900 — 1199 zł. — 4,6%, 1200 i więcej — 6,3%, przeciętnie 4%. Cyfry te są zbyt nisko przyjęte i uwzględniają, naszym zdaniem, tylko alkohol bez tytoniu.

W budżetach domowych robotników bezrobotnych w Warszawie w r. 1932 znajdujemy, że przy wydatkach do 263 zł. na alkohol i tytoń przypada 1,6%, przy 264 — 359 zł. — 2,4%, przy 360 zł. i więcej 2,5%, przeciętnie 2,2%, t. j. prawie tyle, co komorne rodzin bezrobotnych, podane w tych samych budżetach. Cyfra tragiczna.

W części, poświęconej rodzinie proletarjackiej, autor omawia więź i autorytet rodziny, wzajemne stosunki ojca i matki, oraz ich stosunek do dzieci.

Mówiąc o życiu rodzinnem, które alkohol psuje i rozbija, autor czyni uwagę następującą: „Matka najczęściej nie ma silnych skłonności egocentrycznych. Nie słyszeliśmy nigdy o matce, przepijającej cały zarobek“. Matki odejmują sobie od ust, aby nakarmić głodne dzieci, są one u nich, z małymi wyjątkami, na pierwszym planie, łączy je z dziećmi stosunek głębokiego uczucia, który rzadko spotyka się u ojca w stosunku do dzieci.

W przeciwieństwie do chrześcijan „Żydzi ulegają mniej nałogowi alkoholizmu nawet w sferach robotniczych“, mówi autor. „Jest to niewątpliwie też wynikiem długiej i dawnej tradycji. Z natury rzeczy ludy Wschodu, powiedzmy lepiej — ludy o tradycjach i obyczajowości Orjentu mniej alkoholu konsumują, a może w sposób bardziej umiarkowany. Pijaństwo wśród Żydów jest zjawiskiem rzadkiem, mało spotykanem. Fakt ten przyczynia się niewątpliwie do uspokojenia stosunków wewnątrz rodziny, do złagodzenia tarć“.

We wspomnieniach robotników z lat dziecięcych alkohol zajmuje miejsce niepoślednie i zaważył głęboko na losach ofiar alkoholizmu ojcowskiego. Cytujemy tylko niektóre:

P. M. ślusarz, lat 26, z Piotrkowa, pisze: „Ojciec zaczynał wprawdzie robić, ale sławetna wódunia stała na pierwszym miejscu“. Nie chleb dla głodnych dzieci, ale wódka“.

J. J., pracownik szybowy, lat 32, kopalnia Dobrucowa p. Tarnowiec (Jasło): „Lecz alkohol, ten straszliwy wróg proletariatu, a który wziął mego ojca w swoją władzę, nie pozwalał mu nigdzie długo pozostać. Będąc w stanie nietrzeźwym, był brutalnym awanturnikiem, któremu niebezpiecznie było wówczas zastąpić drogę. Zarobek jego prawie całkowicie szedł na wódkę. Pożycie mych rodziców było, jak się to mówi, pod psem. Lecz wina w tym wypadku spada całkowicie na mego ojca, który przychodził prawie w każdy dzień późno w nocy pijany

i wyprawiał straszliwe awantury. Tłukł i niszczył, co wpadło mu do ręki. Drżeliśmy dosłownie ze strachu, gdy późno w nocy rozlegały się na schodach chwiejne kroki mego ojca. Będąc małym chłopcem, miałem taki wyrobiony słuch, że po odgłosie kroków poznawałem, w jakim stanie opilstwa znajduje się ojciec. W stanie trzeźwym był człowiekiem spokojnym i dobrym. Wieczory, w których ojciec przychodził do domu trzeźwy, były wielkim świętem dla nas. Lecz trzeźwość była u niego rzadkością“.

Ślusarz z Piotrkowa, lat 26, „Czy się rodziło dziecko, czy umierało, ojciec był zawsze pijany... Miałem wtedy lat 14, gdy matka przeszła strasznie ciężki poród. Ojciec w nocy wrócił schlany do domu... Jaki może być stosunek kobiety z mężczyzną, któremu z mordy śmierdzi gorzałka, a wstrętny odór czuć w promieniu trzech kilometrów... W tych warunkach życie z kobietą musiało dla mnie stracić urok“.

F. S., tkacz, lat 43, Mikuszowice, Białskie: „Ojciec przyszedł do domu. Flaszka wódki w jednej kieszeni, a książka robotna w drugiej. Podпиты (lubiał popić), no i pobity do krwi i bez grosza pieniędzy... Do ojców schodzili się różni ludzie na pogawędkę, naturalnie nie było bez wódki. Dawano też i mnie i innym dzieciom“.

B. M., stolarz, lat 25. „Do majstra mojego czułem wielką nienawiść czasami, bo chodził ciągle pijany... Nieraz byłem głodny, bo majster się upił, nie było go dwa, trzy dni w warsztacie... Myślałem sobie dlaczego ja, taki sam człowiek, muszę iść głodny spać, a on idzie na wódkę i przepija bardzo dużo pieniędzy“.

O. R. robotnik, Brzeźówka, pow. Jasło, robotnik: „Ojczym wlewa kieliszek wódki przed kolacją... W niedzielę przychodzili goście. Czasami w takich wypadkach wołano nas do stołu i dawano po kieliszku „Niech się uczą. Dobry pijak jest dobrym robotnikiem“, mawiało towarzystwo. Ambicją moją było nie zakrzusić się, chcębym miał pęknać, gdyż towarzystwo mówiło „mocny chłop z niego“. Rano każdego prawie dnia pił ojczym kieliszek z pieprzem na wzmocnienie. Przykładał wtedy kieliszek do ust i mocno machał głową t. j. płukał“. Dziecko oczywiście naśladuje.

Silne wrażenie sprawia rozdział, poświęcony warunkom mieszkaniowym. W jednej norze gnieździ się po parę rodzin, co czyni kilkanaście osób, na które przypada 2 lub 3 łóżka. Dziecko wyrosłe w tych strasznych warunkach nie może być zdrowe ani silne. W tym kierunku powinna iść przede wszystkim reforma społeczna.

Książka d-ra Grossa jest ciężkim oskarżeniem istniejącego obecnie porządku społecznego, dowodzi ona słusznie, że kultura jest przywilejem nielicznej garstki, która, utrzymując masy w nędzy, nie dopuszcza ich do korzystania ze zdobyczy już osiągniętych, lekceważy wkład, jaki masy te mogłyby wnieść do kultury ogólnej, a tem samym podkopuje trwałość istniejącego stanu rzeczy.

Dopiero następny tom pracy d-ra Grossa wskaże nam, jakie środki zaradcze proponuje autor i czy są one już obecnie możliwe do zastosowania z wynikiem dodatnim. Przykład Rosji sowieckiej dowodzi, że w wyciąganiu wniosków należy być niezmiernie ostrożnym.

Malwy na białym jedwabiu.

(Przeżycie w Chinach).

Gervais Albert, Warszawskie Wydawnictwa Współczesne, przekład Jerzego Martena.

Lekarze piszą ostatnio często i dobrze. W rozmaitych krajach rozmaicie podchodzą do wybranego tematu, silniej lub słabiej dźwięczy w ich wspomnieniach nuta społeczna, lub zawodowa. Albert Gervais jest lekarzem francuskim, delegowanym przez ministerjum w bliżej nieokreślonej misji do Tscentu, stolicy odległej prowincji Chin — Szetschuanu.

„Malwy na białym jedwabiu“, to wspomnienie romansu z uroczą *Tchnienie Kwiatu*, romansu, który byłby banalny, gdyby nie tło egzotyczne i ciekawe szczegóły, dotyczące życia mieszkańców Państwa Niebieskiego.

Autor niewiele opowiada o swoich pacjentach, rekrutujących się wyłącznie ze sfery zamożnej Tscentu. Daje jednak taki charakterystyczny obrazek: „Pan Yu jest typowym doskonałym okazem tęgiego rasowego Chińczyka. Życie jego jest nieprzerwanym łańcuchem dyskretnych przyjemności i wielkich uczt, których uczestnicy z reguły się upijają“. Lekarz leczy go na rozmaite dolegliwości, wynikające z furunkulozy, poczem bogaty Chińczyk bawi się i pije dalej.

Autor zapoznaje nas również z bardzo oryginalnymi zwyczajami towarzyskimi, obowiązującymi w Chinach. Bogaty Chińczyk zaprasza cudzoziemskiego lekarza na wieczrę. Przyjęcie odbędzie się u Francuza, jako najbardziej dostojnego gościa. Amfitrion przysyła zawczasu kucharza i służących celem przygotowania kolacji, składającej się z trzydziestu dań. Podczas uczyty wszyscy raczą się obficie winem ryżowym, które w Chinach kupuje się na funty. Jeden funt chiński wynosi około 650 gramów. Na ucztę zaproszeni są tylko mężczyźni, oprócz tego gospodarz sprowadza kilka kobiet lekkich obyczajów dla ożywienia zabawy. „Starają się one“, pisze autor, „jak się to należy, pobudzać gości do picia“. Po skończonej uczcie wszyscy zabawiają się grą towarzyską, w której panie zręczniejsze i mniej pijane od pozostałych gości, prawie bezustannie wygrywają.

Generał, jeden z uczestników przyjęcia, był tak pijany, opowiada autor, i dodaje, inaczej zachowanie jego nie dałoby się wytłomaczyć, że podał jednej z obecnych pań, gdy się skarżyła na upał, swój własny wachlarz. Istotnie, na taką uprzejmość względem kobiety może się zdobyć tylko człowiek zgoła niepoczytalny.

Podróże w Chinach, jak dowodzi opis, lądem i wodą, są bardzo utrudnione tam, gdzie nie ma dróg żelaznych, samochodów, lub parowców. Odbywa się je w lektykach, niesionych przez ludzi, bagaże również noszą kulisi, straż pełnią żołnierze, wynajęci prywatnie. Okolice są często nawiedzane przez bandytów, a żadnej straży bezpieczeństwa nie ma.

Stosunek autora do sfer pracujących jest życzliwy, przemawia tu raczej turysta, niż lekarz. Gdy mówi o kulisach, jest przejęty ciężką ludzką udręką, ich nieskończonym trudem i nędzą. Chińczycy ze sfer

uprzywilejowanych nazywają te odruchy niepoprawnem przeczułeniem cudzoziemców, „którzy przywiązują znaczenie do tak nieciekawych spraw“. Mogą się uspokoić, to przeczułeniem nie jest u cudzoziemców w ich własnym kraju ani częste, ani głębokie.

W książce Gervais znajdujemy trochę szczegółów o paleniu opjum. Do transportu lektyki i kufrów jednego Europejczyka potrzeba 85 kulisów, którzy do pracy przychodzą zziębnięci i senni, w przeddzień otrzymali drobny zadatek i przez całą noc palili. W ciągu dnia palą kilkakrotnie zależnie od tego, ile pozostało z zapłaty po zaspokojeniu pierwszego głodu. „Opjum jest drogie“, poucza nas autor, „400 sapeków za maleńką miseczkę, zawierającą zaledwie wystarczającą ilość narkotyku na zapchanie dziesięciu fajek“. Senność i zmęczenie ustępują po wypaleniu na krótki czas, a wieczorem pożądanie staje się nieznośne. Kulisom od czasu do czasu trzeba dać napiwek: „albo za 400 sapeków wieprzowego mięsa, wtedy są uszczęśliwieni lub daje im się wprost po 400 sapeków, za które sami kupują mięso, opjum lub alkohol, wówczas są jeszcze bardziej szczęśliwi“.

Panie z towarzystwa również palą opjum po nocach, w dzień wysypiają się i odpoczywają, dzięki czemu działanie narkotyku nie jest tak zgubne, jak u klasy pracującej.

Nie wiemy, kiedy książka Gervais była napisana, w każdym razie nie dotyczy czasów współczesnych. Obecnie sprzedaż lub kupno opjum karane jest w Chinach śmiercią. Prawodawcy chińscy nie mogli znaleźć innych dość skutecznych środków do zwalczania tego strasznego nałogu, który powoduje zwyrodnienie ludności w Państwie Żółtego Smoka.

Marja Sokalówna.

ALKOHOLIZM I DZIECKO.

(Referat wygłoszony na Pierwszym Ogólnopolskim Kongresie Dziecka w Warszawie, dn. 4.X. 38).

Jedną z głównych przyczyn niedoli dzieci jest alkoholizm.

Związek pomiędzy tą wielką klęską społeczną, a dzieckiem jest wielostronny i bardzo głęboki.

Aby trafnie ustosunkować się do omawianego zagadnienia i wyciągnąć należyte wnioski, trzeba ustalić główne momenty oddziaływania alkoholizmu na niedolę dziecka. Oto one:

I. Środowisko alkoholików, rodziny zalkoholizowane, to siedliska i źródła wielkiej nędzy materialnej i najniższego upadku moralnego. W takich środowiskach panują niepodzielnie: rozwiązłość, przestępczość, włóczęgostwo, żebractwo, gruźlica, choroby weneryczne i najgorszy przykład. Dzieci od najwcześniejszych dni widzą wciąż przykłady ohydneho postępowania starszych, poniewieranie i bicie matki, same one również są poniewierane i bite, zmuszane do żebrania, kradzieży, dziewczyny do prostytucji.

W takich warunkach wyrastają jednostki aspołeczne, przestępcze, wrogie dla ustroju społecznego, tworzące później liczne zastępy najgorszego proletariatu.

II. Alkoholizm rodziców (obojga lub jednego z nich — najczęściej ojca), bywa przyczyną przychodzenia na świat potomstwa zwyrodniałego, zapewniającego następnie szkoły specjalne, domy poprawcze, więzienia, wreszcie szpitale psychiatryczne, tworząc nie tylko całe masy ludzi niezdolnych do pracy produktywnej, ale przeciwnie, wymagających roztaczania nad nimi stałej i kosztownej opieki.

III. Pomijając skrajne formy alkoholizmu i ich skutki na życie dziecka, poruszone w dwu pierwszych punktach, należy zaznaczyć, że panujący wszechwładnie obyczaj używania napojów alkoholowych przez ogół dorosłych, przedstawia dla dzieci w ogólnej ich masie największe niebezpieczeństwo.

Powszechność obyczaju alkoholowego w życiu rodzinnem stanowi o wielkości i sile tego niebezpieczeństwa.

Liczne statystyki szkolne w Polsce przedwojennej i niepodległej, dotyczące sprawy używania przez dzieci szkolne napojów alkoholowych, wskazywały i wskazują niezmiennie na fakt, że większość tych dzieci rzadziej lub częściej używa napojów alkoholowych; i tak według badania p. d-ra Jarosława Neczaj-Hruzewicza, Dyrektora Państwowego Zakładu Leczniczego dla alkoholików i narkomanów „Świack“: w Łodzi na ogólną liczbę 52.399 dzieci zbadanych, używało napojów alkoholow. 85,2%, w tem pije *stale* 1,165 — 2,6%, częściej niż raz na tydzień 3.609 — 8,1%, raz na tydzień 10.633 — 23,8%, pijących czasem 29.215 — 65,5% i niepijących wcale 7.777 — 14,8%. Ogólne liczby tej statystyki, przeprowadzonej na zlecenie Ministerjum Opieki Społecznej, dały następujące wyniki: w 108 powiatach, z których otrzymano odpowiedzi, 258.629 dzieci szkolnych w wieku 7 do 14 lat używa napojów alkoholowych sporadycznie, 9.746 pije nałogowo, oprócz tego eteru używa sporadycznie 4.683 dzieci i nałogowo 215. Autor, podając powyższe dane, pisze: „groźna wymowa liczb, obrazująca klęskę społeczną alkoholizmu dziecięcego, domaga się środków zaradczych, metod postępowania, któreby należało zastosować, zwalczając to zjawisko „Trzeźwość“ Nr. 1-3 i 6 z r. 1937).

Należy zaznaczyć, że w całym bardzo skomplikowanym zagadnieniu alkoholizmu, sprawa alkoholizmu wśród dzieci została u nas najlepiej i najgruntowniej zbadana i opracowana. Jeszcze jedno dodać trzeba: stosunki u nas w tej dziedzinie bynajmniej nie są gorsze, niż zagranicą w tych państwach, w których klęska alkoholizmu dotychczas nie została bodaj częściowo opanowana.

Zjawisko alkoholizmu wśród dzieci w wieku szkolnym jest odbiciem, kopją wierną alkoholizmu pokolenia starszego. Dzieci robią to i dążą do tego, co robią i uważają za dobre i pożądane starsi. Przykład starszych, a czasem zachęta lub nawet przymus — to główny, niemal wyłączny powód alkoholizmu wśród dzieci. Chęć naśladownictwa i przyswajania sobie cech ludzi dorosłych grają tu też niemałą rolę.

Skutki alkoholizmu dzieci, zaczynającego się niejednokrotnie w chwili poczęcia lub podczas ciąży matki, są w najwyższym stopniu szkodliwe, często wprost katastrofalne, gdyż alkoholizm wpływa ujemnie:

- 1) na rozwój fizyczny dziecka, zwłaszcza na jego układ nerwowy;

- 2) na rozwój psychiczny i kształtowanie się charakteru;
- 3) na zdolność skupiania uwagi, zapamiętywania, a więc i na zdolność do nauki;
- 4) w okresie pokwitania na rozwój instynktu seksualnego, zagrażając jego normalności i będąc jedną z najczęstszych przyczyn zarażenia chorobą weneryczną.

Środowisko, otoczenie, rodzina, szkoła ponoszą za alkoholizację dzieci i młodzieży wielką odpowiedzialność. Walka z tą klęską jest tem trudniejsza, że w oczach ogromnej większości ludzi używanie napojów alkoholowych, byle umiarkowane, nie przedstawia żadnego niebezpieczeństwa, nie jest czemś ujemnem, przeciwnie uchodzi za rzecz dobrą, przyjemną, pożądaną, poszukiwaną, jest symbolem uroczystości, świąt, zdrowia, tężyzny, radości..., godnym zabiegów, starań, wydatków... Dzieci wszystko to obserwują, nic więc dziwnego, że prędzej czy później idą w ślady starszych.

Z powyższych częściowo względów walka z alkoholizmem nie cieszy się uznaniem ogółu, stąd pochodzi niezmierna trudność jej propagowania i prowadzenia — sprzeciwia się ona tak ogromnej potędze, jak obyczaj powszechny i jego tradycja.

Jeżeli jednak chodzi o istotną poprawę losu dzieci, to musimy przyjść do wniosku, że jedną z głównych dróg, prowadzących do tej poprawy, jest usunięcie zwyczajów alkoholowych ze środowisk rodzinnych.

Wszyscy rozumieją, jak niebezpieczne są: gruźlica, tyfus, choroby weneryczne, jaglica i t. p. klęski społeczne, ale mało kto godzi się, że trucizna alkoholowa jest również zawsze niebezpieczna, że *trochę alkoholu*, to jest to samo, co *trochę gruźlicy*, lub *trochę wenerji*. Tak logicznie ludzie nie chcą rozumować i stąd tragiczne zjawisko alkoholizmu wśród dzieci, który niszczy same elementy podstaw dobrego wychowania. Dlatego walka z alkoholizmem jest walką o samo istnienie dziecka, gdyż alkoholizm pozbawia niejednokrotnie dzieci dobrobytu, mieszkania, ubrania, pożywienia, odpoczynku, spokoju i zdrowej atmosfery rodzinnej. A gdy zgodnie ze słowami prof. Dobrowolskiego uznamy, że „człowiek jest najwyższą wartością w Polsce“ i, że zgodnie ze zdaniem p. radcy Babickiego: „alkoholizm jest jednym z generalnych zagadnień rodziny“ — musimy dojść do przekonania, że walka z alkoholizmem wśród dzieci jest niezbędna.

Jan Szymański.

S Ł O Ń C E.

(Dalszy ciąg artykułu o astronomji).

Słońce jest kulą o średnicy wynoszącej około 1.400.000 km., obracającą się naokoło swej osi, podobnie jak każda bryła niebieska. Nie ma na świecie ani jednej gwiazdy czy planety, któraby się nie obracała, prawo ruchu jest bowiem jednym z zasadniczych praw Wszechświata.

W porównaniu do kuli ziemskiej, słońce jest około milion razy większe. Porównując średnice obu kul, wyobraźmy sobie, że ziemia jest tak wielka, jak małe koło automobilowe, a słońce, jak wieża kościoła Zbawiciela w Warszawie.

Słońce odpowiada wielkością innym gwiazdom średniego typu.

Nasza gwiazda dzienna, czyli słońce, wysyła w przestrzeń najrozmaitsze rodzaje promieniowania, między innymi promienie świetlne i cieplne. Zastanówmy się teraz nad tym, gdzie leży źródło promieniowania w słońcu. Czy jest tam może nagromadzony zapas jakiegoś paliwa, czy płonie węgiel, ropa naftowa, czy też może mamy do czynienia z rozpalonym do białości żelazem lub innymi metalami? Jeżeli mówimy o rozżarzonym metalu, to w takim razie, gdzie leży jakiś palący się węgiel, czy co innego, co by przyczyniło się do żarzenia metalu?

A może jest jakaś zupełnie inna przyczyna promieniowania słonecznego?

Bo przecież jeżeliby istniało na słońcu jakiegokolwiek paliwo, to zużyłoby się zupełnie w ciągu paru tysięcy lat, przemieniając się w popiół; słońce przestałoby promieniować. A tymczasem wiemy o tym dobrze, że więcej niż od setek milionów lat słońce wysyła ku nam światło i ciepło, czego dowodem są rośliny i zwierzęta przedpotopowe, których ślady w formie odcisków na skamielinach odnajdujemy w wykopaliskach.

Tłumaczenie, jakoby energia promienista słońca czerpała swe źródło w „gwiazdach spadających“, które bombardują słońce, jest nie do przyjęcia; ilość promieniowania stąd pochodząca, wystarczyłaby bowiem zaledwie na okres około 100 lat. Także i kurczenie się słońca, które miałyby wyzwalać energję przez spadanie w kierunku wnętrza warstw zewnętrznych słońca, nie mogłoby nam wytłumaczyć trwania promieniowania dłużej niż przez 50 milionów lat.

Słońce zaś wysyła według obliczeń, od paru biljonów lat światło i ciepło.

Więc skąd się to wszystko bierze? Gdzie i w czym leży przyczyna?

Otóż według najnowszych zapatrywań źródło promieniowania słonecznego leży w procesach, którym podlegają atomy, wchodzące jako cegiełki budulcowe w skład wszelakiej materji Wszechświata.

Co się w tych malusieńkich atomach dzieje, trudno odpowiedzieć. W każdym razie jeżelibyśmy zjawiska odbywające się na słońcu chcieli dla porównania przenieść na naszą ziemię, to znaleźlibyśmy pewne wytłumaczenie, obserwując procesy dziejące się w atomach pierwiastków promieniotwórczych np. radu czy uranu. Okaze się wtedy, że atomy takich pierwiastków (właściwie można powiedzieć, że dotyczy to w małym stopniu wszystkich pierwiastków), wydzielają z siebie różnego rodzaju promienie np. „alfa“, będące dodatnio naładowanymi cząstkami, biegnącymi z chyżością około 20.000 km. na sekundę; „beta“, które są ujemnie naładowanymi elektronami pędzącymi z szybkością 300.000 km. w sekundzie; wreszcie promienie „gamma“, należące do dziedziny promieniowania niewidzialnego o niezmiernie małej długości fali; są one sto tysięcy razy krótsze od fal światła widzialnego. Po ukończonym procesie promieniowania, następującego samorzutnie i trwającego przez długi okres czasu, z niezmiernie czynnego atomu uranu powstaje

atom zupełnie innego pierwiastka, mianowicie ołowiu, któremu w porównaniu z uranem moglibyśmy dać obraźliwe przezwisko niemrawego leniucha.

Pięknem i bogatym było życie atomu uranu. Sypał hojnie w lewo i prawo różnymi promieniami, może nawet zbyt rozrzutnie. Każdy następny dzień promieniowania zbliżał go jednak do śmierci. Starzał się, tracił na wadze, jak człowiek u zmierzchu życia. Wreszcie ostatni błysk i... koniec wspaniałego istnienia. Śmierć atomu. To, co zostało, co urodziło się, w innej zgoła postaci, ochrzczono nazwą ołowiu.

Mówiliśmy przed chwilą, że uran tracił na wadze. W języku naukowym powiedzielibyśmy inaczej, bardziej fachowo. Określilibyśmy to jako utratę masy. Bo każdy atom, promieniując, naprawdę traci masę, poprostu każde promieniowanie powoduje utratę masy ciała promieniującego.

Tak też jest i na słońcu oraz na każdej gwiazdzie świata.

Słońce, promieniując, traci masę. Gwiazdy, promieniując, tracą masę; Wszechświat cały, promieniując... traci masę. Jest coraz lżejszy...

A może to, co się dzieje w gwiazdach, jako jednostkach, a nawet w zbiorowisku, nie dotyczy Wszechświata?

Może się mylimy?

A może mamy rację?

Zresztą odpowiedzi nie znajdziemy nigdy, bo Wszechświat jest przecież dla nas pod każdym względem nieosiągalny i niepojęty, nawet dla najbardziej śmiałej i zuchwałej wyobraźni.

Pewnym jest jednak, że słońce traci masę i to w olbrzymich ilościach. Na dobę, wyobraźmy sobie, na każdą dobę 360 miliardów ton, na całą swą ogromną powierzchnię. A na sekundę 40 milionów ton. Gdybyśmy tę stratę przeliczyli na 1 cm.² powierzchni słońca, to otrzymamy $\frac{1}{5}$ grama na 100 lat.

Kula ziemską traci z tej samej przyczyny również masę. Utrata masy ziemi jest jednak bez porównania mniejsza, wynosi bowiem 40 kg. dziennie, czyli w ciągu roku około 15 ton.

Dawniej przed kilku bilionami lat, gdy młode słońce miało conajmniej dwukrotnie większą masę, energia promieniowania była conajmniej 8-krotnie większa; bo w świecie to jest tak: im gwiazda jest młodsza i cięższa, tym intensywniej, tem hojniej promieniuje światło i ciepło. Potem, gdy dojdzie do wieku dojrzałego, gdy nabierze doświadczenia, staje się bardziej wyrachowana i promieniuje tylko tyle, na ile ją stać. Oczywiście są to alegorje, które przytaczam wyłącznie po to, aby czytelnikowi utrwalić w pamięci zjawisko zmiany natężenia promieniowań gwiazd w zależności od wieku i masy.

Dzięki promieniowaniu słońca może się na ziemi rozwijać życie, które bez promieniowania byłoby nie do pomyślenia.

Procesy przetwarzania, czy też unicestwiania się atomów na słońcu, będące źródłem wszelkiego pochodzącego stąd promieniowania idącego ku planetom, odbywają się dzięki bardzo wysokim temperaturom panującym w bryle słonecznej. O ile temperatura powierzchniowa słońca wynosi zaledwie około 6.000 stopni Celsjusza, to we wnętrzu słońca panują temperatury tak wysokie, że aż uwierzyć trudno.

Czy dacie wiarę, że wewnętrzne warstwy słońca posiadają żar straszliwy, obliczany na dziesiątki milionów stopni?

Człowiek nie może wytrzymać gorąca kilkudziesięciu stopni, zarodniki bakteryjne czują się bardzo niepewnie w temperaturze stu kilkudziesięciu stopni. W temperaturze zaś 2 do 3 tysięcy stopni wszystko, co nas otacza na ziemi, przedstawiałoby się jako rozpalony do białości płyn. A cóż dopiero 6.000° C. na powierzchni słońca?

No, a te miliony stopni we wnętrzu... Aż strach pomyśleć!

Nie dziwny się, że słońce choć jest od nas oddalone o 150 milionów kilometrów, parzy nas potężnie, gdy promienie jego padają prostopadle. I w oczy wściekle razi, a nawet oslepia, co niejeden wzrokiem przypłacił. Nie trzeba daleko szukać.

Sławny astronom XVII wieku, Galileusz, wynalazca lunety, oslepił, przypisując to wpatrywaniu się w blask słońca nieochronionymi oczyma.

Słońce można bowiem obserwować wyłącznie przez zakopcone lub barwne szkła.

Gdy spojrzymy przez ciemne szkła lunety na słońce, to ujrzymy bardzo charakterystyczne szczegóły na jego powierzchni. Będą to ciemne plamy na jasnym, rozżarzonej tle. Te plamy posiadają różną wielkość, czasem grubo ponad 100.000 km. średnicy. Na podstawie obserwacji plam można było ustalić, że obrót słońca dookoła osi wynosi około 26 dni.

Na brzegu słońca widać czasem ciekawe zjawiska t. zw. protuberancj; są to gwałtowne wybuchy gazowej materji słońca na zewnątrz, sięgające nieraz wysokości setek tysięcy kilometrów.

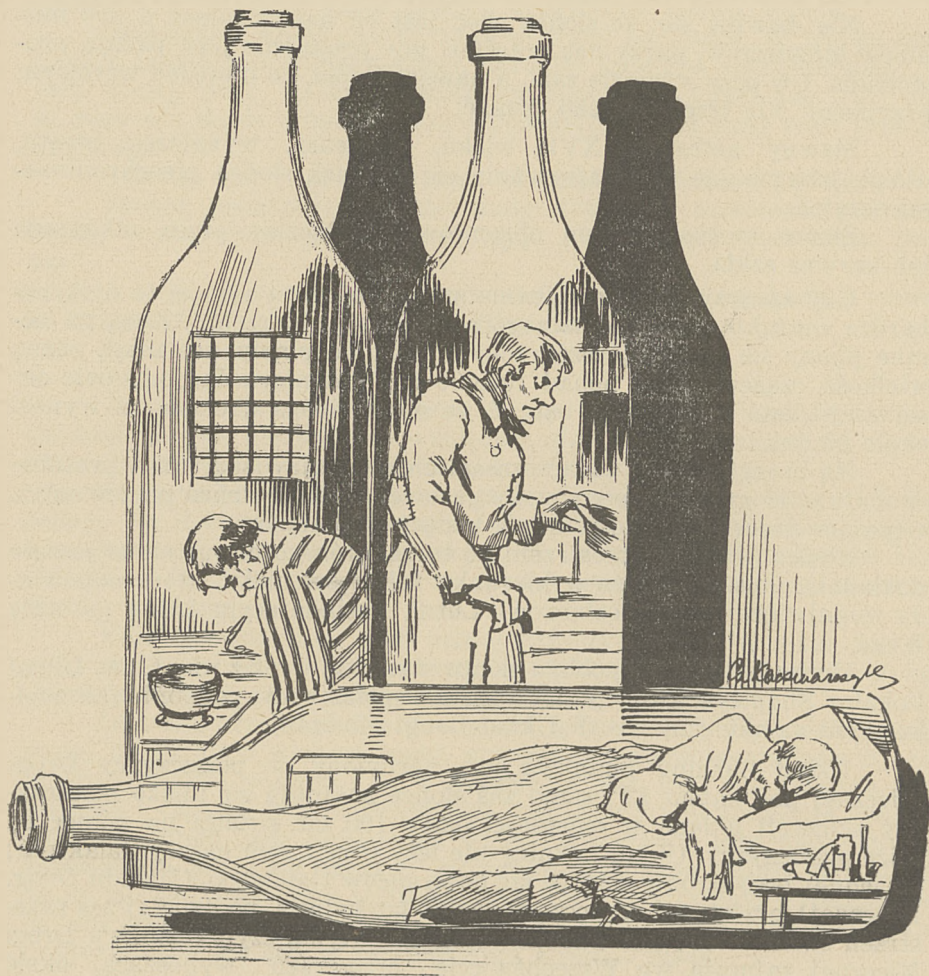
Słońce krąży w przestrzeni po torze, którego nie ustalono jeszcze dokładnie, pozatem zdąża w kierunku tej części nieba, która odpowiada mniej więcej gwiazdozbiorowi Lutni, posiadającym jasną gwiazdę Węgę.

Gwiazdy leżące w pobliżu słońca stanowią wraz z nim t. zw. Układ Lokalny Shapleya, który posiada kształt spłaszczony, podobnie jak wielki układ galaktyczny (czyli Układ Drogi Mlecznej).

Układ Lokalny Shapleya jest nachylony do płaszczyzny Drogi Mlecznej pod kątem 12°, samo zaś słońce znajduje się blisko płaszczyzny symetrii układu w odległości około 100 lat światła na północ od tejże płaszczyzny. Układ Lokalny nie leży w centrum naszej Galaktyki; po jednej jego stronie ciągnie się do krańców Galaktyki (Układu Drogi Mlecznej) przestrzeń wynosząca 25.000 lat światła, po drugiej zaś przestrzeń około 75.000 km. światła. Cała Galaktyka, czyli rozmiary Drogi Mlecznej zajmują we Wszechświecie przestrzeń wynoszącą około 100.000 lat światła.

Dr. Piotr Radło.

Czesław Kaczmarczyk.



Butelki wróż.

OBRAZKI Z ŻYCIA.

I.

Jechałem na parowozie pociągu pośpiesznego, w celu przeprowadzenia kontroli sygnałów i służby wykonawczej na stacjach.

Noc była ciemna, pochmurna. Szybkość pociągu wynosiła 100 klm. na godzinę.

Przed każdym sygnałem znajdującym się na linii pomocnik maszynisty odwracał się w stronę maszynisty i głośno mówił: „mechaniku, sygnał otwarty“, lub: „mechaniku, sygnał zamknięty“ — w zależności od położenia sygnału.

„Dobrze“, odpowiadał maszynista i odpowiednio regulował bieg pociągu.

Jeżeli przy którymś sygnale pomocnik zagapił się i w porę nie zawiadomił maszynisty o położeniu sygnału, to maszynista sam głośno zapytywał: „Jak tam sygnał?“, chociaż dokładnie widział położenie sygnału.

Jest to bardzo dobre przyzwyczajenie drużyn parowozowych, wzajemnej kontroli położenia sygnałów, aby nie było żadnych omyłek, czy wątpliwości. Od tego przecież zależy bezpieczeństwo ruchu pociągów.

Dojeżdżając do pewnej stacji, z daleka zauważyłem na głównym sygnale — na semaforze światło koloru czerwonego, t. j. sygnał „stój“.

„Mechaniku, semafor zamknięty!“ — krzyknął pomocnik maszynisty. „Dobrze“, odpowiedział głośno maszynista i wychylił się przez okno, aby lepiej obserwować sygnały i tor.

Zwróciłem uwagę, że maszynista nie zmniejsza szybkości i pociąg pędzi z szybkością 100 klm. na godzinę.

Lubię szybką jazdę i pewność siebie obsługi parowozu.

Po kawalersku jedzie, myślę sobie, i pewny jest hamulców, mając na myśli, że przed sygnałem „stój“ pociąg obowiązkowo będzie zatrzymany. Lecz co to, mijamy semafor ustawiony na „stój“. Tylko mięknęło światło czerwone.

„Mój Boże, zamknięty sygnał przejeżdżamy!“, przeraźliwym głosem począł krzyczeć pomocnik maszynisty.

Mocno potrącam w plecy maszynistę, regulator przekładam w położenie zamykające dopływ pary do cylindrów i również krzyczę: „zamknięty semafor“.

Wówczas maszynista raptownie odwrócił się, chwycił rączkę hamulca samoczynnego, raptownie przekręcił w położenie: „nagle hamowanie“, dał kontr-parę. Zazgrzytały okropnie hamulce, wstrząsnęło gwałtownie całym pociągiem w kierunku podłużnym i poprzecznym i pociąg zatrzymał się, jednak nie przed sygnałem „stój“, a po przejechaniu poza ten sygnał około 300 metrów.

Na szczęście żadnych przeszkód na torze nie było.

Chwała Bogu!

„Dlaczego nie uprzedziliście mnie, że sygnał zamknięty?“ Błady i cały drżący z przerażenia począł krzyczeć maszynista.

Właśnie, odpowiadam, uprzedziliśmy obaj Pana, a Pan odpowiedział: „Dobrze“, i nie spuszczał wzroku z sygnału. Więc dlaczego Pan przed sygnałem nie zatrzymał pociągu? Patrzył na nas maszynista błędnym wzrokiem i zdawało się, że nie rozumie nas.

„Nie wiem, nie wiem, co się ze mną dzieje“, powtarzał maszynista, trąc mocno skronie“. Przecież jestem całkiem przytomny“.

Poczułem zapach alkoholu, wydobywający się z ust maszynisty.

„Mechaniku, ależ Pan wódkę pił?“, zapytałem.

„Nie, nie piłem dużo, tylko od czasu do czasu łyknąłem z manierki. Zimno jest, więc żona napełniła manierkę nalewką — na rozgrzewkę“.

Nie wytrzymałem, chwyciłem manierkę i wyrzuciłem przez okno. „Czy pan zwarzował, czy Pan, doświadczony, poważny maszynista nie rozumie, że najmniejsza dawka alkoholu powoduje zamroczenie umysłu i nierozpoznawanie sygnałów i że cudem tylko my i pasażerowie w pociągu uniknęliśmy śmierci?“ powiedziałem, zwracając się do maszynisty.

Brzydę się Panem! Zdrajcą pan jest! Zdradził pan zaufanie swych władz, swych przełożonych i Bogu ducha winnych pasażerów, którzy panu zaufali.

Biedny maszynista słuchał tych wymówek bardzo przygnębiony. „Tak mi się i należy“, wyszeptał po dłuższej chwili maszynista. „Zdrajcą jestem, zdrajcą“, powtarzał kilkakrotnie.

Dojechaliśmy szczęśliwie. W drodze powrotnej maszynista już nie prowadził pociągu. Zachorował. Sześć tygodni przeleżał w szpitalu od wstrząsu powstałego wskutek przeżyć tego wypadku.

Gdy go odwiedziłem, płakał i prosił o przebaczenie.

Po wyzdrowieniu zaprosił mnie do kościoła, gdzie wspólnie z żoną złożyli przysięgę, że już nigdy w życiu nie wezmą do ust alkoholu.

II.

Miesiąc maj ma u nas w Polsce szczególny urok: wiosna w całej swej krasie, drzewa i krzewy pokryte liśćmi, — wszędzie kwiaty, dużo kwiatów barwnych, pachnących; dnie długie, ciepłe.

Raduje się dusza cudowną pięknnością barw i bajeczną wonią, zwłaszcza w sadach i lasach. Nadziwić się człowiek nie może, jaki piękny świat.

To też kto może, w tym miesiącu wyjeżdża w góry, na letniska, lub wprost do lasu na majówkę, albo do znajomych, do sadu posiedzieć kilka godzin i upajać się zapachem kwitnących: wiśni, czereśni, jabłoni, czeremchy i wszelkiego rodzaju kwiatów ogrodowych.

Zawiadowca pewnej stacji poważny, stateczny człowiek, nie pijak, lecz z pobłażaniem patrzący na abstynentów, nie mógł nigdzie w tym miesiącu wyjechać. Ucieszył się przeto, gdy pewnej niedzieli majowej chłopak - posłaniec od właściciela folwarku, znajdującego się pod miastem nad rzeką w odległości dwóch kilometrów od stacji, przyniósł kartkę, następującej treści: „Kochany Panie Naczelniku, prosimy przyjechać zaraz do nas, posiedzimy na werandzie przy kwitnących drze-

wach i pogramy w preferka. Trzech partnerów już jest. Fłaszka starej śliwownicy również znajdzie się“.

Pośpieszył zawiadowca na wezwanie z radością. W miłym towarzystwie przy preferku, popijając śliwownicę, spędził czas wesoło i bez trosko.

*

*

*

Gdy zaczęto dzwonić w pobliskim kościele, gospodarz wstał i powiedział: „moi kochani, grajcie i bawcie się dalej, mnie zastąpi siostrzeniec, a ja muszę pójść do kościoła na Majowe Nabożeństwo. Po skończonem nabożeństwie zaraz powrócę“.

„Jakto, a my, to heretycy, czy co — powiedział jeden z gości.— Przerwiemy preferka, pójdziemy wszyscy na Majowe Nabożeństwo, a po powrocie skończymy“.

Poszli.

Nabożeństwo już się zaczęło. Usiedli nasi znajomi w ławkach i zaczęli się modlić.

Wielkie wrażenie robi Majowe Nabożeństwo. Cudowne pienia, tony organów, zapach kwiatów, w które był upiękuszony kościół wprowadził obecnych w odpowiedni nastrój skupienia i pobożności.

Gorąco i śliwowica zrobiły jednak swoje.

Zdrzemnął się nasz zawiadowca, czując ciężar i szum w głowie.

Gdy lud w kościele zaczął głośno śpiewać, ocknął się z drzemki zawiadowca i, nie orjentując się, gdzie się znajduje i co się dookoła dzieje, jak można najgłośniej zaśpiewał: „góralu czy ci nie żal, góralu wracaj do ha“.

Konsternacja w kościele powstała okropna. Zawiadowcę wyprawdzono z kościoła...

Wyjechał z tej miejscowości i już więcej tam nie powrócił. Przeniesiony został na podrzędne stanowisko.

Dobry urzędnik, dobry katolik, a pod wpływem działania alkoholu nieświadomie, nie uszanował nawet miejsca świętego.

Przeboleł ten wypadek, lecz od tego czasu został gorliwym i zupełnym abstynentem.

III.

Na uroczystość imieninową pewnego maszynisty parowozowego przybyło dużo gości. Byli i koledzy, i krewni, i zwierzchnicy.

Względnie młody maszynista-technik miał bardzo dobrą opinię; sumienny, gorliwy pracownik, bardzo biegły w arkanach wiedzy fachowej, dobry kolega i przykładny mąż i ojciec, a i dość zamożny człowiek.

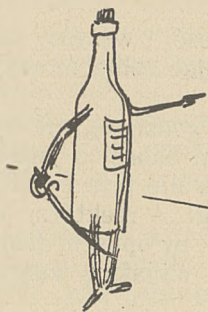
Przyjęcie było wystawne, z wielką ilością win i wódek różnych gatunków.

Po pewnym czasie wszyscy byli w „różowych humorach“, nieco podchmieleni, tylko usposobienie gospodarza i kilku „zdeklarowanych“ abstynentów pozostało bez zmiany.

„Nas tu oszukują“, głośno zauważył jeden z gości. „Patrzcie, go-

Eryk Lipiński. — Alkohol i śmierć.





en 37

spodarcz pije wodę z sokiem, zamiast wódki, stwierdziłem tę mistyfikację w jego kieliszku.

„Gdzie, jak, co?“, zakrzyknęła większość, i wszyscy zaczęli próbować płyn z kieliszka gospodarza, wrywając sobie nawzajem kieliszek z rąk.

E, tak nie można gości oszukiwać, nie godzi się, nie wypada; co to gospodarz chciał nas upoić. Myśli, że nam chodzi o jego przyjęcie. Przecież nie jest abstynentem, więc dlaczego nie pije i nas oszukuje?

Takie i temu podobne posypały się uwagi. A niektórzy obrazili się na dobre i szukali swych płaszczy i kapeluszy, by opuścić dom gościnny.

„Moi mili, kochani goście, pozwólcie, a wyjaśnię wam całą sprawę“, powiedział gospodarz.

„Nie miałem odwagi i śmiałości zmieniać obyczaje i urządzić przyjęcie bez napoi alkoholowych. Bałem się, że posądzicie mnie o skąpstwo. Zresztą uważałem, że trochę humoru, choć sztucznego, nie zaszkodzi, a przytem, chciałem koniecznie wszystkich was widzieć u siebie.

Nie wiem czybyście wszyscy przyszli, gdyby było przyjęcie bez alkoholu. Ja, choć i należę do antyalkoholików, ale tylko do tych umiarkowanych — współdziałających i czasem kieliszek wina lub szklanek piwa wypiję, ale dziś, daruję, nie mogę wcale pić alkoholu, a to dlatego, że jutro o godz. 6-tej rano mam prowadzić pociąg pośpieszny. — Na mojej przytomności, na mojem sumieniu będzie życie setek pasażerów, którzy mi zaufają, więc nie mogę zdradzić tego zaufania, muszę być całkiem przytomny i w zgodzie z sumieniem“.

„Ale prześpisz się i będziesz przytomny“, odpowiedział jeden z kolegów.

„Nie. Przesłuchałem kurs Alkoholologii, urządzony przez Abstynentką Ligę Kolejowców, przeczytałem dużo ciekawej literatury ze Składnicy Tow. „Trzeźwość“, i wiem napewno, że nawet najmniejsze dawki spożytego alkoholu działają na organizm 24 do 48 godzin, powodując osłabienie lub zupełne znieczulenie zdolności zmysłów: wzroku i słuchu i chwilowe zamroczenie świadomości. — Dlatego dziś nic nie mogę pić“.

„Ma rację, niech żyje gospodarz, niech żyje zawsze przytomny maszynista!“ krzyknęło kilku gości, również maszynistów.

„Aby na przyszłość uchronić się od niesłusznego posądzania mnie, że oszukuję swoich gości, lub pozwalam sobie na drwiny, powiedział następnie gospodarz, oświadczam uroczyście, że od dziś zapisuję się do Abstynentkiej Ligi Kolejowców jako członek czynny, a znaczek tej organizacji, okrągły niebieski, ze skrzydełkami złotymi, uchroni mnie od potrzeby tłumaczenia się, dlaczego nie piję alkoholu, a będzie to napewno korzystne dla mnie i z pożytkiem dla służby“.

IV.

Wniedzielę dnia 30 kwietnia 1939 r. w osadzie „Jedlnia“, miejscowości letniskowej pod Radomiem, odbyła się bardzo miła uroczystość: „Święto Lasu“, zorganizowana przez Dyрекcję Lasów Państwowych w Radomiu dla dziatwy szkół powszechnych.

Specjalnym pociągiem przyjechało z Radomia kilkaset dzieci z personelem nauczycielskim.

Pogoda była wspaniała — ciepło, słonecznie. Wszyscy przybyli na uroczystość, oraz miejscowa ludność, wysłuchali polowej Mszy świętej, a następnie udali się do pobliskiego pięknego lasu państwowego.

Tu urządzono: prowizoryczną mównicę, z której wygłoszono do dzieci okolicznościowe przemówienie, ławki do siedzenia, prowizoryczny bufet, gdzie dziatwa mogła się posilić kanapkami, ciastkami, herbatą, lodami.

Przygrywała orkiestra wojskowa z Radomia. Dzieci były rozbawione, zachwycone, bawiły się doskonale, i zażywały świeżego powietrza i swobody, pod bacznym okiem personelu nauczycielskiego.

Co za radość wyrwać się z dusznego miasta do lasu. Któż z to dziecko miejskie tego nie pragnie?

Na długo w pamięci dzieci pozostanie ten dzień spędzony w lesie. W tymże dniu parafia Jedlni obchodziła doroczne święto Św. Józefa Oblubieńca N. M. P. — odpust, to też zjazd ludności wiejskiej był ogromny.

Przy kościele, jak to podczas odpustu, dużo kramików, ze słodyczami, paciorkami, książeczkami, obrazkami, różne loterje tanie, na cukierki i t. p. i aż dwie karuzele.

Wszystko to dzieci widziały i zachwycały się wystawionymi przedmiotami, a nie jedno chciałoby przejechać się na karuzeli.

Oczywiście, na dźwięki orkiestry cała ludność z odpustu poszła do lasu, przypatrywała się zabawom dzieci i sama przyjmowała w nich udział.

Na zabawie leśnicy utrzymywali wzorowy porządek. Nieco dalej w lesie można było zobaczyć i sceny gorszące:

Młodzież wiejska w większości była podchmielona, a niektórzy i kompletnie pijani. Były i zaczepiania kobiet i małych dziewczynek, roznegliżowania się do nieprzyzwoitości, i wyrażenia wulgarne, i dziewczęta podpite, prawdopodobnie specjalnie przybyłe, by tu polować na mężczyzn. Do czasu zakończenia zabawy wszystko to jeszcze mitygowało się, krępując się może bliskością zabawy dzieci, a może i czując respekt przed strażą leśników i przed bacznym okiem policjantów.

Po zakończeniu zabawy i po wyjeździe dzieci i orkiestry, wszyscy poszli przed kościół do kramików i do karuzeli.

Tu właśnie rozpoczęły się orgje. Większość młodzieży wiejskiej była podpita lub pijana.

Każdy przybyły, jak mnie poinformowano, na odpust, przyjeżdża z gotówką uzbieraną może pokryjomu od rodziców, w ciągu długich miesięcy ciężkiej pracy, albo zdobytą ze sprzedaży skradzionych u matki jaj i kur, lub innych domowych przedmiotów.

Czasem, taki młodzian, niema co w domu jeść, ale na odpuście musi mieć gotówkę, popisywać się nią, wszystko stracić — przepić, musi upić się, aby potem nie wytykano palcami, że był na odpuście i nawet nie był pijany.

Szczytem zaś zuchwałości, buńczuczności, a więc powagi i honoru wśród swoich we wsi, jest mieć później twarz pobitą, posiniaczoną, podrapaną i przespać się w areszcie policyjnym.

To też policja tu miała pracowity dzień: podpita panna, przyzwyczajona ubrana, bierze pod ramię służbowego policjanta i koniecznie chce tak z nim spacerować, ledwo mógł nieborak od niej się odczepić; pijany ogromny drab rzuca się na policjanta i tylko nadbiegli dwaj inni policjanci wyratowali kolegę z ciężkiej opresji.

Dziwnem jest, że nasza młodzież wiejska nie rozumie, że przez picie alkoholu robi wielką krzywdę sobie, swej rodzinie, społeczeństwu i państwu.

Patrząc na pijanych młodzieńców (starszych pijanych nie było), widać, jak wywracała koziołki na karuzeli, ryzykując życiem własnym i innych, jak awanturowała się i wywracała kramiki, jak zaczepiała przechodniów i jak walała się pijana na jezdni, w brudzie i kurzu, żal mi jej zrobiło się. Przecież to ciemnota, nie wie, co robi.

Przypominałem sobie, że właśnie dziś, koło Garbatki we wsi Oleksów pow. Kozienice odbywają się dwa wesela bez alkoholu, działacza młodzieży wiejskiej p. Jana Banasia i jego siostry.

Nie są to pierwsze wesela bez alkoholu na tym terenie. Jeden człowiek, dr. med. Jan Jaworski z Garbatki zrobił to, że we wszystkich prawie wsiach pow. Kozienickiego młodzież nie pije alkoholu. Że wesela, chrzciny, uczyty świąteczne, przyjęcia, odpusty i zabawy odbywają się bez alkoholu. Młodzież jest tam uświadomiona, trzeźwa a przez to i zdrowa, silna, zdobywa dobrobyt. A obok w Jedni—pijaństwo, choroby, przestępstwa z powodu pijaństwa.

Oby takich Doktorów Jaworskich było jaknajwięcej. Oby każda wieś w Polsce miała swego działacza - abstynenta, swego Jana Banasia.

Nam potrzeba trzeźwej zdrowej, zdolnej, poważnej, pełnowartościowej, silnej młodzieży wiejskiej. Ona przecież zasila szeregi naszej Armji.

Precz z alkoholem z szeregów młodzieży wiejskiej. Precz z alkoholem w polskiej wsi!

Trzeźwość obywateli — podstawą obroności Państwa!

Konstanty Kryśko.

Radom, w kwietniu 1939 r.

XXII MIĘDZYNARODOWY KONGRES PRZECIWALKOHOLOWY ODBĘDZIE SIĘ W HELSINKACH, STOLICY FINLANDJI, W DNIACH OD 30 LIPCA DO 4 SIERPNIĄ B. R.

INFORMACYJ W SPRAWIE KONGRESU UDZIELA SEKRETARJAT TOW. „TRZEŻWOŚĆ“, WARSZAWA, UL. OBOŻNA 4r. TEL. 5-11-07.

PROSIAK.

Karbowiaczka uważnem okiem obrzuciła całe obejście: wszystko było w porządku. Słonko skłaniało się ku zachodowi, a Wawrzona nie widać, kosić miał siano za dworską górką, mają tam mały kawałek łąki nad stawem... Dzisiaj sobota, trzeba wszystko obrządzić pięknie i czysto, aby jutro rankiem wybrać się do kościoła... Nagle coś sobie przypomniała:

— Tereska! Tereska! ... a zobacz ino, gdzie prosiak, trza go zamknąć... maciora już dawno w chlewiku...

Mała ośmioletnia dziewczynka wybiegła z poza chałupy.

— Niedawno był, widziałam go kiele domu okumona, tuż za płotem...

— Przygnaj go duchem... bo zaraz tato przyjdom na wieczerzę, trza kartofle obrać.

— Ale, mamó, ten prosiak, to mój, prawda?

— A dyć twój, córuchno, twój...

— I nie sprzedacie go? nie zarzniecie?

— Mówiłam przecie... ale sama go wyhodujesz... A teraz leć!...

Tereska pobiegła pędem, wzbijając tumany kurzu gołemi piętami.

Magda usiadła na pieńku i odetchnęła głęboko... robota dzienna skończona, w saganie warzą się obierzyny, trza dodać osypki... żarte są te jej świnię, aż strach... Byle Wawrzon prędzej wrócił...

Podparła głowę na rękę i zaczęła rozmyślać:

— Jutro se odetchnie, pomodli, podziękuje Panu Bogu za wszystko, nie może narzekać... w gospodarstwie się darzy, dzieciaki zdrowe, chłop — jak to chłop... trza go w garści krzepko trzymać, nie popuszczać, bo chocia sielny jest i do roboty zdatny, tylo — tu westchnęła — jakoś zaczyna do kieliszka zaglądać, a to od czasu, jak Wałęcik jucha otworzył sklepik i wódkę trzyma... Coraz to który gospodarz zajrzy, flaszczykę kupi, stuknie o dno i pije, aż bulgocze... Skaranie Boskie! już i proboszcz o tem gadał zeszłej niedzieli... A ile się to naprosiła, ile napłakała: „Wawrzon, daj pokój, bo to i grosza szkoda i ani się opatrzysz, jak się rozpijesz...”

Pamięta przecieć ojca, połowę gospodarstwa na tę gorzałę przemarnił, matkę do grobu wpędził i sam zmarł na drodze, kiedy wracał z jarmarku i wypadł z furi na śnieg.

A tu znowuj Wawrzon... nawet już pokłócili się o to, ona go trzepnęła w gębę, a on ją tak ściągnął rzemieniem, że przez tydzień nosiła pręgę na plecach... przepraszał potem, obiecywał... oh gdzie ta... ano wieczna pokusa na drodze...

— Mama, jeść!... — czepił się spódnicy trzyletni malec.

— Józik, odeńdź, pókim dobra... Tata ci przyniosą bułeczkę.

Kobieta przysłoniła oczy ręką i popatrzyła na drogę... niema nikogo... zdaleka tylko na górce widnieje sklepik Wałęcika...

Splunęła.

— żebyś zdechł!... — wyrwało się z jej piersi pobożne życzenie—
tyło wodzi ludzi na pokuszenie...

Myśl jej wracała do męża.

— I robotny, i mądrała, powiedali, że go może na sołysa wybiera... to byłby honor... Jakby jej zazdrościli!... i Matysiakowa, co na wszystkich ostrzy zęby i kulawa Kaliszczanka i ta głupia Mrówczyna, co to jej chłop jest w zarządzie szkolnym — o wa! to ci dopiero!...

Zdała dobiegł ją głośny płacz Tereski.

Poderwała się zaniepokojona.

— Co ci to? Czegój buczysz?

Dziewczynina z trudem niosła na ręku sporego prosiaka i zalewała się łzami.

— Coś ty?... świnioka piastujesz?... czyś blekotu się objadła?...
Niańcy go, niby dzieciaka...

— Mamo, mamoo... on iść nie może...

Zadyszana zatrzymała się na środku podwórka i postawiła prosiaka na ziemi.

Był czysty, ładny, dobrze utrzymany, na szyi miał nawet czerwoną tasiemkę, dar Tereski z własnego warkoczyka...

Stanął i rozejrzał się niespokojnie dokoła.

— Matusiu — patrzcie ino...

— Malusi, malusi... — przywoływała Magda.

Chciał przybiedz i zachwiał się, nogi uginały się pod nim i nagle zwałił się na bok.

— O, Jezu!... — jęknęła gospodyni — co mu się stało? A mówiłam ci, zatracona, nie lataj z dzieciakami, ino uważaj na gadzinę...
Masz tera...

Karbowiaczka zaczęła obmacywać leżące zwierzę, nie miał żadnej rany, tylko oddychał ciężko i wierzgał nogami.

— A to skaranie Boskie! pewnikiem żezał gdzie truciznę na szczury, abo...

Trzęsła nim i patykiem starała się zmusić do powstania... na próżno...

Podniosła lament.

— Taki śliczny świniaczek... o mój ty Boże... to nieszczęście...
A ty dostaniesz za swoje — już ci tata paskiem złoł skórę!...

Teresa beczała na cały głos. Z sąsiednich chałup zaczęły wyglądać baby i wkrótce utworzył się krąg koło leżącego prosiaka.

— Moiściewy!... chyba ktosik go przetrzącił...—zaopinjowała stara Pietrzakowa.

— Pewnie... ruchać się nie chce...

— Wodą go zlać... może mu odeńdzie...

— Juści, odeńdzie...

— Nie szkodzi spróbować...

Tymczasem z pola nadeszło paru gospodarzy, wracających z pola...

Energiczna Bołdarzyna zaczerpnęła z wiadra wody i chlusnęła...
Prosiak zerwał się i zaczął biedz, potykając się i chwiejąc na wszystkie strony...

Tymczasem na drodze ukazała się jakaś postać... Szła zygzakiem, podśpiewując pod nosem.

Antczak szepnął do Andrzeja, ale tak głośno, że wszyscy posłyszeli.

— Widzisz... przy sobocie już się uchłał...

— Widziałem go z Witulskim, chłopak mu się urodził, więc zara musieli oblać...

Karbowiak zbliżał się, a widząc na swoim podwórzu takie zbiegowisko, zaniepokoił się.

— Co się stało? ludzie...

Magda zalała się łzami.

— A taki tłusty, piękny świniok!... i cosik mu się stało... zdycha biedactwo... o Jezu!...

— Ha!... trza dorżnąć, to chociaż się nie zmarnuje...

Tereska i dzieci uderzyły w bek.

— Matusiu!... nie rżnijcie mego prosiaka... może się wykuruje... może... matusiu...

— Idź, głupia, tata ma racyją... trza skończyć z tem... Leć Wawrzon... wyostrz nóż...

Ale Karbowiak nie tylko lecieć, ale nawet porządnie iść nie mógł. Chwiejąc się, podążył do chałupy... w tej chwili wieprzak zlewany obficie wodą, porwał się i również chwiejnie podążył za nim. Stanowili w tym momencie tak komiczną parę, że ludzie zaczęli się ścicha podśmiewać, a na dobitkę rozległ się piskliwy głos Józika:

— O... o... tata tak samo idzie, jak prosiak... może tyż chory...

Głośny śmiech buchnął wśród tłumu.

Karbowiaczce krew uderzyła do głowy:

— Józik — wont do izby!... co się tu płaczesz?... A wy moglibyście nie rechotać! A bo to jeden z was podchmieli sobie... abo to nie widziałam, jak coniektóry leżał w błocie, jak ta świnią... Patrzcie ich tu!

Tu przylepiła dobre kłapsa płaczącemu się dzieciakowi, a ten rozwrzeszczał się na dobre.

— No, no, Wawrzyńcowa, dajcie dziecku pokój — zabrzmiał poważny głos zakrystjana, który właśnie nadszedł — Pan Bóg przemawia ustami maluczkich... — dodał sentencjonalnie.

— Mościewy! takie zmartwienie... i chłop się zalał i prosiak zdycha... — zapłakała znów Magda.

Wawrzon właśnie wracał i na paznogeju próbował ostrza noża... zbliżył się do prosiaka, ale ten, snąc coś przeczuwając, skoczył nagle i potykając się, zaczął uciekać. Wawrzon za nim... Zaczęła się gonitwa. Z kwikiem głośnym harcował prosiak, przewracając się i znów podnosząc, klnąc, leciał gospodarz, chybotając się i ledwo utrzymując równowagę, aż zachwiał się i z całym rozmachem wpadł w gnojówkę... ale złapał prosiaka za ogon.

Kwiczął w niebogłosey zwierzak, kłął jeszcze głośniej Wawrzon, a ludzie pokładali się ze śmiechu, ku wielkiemu wstydowi i upokorzeniu Magdy... Wreszcie Karbowiak wylazł z gnojówki, ubabrany, jak nieboskie stworzenie i przyduślił szamocącego się prosiaka, błysnął nóż... Dzieciska uderzyły w przeraźliwy płacz.

Nagle przez cizbę przedarła się Hanka, dziewczka od ekonomowej i zaczęła wołać:

— Ady cichajta, cichajta!... Cosik wom powiem... — Morderczy nóż się zatrzymał.

— A co? co się dzieje? Czegój wrzeszczysz?

— A to Różka mi powiada, że chcecie rznąć prosiaka, a on całkiem nie chory...

— Nie gadaj!...

Hanka nachyliła się nad prosiakiem i wraziła mu rękę w ryjek, po chwili wyciągnęła coś czerwonego.

— Krew... krew... — zaszeptano.

— Juści... krew... — zaśmiała się dziewczyna — toć to wiśnia!

— Jakto — wiśnia? teraz wiśnie?

— Ale te, co ekumonowa nastawiła na nalewkę... Prosiak zdrów, tylko pijany...

— O... o... jakże to?... — zakołysał się tłum.

— A no tak: gospodyni kazali me zlać nalewkę z gąsiora do flaszek, a wiśnie wyrzucić na śmietnik... tak też zrobiłam. Kupa tego była... Skosztowałam, przesiąknięte były spirytusem... Potem patrzę, a to wasz świniak żre, aż mu się uszy trzęsą, odpędziłam, ale już mało co zostawił. Jak mi Różka powiedziała, że zachorował u Karbowiaków, zaraz se pomyślałam, że to ten, bo z czerwoną tasiemką, to znaczny...

— Przemysłna dzieucha!... — z uznaniem powiedział Wojtek Szczypior i uderzył Hanke po plecach tak delikatnie, aż jęknęła.

— Odeńdź!... coś ty?... — wyszczerzyła zęby niby obrażona, ale rada w głębi duszy, bo Wojtek miał pięć morgów i był parobkiem na schwał.

— Ale co robić tera z tym pijakiem? — zaczęła Karbowianka.

— Z Wawrzonem?... — wyseplenil głupi Jaś.

— Ale gdzie zaś — z prosiakiem

Ludzie znów się zaśmieli.

— A no, — rzekł niby poważnie Wojtek — położyć go i przykryć pierzyną, jak się wyśpi, to wytrzeźwieje...

— Kto? mój?... Wawrzon — słyszysz?... — groźnie zapytała Magda, biorąc się pod boki.

— Ale nie wasz, ino prosiak.

Ludzie rechotali, jak najęci.

— To może tatko razem z prosiakiem... — zaczęła, nie orjentując się, Tereska.

Tłum zahuczał znów śmiechem.

Magda już nie wytrzymała.

— Widzisz, ty opoju!... Na śmiech się podaleś bez tę wódkę... Popatrz: widzisz to bydlątko... tak samo wyglądasz, może gorzej... nie wstyd ci?...

Karbowiak popatrzył mętnymi oczami, nacisnął na łeb czapkę i powlókł się do izby, a pocieszona już Tereska podniosła i ostrożnie prowadziła do chlewka ślaniającego się ulubieńca, łapiąc po drodze trochę słomy, żeby mu podesać.

— Niechta oba śpiom... Dobranoc!... — ważne wyrzekł Wojtek.

i poszedł wśród śmiechu obecnych za opłotki. Magda spłonęła, chwyciła skopek i ruszyła do obory...

Ludzie zaczęli się rozchodzić, pogwarzając se i śmiejąc. To ci była dzisiaj komedja!... A na środku podwórca stał mały Józik z palcem w gębie i nucił:

— Prosiacek se upił, upił se jak tato... oj dana!..

Nazajutrz Karbowiaczka stroiła się do kościoła. Wyspany Wawrzon wymaścił włosy i buty sadłem, obłókl czystą koszulę, wysztafiorował się i przejrzał w krzywym lusterku. Stanął przed żoną.

— No, Magda, masz chłopca niczego... jakże?

Burknęła coś pod nosem.

— Czegój tak do dnia łazisz, jak kura z jajkiem? Czegoś zła?

— A właśnie! mam być dobra? cieszyć się? cała wieś wczoraj ryczała jak te krowy ze śmiechu... już gadają: jaki pan, taki kram! Gospodarz urżnięty, chudoba urżnięta... Słyszałam, chwalić Boga, uszy mam dobre...

Wawrzon pochylił głowę.

— Bo ty zaraz... a bo to każdemu się nie zdarzy?...

— Ale tobie nie powinno się zdarzyć, ty gospodarz, mieli cię na sołtysa wybierać — i co? Śmiech i nic więcej... Pijane gospodarstwo, będą gadać... ja ich znam!...

— Magda, ady przestań... Nigdy przecieć się nie upijałem...

— To i wczoraj nie powinieś był... a tu... i ten prosiak... taki wstyd... — Pociągnęła nosem — żeby cię...

— Cichaj, Magda, nie pomstuj, idziem do kościoła.

— Aż się boję, będą prześmieszki...

Karbowiak wyprostował się.

— Niech sprobują! to tak pyski spierę, że ha!

— A no — będziesz jeszcze bijatyki wyprawiał, powiedzą, żeś od wczoraj nie wytrzeźwiał...

— Więc co mam, u cholery zrobić? Co?...

— Zachowaj się godnie, spokojnie, a jak kto cię zaczepi, to pierwszy się roześmiej... zawrzesz im gęby, zobaczysz! Sami przestaną.

— Może i prawda... — odmruknął.

Za oknami rozległ się tupot kopyt: to Franek, pastuch, gnał gromadzkie bydło na paszę. Kiedy mijał obejście Karbowiaków, zaśpiewał na cały głos:

„Wawrzon, prosiak dwa kamraty...

„Idom schlane se do chaty...“

Gospodarz porwał kij i chciał lecieć, ale Magda złapała go za rękę.

— Czyś zgłupiał, będziesz się z pastuchem zadawać?... Nie słyszałeś i już...

Wawrzon zacisnął pięście.

— Wawrzus... wypowiadaj się dzisiaj, przyrzeknij, że...

— A żeby to jasne pierony!... Nawet na żadne chrcziny, ani we-

sele kieliszka do gęby nie wrażeń. Żeby to byle jaka wywłoka, byle pa-
stuch śmiał mi przytyki robić... a niedoczekanie!...

Magda objęła go za szyję.

— Pamiętaj, Warzuś... pamiętaj... a gdybyś kiedy zapomniał, to
pomyśl jedno: „prosiak“, to ci zara odejdzie!...

Niedługo zgodnie, wystrojoni, uśmiechnięci szli drogą do ko-
ścioła... Ze wszystkich stron ciągnęły gromady. Czasem ktoś ze znajom-
ków rzucił:

— Wawrzon, a jakże się ma prosiak? zdrów?

A ten odpowiadał ze śmiechem:

— Zdrów, jak i ja i wy... Obiecał, że nigdy nie będzie spirytu-
sowych wiśni próbować...

A w chałupie mała Tereska wyszorowała swego prosiaka po wczor-
ajszej libacji i wytarłszy własnym fartuchem, włożył do kolebki, skąd
wygramolił się Józik.

Próżno wrywał się i kwiczał, nieubłagana opiekunka trzymała
go dobrze i obtykając pierzyną, nuciła:

„Tatuś, prosiak — dwa kamraty,
Powracali se do chaty“.

Prosiak chrapał.

J. Mori.

„CZCIJ OJCA TWEGO!“

„Czczij matkę i ojca!“
Tak każe sam Bóg.
O pozwól więc, ojcze,
Bym ciebie czcić mógł!

I kochać i wiedzieć,
że masz w sobie hart,
że dziecka swojego
Szacunku tyś wart!

„Czczij matkę i ojca!“
Pijany twój krok,
Hulaszcza piosenka,
Obłądny ten wzrok.

Tak targa me serce,
Tak mąci mą myśl...
Tak bywa codziennie —
Tak będzie i dziś...

I jutro też pewnie
Zwycięży cię wróg —
Pijackiej pokusy.
Przestąpisz zła próg,

Pijanej kompanji
Otoczy cię rój,
I wrócisz klnąc, bijąc...
O! ojcze ty mój!

I tak mi jest straszno,
Tak trudno to znieść,
Że sam z serca wyrwiesz
Należną ci cześć!

Wszak kiedyś uczyłeś
W pacierzu tych słów —
O, pozwól mi ojcze!
Powtórzyć je znów..

O, wyjdź z tego szlaku
Zmaconych zła dróg!
Daj cześć cię i kochać,
Jak kazał sam Bóg!

Zgierz

Nela Krzepkowska.

S K A N D A L.

— Poślesz, Zbyszku, konie wieczorem po tę blondynkę?

— Poślę, co mam robić? Nie mogłaby to przyjechać w niedzielę! Konie zmachane przy żniwach, na stację gnać trzeba. I to po kogo? Po kobietę, jakby tutaj bab było nie dosyć!

— Widzisz sam, mężczyzn u nas tak mało, panie się nudzą, a ty nie chcesz...

— Moja droga, gdybym chciał, byłoby dla ciebie, mojej żony, gorzej... Zresztą — nie dostałem z ministerstwa licencji na dam bawienie, w dodatku — takich dam i w takiej ilości! Teraz jeszcze — możnaby od biedy wytrzymać, parę kobiet wyjechało przed pierwszym, ale niebawem w ślad za ową blondynką nadjedzie tuzin nowych! Samaś się powinna wystarać o towarzystwo dla swoich letniczek!

— Mężczyźni nie przyjeżdżają, że to las daleko i wody niema...

— Wiem, wiem, oczywiście! Epoka sportów, tężyzny i tak dalej. Zdrowe ciele... Las im potrzebny — dziwactwo! Bo to w parku brak drzew wysokich. Akurat o las im chodzi, raczej o spotkanie dziewcząt, zbierających jagody i przygody. A woda? — Posłuchać tylko naszych dam konwersacji — leje się poprostu, reumatyzmu dostać można, dreszcz aż przenika. No, a stary pan Dobicki prym trzyma, uszy

mi wędną od słuchania, gdy siedzi przy mnie w czasie posiłków. Gada, gada, gada...

— Powinieneś być zadowolony, że mniej zjeść zdąży!

— Robi to za niego córeczka. Za niego i za siebie, może nawet — pożywiłby się z jej talerza ktoś trzeci! Dziwne, bo panna raczej delikatna, nieśmiała...

— Wolę już takich, Zbyszku, co dużo jedzą, niż tych, co grymaszą, jak ci Stryszkowie naprzykład. Chociaż—są i tacy, co jedno z drugiem doskonale pogodzić potrafią... To młode małżeństwo z dzieckiem — wszystko im nie smakuje, a walki ze mną staczają, że wszystkiego za mało. Jakbym ich zagłodzić chciała.

— Ty i zagłodzić! Doskonale zestawienie. Znając twoją zdolność kalkulacji...

— Nie drwij, Zbyszku, tym razem napewno nie stracę.

— Stracisz, już straciłaś... na wadze! Zresztą i tak masz dosyć.

— Czego? ciała?

— Ciała miejscami, a kłopotów wogóle! Pozwól mi teraz radja posłuchać! Odczyt rozpoczęto.

Pan Zbigniew ozdabia swe skronie w rożki radjowych słuchawek, co łącznie z kosmykiem ciemnych włosów, spadających na czoło—przypomina Napoleona, uwieńczonego wawrzynem. Żona jednak, wcale tego nie zauważywszy — wspomina tylko różne żarciki męża na temat jej cielesnej powłoki; młoda dziedziczka posiada bowiem, według fachowego malarskiego określenia — ciężki dół przy lekkiej górze. Cecha powyższa, zapewniająca fizyczną równowagę, jest bardzo ceniona w samochodach z racji ich niewywrotności, lecz w budowie kobiecej została użyta niezbyt szczęśliwie, ponieważ pani Jadwiga, razem z przemysłnym rozłożeniem swego ciężaru — spadła parę razy ze schodków piwnicznych, tłukąc oprócz własnej karoserji i niesione naczynia.

— Do licha, niech mi dadzą wreszcie pokój z tem naświetlaniem macior lampami kwarcowymi! — dziedzic zrzuca z irytacją rynsztunek radjowy.

— Jesteś nastawiony krytycznie i niesprawiedliwie! — zaczyna rozżalonym głosem żona.

— Radja bronisz? Co ci się stało?

— Nie radja, lecz... siebie! Bo w tem, co powiedziałeś o moim pensjonacie — nie miałeś racji. Przecież i cała twoja gospodarka jest także prowadzona, jak często mówisz, z deficytem, a żądasz więcej ode mnie!

— Owszem, gospodarka rolna się nie opłaca, lecz do krów, pszenicy, kartofli, czy też gryki nie potrzebuję robić min słodkich, czego wymagasz w stosunku do letniczek, chociaż mniej mam z nich, niż z krów pożytku!

— Okropny jesteś, Zbyszku! Poczekaj, niech nabiorę rutyny, to dopiero rok drugi...

— A ponieważ gorszy niż ubiegły, można mieć nadzieję, że w przyszłym dopłacać będziesz każdemu gotówką... I czego im się jeszcze zachiewa? Rozrywek ni mniej ni więcej! Pytała mnie ta słodka prezesowa, dlaczego nie urządzamy dożynek! Powiedziałem, że wypadałyby za często, bo kilka razy w roku dorzyna mię urząd skarbowy!

Skrzywiła nos, uważając, że drobnostką jest wydać na poczęstunek ludzi ze sto złotych. Pamiętasz dożynki ostatnie? Jak spalili mi parobcy w czasie tańców stodołę? A mówiłem — nie rzucać niedopałków! Zrobili to naturalnie po pijanemu! Bydło nie ludzie...

— Przecież ty sam, Zbyszku, w miasteczku pijesz nieraz!

— Sam nie piję, zawsze ze Starostą, nie lubię trącać się z piemcem.

— Ja miałam na myśli, że nie powinienes potępiać innych, skoro sam nie stronisz od kieliszka.

— Czego chcesz?! życie towarzyskie utrzymywać trzeba.

— Kiedy, gdy pijecie we dwóch, nie mamy z was żadnej pociechy — ja ani staroscina! I ze sobą wtedy nie rozmawiacie prawie! A potem ból głowy, kawę pić musisz, bierzesz proszki...

— Głupstwo! Piję kulturalnie i skutki likwiduję w kulturalny sposób. Nic na tem nie tracę.

— A ten koń? Pamiętasz?

— Znowu o siwej! Co ma piernik do wiatraka?

— Przecież, gdyś ją kupował, byłeś po paru kolejkach i dlatego nie zauważyłeś chorej pęciny. Miałeś trzysta złotych straty...

— Brednie!

— Sam mówiłeś...

— Żartowałem, nie masz poczucia humoru.

— Wcałe wówczas nie byłeś w humorze, kłąłeś ze złości.

— Więc dobrze, przyznaję ci słuszność: miałem przez wódkę tę stratę! Trzysta złotych, kropka, koniec. Gorzej z moim ożenkiem, to się nie wróci, a biorąc ślub z tobą również solidnie podpity być musiałem...

— Jaktó?!

— Bardzo proste. W myśl twojej teorii głupstwa się robi zawsze po pijanemu! Więc i ślub...

— Zbyszku, jak możesz, własnej żonie!

— Własnej, niestety, bo mówienie tego do cudzej sensu nie miałoby!

— Mnie równać z kłaczą!

— Myślisz, że to mogłoby ją urazić? Jedną nogę miała, przyznaję, do niczego, ale reszta — poemat.

— Naprawdę... jesteś...

— Jestem! Teraz to dopiero zauważyłaś? O, już lży w oczach! Patrząc na ciebie, często się dziwię, że masz ośmioletniego syna.

— Już ty chyba najmniej temu dziwić się powinienes!

— Przypuśćmy...

— Jak ty ze mną rozmawiasz!

— A jakbyś chciała?

— Żebyś był taki, jak... jak pan Stryzek chociażby!

— A czem-że cię ten twój letnik, ten chamuś zdołał zachwycić?

— On.. on tak swoją żonę kocha!

— Mówił ci? Też powiernica, wzór dyskrecji! Niczem stacja radiowa z zasięgiem na pięć części świata.

— Nie mówił, ale to widać! Naprzykład, żebyś ty mnie... naprzykład...

— Wyjdźże raz z tego przykładu!

— Widzisz, on ją tak wczoraj po włosach, tak pogładził...

— Potargana być musiała i dlatego...

— Właśnie, że nie! Równiutko włosy leżały, on ją potargał dopiero!

— I tego jej zazdrościsz?!

— Nie udawaj. To była pieszczota. Trzydzieści blisko lat ze sobą żyją i pomyśl! Po głowie...

— Jeżeli o to chodzi, cierpliwie czekaj: za lat dwadzieścia zdobędę się na coś podobnego. Nie trać nadziei, czas jeszcze mamy! Co ci to, trzesz znowu oczy, zamiast pochwalić mię za układanie repertuaru przyszłych pieszczot, za planową przezorną gospodarckę?

— Wcale nie płaczę! Wpadł mi do oka, wpadł mi... paproch!

— Dzięki Ci, Boże! Paproch—lżej oddycham, obawiałem się gorszej możliwości: wypadnięcia do twego oczka — pana Edwarda.

— Śmieszny jesteś!

— Każdy mąż byłby śmieszny, Jadziu, w takiej sytuacji — a zatem uwaga twoja obudza moją podejrzliwość! Konstatując śmieszność męzowską — stwierdzasz tem samym fakt ulokowania w swem oku wspomnianego bawidamka...

— Niby pan Edward mnie coś obchodzi! Wiesz to najlepiej. Bawidamek — żeby była z niego choć taka pociecha! Objada nas tylko, a od pań trzyma się zdaleka. Wybierze najwyżej jakąś jedną i...

— I to masz mu za złe, że jedną! Nie posądzałem cię nigdy o podobne zepsucie... Jedną! To świadczy dobrze o nim, że nie angażuje się ponad swe możliwości. Bardzo solidne stanowisko. A że zajada — nie widzę w tem nic osobliwego, ludzie praktykują to naogół... Nie jest przecież stygmatyczką, słynną z absolutnego postu!

— Tak, ale on mi nie płaci ani grosza, a potem słyszę od ciebie o braku kalkulacji!

— Tyle razy ci tłumaczyłem, że odjada swe własne pieniądze, należne mu od Tłamsińskich, którym ja skolei winien jestem grubszą gotówkę. Powinnaś zrozumieć, że przysłali go nam, niby weksel do spłacenia i chłopak tkwić tutaj musi, choć wołałby urlop gdzieindziej spędzić. Pociesza się oczywiście jedząc za dwóch...

— A plotkując pewnie za dziesięciu. O tym naszym długu to chyba już wszystkie panie słyszały!

— Nie sędzę! Chłopak próżny, woli nie wspominać o przymusowości pobytu. Nie martw się, Jadziu, jego obmową. No, co taka po-grzebowa mina? Z powodu ewentualnych plotek tego Edwarda?

— Nie! Z twojego powodu!

— Paradne, to niby, że ja, zamiast owego lalusia, obgadywać cię zacząnę?

— Kpisz znowu! Co tam obmowa, dosyć mi niedawno powiedziałeś w żywe oczy!

— Cóż takiego? Jakoś nie przypominam sobie.

— A twoje docinki o ślubie ze mną, że to po pijanemu, że ja mam nogi brzydsze od klaczy, że...

— Streszczaj się, Jadziu, muszę iść w pole!

— Jak mogę streścić słowa przed ich wypowiedzeniem?! Mówiłeś również, że...

— A ty może nic?! Niewiniątko... Pocóżś wspomniała o mojem picciu, o siwej?

— A ty — o moim braku kalkulacji?!

— Zły byłem na ciebie, że mam wysłać konie po letniczkę!

— Oto wasza męska logika: zły jesteś na żonę, gdy konie nie po nią, a po letniczkę wysyłasz!

— Właśnie, wszystko przez tych letników! Nie mówiłem?! No, nie dąsaj się, Jadziu, pocałuj mnie na zgodę!

— Czemu ja mam to robić? Ty mnie pocałuj! Przecież ty jesteś mężczyzna.

— Jeżeli to ma być dowodem mojej męskości — służę...

Chwila względnej ciszy, a potem żartobliwe westchnienie:

— Już to wy, kobiety, lubicie przerzucać na nasze barki nawet tak wybitnie domowe zajęcia, jak — pocałunki małżeńskie!

*

*

*

Słońce weszło nad kartofliskiem z właściwą słońcu punktualnością, o naznaczonej zgóry w kalendarzu godzinie, nieco zaś później i dziedziec wynurzył się z pod kołdry, aby iść na inspekcję rannego udoju. Nie chcąc nakładać drogi — pan Dołków przeciął ukośnie wielki gazon, posypany obficie srebrzystą rosą, niby peruki dawnych markiz pudrem, lub czupryny współczesnych młodych amantów teatralnych siwizną. Zamiast poczynić takie mniej-więcej porównania, dziedziec, nieczuły na zalotną przyrodę — stwierdził jedynie fakt zamoczenia własnych odnóży.

Ranek, słusznie rozgniewany lekceważeniem doskonale wystudjowanych efektów — zaczął żdzierać z ogrodu tajemnicze welony mgieł, demaskując na trawnikach brzydkie łysiny, a na ścieżkach — bardzo oryginalne, lecz mało przez ludzi cenione aplikacje z pokrzyw, lebiody i ostu.

Na jednej z takich ścieżek rozległ się w tej chwili gwar wesoły.

Płaskonose jak mongołki, płaskostope, niby rodowite angielski, mrużąc w słońcu oczy małe i bezmyślne, kołysząc z wdziękiem hurys pełne białe ciała — szły długim szeregami „one“, szły w stronę sadzawki, co lśniła wśród błota, niby brylant w étui z czarnego aksamitu...

Wbrew domyślności Czytelnika, który w niezbyt skromny sposób wyobraził już sobie szereg nieubranych wiejskich dziewcząt w drodze do kąpieli porannej — śpieszę zaznaczyć, że były to jedynie kaczkiki! Dziewczęta, podobne zresztą do owych ptaków pod wieloma względami, różnią się od nich zasadniczo brakiem upodobania do codziennych ablucji, a więc o tej porze i w tem miejscu nie zostałyby zaobserwowane.

Niewinny, jak w teorii owe dziewczęta, gołąb — jął teraz wybić na dworskim dachu hołupce przed pozornie obojętną wobec zalotów samiczką, a z jego słodkim gruchaniem zmieszał się dobiegający z otwartego okna na piętrze głos niewieści.

Głos należy do pani Stryszkowej, skierowany zaś jest do własnego męża. Chociaż oboje spoczywają w łózkach, nakryci po szyję, to sfatygowane latami pełne twarze szatynów, oraz imponujące wypukłością kołder ciał kontury — świadczą, że państwo Stryszkowie są do siebie bliźniaczko podobni, pod względem tuszy, urody i wieku. Można jednak przypuszczać, że różnią się zasadniczo płcią odmienną, co zresztą jest zazwyczaj spotykane w małżeństwach i bywa uważane powszechnie za niezbędny warunek do ich zawarcia.

— Już drugi raz cię pytam i nie odpowiadasz, Marceli! Słuchaj no, dosyć zostało nam wódki? Głuchy jesteś?!

— Głuchy to wcale, ale śpiący. Szósta dopiero, było poco mnie budzić, dałabyś pokój... A wódki, jeśli tera chcesz wiedzieć koniecznie — pół nam butelki zostało, nie bój się, na jutro jeszcze starczy. Chociaż ty możebyś lepiej dziś nie piła? Tak stękałaś bez noc całą w łóżku...

— Trudno, żebym dla każdego stęknięcia ubrała się i schodziła na dwór! Mogłeś nie słuchać, jak ci to szkodzi!

— Mnie nie szkodzi, ale tobie zaszkodzić może. Pamiętasz ostatni wątrobiany atak? Trzy tygodnie leżałaś z okładem...

— Gdzie ta z okładem, likarstwa łykałam tylko! I w zimie to było, a lato tera. Zawsze w zimę choruję; już to naturę mam, nie chwając — rygularną, zdrową, picia zwyczajną!

— Przyznać należy, głowę masz tęgą, niejednego chłopca zakasować potrafisz. Tak jak ja — codzień pół prawie szklanki...

— Wisz — przerywa Stryszkowa — pokojówka pytała, co te butelki znaczą. Powiedziałam, że do nacierania, bo my nerwowe ludzie. A szklanka sznapssem trąci, że to proporcycje odmierzam. Pewnie tak powtórzyła dziedzicze. Co im do tego!

— Bo i racja! Za własne pieniądze pijem, a ludzie obgadywać gotowi. Ale o kiełbasie i bułkach do zagrychy wiedzą już wszyscy. Dziedzice źli być muszą... Marne tu życie, będą gadać letniki, skoro przed obiadem podjadać trzeba!

— Marceli, ona, dziedziczka, strawić nie może tego dożywiania, co kupujesz! Niby to dla niej radość, że mniej zjemy, ale honorna sztuka, to się jej nie podoba. Mówił mi pan Edward, że...

— Józia!

— Co znowu?

— Ten pan Edward to za bardzo jakoś przy tobie się kręci...

— Co ci chodzi po głowie?!

— Mnie chodzi po głowie, a on z tobą ciągiem po ogrodzie. Matką jej mogłabyś być...

— A ty ojcem. I cóż z tego?

— Ja ojcem?! No... no niby tak, nasze dzieci w tych, co on latach. Lecz ojciec, a matka — to rzecz insza. Ty zawsze — kobieta...

— Pewnie, że kobieta! A wisz, co on powiedział o kobietach? że nie mają wieku, jak się która spodoba...

— To ty mu się podobasz?!

— Jak matka, zrozum, Marceli!

— Hm, nie pamiętam, bym ja kiedy tak za swoją mamą łąził.

Chyba, że była w śpizarni, lub gdy piekła ciastka, takie kruche, z dziurką we środku. Może i on — ma w tem interes?

— Jakiś ty, Marceli, niesubstelny! że jestem twoja żona — to już nikomu podobać się nie mogę?

— Bo sama mówiłaś, że nie!

— To ja mówiłam, ale poco ty mi o tem!

— Czy to nie to samo?

żona nie odpowiada. Pod białym wieńcem papilotów, w wysmarowanej kremem twarzy — małe ciemne oczka nabierają zagadkowego wyrazu. Zazdrosny jest o nią — to dobrze, nie zaszkodzi. Gdyby wiedział więcej — mógłby zrozumieć opacznie. Bo pani Stryszkowa pożyczła Edwardowi pieniądze... Jakie tam pieniądze — drobiazgi, grosze, więc pan Edward nie dlatego... Co — nie dlatego? Nic właściwie, spacer, rozmowy przyciszonym głosem. Nic — ale możliwości jakich podejrzeń! że mąż zwrócił uwagę — to mało, Stryszkowa chce, aby ją podejrzewały wszystkie zgromadzone tutaj kobiety. Przed laty dwudziestu — obawiała się tego, dzisiaj przeciwnie — lęka się braku przypuszczeń, plotek, obmowy. Przytem on...

Piersi Stryszkowej unoszą kołdrę w głębokiem westchnieniu.

— Wątroba boli? — pada lękliwe pytanie z sąsiedniego łóżka.

— że też wy, chłopci, zawsze myślicie o takich rzeczach. Jakby kobieta serca to już wcale nie miała!

— No, o twoje serce jestem spokojny. Puka sobie osiemdziesiąt na minutę, a jakieś tam ciśnienie sto pięćdziesiąt. Nieraz ci tak w chorej kasie mówili. Murowana setka lat życia!

— Takiego życia...

— Co się stało?

Niestety, nic się nie stało, myśli Stryszkowa. Nic — a ta blondynka... Włosy ma wprawdzie za żółte, biust mały, nogi za chude, ale z mężczyznami nie można nigdy przewidzieć. O, nie o Edwarda Stryszkowej chodzi, ale o ambit, o honor! Jak to baby wczoraj patrzyły na nią, że zaruśko po kolacji poleciał na ogród z blondynką! Gdyby mu tak jeszcze parę złotych pożyczyć, z pięć chociażby! Lecz pieniądze, wzięte przez majstrową z miasta, wyszły już na „drobne wydatki“, właśnie na te nieoddane nigdy pożyczki, i trzebaby do męża się zwrócić. Spyta ją zaraz na co potrzebne... Ponieważ mężczyzna nosi pugilares na sercu, strategia niewieścia radzi Stryszkowej zaatakować ów organ męzowski.

— Marceli, kochasz ty mnie?

— Co ci to, Józia? źle się czujesz? Trza ci czego?

— Potrzeba mi — parę złotych.

— Kielbasy ja dzisiaj kupię, puder masz — całe pudełko. A może — wziąć ci cukierków w sklepiku?

— Nie, nie! Ja chcę... dać pokojówce... naprzód, będzie chętniejsza!

— Właśnie usłuży nam z większą ochotą, gdy tera nic nie dostanie, a spodziewać się będzie Bóg wie czego. Drugi raz i tak nie przyjedziemy tutaj...

— Proszę cię, Marceli, przecie mnie kochasz?

— Co to ma do rzeczy?

— To bardzo miła dziewczyna...

— Prawdę mówisz! No i ładna w dodatku, a jakie łydki! — ożywił się niespodziewanie.

Pani Stryszkowa łyknęła niby gorzką pigułkę — rzeczowe uwagi małżonka, który nie myśli o tem, że każda z łydek dziewiczych osiąga w tej chwili cenę, dotychczas na giełdzie nie notowaną.

— Tak, ładne ma nogi, Marceli. Dasz mi piątkę?

— Dam, rób ta po swojej woli! Niech pozna, jakie my państwo! A wiesz, że Stryszek, to niebylejakie nazwisko? Bo jakieś wczora poleciała do siebie zara po kolacji, to pan Dobicki powiadał o takim jednym, co go zrobili kasztelanem, to był jakiś znaczny urząd, pewnikiem magistracki, no i ten kasztelan nazywał się Górka, całkiem do nas podobnie, bo górka czy stryszek — jednako przecie na nich bieliznę się wiesz...

— Gorzej, że na tobie, Marceli, psy wiesz twoja zwierzchność!

— Utrafiłaś! Kierownik warsztatów sam niepijący, to mego lubienia gorzałki nie może strawić. Dlatego ja, gada on zawdy, lepszej płacy nie dostanę, że niby chlam za dużo i coś nie coś mi się zdarza pokręcić czasami. Ot, brednie i tyle... A swoją drogą, szkoda! — teraz pan Stryszek wzdycha głęboko. — Ale, o czem to ja mówię? Aha, o naszym nazwisku. Trzeba ci wiedzieć, Józia, że gadał pan Dobicki, co był nawet taki jeden arcybiskup świnka...

— Jak ty się, Marceli, Boga nie boisz, tak o księdzu wyrażać!

— Kiedy ci mówię, że był faktycznie świnka.

— Ale zawsze duchowna osoba, chociażby źle się prowadził, to nie należy...

— Nic nie rozumiesz! On tak się nazywał, jak my Stryszek!

— To dopiero! Stryszek... Nie mogłeś gadać odrazu? A blondynka była przy tem, jak Dobicki powiadał? Pęknie chyba z zazdrości...

— Znowu nie rozumiesz... Śpij lepiej! Biskup był świnka...

— To ty stul lepiej pysk, a nie wycieraj go sobie duchowną osobą! I to jeszcze o kim tak mówisz?! O swoim krewniaku! Ciotka twoja wspominała, że jakiś Stryszek był księdzem, ale żeby biskup — to dopiero!

— Głupstwa gadasz, Józia!

— Przecieżeś to sam powiadał, sameś głupi! O, Matko Boska, ten świętobliwy arcybiskup Stryszek w grobie się pewnikiem wywraca, gdy słyszy, jak ty nie uszanujesz własnej żony! żadnego zrozumienia, ciągiem tylko użerać się z tobą! Nie to, co dziedzic, aż przyjemnie spojrzeć... On swojej kobiecie napewno złego słowa nigdy nie powie.

— Dużo ty wiesz o nich! Każdy ci lepszy od rodzonego męża!

— A zauważyłeś, jak on ją wczora poklepał?

— Jeszczebym nie zauważył, słychać przecie było!

— Widzisz, Marceli, czybyś ty mnie...

— Mogę, choćby w tej chwili, skoro tak zazdrościsz.

— E, to co inszego, nie chcę, tamto było inaczej, z sercem.

— Sercem? Zara widać, żeś dużo literatów czytała! Łapą klepał ją zwyczajnie, nie sercem! Aże klasło...

— Za grosz substelności nie masz! Chciałam powiedzieć, że dziedzic, tak sam z siebie...

— A coby to był za mąż, gdyby do takiej rzeczy drugiego wolał?...

Pytanie pozostało bez odpowiedzi. Pan Stryzsek, mało zaciękwiony rozwiązaniem powyższego problemu — chrapnął niebawem, myśli zaś pani Stryzskowej, całkiem ze snu wybitej — wróciły do bardziej pasjonującego zagadnienia Edwarda i blondynki.

Pani Stryzskowa w marzeniach swoich wykazuje minimum erotycznych wymagań, ale i stosunki w Dołkach są tego rodzaju, że nie wiele więcej mogłaby tu osiągnąć nawet dwa razy od majstrowej młodszą i ładniejszą kobietą.

Z kimkolwiek bowiem pan Edward chodzi, stoi, czy też siedzi — podlega pieczołowitej obserwacji pań, obdarzonych talentem urodzonych detektywów. Dzięki temu — każda z kobiet, razem ze swą chwilową zdobyczą, wrywaną i odbijaną przez pozostałe niewiasty — znajduje się w sytuacji kury, która z trzymaną w dziobie glistą ucieka z miejsca na miejsce przed stadem zgłodniałych towarzyszek. Biedna kokoszka! — przysmaku oddać nie chce, lecz i jej go spożyć nie dadzą w spokoju...

Jeżeli chodzi o walory zewnętrzne — pan Edward do glisty nie jest podobny w niczem. Twarz ma opaloną apetycznie, niby rumiana buleczka, i jak buleczka owa posypaną również gdzie należy czarnym maczkiem widocznego nawet po ogoleniu zarostu. Nos jego w sposób wysoce patriotyczny przypomina Kościuszkę, poniżej widnieją dwie kępki zredukowanych do połowy, czyli angielskich wąsików. Usta posiada świeże i... koronkowy uśmiech, co nie znaczy wcale subtelny, lecz... dziurkowany, z racji wyjątkowo wcześniej i jednomyślnie zepsutych zębów. To jest jedyny defekt urody pana Edwarda, bo oczy, chociaż zupełnie bezmyślne — mają prawdopodobnie dlatego wyraz marzący i ustaloną wśród niewiast opinię piękności. Ponieważ wiadomo, że oczy są duszy zwierciadłem — proszę wyciągnąć samodzielnie wniosek, dotyczący wartości duchowych owego młodzieńca...

*

*

*

Historja się powtarza, co świadczy, rzecz prosta, o jej małej pomysowości. Gdy w czasach starożytnych nos Kleopatry zmienił układ świata — to w czasach współczesnych organ powonienia Stryzskowej, chociaż podobny do noska egipskiej władczyni tylko z faktu posiadania dwóch dziurek — wpłynął jednak również decydująco na bieg wypadków w dołkowskim dworze.

Wprawdzie kulisy zdarzeń wyglądają trochę odmiennie, bo nie w pałacach, urządzonych ze wschodniej bajki przepychem, akcja teraz się toczy, ale w bajkowo brudnym kredensowym pokoju. Godzina ósma rano. Słyszać tajemniczy plusk wody i wokół — przyciszone głosy... To nie szumią fontanny Szecherezady, ani nie plotkują zebrane przy basenach niewolnice — to czeka kolejka letniczek na zajętą w tej chwili łazienkę. Każda z pań trzyma ręcznik i mydło, a oprócz tego... rękę na pulsie wypadków bieżących.

— Pani już się umyła? — pyta pizama niebieska szlafrok zielony w żółte chryzantemy.

— Jeszcze nie! A na co miałabym tu czekać po umyciu? — Dziwi się Stryszkowa.

— Można czekać... na kogoś... — odpowiada znacząco przyodziana w błękit blondynka.

— Też pani wymyśliła! Nie takie głupstwa mi w głowie!

— Czekać chociażby na własnego męża! Cóż w tem złego?

— Na męża? Skądże! Dawno już umyty...

— Panowie zawsze nas uprzedzają — wtrąca urzędniczka „królowa biurowa“, która zazwyczaj spędza w Dołkach czas na wyjaśnianiu wszystkim źródeł swego osobliwego dostojenstwa. — Panowie zawsze przed nami, tylko pan Edward zwykle na końcu. I dzisiaj...

— A nie mówiłam? — zaznacza wesoło blondynka. — Zdaje się... pani Marcelowa pamięta?

— Mnie się zdaje — ignorując pytanie pociąga Stryszkowa nosem — mnie się zdaje, że coś tu pachnie! Wyraźnie — czuć...

— Może z łazienki, to bywa.

— Nie! Wiem, co mówię! W łazience okno otwarte, drzwi zamknięte od korytarza, nic nie doleci! Coś inszego...

— Imaginacja! — bagatelizuje blondynka.

— Śmierdzi nawet. Dziwię się pani...

— No, przyznam, coś pachnie, ale nie czuć — oświadcza „królowa biurowa“. Do tego sądu przyłącza się głos młodej mężatki, której małaletnia pociecha, w braku możności wypowiedzenia własnej opinii — wybucha głośnym płaczem.

— Nic nie czuć i nic nie pachnie! — przecina dyskusję blondynka w sposób kategoryczny.

— Proszę pani! Gdy ja, stara gospodyni... to jest nie stara — poprawiła się Stryszkowa — ale gospodyni doświadczona, mówię, że pachnie, to z pewnością!

— Co? skąd? dlaczego? — padają okrzyki.

— Nie wiem. Musowo — jakieś wiktuały.

— Śledzie? ser owczy? kapusta kwaszona?

Przy każdym pytaniu Stryszkowa zamiast odpowiedzi pociąga dźwięcznie nosem: — Nie, coś inszego...

— Czyja kolejka? — panna Emilja Dobicka, nieco mniej śniada po umyciu, opuszcza z hałasem łazienkę.

— Moja! — zielony z żółtem szlafrok Stryszkowej niknie w przybytku upragnionym.

*

*

*

Dar, długi jak powieść nowoczesna, piękny brunatny jamnik, ułożył się malowniczo na podłodze ganku, wystawiając coraz to inne partie ciała na działanie słonecznych promieni; łowi przytem w swej sierści zgrabne stworzonka, nieobjęte przez cały rok łowiecką ochroną.

Psie wysiłki podziwia sześć par oczu z sześciu ustawionych koło werandy leżaków. Obserwujący ludzie robią to samo co jamnik, przy-

najmniej w części psiego programu zajęć, obejmującej plażowanie; wiadomym zaś łowom, koniecznym choćby ze względu na ciągle eksmisyje Dara lokatorek — letnicy przeznaczają inne miejsca i godziny, z racji dobrego wychowania, no i nieco krępującego ubioru...

— Jak się rozwalił, bez żadnej przyzwoitości! Zwyczajnie — bydlę! — mówiąc to, pani Stryszkowa ślini z gniewem opadły z jej nosa, mający go chronić przed zaczerwienieniem listek bzozy.

Naganę wziął do serca nie pies, który liże właśnie beztrudnie niedalekie sąsiedztwo ogona, ale.. pan Edward. Młodzieniec ów, prędko zbierając własne rozrzucone na cztery strony świata ręce i nogi, ciska w kierunku swej protektorki pełne urazy spojrzenie. Do licha, o psie to powiedziała, czy o nim?! Wszystko być może, coś ugryzło tę babę... Godzinę temu wetknęła mu kilka złotych, które jako człowiek dobrze wychowany przyjął bez większych trudności, a teraz?... O co jej chodzi właściwie?

Że jednak wygrzewanie na słońcu nie wzmacnia sprawności zwojów mózgowych — pan Edward daje spokój domysłom. Przyjąwszy w leżaku normalną pozycję, uśmiechnięty uroczo, wygląda jak, jak... mająca się za chwilę roztopić woskowa kukła fryzjerskiej wystawy.

— Marceli, o czym to ja mówiłam? — pyta Stryszkowa, plując znowu z pogardą na nieposłuszny listek.

— Że się pani trudno opala — przypomina usłużnie blondynka. — O, bo trzeba znać system! Skóry upudrowanej, no i wyróżzowanej słońce nie chwyci! Żeby być tak jak ja opaloną — należy się zupełnie nie malować... — kończy z rozbajającym uśmiechem obficie wykarminowanych usteczek.

— Albo się wypacykować na cal grubo! Są takie, słyszałam, Rachele i Romee, co odrazu farbują na kasztan. Ja tam się nie maluję, cere mam białą od urodzenia! — oznajmia Stryszkowa tryumfująco.

— A! od urodzenia dzieci pani nie domaga, po słabości, czy tak? O, człowiek niezdrów również się trudno opala. Ja zato...

— Co mi pani o dzieciach! Sama się urodziłam...

— Nie przepuszczałam! — dziwi się blondynka.

— Sama się biała urodziłam, biała! A pani może myśli, że mnie znalezione w kapuście?! Jak udawać naiwną to udawać, na całego!

— Proszę, panno Zuzo, może pani niewygodnie, może opuścić leżak o jeden ząbek? — odzywa się nagle wystraszony pan Edward. Nie lubi zdenerwowania przed obiadem, apetyt traci.

— A żebyś jej wszystkie zęby i to własne! życzy w duchu Stryszkowa, gdy młodzian z całą ostrożnością manewruje leżakiem blondynki.

— O, wstanę lepiej, niech pan zaczeka!

— Poco, pani leciutka, jak piórko, jak obłoczek!

— To zara widać, że pani letka kobieta...—rzuca Stryszkowa zjadliwie, piorunując spojrzeniem czarną głowę, pochyloną nad zbiorowiskiem loków żółtych i sztywnych, niby wylatujące z pod hebla wióry.

— A jak upadnie, to złapię! — zaręcza młodzieniec.

— Sam z nią upadniesz, widziałam takie historje... — mruczy majstrowa pod nosem. — Dużo znałam ludzi...

— Nic dziwnego — wtrąca obdarzona dobrym słuchem blondynka. — Nic dziwnego, w tym wieku...

— W jakim... tym?! — syczy Stryszkowa.

— To pani nie wie, co znaczy: „tym“? Zaimek wskazujący, rodzaj męski, liczba pojedyncza, przypadek szósty...

— Już mi pani z uczonością nie wyjeżdżaj! Znam te wasze męskie rodzaje, z którymi o przypadek nie trudno... Wyższych szkół nie kończyłam, ale wiem, co się należy uczciwej kobiecie!

Zapada cisza, jedynie leżak Stryszkowej trzeszczy złowieszczo. Mąż patrzy na nią zaniepokojony, nie tyle wytrzymałością mebla, co złym humorem małżonki. Coś dolega Józci, byle nie ta wątroba... A uparła się i dzisiaj także wódkę pić musiała! Odradzał, to jeszcze zgniewała się na niego. Niby jej blondynka, jak żona mu gada, na nerwy szkodzi, ale gdzie ta! — już z tydzień Józcia źle sypia, choć jeszcze o tej panicy mowy nie było, a i stęka i na gębie żółciejsza. Byle znowu nie wątroba, chroń Panie Boże!

Blondynka zaczyna pogwizdywać wesoło, ręce założyła nad głowę, patrzy w niebo, kątem zaś oka na idealny przedział pana Edwarda. Pan Edward rewanżuje się jej w sposób analogiczny, jeżeli nie brać pod uwagę nieco odmiennego rodzaju obserwowanych terenów... Panna Zuza zasiadła bowiem w leżaku głęboko, skutkiem czego suknia i tak krótka — odkrywa hojnie okrągłe kolanka, które obejrzałyby chętnie oprócz pana Edwarda każdy myśliwy i to niekoniecznie przed pójściem na polowanie...

— Ja bardzo dużo czytam zimą, a pani? — przerywając niemiłe milczenie, pyta Stryszkową spoczywająca obok niej młoda mężatka.

— O, masę, pasjami lubię powieści! Zwłaszcza jednego, co się tak cudacznie nazywa: Wmorde czy jakoś? Doskonale pamiętam, tylko zapomniałam...

— Norden chyba...

— Właśnie! Wi pani, to jak go sprzedają w kawałkach — rano doczekać się nie mogę, kiedy moja kuchta po gazytę poleci. A szelma Kaśka naprzód sama dokumentnie sobie wyczyta, zanim mi go do łóżka przyniesie! Mąż mój zato z ledwością okiem rzuci; za dużo kropków, gada.

— A bo nie mam racji? To nie jest rzetelny pisorz! Od wiersza mu płacą, a on co trzy słowa trzy kropki usadza, nawet i gęściej. Czy to nie zabiera miejsca? Czytelników i redakcję zwodzi, w butelkę nabija, bo kropki stawiać—nic trudnego, byle mucha potrafi... A żeby cię!

To ostatnie życzenie skierowane zostało pod adresem muchy, która widać w celu zilustrowania swej współpracy literackiej z Nordenem — siadła w tej chwili na nosie pana Stryszka.

— Już tych much tutaj okropna ilość! — krzywi młoda mężatka twarz Madonny. — Wczoraj jedna wpadła Manieczce do gardziółka, zakrzusiło się dziecko, mlekiem popijać musiało i to go nie przynieśli odrazu...

— Poco mlekiem? Nie starczyłaby woda? Wszędy w karafkach stoi... — dziwi się Stryszek.

— To pan nie ma pojęcia o wychowaniu niemowląt: z każdej okazji należy skorzystać, by odżywić biedactwo! A Manusia je tak

mało... Trzy jajeczka na miękko rano jej dałam, to zostawiła całe pół łyżeczki! I zjadła tylko dwie bułki. Mleka szklanekę, dolewki nie chciała. Niewiadomo czemu płacimy za nią...

— A ile od niej biorą? — zainteresował się Stryszek.

— Połowę ceny dorosłego! A ta cena wogóle... państwo rozumieją najlepiej. Wszak dzisiaj jak i codzień sami szli do siebie coś przegryzać. Zanoszą państwu na górę herbatę chociażby?

— Nie! Obchodzimy się bez niej...

— Co za delikatność ze strony państwa! Jakie skąpstwo gospodyni, żeby nawet... Jabym nie darowała. Tadzium, słuchaj, coś podobnego, to doprawdy oburzające!

— Hm! — mruknął posiadacz Madonny, przedstawiający kolorystycznie bardzo harmonijny widok, ponieważ ma brązowe nie tylko kamase i spodnie, ale i plejady piegów na tłustej twarzy.

— Nam, proszę pani, herbata niepotrzebna! — objaśnia Stryszek.

— Jeść suche? To niezdrowo...

— Bo... bo dochtór nam zakazał pić dużo płynów! Rozumie pani, w naszych latach ciśnienie... — raptem przerywa, poczuwszy ciśnienie nie krwi niestety, ale ręki siedzącej przy nim żony.

Młoda mężatka nic na szczęście nie zauważyła, zajęła się bowiem likwidacją skutków roztargnienia swej półtorarocznej córeczki, która i tym razem nie zdołała przewidzieć najbliższych wypadków... że jednak słabą przezornością, lubo w nieco innym zakresie, odznaczają się niekiedy i najtężsi (powyżej stu kilo) politycy, nie miejmy tej lekko-myślności za złe malutkiej pieszczołce.

— A gdzie to zniknęła taka starsza panna, czarna, śniadawa? — coś sobie przypomina blondynka.

— Poszła z ojcem na spacer, jak codzień przed obiadem. Pod wieczór — czyta mu zawsze dwie godziny pisma; nawet na lotnisku odczepić się od niego nie może. Nic dziwnego, że zamąż dotąd nie wyszła! — objaśnia Stryszek.

— Pan więc uważa, że zamąż mogą wychodzić jedynie sieroty? — pyta blondynka, lecz w tej chwili ukazują się z za pleców rozmawiających pan Dobicki z córką.

— A, jeszcze państwa nie widział! Dzień dobry pani, dzień dobry panu, dzień dobry, dzień dobry...

Wszyscy panowie wstają, damy zaś częściowo wydobywają się z leżaków, ponieważ emeryt kultuwyje uparcie straszny obrzęd podawania codziennego ręki, względnie — całowania ręki, naturalnie nie własnej, o ile witająca się z nim osoba jest w dodatku młodą i przystojną niewiastą. Pan Dobicki, człowiek wielce logiczny, wyznaje zasadę, że pań i tak dojrzałych, nie należy całowaniem w rękę jeszcze postarzać, ale Stryszkowa, niewtajemniczona w przyczynę owej taktyki, spogląda roziskrzonym wzrokiem, gdy stary galant kuje wilgotnym nosem wymanicurowaną dłoń blondynki.

— O, niedługo już podadzą obiad, bo Oleś... — resztę informacji pan Edward kieruje szeptem wyłącznie do panny Zuzy.

Trzyletni synek kucharki, który, jak kukulka z bijącego godzinę zegara, wyskakuje z kuchni, a właściwie jest z niej wypędzany

w chwili decydującej ostatnich obiadowych posunięć, mały Oleś zbliża się do letników, pchając do noska paluszek z wielkim zapalem i obrzymią rutyną utalentowanego laryngologa.

— Chodź, chodź do mnie, kochanku! — młoda mężatka rzuca się na pachole, szukając skwapliwie ujścia dla nadmiaru macierzyńskiej czułości.

— Co to jest? Powiedz pani! — wskazuje na skołtunione poszyacie głowy Olesia.

— Włoski...

— A to, powiedz malutki! A to?

— Nosiek, błoda.

— A to?

— Bziucho...

W tem miejscu panna Dobicka, nie czekając na dalsze rewelacje egzaminu, zmyka śpiesznie, aby jej czterdziestopięcioletnie uszy nie zostały urażone szczerością dziecięcą.

*

*

*

Panna Emilja walczy bohatersko z trzema kawałkami twardej pieczeni oraz piramidą elastycznych jak guma kartoflanych klusek, nałożonemi na talerz. Dla nieśmiałej panny Emilji dokładanie sobie potraw jest męką nie do opisania, nabiera więc odrazu obficie; często też, przeliczywszy się z siłami, zbyt dużo. Jako osoba delikatna, naturalnie nic pozostawić nie może i chociaż jej żołądek manifestuje niezadowolenie z podobnego systemu—panna Emilja na to nie zważa, postanowiła bowiem utyc dla wypełnienia skóry, wiotczejcej, jak nakłóty balonik.

Zagrożona uroda panny Dobickiej jest urodą kontrastową, przy czem kontrastowość należy rozumieć nie jako typ zbliżony np. do sienkiewiczowskiej Oleńki, ale jako zupełny brak proporcji w rysach dziecinnego oblicza. W drodze wyjątku, potwierdzającego regułę, dwie rzeczy córka emeryta posiada szarmonizowane: złote serce i... zęby. Mężczyźni jednak, z typową ich płci niesprawiedliwością, sercu nie poświęcają wcale uwagi, zębom zaś—stanowczo za dużo, lecz w wybitnie ujemny sposób.

Zęby owe, tak niesłusznie lekceważone, spełniają teraz w czasie obiadu funkcje im właściwe, nie próżnują jednak i oczy panny Emilji. Mięso bowiem jest przed nią nie tylko na talerzu... *Vis à vis* dojrzałej dziewczicy siedzi rymarz z zawodu, bokser z zamiłowania, a z wyglądu atleta. „Silna indywidualność“ ma na sobie trykotową koszulkę, wypchaną węzłami bicepsów, niby zwojami kiełbas, gołe zaś ręce, widoczne z krótkich rękawków, są ozdobione w sposób naturalny... wynagradzający sownie nieobecność włosów na głowie, ostrzyżonej maszynką do samej skóry.

— Czy potrawka nie zrobiona za tłusto? — głos dziedziczki wyrywa pannę Emilję z kontemplacji wystawy masarskiej.

— O, w sam raz wszystkiego, dziękuję! — odpowiada zainteresowana bezpośrednio tem pytaniem blondynka. — Jeżeli można, pro-

siłabym tylko o kawałek cytryny do wciśnięcia i troszkę soli. Masła na drugi raz mogłoby być więcej... Ale wogóle świetnie zaprawiona... — z determinacją godzi w biedne kurczę nożem i widelcem, nie widząc godzących w nią spojrzeń: wściekłego Stryszkowej i zazdrosnego panny Emilji.

— Pani tak zawsze na białem mięsie? — zapytuje majstrowa. — To może zbrzydnąć...

— O, bynajmniej! Są przecież i ryby... — w tym momencie zadrzała dziedziczka. — A zresztą, katar żołądka, lub minionego kataru skutki trafiają się jedynie w warstwach wyższych, które...

— Które się objadają! — kończy Stryszkowa.

— Objadają? Fi donc... Które mogą sobie pozwolić na kulinarną rozmaitość! Taki katar zresztą, to rezultat przerafinowania. Wogóle, te właściwości sfer wyższych... U hrabiów naprzykład bywają często choroby umysłowe, na tle małżeństw, zawieranych w zamkniętym kółku własnego klanu...

— Widać z tego, że ona sama musi być hrabianką incognito — szepnęła do młodej mężatki jej flegmatyczny mąż.

— Pani zaś, słyszałam, choruje na wątrobę? — pyta blondynka Stryszkową wolnym kącikiem ust, wypchanych potrawką w sposób niezbyt arystokratyczny.

— A niby tak! — niechętnie warknięcie.

— Bo jeśli, to należałoby djetę...

— Sama pani jedz dyjetę, mnie niepotrzebna!

Blondynka, mimo urazy, parska gwałtownym śmiechem, oraz kilkunastoma ziarenkami ryżu wprost na swego sąsiada. Pan Edward, obtarłszy błyskawicznie twarz, przysuwa rozweseloną pannie salaterkę dla wyrównania poniesionej straty.

— A to dobre, chciałaby mnie zagłodzić — mruczy Stryszkowa do męża, żądając natychmiast drugiego kawałka pieczeni. — Nie dosyć, że sama „na osóbkach“ kurczaka wcina, jeszczeby mnie razem z dziedziczką...

Ktoby jednak myślał, że Stryszkowa posądza blondynkę o ludożercze apetyta, niech przyjmie do wiadomości, że żona majstra obawia się możliwej przeciw swemu żołądkowi koalicji.

— Już w czasach starożytnych, klasa upośledzona majątkowo zaczęła tworzyć związki... — Prawe ucho dziedzica chwytą improwizowany odczyt pana Dobickiego i wypuszcza czempredzej zasłyszane słowa otworem lewej małżowiny. Jakież to szczęście, że człowiek posiada i parzyste części ciała! Mądrość natury jest nieograniczona...

— Może szanowny pan pozwoli kluseczek? — przychodzi w sukurs mężowi pani Jadwiga.

— Dziękuję, ja już... Co to mówiłem? Aha! Studjując teorię Marksa, uważny czytelnik powinien zdać sobie sprawę, że organizacje lewicowe...

— Proszę pana! — dziedziczka przerywa staruszkowi w przeświadczeniu, że człowiek, chociażby najbardziej gadatliwy, jeść przecież musi. — Szanowny pan pozwoli, by wypowiedział się w tej materji i pan Franciszek!

Pan Franciszek, czyli bokser, w słusznym przekonaniu dziedzicz-

ki, jest przedstawicielem ludu, a przytem — przedstawicielem światnie już w tej chwili najedzonym. Na wezwanie — otwiera w zdumieniu usta, podobne do rozkrajanej parówki.

— Ja? Co właściwie?!

— Prosimy o wypowiedzenie się na temat kierunków lewicowych — gospodarz, rad z pauzy w gadaniu sąsiada, formułuje wyraźniej:— Czy na lewo...

— Czy na lewo? — przerywa bokser. — O, proszę, pana, ja tu zawdy na lewo...

— Toby znaczyło, że pan?... — dziedzic przerażonymi oczyma widzi już w panu Franciszku zdekonspirowanego komunistycznego działacza.

— Jakto, pan nie rozumie?! — odpowiada bokser urażonym głosem. — Nie rozumie, że jak szosa idzie prosto z czworaków, ja zawdy skręcam na lewo wedle łąki, to daleko krótsza do sklepiku droga. Dopiero wczora spotkał mnie pan, gdym tam pił wódkę i później z powrotem wracalim razem, a już pan nie pamięta? Właściciel chyba najlepiej znać drogę winien!

— Owszem... tak... — bąka dziedzic, zalewany znowu elokwencją sąsiada. Pan Dobicki, wzmocniony wartością witalną kilku łykniętych przez ten czas klusek, atakuje teraz — nie pieczeń niestety, ale zbyt kosztowną według niego organizację żłobków dla niemowląt.

Panna Emilja, jako osoba żyjąca już czterdzieści pięć lat ze swym ojcem, nie słyszy nawet jego głosu, równie, jak młynarz nie słyszy huku idącego młyna — w przerwie więc, między drugą potrawą a deserem oddaje się marzeniom, które z reguły mają za temat istotę płci odmiennej, w tym zaś wypadku — osobę boksera. Och, pan Franciszek pije, jednak mężczyźni, którzy piją, są przedewszystkiem... mężczyznami, to najważniejsze! — wdycha, czując słusność ukutego przez siebie aforyzmu oraz ciężar klusek w żołądku.

Wbrew pozornej prawdzie owego twierdzenia, pewne wypadki z życia samej panny Emilji zdają się temu przeczyć w kategoriyczny sposób. Tak, panna Emilja miała związane z alkoholizmem przygody miłosne, proszę się nie przerażać — przygody poczytywane przez nią za miłosne zdarzenia. Raz, powracając późno z biura, zaczepił (rozkoszne słowo!) jakiś mężczyzna, szedł za nią długo, mówiąc coś — zapewne ze wzruszenia przerywanym głosem; wreszcie, gdy pannie wogóle sił brakło do ucieczki, którą odkładała z bijącym sercem z minuty na minutę, wreszcie, na jakimś rogu — młody człowiek zachwiał się i oparł o pannę, obejmując ją za kark mocno. Z ust męskich, zamiast miłosnego wyznania, buchnął zapach silny, niby z szeroko otwartych drzwi baru, dzięki czemu panna Dobicka zrozumiała, że odgrywa rolę zwykłej ulicznej latarni, cieszącej się od wieków stałą sympatją pijackich pokoleń... Zrozumiała za późno — siedząc w kałuży z uczepionym jej jak oset młodzieńcem, od którego dopiero uwolnił ją policjant, nadbiegły na wrzask niewieści. I tak wilgotną już przygodę oblała dodatkowo łzami, lecz chwile imaginacyjnej ucieczki przed ścigającym uczuciem wspomina z tkliwością.

Drugie zdarzenie — dotyczyło pewnych imienin. Świeżo poznany „on“ pił dużo, ona siedziała obok — zajęta w podobny sposób.

Czego nie usłyszała wtedy, mój Boże! Upojne słowa, niezapomniane słowa... Już, już mało brakowało do oświadczyn — gdy wstać musieli od stołu. I — na tem koniec, bo drugiego dnia nie poznał jej nawet, choć ona go zato poznała doskonale i wszechstronnie.

Porzućmy przeszłość, gdyż teraz właśnie aktualny przedmiot obserwacji panny Dobickiej zapytuje Stryzka:

— Zdaje się, że parę dni nazad i panam widział w sklepiku z jakąś butelczyną?

— Nic podobnego! Świece kupowałem.

— Trzeba z tem było do mnie się zwrócić! Dałabym państwu; oświetlenie do nas należy — deklaruje dziedziczka gotowość ofiary. — Nie warto było chodzić po to specjalnie do sklepiku!

— Wiem, co do państwa należy! — odpowiada szorstko Stryzsek, rozgniewany szczyptnięciem żony. — Ja tam kupowałem, Bogiem a prawdą i kiełbasę...

— Och, jak można do takich błahostek takie święte słowa! — krzywi się blondynka. — Jezus Marja, niech mi pan już nie dolewa kompotu, dosyć... — wstrzymuje i zatrzymuje trochę za długo rękę swego młodego sąsiada.

— Kiełbasę pan majster znowu kupował? — czerwienieje pani Jadwiga. — Już raz państwa prosiłam, aby mi zawsze mówili, gdy mają apetyt...

— Takich rzeczy mówić nie należy! — ucina Stryzskowa, sens zaś zdania, skierowany potrosze i do własnego męża, zamyka mu usta nareszcie.

— Pani to wygląda, jak kwiat, przysięgam! — słodki głos pana Edwarda dobiega uszu Stryzskowej. Teraz to mówi blondynce, a przed dwoma dniami komu to powiedział?! Pani Stryzskowej robi się naprzemian zimno i gorąco, jest w tej chwili rzeczywiście podobna do kwiatu... zieleniutkiej rezedy. Czoło jej pot operla, niczem ową roślinkę poranna rosa, coś się z nią dzieje, przestaje ją naraz obchodzić blondynka, pan Edward, sprawa dożywiania, wódka, dziedziczka i kiełbasa. W uczuciu żrącego bólu, który dech zapiera, ruszyć się nie pozwala — wszystko jest odległe, blahe, obojętne...

— Józia, co ci to?! — widzi przerażony wzrok męża, odpowiedzieć jednak, głosu dobyć... tak trudno. Ach!... och!... o-o-o!...

— Rany Boskie, moja żona zasłabla, musimy zara...

Trzask odsuwanych krzesel, gwar zapytań, i pan Stryzsek, zgięty pod ciężarem uwieszanej na jego ramieniu chorej, kroczy z wolna do drzwi, otwartych usłużnie i szeroko.

*

*

*

Godzina czwarta po południu, słońce pali dotkliwie, ani myśląc schować się za chmury, chociaż gwałtowna burza szaleje nad Dołkami. Całe szczęście, że na podwieczorku we dworzę jest nieobecna dziedziczka, która poszła zanieść jedzenie mężowi, dozorującemu młockarnią... Gdyby pani Jadwiga tu była, gdyby widziała spojrzeń błyskawice, słyszała oburzenia gromy, to — wyręczając pogodnie w czasie

owej burzy niebo — zalałaby się łzami dla uzupełnienia obrazu, no i z poczucia winy własnej, omawianej szczegółowo przez damski areopag...

— Okropne, żeby nam śmiano dawać coś podobnego, nieświeże mięso! Oburzające, skandal poprostu!

— Może się zdawało...

— Nie! Strzaskowa jest pewna, że to właśnie czuła rano w krendisie. Gdy ją otruli obiadem, dopiero przypomniała sobie... Zrozumiała — za późno! Kobieta nieszczęśliwa, męża teraz znosi, a ja... ja wtedy jej przeczyłam. Teraz jestem przekonana, rękę dam sobie uciąć — że to zepsutem mięsem wówczas pachniało! Maniusiu, nie pchaj rączek do buzi! Boże, dziecko może zostać sierotą... Niech mi pani poda łaskawie twarożek! Dziękuję... Władku, kochanie, czy ci już przeszło, nic ci nie dolega?

— Nic mi wogóle nie było! — burknął mąż, zdzierając energicznie skalpy z nowych kilkunastu rzodkiewek.

— Jakiś ty wytrzymały, jaki delikatny, że mnie przerażać nie chcesz! On taki zawsze, proszę państwa. Choćby cierpiał najwięcej, zęby zaciśnie i... Palec w nosie! Maniusiu, wyjmij paluszek, prosisz trzecią szklaneczkę mleczka? Całe szczęście, że nie jadła tej pieczeni... Biedne maleństwo...

— Doskonale wygląda! — wtrąca „królowa biurowa“. — Cera śliczna, dziecko wcale nie godne litości.

— Ja nie o wyglądzie! — oburza się Madonna. — Tylko pani, kobieta bezdzietna może okazać podobny brak zrozumienia! Ja też jadłam to mięso — a teraz...

— A teraz je pani rzodkiewki! — kończy ironicznie „królowa“.

— Jem, naturalnie, za co tu płacę?! Jeść trzeba, ale to nie dowodzi, że nie jestem nad grobem! Prawda, Władeczkule?

— Uspokój się! — mruknął mąż, zajęty nakładaniem grubej warstwy masła i miodu na całą stertę cieniutkich plasterków chleba.

— Jaki on opanowany! Widzą państwo?

Wszyscy widzą, niestety, co innego... Mąż Madonny tyle na opanowanie własne zużył pieczywa, że może go zabraknąć, jako środka uspakajającego dla reszty jedzących.

— Niepotrzebnie żołądkuje się pani! — robi uwagę bokser, który zawczasu zapewniwszy sobie prowiant ma i humor należyty. — Ja, byłem, trza wiedzieć, w takim jednym pensjonacie, co dali nam nieświąż wieprzową galarytę, to chorowali wszytscy naokoło, a ja chociaż zjadł pięć kawalków — nic...

— I obecnie również nic pana nie boli?

— Nic!

— To znaczy, że pochorujemy się napewno wszyscy, gdy pan, tak jak wtedy zdrów został! Pamiętasz, Władeczkule, już rano ci mówiłam, że niedobrze się czuję... Nic jeszcze nie wiadomo...

— Pani źle czuła się rano, a mięso jadła dopiero na obiad! Co ma jedno z drugim, czy mięso mogło zaszkodzić przed zjedzeniem? — pyta rzeczowo blondynka.

— Niezawsze objawy występują w podobny sposób — należy pa-

ni wiedzieć o tem! To poprostu świństwo dawać nam takie rzeczy! Policję wezwać trzeba!

— Co za wyrażenia! Nigdybym nie przypuszczała, że osoba kulturalna... — blondynka unosi ze zgorzeniem wygolone brewki.

— Czego pani nie przypuszczała?! że jestem kulturalna, to nic mi zaszkodzić nie może? Już mi zaszkodziło zdenerwowanie... Pani jadła tylko swoje kurczę — głosu zabierać nie ma prawa!

— Pozwolę sobie zauważyć — przerywa pan Edward z najśłodszym z uśmiechów — pozwolę zaznaczyć, że i ja po pieczeni całkowicie zdrow jestem. A panna Zuza...

— Znalazła sobie obrońcę! — kończy Madonna. — Męski głos się nie liczy, mężczyzna dla kobiety potrafi po rękawiczkę między tygrysy skoczyć, a cóż dopiero...

— Po pierwsze — protestuje blondynka — w wierszu Szyllera była mowa o lwach nie o tygrysach, po drugie...

— Po drugie, ja tego nie jestem ciekawa! Lew, czy tygrys — mała różnica, niema się czego czepiać!

Pan Edward, spoglądając na czerwoną ze złości Madonnę, nabiera coraz lepszego wyobrażenia o bohaterstwie własnej interwencji. W niektórych wypadkach od lwów i tygrysów groźniejszą być może rozgniewana kobieta...

— Władeczku, a dlaczego nie przyszła na podwieczorek prezesowa, chyba po mięsie chora i dlatego... — nieco ochłonawszy, indaguje Madonna pracowicie zajadającego męża.

— I na obiedzie nie była. Uspokój się! Pewnie znowu odsypia w swoim pokoju noc bezsenną, a bezsenną dlatego, że wczoraj taksamo za dużo w dzień spała...

— Lecz obiad musieli jej przecież zanieść, prawda, Władeczku?

— A co mnie obiad prezesowej obchodzić może! Mam co innego na głowie — odpowiada mąż w nieco zagadkowy sposób, jeżeli wziąć pod uwagę jego łysinę nieskazitelną, niczem nieokrytą.

— Panno Emiljo, mogę spytać, jak się czuje szanowny ojczulek pani? — młoda mężatka interwenjuje z kolei jedzącą w milczeniu córkę emeryta.

— Podagra trochę tatusiowi dokuczają, słońce jednak robi swoje, bo...

— Ale pieczeń, pieczeń dzisiejsza! Nie zaszkodziła?

— Zdaje się nie jadł wcale, ja zato — taka jestem zdenerwowana...

— Najlepszy z leków, stosowanych w chorobach nerwowych, brom — został wynaleziony w czasach, gdy... — rozpoczyna wykład pan Dobicki, ucieszony nasuwającym się tematem, lecz przerywa mu kilka podnieconych głosów:

— Co się robi na zatruciu mięsem? Pan wie napewno! Trzeba zaraz doradzić chorej! Prosimy...

— Chociaż nie jest wykluczone, że i walerjana, użyta w ilości odpowiedniej, mogłaby wywołać skutek podobny...

— Walerjana mogłaby zatruć?! Niemożliwe, to przecież środek na nerwy!

— W końcu ubiegłego stulecia zainteresowanie ową ewentualno-

ścią wzrosło... — ciągnie pan Dubicki, lecz zawiedziona ciekawość słuchaczy zwraca się w kierunku wnoszącej tacę pokojówki.

— Jak się czuje?! Co robi?!

— Niby... ta pani na górze? Nic nie czuje tera, ciągiem gada, co czuła to nieświże mięso rano, a jabym na mojom patronke przysione mogła, jako to mięso...

— Ale co robi chora, co robi?! A mąż...

— Co robi? Piszczy, aże słuchać trudno. A mąż choleruje...

— Jezus Marja! Cholery dostał?! Mówił, że nie ma boleści, a tu naraz...

— Jakiej ta cholery! Klnie ile wlezie i tyła. Pewnikiem, uszy go mogli rozboleć od żoninych jęków, ale zdrów jest, nie można powiedzieć...

— Nic jeszcze nie wiadomo. Objawy nie występują u wszystkich jednocześnie, prawda, Władeczku?

Zamiast męża — odpowiada młodej mężatce przerażone spojrzenie panny Emilji. Straszna rzecz, te jej trzy kawałki mięsa, trucizna poprostu. Coś ją gniece, czuje napewno. Myślała, że jej nie zaszkodziło, a tu — nie wszystkim odrazu!

W tej chwili Madonna rzuca się do okna i wysuwa lekliwie głowę, jakby tam spostrzegła widmo przyczajonej śmierci.

— Kogo zobaczyła pani? — „królowa biurowa“ wypada na chwilę z roli obojętnej istoty.

— Zdawało mi się, że to synek dziedziców, Zygmus... — Madonna wraca do równowagi i jedzenia. — Wiedzą państwo, że on lubi podsłuchiwać pod oknami? Nieraz widziałam. A potem opowiada rodzicom. I odwrotnie... Taki plotkarz urodzony, co to z niego wyrośnie, jeśli już teraz... To on powiedział mi wczoraj, że słyszał, jak jego rodzice mówili, iż panna Emilja ma czterdzieści pięć lat. To niemożliwe!

— Oczywiście kłamstwo! — łagodna panna Dobicka wybucha oburzeniem.

— Ja też nie uwierzyłam, nie wygląda pani na to... — mówi młoda mężatka z niewinnym uśmiechem. — Gdybym uwierzyła, to ma się rozumieć, nie mówiłabym tego...

Panna Emilja nie zwraca uwagi na dwuznaczność podobnego usprawiedliwienia — gdyż zabolął ją wyraźnie żołądek, na którego czynności gniew nie wpłynął naturalnie w dodatni sposób. Pocóż to dawała dziedzicowi dowód osobisty dla odebrania z poczty pieniędzy?! Tego brakowało, aby...

— Co pani taka czerwona?

— Niedobrze mi...

— Mój Boże, pewnie mięso!

— Tak! — panna Emilja jest tego równie pewna, jak i swoich lat czterdziestu pięciu. — To niedopuszczalne, aby mnie, ażeby nas... truli! — wybucha z rozpaczą. — Idę natychmiast do dziedziczki! Już ja jej powiem, ja jej...

— Ja z panią! Nic mi nie jest, ale... zawsze lepiej, na wszelki wypadek... — „królowa biurowa“ dopija prędko mleka, wstaje od stołu. — Zagrozimy wyjazdem, skandal!

— I ja, matka dziecku, każdy zrozumie... — Madonna, z powodu

zdecydowanego oporu męża zrezygnowawszy z męskiego towarzystwa — wyrusza z dwiema niewiastami na karną ekspedycję, czyli... na poszukiwanie dziedziczki.

*

*

*

— Zbyszku, zagroziły wyjazdem, wszystkie trzy, właściwie razem — aż sześć osób! Co począć?!

— życzyć im szczęśliwej podróży...

— Dobrze ci mówić! Są mi winne i to sporo... Przytem oświadczyły, że powiedzą całemu światu, że ogłoszą nasz pensjonat!

— Nareszcie stanie się sławny, co masz przeciwko temu?

— Nie żartuj w takiej chwili... Skandal! Ja — truję stołowników! Pewna jestem, że mięso było świeże, lecz one... Co robić, co robić?! Stryzkowa chora naprawdę. Mówi, że to napewno żołądek, a nie wątrobiany atak! że to zatrucie!

— Nie przejmuj się, Jadziu! Posłałem już po lekarza, sam Stryzek prosił mnie, boi się o żonę. Co do pieczeni — przypuszczam, że mięso zepsute taksamoby jej na wątrobę, jak i żołądek zaszkodzić mogło, ale ponieważ, jak mówisz, świeże było... Trochę cierpliwości, dowiemy się niedługo!

*

*

*

Jeżeli strome schody, prowadzące na górkę, gdzie mieszkali Stryzkowie, podobne były z racji swej wysokości do jakóbowej anielskiej drabiny — to górka owa w niczem nie przypominała nieba, cierpiało tam bowiem dwoje aż osób.

— Marceli, już nie wytrzymam... Podnieś mi poduszkę! Wyżej, ni masz to siły?! Poco ciągniesz, boli wszystko, nie dotykaj! Za wysoko... Jezu, Jezu, dźga mnie we środku, jak nożem, kamień czuję w miejscu żołądka. Mgli straszecznie. Ach! och! o-o-o! Marceli, popraw, tera za nisko... Nie tak, ty gamajdo, niedołego! Och, mój żołądek...

— Może... wątroba? — małżonek stara się skierować umysł cierpiącej na nieco odmiennie tory.

— Mówię ci... żołądek! Nie przecz, zara mi gorzej. Och! ach! mięso zepsute i mgli dlatego... Kiedy mnie tak bolała wątroba, idjoto?! Otruta... żeby już dochtór, jak to się wlecze... Idź, zobacz, jakiś hałas słyhać, ani chybi — przyjechał... Chodź tu, gdzie lecisz, podaj mi grzybień! Z szufladki... Kto tam?!

— Czy można? — młody eskulap, nieco przestraszony, wsuwa ostrożnie głowę.

— Nareszcie! Pan konsyljorz pozwoli... Otruli mnie, jacy to ludzie! Ach! och! o-o-o... Marceli, daj panu dochtorowi czysty ręcznik! Nima mydła? Pewnikiem zostawione w łazience, leć po nie zara! Panie dochtorze, ja panu bez ten czas...

*

*

*

— Młody?

— Młody.

— Przystojny?

— Owszem, taki wysoki zgrabny blondyn, w okularach...

— A nie, bo w binoklach! Widziałam doskonale.

— To poco pani się pyta? — młoda mężatka patrzy obrażonym wzrokiem na zarumienioną twarz panny Emilji.

— Ja? pytam? Tak sobie... Właściwie, gdy szedł, daleko stałam i... — Panna Emilja, słysząc potwierdzenie własnych obserwacji — umacnia się w poczuciu konieczności zasięgnięcia lekarskiej porady. Parę złotych doktor od niej weźmie, ale... nic nie można przewidzieć. Nuż mu się spodoba...

— Pani chce być, jak mówiła, zbadaną? Poco to pani? — pyta rozciągnięta w leżaku blondynka.

— No, gdyby wyszło na jaw, że Stryszkowa została zatruta, to naturalnie musiałabym... Należy to uczynić chociażby dla mojego ojca.

— Tak się mówi! O, idzie właśnie...

— Ojciec?

— Może i ojciec, ale w każdym razie — nie ojciec pani.

— Poczekamy na ganku, panie doktorze? Zaraz konie podjadą, szkoda, że tak mało czasu, kolacji zjeść pan nie łaskaw...

Młody lekarz w towarzystwie dziedzica wychodzi na werandę.

— Panie pozwolą, że przedstawię naszą medyczną znakomitość! — ogłasza dziedzic. — Pan doktor... pani... panna...

— Bardzo mi przyjemnie! — stwierdza eskulap w przyjęty sposób.

— Co jest chorej? — pyta chór głosów niewieścich.

— Ostre zapalenie wątroby na tle nadużycia wysokości. Alkohol zrobił swoje, tak się skończyć musiało. W dodatku — atak to już z tego powodu nie pierwszy i bez porównania groźniejszy od poprzednich... Dziwi to państwa? Wiedzą tu przecież wszyscy, że piła codziennie dużo wódki...

— Pierwszy raz słyszymy wogóle... że piła!

— Och! — zmieszał się lekarz. — Popełniłem więc niedyskrecję, lecz mąż chorej tak mówił, że myślałem... Chłubił się poprostu żony wytrzymałością i własną. Jak tam z nim sprawy stoją — trudno określić na oko, ale z tego co mi wspomniał o swych zawrotach głowy — nieszczególnie. Żony jednak stan fatalny. Zamiast wódki — stale w przyśrodku glicerynę pić będzie musiała!

— Ale mięso zjadła dzisiaj nieświeże! Mięso... Czują zapach wyraźny...

— Zapach? Ha! ha! ha! Rzeczywiście. To zabawne. Zapach ten — ja również poczułem...

— Ależ pana doktora wtedy nie było rano!

— Ha! ha! ha! Lecz teraz, przed chwilą... Opowiem w paru słowach, to już nie tajemnica lekarska. Otóż, gdy poszedłem na górę, chciałem przed zbadaniem chorej umyć sobie ręce i okazało się, że

gdzieś mydło zginęło. Mąż zbiegł do łazienki, przyniósł... ale jakieś inne, tam przez kogoś pozostawione. I — ha! ha! ha!

— Cóż w tem śmiesznego?! — zrywa się panna Zuza. — To musiało być moje mydło! Wziąć go rano zapomniałam... Doskonały gatunek... Lecz co ma mydło do rzeczy? Miał pan doktor mówić o zapachu, który czuła Stryszkowa.

— To pani mydełko? Owszem, bardzo dobre, ale... ale chora powiedziała, gdy je przed chwilą poczuła w pokoju, że to — bardzo panią przepraszam — że to właśnie był ów podejrzany zapaszek, który zwąchała rano, czekając na łazienkę... To więc było — owo mięso nieświeże!

Roma Luxówna.

I TO MOŻLIWE.

Opowiadanie.

I. *Przeznaczenie.*

Panna Felicja wierzyła w przeznaczenie. To bóstwo tajemnicze miało jej przynieść w darze wszystko, czego pragnęła. Zaś to „wszystwo“ było pojęciem niesłychanie płynnym, mieniło się i zwracało coraz ku czemu innemu, przybierało różne nazwy, a zawsze ciążyło bardzo wysoko. Panna Felicja bywała w marzeniu wielką uczoną, niezrównaną artystką, lub bliską świętości ascetką, filantropką i siostrą miłosierdzia pełną poświęcenia.

Jednak „Przeznaczenie“ przedstawiało się w rzeczywistości zupełnie inaczej. Przybyło do domu jej rodziców z małej, pobliskiej stacji kolei w jasny dzień wiosenny. A jak wyglądało?... Ot, prosto przybrało postać miłego, młodego chłopca pełnego życia i energii i było tak podstępne, tak chytre w swoich zamiarach, że wprowadziło zamęt niebylejaki w wyobrażeniach panny Felicji. „Jako? To tylko to? To ma być mojem przeznaczeniem!“ Potrząsnęła główką z niechęcią. Lecz zamęt powiększał się, zwolna pobił wszelkie postanowienia i o zgrozo! Odniósł zupełne zwycięstwo.

II. *Przejście Rubikonu.*

Kwiaty, światła, dary, życzenia. Fala świetności spadła na pannę Felicję w dniu ślubu. Ona sama snując się zadumana, niepewna, w duszy żegna dawne a wita nowe, czekające ją życie. „Życie“ wielkie i ciężkie słowo, co ja z niem i co ono ze mną zrobi?“ „Przeznaczenie“ chodzi za nią i pyta: „Co ci jest kochanie?“ „Nie wiem, staram się zrozumieć i odnaleźć siebie w tym zamęcie rzeczy nieznanych“. To tak się sprawy mają, myśli „Przeznaczenie“ A to zobaczymy. I ja niewiele rozumiem.“ Lecz milczy roztropnie, nie psuje nastroju rodzinnego święta.

III. *Co było na drugim brzegu Rubikonu.*

Zaczęło się życie. Pełne nowych doświadczeń, prób, nieznaney, w żadnej szkole nieudzielanej nauki. Zwyczaj, codzienna szarzyzna, od

marzeń bardzo daleka. To trzeba było zrobić, to kupić, tamto załatwić, o tem i owem pomyśleć. A przytem to „Przeznaczenie“ w ludzkiej postaci! Chodzi to, mówi, szpera, w każdy kąć zagląda, jak ciekawe dzieciątko, uśmiecha się i niby pochlebia, ale trudno odgadnąć o czem myśli właściwie. Same zagadki, roi się w koło od pytań, na które niema odpowiedzi. Może poradzić się kogoś, może samego „Przeznaczenia“. O nie! nigdy w świecie! Gdyby chodziło o jakieś wyjście, trudne zadanie, ale te marne codzienne drobiazgi! Jak z nich wydobyć wielki cel działania i życia? Grzebiąc w zajęciach codziennego kieratu nie wie, jak pogodzić z niemi pragnienia ukochane całą duszą, jak wprowadzić w czyn wysokie ideały sumienia.

IV. Trzeba stworzyć dom, pole działania, myśli nareszcie z radością, dom to słowo wielkiego znaczenia. Ale jak postąpić, by ten wyraz nie został jedynie martwym kształtem, oprawą księgi, z której treść wydarto. Posiada mieszkanie, urządzenie, ale ten dźwięk „dom“, osobliwie wobec zagadkowej osoby samego „Przeznaczenia“, ma z pewnością inne, szersze znaczenie, godne zastanowienia, a dla niej, niedoświadczonej, niełatwe do odkrycia. Tyle się naczytała o bohaterstwie, o wzniosłem powołaniu dawnych matron i o dzisiejszych uczonych, postępowych niewiastach. Co one robiły i robią? W czem ich zasługa? Gdzie jej własne zadanie i pole do pracy? Tak biedzi się pani Felicja i w końcu obróciwszy w głowie tysiące projektów, odczuwa rodzaj kręćka. W saloniku na stole, leżą różne pisma męskie i kobiece. Kobięcie chwają zapobiegliwość, oszczędność, pracowitość, różne niby tanie i praktyczne sposoby łatania niedostatków urządzenia, stroju, piękności i t. p.

Z gorliwością wielką zasiadła do zbadania tych wyłącznie dla kobiet, jakby dla specjalnej rasy małopoludków, przeznaczonych Kącików, Almanachów, Bławatków i pism ulotnych i postanowiła spróbować, co ich rady są warte. Zaczęła od kuchni, której nowe, wedle autorki artykułu, podziwu godne ozdobienia, miały się przyczynić do wygody i estetyki mieszkania. Estetyka przedewszystkiem! Dlaczego w kuchni mają na pierwszym planie błyszczeć rondle, garnki i misy? Dlaczego proza życia ma wszędzie rzucać się w oczy? Tak to godne zadanie! pomyślała pani Felicja. Kupiła wzorzystego perkalu i porobiła firaneczki i okrycia na szafki, półki i ławki kuchenne, a gdy z dumą oglądała skutki swej pracy, smak kuchenny aż klasnął w dłonie z uciechy: „O! to pani cudnie wymyśliła! Jak nie będzie czasu na zmywanie naczyń, zrzuć je tymczasem pod firankę!“ a obecne przy tem „Przeznaczenie“ dostawało napadu niepowstrzymanego śmiechu. Zaś pani Felicja, wstyd to przyznać, zerwała coperędzej niefortunne szmatki i poszła do swego pokoju płakać. Tak, płakać! „Przeznaczenie“ poszło krok w krok za nią, śmiejąc się coraz weselej. W pani Felicji zakipiowało. Otarła prędko zdradzieckie łzy i spojrziała „Przeznaczeniu“ w rozbańwione oczy. „Jak możesz śmiać się ze mnie przy Magdusi. Jesteś szkaradny. Zobaczysz co z tego urośnie!“ „Dziękuję za nowe imię. Przed godziną byłem Józefem a nawet Józkiem, kochanym Józkiem!“ Na razie jednak, pomimo wróżby pani Felicji, nic nie urosło, więc pogodzili się jako tako, Magdzia podała obiad, ale humor młodej gospodyni nie o wiele się poprawił.

V. Na szczęście odwiedziny miłej pani Tośki przerwały zadumanie Felicji. Dowiedziawszy się o co chodzi, pani Tośka pokręciła zgrabnym noskiem. „Masz czem się trapić, stwarzanie domu należy do męża“. — „Ale i do żony“. Ładna Kobiętka uśmiechnęła się z uprzejmą ironją. „No tak, pisma dla kobiet podają tyle nauk i wzorów!“ Na te słowa pani Felicja zrywa się jak żądłem ukluta. „To same dzieciństwa, niepraktyczne, chcę czego innego.“ — „No więc to bywaj, przyjmój gości, otwórz salon literacki lub muzykalny, odwiedzaj teatry i koncerta“. — „Chodzi mi o coś zupełnie innego. Chcę domowi swemu dać silne oparcie, spokój, mieć jasne stanowisko wobec obowiązków dla rodziny i kraju.“ Tośka kreśli kółko na czole: „Marzenia, fantazje i tyle!“ Wypowiedziawszy tak wiele, pani Felicja na razie odpowiada zagadkowo. „Nie można zacząć budowy domu od dachu.“ — „Co też wygadujesz“ — mówi Tośka z wysokości dwóch lat, które upłynęły od jej ślubu. „Przekonasz się z czasem, że to są mrzonki bez znaczenia, mnie one nie popsują humoru, ani na chwilę. Wierz, co ci powiem: chodź ze mną do „Bon marché“; są tam cudowne nowe toalety, rozerwiesz się trochę.“ Więc poszły, a pani Felicja, pomimo swoich teorii, zakupiła to i owo, okazyjnie, *bo tanio*. Lecz z myślami walka nie łatwa: nurtują one i dokuczają, jak uparte komary. Wróciwszy do domu, spostrzegła pani Fela, że nabyła rzeczy zgoła niepotrzebne, towary zagraniczne i w sklepie wcale nie polskim. Uczuła niesmak. „Coraz gorzej ze mną“ — pomyślała. Sama sobie zaprzeczam i wstydzę się, bo czyn mój był lekkomyślny, a w dodatku obrażający uczucia samoobrony narodowej.

VI. Wieczór z tańcami.

W kilka dni później, wpadła do niej znowu pani Tośka. „Za tydzień przyjęcie u nas, liczę na Was na pewno. Przyjęcie co się zowie, toalety wieczorowe, tańce.“ Pani Felicja uśmiechnęła się wdzięcznie, lecz odpowiedziała odmownie. „Nie mam stroju na takie tra-la-la!“ — „Przecież możesz sobie kupić nową sukienkę. „Przeznaczenie“, dowiedziawszy się o co chodzi, zgodziło się natychmiast, więc pani Felicja dłużej sprzeciwiać się nie chciała.

Uproszona przez Tośkę w dniu przyjęcia przybyła najpierwsza, miał pomagać przy ubraniu stołu i układaniu ciast, cukrów i owoców. Jakiś niemiły gwar zatrzymał Felicję w sieni przed mieszkaniem przyjaciółki. Górował krzykliwy głos pokojówki. „Cukiernik powiedział, że nie przysła lodów ani ciast, bo nie zapłacone“. — „Wróc zaraz i powiedz, że jutro pieniądze dostanie z pewnością.“ — „Niech pani sama pójdzie, tyle razy już obiecywałam, więc mi nie uwierzą. Jeszcze i dawne długie są u niego“. — „Ależ Justysiu, idź już, idź, widzisz, że pana niema, nie mogę nic poradzić.“ Zmieszana i bliska płaczu pani Tośka otworzyła drzwi i nagle zobaczyła równie zmieszaną i niespokojną Felicję. Nie wiele wiedząc, jak postąpić, Felicja weszła i zbierając odwagę spytała: „Masz jakieś nieprzyjemności? i słowo po słowie, wydobyła z Tośki marną historję jej kłopotów gospodarskich. „Widzisz, trzeba żyć, utrzymać się na stanowisku, a tu taka drożyzna!“ I wytaczała różne dowody na swoją obronę, potrząsając przytem pięknie uczesaną główką i oglądając błyszczące lakierem paznokcie.

Weszły do kuchni: „Wiesz Tosiu, doskonale się składa, właśnie mój mąż odsyła wam pieniądze z wymiany waszej książeczki kasowej.“ To dość niezręczne, dla uczu Justysi wymyślone kłamstwo poskutkowało natychmiast. Pieniądze, które Felicja miała przy sobie, powędrowały do cukierni i spokojó zostało uratowany. Tośka tłumaczyła się jeszcze, lecz Felicja przypomniała jej, jak mało czasu zostaje na przygotowania. Jednak i ona też straciła humor, a w głowie jej powstało mnóstwo wątpliwości na temat niewolnictwa blichtru, życia nad stan i możliwości, przenikającego nie tylko stosunki prywatne, ale szalejące także w sprawach narodu. Smutna i zniechęcona z przymusem tylko brała udział w zabawie, a wesołe lecz obce melodie nowych tańców, dźwięczały, jak uprzykrzone bzykanie osy. Pani Tośka zadziwiająco prętko odzyskała równowagę. Kolację podano wykwintną; poprzedzając ją przekąski i likiery umiejętnie wybrane, wina wyborne, słowem wieczór się udał, „zaimponował“ obecnym. Felicję, pomimo, że pragnęła być, jak najlepiej usposobioną dla gościnnych gospodarzy, raziła jednak bardzo niemile ostentacja, z jaką zabierano się do napojów, swoboda pań w ich użyciu zbyt obfitem, wogóle cały ton uroczysty, towarzyszący tak w gruncie swoim prostemu aktowi, jak zaspokojenie głodu. Widziała wprawdzie już nieraz podobne zabawy, bo niestety rozpowszechniły się one obecnie wszędzie, ale w tej chwili zrozumiała, że musi inaczej sądzić i oceniać te sprawy.

VII. *Rewanż.*

W kilka dni później „Przeznaczenie“ zauważyło, że „wypada“ zrewanżować się pani Tośce. „Zapewne“ odpowiada Felicja. „Będzie to twój pierwszy występ, jako pani domu.“ — „Tak.“ — „Tak, zapewne, cóż to za odpowiedzi?“ — „Na razie nie mam nic więcej do powiedzenia. Muszę nad tem pomyśleć.“ „Przeznaczenie“ wzruszyło lekko ramionami i odeszło do swoich zajęć. Pani Felicja nie miała wcale ochoty urządzania przyjęcia, zajście u Tośki ukazało jej w sposób jaskrawy całą niedolę i fałszywy blask takich występów w domach ludzi średniego stanu. Wyniki takiego wysiłku są śmieszne i smutne zarazem. A więc wyrzec się stosunków towarzyskich, lub zostać pieczeniarnierzem. Ani jedno, ani drugie. A może, na sposób germański, w restauracji, gdzie każdy za siebie płaci. Obecnie kawiarnia, cukiernia, restauracja, dancng układają się w życie codzienne średniej warstwy, nęcą przepychem i wygodą, popierają lenistwo i niedołęstwo pań domu. Wzdrygnęła się Fela na samą myśl o tem, że podobny zwyczaj może rozbić stosunki rodzinne, dom przestałby być prawdziwym schroniskiem i opieką rodziny i jej tradycji. W takim życiu zwolna musiałoby zmarnieć wszystko, co stanowi skarb moralny i duchowy człowieka. Dawniej lokale restauracyjne i kawiarnie były odwiedzane prze-ważnie przez mężczyzn, dziś tłumy kobiet postrojonych, zapełnia salony, tych instytucji, nie dbając, że ubożą dom własny i sprzeciwiają się zadaniom prawdziwej kobiety polskiej, strzegącej domowego ogniska od obcych, a nieraz wrogich wpływów. Utrzymanie stosunków z ludźmi jest konieczne, dom nie może być pustelnią lub miejscem przypadkowego pobytu mieszkańców pomiędzy chwilami obowiązkowej pracy i rozrywki, lecz placówką społeczną i narodową. Doszedłszy do te-

go punktu swoich rozmyślań, pani Felicja uznała, że „Przeznaczenie“ ma słuszną i że gości zaprosić trzeba. Ale jak to zrobić? Czy znowu radzić się pism, będących najczęściej zręczną reklamą fabrykantów i kupców. Wzięła w rękę bardzo chwaloną książkę kucharską. Zawierała moc wskazówek i przepisów, od wzorów menu i nakrycia stołu, aż do sposobów i podania potraw, porządku likierów, przekąsek i napojów kosztownych i wykwintnych. Kwiaty, srebra, kryształy, piramidy cukrów i ciast, owoce zagraniczne, migdały w nęcących oko i apetyt rycinach i opisach. Figlarny uśmiech zaigrał na twarzy pani Felicji na myśl bajecznej fanfaronady całej instrukcji. To ma być wskazówką przyjęcia w domu średnio-zamożnym! Przeglądała też cenniki handlu kolonialnego, ceny rozmaitych win i likierów, dochodzące do 30-tu i więcej zł. za flaszkę, nie mówiąc już nic o innych zagranicznych, za bająnskie sumy polecanych sosach, przyprawach ostrych i owocach. Przypomiała sobie przyjęcie Tośki, a potem, powoli, z rozważą skreśliła swój własny projekt. Skończywszy, rzekła sobie: albo tak będzie, albo nie będzie nic wcale. O ile w mojej mocy, chcę stać na prawdziwym gruncie w swoim domu. Poznała pierwszą zasadę w swoim domu. Poznała pierwszą zasadę prowadzenia budowy własnej chaty nie od dachu, ale od podwalin. Nasze stosunki krajowe i gospodarskie każą, jak najskrupulatniej odróżniać prawdziwą potrzebę od zbytku. *Jakim będzie ustrój rodziny w Polsce, takim będzie i naród cały.* Ukuwszy ten zresztą nie nowy aforyzm pani Fela, uspokoila się znacznie, a gdy „Przeznaczenie“ zapytało o wynik namysłu, odrzekła: „Owszem zaprosimy naszych znajomych na sobotę“.

VIII. *Wielki dzień w małym domu.*

Oznaczona sobota nadeszła. Pani Felicja z wypiekami na twarzy, trochę niespokojna i tajemnicza krążyła między pokojami i kuchnią. Nareszcie wieczorem, około ósmej, oznajmiła mężowi, że wszystko gotowe. „Przeznaczenie“ obejrzało się po mieszkaniu i zawołało: „To ma być wszystko! Pokoje i nakrycie stołu wyglądają zupełnie tak samo, jak codziennie. Gdzie kwiaty? szklanki, kieliszki na likiery, wino i piwo? Szczęśliwie przynajmniej, że jest ładny i świeży obrus.“ — „Jest to, czego potrzeba. Właśnie, tak chcę przyjąć moich znajomych, bez zbytecznej, złudnej i nieprawdziwej wystawy.“ Odpowiada pani Fela z bijącym mocno sercem. „Napojów prócz herbaty, dawać nie chcę, zaś kwiaty pośród dymiących półmisków to proste barbarzyństwo. Miejsce ich, tam, gdzie są ochronione od oparów i dymu.“ — „Co właściwie zamyślasz.“ — „Nic niezwykłego, nie jesteśmy bogaci, na zbytki nas nie stać, a krzewienie alkoholizmu wstrętem mnie przejmujące.“ — „Twoje postępowanie może zrazić naszych gości.“ „Takich nie będę żałować, którzy się zrażą brakiem pełnego kieliszka. Ktoś musi zacząć poprawę, bo dość już długo dźwigamy opinię narodu skłonnego do pijaństwa. Nie pijemy więcej jak inne narody, ale robimy z picia uroczyść, chęlimy się niem. Mnie wprost oburza, jak czytam niektóre feljetony, pisane przez artystów i literatów, przez ludzi znanych w kraju, opisujące z lubością, gdzie, z kim, co i jak wiele wypili i zjedli. Czyż to nie wstyd i czy to własne świadectwo nie poniża nas więcej, niż sądy obcych, powierzchownie tylko znających nasze życie.“ —

„Przeznaczenie“ oniemiało wobec pierwszej, tak długiej przemowy żony, westchnęło z cicha i rzekło z rezygnacją, chociaż bez przekonania: „Teraz już trudno co zmienić. Gości tylko co nie widać.“ — I w rzeczy samej dzwonek się odezwał w przedpokoju.

Najpierwsza pojawiła się wszędzie obecna, w każdym domu zapasowa ciocia Wścibska, a za nią pani Tosia. Wpadły do jadalni i zaraz stanęły po stronie „Przeznaczenia“. „Ślicznie to urządziłaś, myślę, że potrawy będą wyborne, tylko zajrzyj do kuchni, zdawało mi się, że wchodząc poznałam woń przypalenizny.“ — wyrzekła ciocia głosem miodowym. — „Czy ci pomóc ustawić kieliszki i szklanki?“ pyta Tośka. „Nie, nie, dziękuję, sama wszystko przygotowałam i trudzić moich miłych gości nie będę. Tośka uśmiechnęła się z odcieniem wyższości: „Pozwól, przecież stół jeszcze nie nakryty!“ I zmierza prosto do kredensu. Fela staje w drodze: „Przepraszam Cię Tośka, ale ja niczego więcej do nakrycia nie dodam.“ Ciocia, na ten widok, wytacza najcięższe działo: „I ty to naprawdę mówisz, narazisz się na śmieszność i na posądzenie o skąpstwo!“ Gorące rumieńce wystąpiły na twarz Feli, lecz głowę podniosła wysoko i odrzekła poważnie: „Zaprosiłam krewnych i znajomych na przyjęcie takie właśnie, które spokojnie i uczciwie podać możemy.“ „Przeznaczenie“, dotąd milczące dyskretnie, pragnie sprawę załatwić ugodowo. „Słuchaj Feluniu, kiedy obie panie uważają, że należy coś zmienić, pobiegnę do sklepu i przyniosę co trzeba.“ — „Nie Józiu, z tem się nie zgadzam i od tego, co zarządziłam, nie odstąpię.“ Ciocia odwraca się z oburzeniem, ale Tośka usiłuje przywrócić dobry humor: „Felu, przecież twój mąż jest tak dobry i uprzejmy, dlaczego mu się sprzeciwiasz?“ Pani Fela ochłonęła tymczasem. „Wybacz cioteczko, nie chcę być niegrzeczna i całem sercem cięszę się waszem przybyciem, ale dziś już pozwólcie mi wszystko tak wykonać, jak zamierzyłam.“ Ciotka zaczęła się uśmiechać z łaskawym, odpowiednim do chwili tragicyzmem: „No, no, już dobrze, ale obyś sama nie pożałowała tej oryginalnej metody.“

IX. *Dalszy ciąg tej samej sprawy.*

Goście się schodzą. Panna Lusia wpływa do saloniku. W rękę na pół otwartą, błyszcząca torebka, zawierająca cały sklep przyborów kosmetycznych. Suknia panny Lusi to prawdziwy poemat, tonący w obłokach najdroższej francuskiej, modnej purpury; nawet nie można tego stroju nazwać suknią, to sukienka, sukieneczka, eteryczny zwiew gazy, koronek i barw świetlistych. Ciasne to, wąskie, powycinane i pokrzywione, no i odpowiednio kosztowne. „Ale się wystroiła“ szeptem ciocia Wścibska do Tośki „szkoda perfum i ałtasu, bo wieczorek pewnie się nie uda, bez napojów, panowie bawić się nie lubią.“ — „Czy Lusia jest bogata?“ — „Rodzice jej żyją z pensji urzędniczej dostatek, ale, o ile wiem, żadnych majątków nie mają, a Lunia jest pracownicą w biurze adwokata i sama skończyła naukę prawa. Posiada dyplom magistra.“ — „Rozumiem teraz, a co zarabia to wydaje na stroje i rozrywki.“ — „I zabiera miejsce takim, które w istocie zarobku potrzebują“. Rozmowa się przerywa. Podają przekąski skromne, ładnie i zgrabnie przyrządzone, ale bez obrzędowego kieliszeczka. Dość licznie zgromadzeni goście zachowują się uprzejmie, nawet tu i ów-

dzie odzywa się pochwałą dobrego gustu i zręczności gospodyni. Lecz ciocia Wścibska nie może utrzymać języczka: „To błąd“ zwierza się przed Toską „przekąsek nie podaje się bez wódki.“ — „Ach tak! obrażono zwykły rytuał!“ mówi poważny stary znajomy i przyjaciel rodziców pani Felicji, pan Sękowski. Ciocia odwraca się żywo: „Zwyczaj powinno się szanować.“ — „Jak jakie pani dobrodziejko.“ — „To pan się zgadza z takim lekceważeniem form ogólnie uznanych?“ — „W tym wypadku niema lekceważenia, jest tylko wola gospodyni, bardzo rozsądna.“ — Wieczera w czas podana, była odpowiednia i dobrze przyrządzona, ale bez kosztownych, w domowej kuchni nieużywanych dodatków. Starszy jegomość jadł z wyraźnym apetytem, a przy drugim daniu rzekł wesoło: „Winszuję pani Felicjo, tak smacznych potraw dawno nie jadłem. Jestem wybredny i nie łatwo mnie zadowolić.“ — „Owszem“ odpowiada Felicja uradowana „widzę właśnie, że pan nie wiele wymaga.“ — „Myli się pani, to czego żądam nie znajdzie się tak łatwo przy dzisiejszym pojęciu dobrej kuchni. Lubię tylko te potrawy, które zachowały swój właściwy, niesfałszowany smak, a mocne przyprawy i korzenie przygłuszają naturalny aromat mięsiwa, jarzyn i owoców. Wybaczcie państwo, jeśli to, co mówię, wyda się nudne, lub zbyt długie, lecz pragnę dodać jeszcze jedną uwagę szerszego znaczenia. Zagraniczne wykwinty, napoje, modne, luksusowe przyprawy i sosy powinny być raz na zawsze wygnane z domów polskich.“ — „Czy i w takich rzeczach rozstrzygają „zasady“?“ wtrąciła złośliwie ciocia Wścibska. — „Pani łaskawa, życie składa się z drobiazgów, które razem składają się na sprawy wielkie i na wielkie tych spraw skutki. Policzymy tylko, ile to grosza wyrzuca się na marne, bez koniecznej potrzeby, na przysmaki i napoje zagraniczne, na kosmetyki, stroje i narkotyki przeróżne. Gdyby w czasie uczt i świąt, tak rozrzućnie obchodzonych w naszym kraju, złożono tylko te grosze, które wydaje się na napoje szkodliwe i zbyteczne, ileby to szkół i zakładów kulturalnych lub dobroczynnych można wesprzeć lub uruchomić.“ — „Zwyczaj jest przemożny i trudno go zwalczać. Zresztą, czyż jeden dom może co poradzić.“ — „Z tych „jednych“ domów składa się ustrój narodu, jeśli naród ma być zdrowy, silny i zamożny, to właśnie te *jedne* domy, a zwłaszcza *domy klasy średniej, inteligentnej* mogłyby dać przykład samodzielności, rozsądku i odwagi. W zespole klasowym powinny opierać się naśladowaniu klas bogatych, a klasom ciężko pracującym dać dobry przykład. One w społeczeństwie są tem, czem jest w dobrym chóralnym zespole głos drugi. Nie wolno nam iść za głosem najwyższym, ani opadać z niższym, na jego czystości i pewnem brzmieniu, opiera się harmonja pieśni, jasny dźwięk akordu.“ Felicja słuchała z bijącym sercem, te słowa wyraźnie wskazywały drogę. A jednak czuła w około siebie nieufność i krytykę. „Feleczko, możesz być dumną z pochwały takiego znawcy.“ — „Cieszy mnie to bardzo, radabym, aby wszyscy państwo podzielili ten sąd łaskawy.“ — „Idziesz z duchem czasu, narzucono nam tak trudne warunki, że najwyższa oszczędność nie zawadzi“ — dodała ze złośliwym przyciskiem ciocia“. Tak, oto pani rzuciła nareszcie to wielkie słowo“ podjął zaczepkę starszy pan „tak, przystoi naszej klasie oszczędność rozsądna i rzekłbym wzniosła, a w pierwszym rzędzie oparta na wyrzeczeniu się zbyteków.“ „Przezna-

czenie“ rozpaczliwym wysiłkiem chciało ratować swobodny ton rozmowy, ale gdy raz bomba pękła, gdy padły wyrazy *oszczędność*, *trudne warunki*, już nikt nie zdołał powstrzymać fali wojowniczego ducha, która spłynęła na całe towarzystwo. „Na czym my już mamy oszczędzać?“ biadała jakaś tęga, rumiana pani. „Przestaliśmy prenumerować gazety dla nas, i pisemka dla dzieci, zasługi służącej zmniejszyłam a pomimo tych oszczędności, zaledwie dociągam od pierwszego do pierwszego“. — „A ja“ chwaliła się inna, „wypisałam się z kilku stowarzyszeń pracy społecznej, bo nie mogę opłacać wkładek“. Teraz starszy pan uniósł się naprawdę. Powstał i rzekł zimno: „Moje panie, to nie jest oszczędność. To co panie czynią to jest właśnie *skapstwo*, nieładne i lekkomyślne *skapstwo*. Za picinądze wydane na parę flaszek zupełnie niepotrzebnego likieru lub wina, można takie wydatki lekko opędzić.“ Nie czekając odpowiedzi zwrócił się do pani Felicji, skłonił głowę z szacunkiem i rzekł: „Proszę, może pani zechce wyjaśnić nam łaskawie z jakich pobudek urządziła pani dzisiejsze przyjęcie, tak właśnie, z pominięciem wszelkich wskazówek dawnego, godnego zapomnienia kanonu?“

Tak zapytana Felicja w pierwszej chwili zawahała się nieco i poszukała wzrokiem męża. „Przeznaczenie“ stało spokojnie, widocznie zainteresowane i gotowe na poparcie dobrej sprawy. Więc zebrała się w duchu i głosem wyraźnym, drgającym prawdą odparła: „Zrobiłam to z rozmysłem, zupełnie na własną rękę, sądząc, że poruszenie tej ważnej sprawy, może dom nasz wprowadzić na drogę prawdziwą, owocnej pracy dla kraju.“ — „Dziękuję pani, to właśnie chciałem usłyszeć. Ogół nasz, po wojnie, w której wszystkie klasy społeczne ucierpiały, tak wiele, popadł w dziwny, zresztą psychologicznie zrozumiały odruch gorączkowego pragnienia odwetu, szału radości i użycia, po odmiecie i rozpaczcy. Nigdy lokale rozrywkowe nie były tak liczne i tak przepelnione, nigdy zbytki w stroju, napoju i jadle nie były tak powszechne. A teraz, gdy najsilniejsze budżety nie mogą tych wydatków wytrzymać, robimy oszczędności, oszczędności śmieszne i szkodliwe. Zamiast wyrzec się brzydkich nałogów, ścieśniamy potrzeby kulturalne, nie kupujemy książek, nie prenumerujemy gazet, licho żywimy i licho opłacamy służbę i pracowników domowych, nie chcemy nic wiedzieć o pożytecznych zakładach, o szkołach i związkach, działających nieraz z wielkim wysiłkiem. Trudno oszczędzić tam, gdzie jedno śniadanko z likierem, truflami, drogą wędliną i winem, kosztuje co najmniej tyle, ile wynosi pensja lub dochód miesięczny. Stroimy się, hulamy i narzekamy siarczyście, zamiast odważnie osądzić trudności i błędy i wziąć się ostro do walki.“

Lwów.

Kazimierzowa Bruchnalska.

BOZIU, ZAŚWIADCZ!

(Monolog).

Uważasz, Kiśka, ja go nie znam, ale ja bardzo grzecznie, bardzo uprzejmie... Kiciuśka, przecież ja nie widziałem, że to jest dyrektor banku, ale ja bardzo grzecznie przywitałem się z nim, podałem mu rę-

kę, uścisnąłem dłoń. Kićka, przecież ja nie wiedziałem, że to twój znajomy, prawda? ale ja bardzo grzecznie, bardzo uprzejmie...

No, cóż ty, Kićka, nie nie mówisz? Ja cię przeproszę. Kiciuśka, wypilem parę kieliszków, ale ja ci daję słowo honoru, że grosza nie wydałem. Nie wierzysz? Mam się przysięgnąć? Boziu, zaświadc! No, wypilem parę kieliszków, przyznaję się, może zrobiłem dobrze, może źle, ale już się stało. No, więc co ja mam zrobić? utopić się, otruć? powieści? chyba na twoich ramionach, jeśli pozwolisz. Nie? — to nie.

Uważasz, Kićka, zaprosił mnie ten Miecio Kozłowski. To jest taki miły, sympatyczny człowiek, on jest taki przyjemny w towarzystwie! Jakże ja mu mogłem zrobić taką przykrość i odmówić? Nie mogłem, prawda? Więc nie odmówiłem. Poszliśmy do bufetu, wypiliśmy po kilka kieliszków, stojąc, nawet nie siadaliśmy do stolika, daję ci słowo honoru, on zapłacił i poszliśmy. Ja go odprowadziłem do kjosku, bo on tam sprzedawał kotyljony.

A tam, uważasz, przy kjosku stoi burmistrz i cała klika panów. Obstąpili mnie, naturalnie, i dopytują się o ciebie, czy jesteś na balu, jaki masz kostjum, ale ja wogóle nie chciałem na ten temat gadać, aby nie zdradzić twego incognito. Potem burmistrz ciągnie wszystkich do bufetu. No, jak uważasz, Kiciuśka, miałem nie iść? W każdym razie burmistrz, to jest w mieście persona. Z takim lepiej być dobrze. Po co się narażać? Czasem ma się w magistracie interes, jakiś meldunek czy podatek, to już człowiek ma się do kogo zwrócić. Więc, jak uważasz, Kiciuśka, miałem się narażać? Prawda, że nie? Więc poszedłem. Burmistrz postawił kolejkę, potem inni, ale ja grosza nie wydałem, daję ci najświętsze słowo honoru, nie uwierzysz? Mam się przysięgnąć? Boziu, zaświadc!

Potem zacząłem się rozglądać po sali za tobą, ale widzę, że jesteś otoczona, bawisz się doskonale, więc nie miałem sobie nic do wyrzucenia. Kiedy się tak rozglądam, spostrzegam Stasia Masalskiego. Mówię ci, Kiciuśka, ulany jak ten robaczek, ani ręką ani nogą. To jest mój kolega biurowy, przyjaciel, jakże ja go mogłem zostawić tak na pośmiewisko? Więc się nim zająłem. Kazałem woźnemu sprowadzić dorożkę i odwoziłem go do domu.

Trzeba trafu, że tam imieniny starszego pana. Goście, ma się rozumieć, na stole buteleczki, także a jakże! Nie chciałem tam zostawać, bo przecież ty zostałeś sama, ale jak zaczęli namawiać, nalegać, nie mogłem odmówić. Przecież nie jestem dorożkarzem! Tu wznoszą toast na cześć solenizanta, jakże ja mogę odmówić? Nie mogłem mu przecież sprawić takiej przykrości, prawda? Potem zdrowie pani, wszystkich pań i t. d. i t. d., że wiesz, Kiciuśka, sam nie wiem kiedy, ale strąbiłem się, jak ten robaczek, że ani ręką, ani nogą! Przypomina mi się, że ty jesteś sama na balu, nie masz pieniędzy przy sobie, może ci jestem potrzebny, więc przepraszam towarzystwo, że muszę wracać, a tu ani rusz! Dopiero brat Stasia odwoził mnie do teatru.

Kiцьka, jaki ja byłem zmęczony! Nie masz pojęcia! Nie miałem siły pójść na salę. Więc w garderobie zaszyłem się gdzieś w kąci pod futrem i uciałem sobie drzemkę. To mi dobrze zrobiło, wiesz, Kiciuśka? Bo ja wiem, jak długo spałem? Kto wie, może dotąd spałbym jeszcze? Obudziły mnie dopiero hałasy na sali. Słyszę jakieś okrzyki, bra-

wa, oklaski, budzę się, co jest? Przypomina mi się, że ty jesteś na sali, więc zrywam się, przetarłem oczy i idę na salę. I co się okazuje? Moja żona, cholera, królową balu! No wiesz, Kićka, jestem z ciebie dumny! Kto się spodziewał, że ty weźmiesz pierwszą nagrodę? Przecież, Kiciuśka, pamiętasz, ja wcale nie chciałem, żebyś szła w tym kostjumie? Za parę groszy kupiła bibułki, zrobiła sobie kostjum i bierze pierwszą nagrodę! A tu panie w jedwabiach, koronkach i nic! No, wtedy, Kiciuśka, byłem z ciebie dumny! Obstąpili mnie wszyscy, składając gratulacje, powinszowania, idziemy do bufetu oblać twoją viktorję. No i znowu musiałem pić, ale, darujesz, Kićka, w tym wypadku to już nie moja wina, po co zostałeś królową balu? Po co wzięłaś pierwszą nagrodę. Ha, trudno, skoro się ma tak sławną żonę, trzeba godnie postępować! Kiciuśka, jaki ja byłem szczęśliwy! Ja jestem bardzo zadowolony!

No, cóż ty, Kiciuśka, nic nie mówisz? Ja wiem, ty sobie tak patrzysz i myślisz: „Jaki ten mój mąż pijak?“ prawda? Och, Kiciuśka, nie jest tak źle, jak myślisz. Prawda, że ja czasem sobie wypiję, Kiciuśka, ale ja grosza nie wydám, daję ci najświętsze słowo honoru, nie wierzysz? Mam się przysięgnąć? Boziu, zaświadczyć! Mnie lubią ludzie, co ja zrobię na to, każdy mnie ciągnie, każdy się chce ze mną napić, więc mam odmawiać? Z jakiej racji? Nie widzę potrzeby, więc nie odmawiam. Ale ja grosza nie wydám! I jabym wogóle do miasta nie wychodził, jeśli chcesz wiedzieć prawdę, tylko ja ci powiem. Wiesz, Kićka, jak ja wracam do domu, już nieraz jestem w korytarzu i pomyślę sobie, że tam za drzwiami ty mnie przywitasz chłodno, z miną zasępioną, to wiesz, Kićka, ja wolę nie iść do domu, wracam do miasta. I wtedy to stracę, ale daruj: to już twoja wina! Dlaczego ty jesteś taka? Dlaczego ty mnie nie przywitasz tak mile, uprzejmie? Jabym sam do domu dążył, a tak uciekam. Ja ci daję słowo honoru, Kićka, że ja się ciebie boję, gdy jesteś taka nadąsana. Bądź ty dobra dla mnie, Kićka, miła, uprzejma, to i ja będę inny.

Zobaczysz, Kiciuśka, tak! tak!

Ale nie martw się, Kiciuśka, jeszcze nad naszym podwórkiem gwiazda zaświeci. Za dwa dni ciągnięcie, niech tylko Bozia da, że na mój los padnie wygrana, a do tego większa, to ja ci, cholero, pokażę, jakiego ty masz męża! Ty mnie jeszcze nie znasz! Nic wziąć do ręki nie pozwolę, od czego służba? Każda zachcianka twoja będzie w mig spełniona! Dopiero zobaczysz, jakiego ty masz męża!

Czego ty płaczesz?! Dlaczego nic nie mówisz? No, mów, do cholery ciężkiej? Czego płaczesz? U nas nigdy nie będzie dobrze! Zawsze tak jest! Ile razy mnie coś cieszy, to ona z tego powodu urządza historję! Więc dowiem się nareszcie? Więc, mam iść? Dobrze, ale żebyś nie żałowała!

Dowidzenia Pani! Moje uszanowanie!!!

Zduńska Wola.

Zofja Olszewska.

Stanisław Sztama



Przekleństwo alkoholu.

J A S I A.

Zadzwoił dzwonek i po chwili dziewczęta wybiegły z klasy. Była wczesna jesień, najlepsza pora na zbieranie kasztanów wśród szeliszczących, złoto-czerwonych liści, zaścielających aleje miejskiego ogrodu. Jak stado rozspiewanych ptaków, biegly dziewczynki rojnemi, wesołemi ulicami.

— Jasięńko!

Dwunastoletnia dziewczynka w granatowym płaszczyku zatrzymała się. Przed nią stał mężczyzna w średnim wieku, w zaplamionym i podartym płaszczu, spod którego wyglądały postrzępione spodnie i zniszczone buty. Na nieogolonej twarzy widać było niezmyte smugi brudu. Wyciągnięta do dziewczynki ręka silnie drżała. W zapuchniętych oczach malował się wyraz trwogi.

— Jasięńko! — powtórzył człowiek. — Poznajesz mnie, córeczko?

Mała podniosła swoje jasne, błękitne oczy; nie, nie poznawała tego obcego, brudnego człowieka, nie tylko nie poznawała, ale bała się go poprostu. Coś w wyrazie jego oczu przejmowało ją lękiem. Tak właśnie wyglądał tam na wsi, w lecie, stary żebrak, „głupi Janek“, z którego kpiły wiejskie dzieci, obrzucając go kamieniami i grudami błota.

Trzęsąca się ręka nieśmiało i wahająco przysunęła się do różowego policzka dziewczynki, ale mała energicznie cofnęła głowę; przy tym ruchu jeden z jasnych, starannie przewiązanych granatową wstążką, warkoczy opadł na jej ramię. Człowiek, jak zahypnotyzowany, przywarł nieprzytomnym wzrokiem do włosów dziecka.

— Jasięńko! — powtórzył jeszcze raz, w głosie jego słyhać było powstrzymywany szloch. — Jasięńko, córeczko.

Dziewczynka cofnęła się o krok. Teraz, nagle, jakby ktoś rozdarł przed jej oczami ciemną, gęstą zasłonę, poznała obcego. W tym jednym słowie „córeczko“, krył się jej ojciec. Ojciec, który znikł z jej życia, kiedy miała pięć lat, i który teraz, niespodzianie zjawił się przed szkołą, obdarty i brudny, trzęsący się, zapomniany i odrażający.

Ręka mężczyzny, brudna, o paznokciach otoczonych czarnymi obwódkami, spoczęła na ramieniu dziecka. Z daleka dolatywał śmiech dziewcząt; czekały na nią, ach, jakże im powie, że ten tutaj, że ten w łachmanach, to jej ojciec.

— Niech pan mnie puści — powiedziała cichutko. — Ja pana wcale nie znam. Mamusia...

— Twoja matka jest suką! — krzyknął nagle obcy. — Pewno zabroniła ci mówić ze mną, co? Pewnie przez te wszystkie lata wmawiała ci, że jestem łajdakiem, prawda? A może powiedziała ci, że umarłem...

Mała stała nieruchomo. W jej dwunastoletniej główce wirowała ulica, koleżanki, jasny dzień jesienny, kasztany, które chciała zbierać. Czowała, że lzy napływają jej do oczu i wstydziła się tego. Nie, nie będzie płakać, nie pozwoli obrażać matki. Hardo spojrzała na człowieka w brudnym płaszczu:

— Muszę już odejść, — powiedziała spokojnie. — Widzi pan prze-

cież, że koleżanki czekają na mnie. Pan się na pewno omylił, to niemożliwe, żeby pan był moim ojcem. Mój ojciec już dawno nie żyje, proszę, niech mnie pan puści.

Ale ręka, spoczywająca na jej ramieniu, zacisnęła się silniej, blada twarz pochyliła się nad dziewczynką:

— Pocałuj mnie chociaż — powiedział prosząco obcy, a w nozdrza dziewczynki buchnął ostry, duszący zapach. I prawdopodobnie na fali tego zapachu w jednej chwili wróciło do niej wczesne dzieciństwo, zapomniane już niby, a zapamiętane na zawsze, ukryte gdzieś w zakamarkach podświadomości, jak chore ziarno gotowe zawsze zakiełkować trującym chwastem.

— Niech pan ode mnie odejdzie — powtórzyła mała drewnianym głosem, a w oczach jej, suchych już teraz i bardzo spokojnych, wyczytał obcy taki ogrom niedziecięcego bólu, wstydu i rozpacz, że nagle, niezdarnie odwrócił się od niej i chwiejnym krokiem poszedł przed siebie.

*

*

*

— Mamusiu, kiedy umarł mój tatuś?

Pytanie to wpada w szary zmierzch jesienny, w ciszę pokoju, jak grom. Jasnowłosa kobieta, leżąca na tapczanie, unosi się na łokciu i patrzy na dziewczynkę.

— Już dawno temu, — odpowiada wymijająco. A potem, nie mogąc opanować ciekawości:

— Dlaczego o to pytasz, Jasiu?

Ale mała milczy. Wie zupełnie napewno, że człowiek, który dziś przed szkołą zaczepił ją, ten straszny człowiek jest jej ojcem. Poznała go. Wrócił do niej wraz z zapachem jej dzieciństwa. Więc żyje. A matka — kłamie. Jej matka. Dlaczego?

— Jasiu, przecież pytałam się ciebie? — głos matki brzmi surowo, oczy z niepokojem szukają oczu dziewczynki.

— Ja, nic, mamusiu, — jąka się Jasia. — Ja tylko tak, coś sobie przypomniałam. Naprawdę.

I matka, uspokojona, wraca do czytanej powieści.

Wpokoju panuje cisza, w tej ciszy Jasia, mozolnie, jak wędrowiec, przedzierający się przez splątany gąszcz leśny, dąży w zapomniany już świat wspomnień.

Jest jakiś pokój stołowy, nad stołem żółta lampa świeci jak bursztyn, takie same bursztyny nosi na szyi stara ciepła kobieta, tuląca do siebie dziecko. Dziecko jest senne, dziecko chce spać, za chwilę ciepła, stara niania zanieśie dziecko do łóżeczka, na ścianach tańczą cienie, duży zegar mruczy jak kot, mały brzuszek jest pełny słodkiej, dobrej kaszki, zaraz, zaraz spać.

Nagle w ciszę i spokój wpada krzyk, krzyk leci w powietrzu jak groźny ptak, za sekundę zatrzyma się nad samą główką sennego dziecka, spadnie na tę główkę olbrzymim ciężarem, dziecko boi się, dziecko płacze.

Znów ten pijak robi awantury! — mruczy niania, chwyta na rękę zanoszące się płaczem, przerażone dziecko i ucieka z nim na zimne, ciemne, kuchenne schody.

Jasia podnosi głowę i patrzy przed siebie. Wspomnienia narastają, tłoczą się, wszystkie wspomnienia pachną tak samo, odrażająco i przenikliwie. Znów napływa jakiś obraz, znów ktoś płacze, znów krzyk.

— Nie rusz dziecka! — krzyczała wtedy mama. Wielka ręka, taka sama ręka, jak ta dzisiaj, przed szkołą, ciągnie do siebie trzyletnią, nie nierozumiejącą Jasię. — Pijany jesteś, znów pijany, zostaw dziecko!

Z hukiem pada na podłogę ciężki przycisk, a w ślad za nim duży wazon. Na podłodze, w smudze rozlanej wody, leży kobieta. Z rozciętej skroni sączy się krew.

— A, a, a! — zanosí się płaczem przerażona, trzyletnia Jasia.

*

*

*

— Proś tatusia, błagaj tatusia, pocałuj go w rączkę, o tak — uczy w ciemnym korytarzu czteroletnią Jasię stara niania. — Powiedz, że jesteś głodna.

Tatuś stoi przed lustrem, czemś srebrnem, błyszczącym zdejmując z twarzy białą pianę mydła. To Jasia rozumie, tatuś wychodzi na wiecór, tatuś goli się...

— Proś tatusia, niech zostawi w domu chociaż ze trzy złote! Dziś dostał pensję, znów całą przepije — ciągnie małą za rączkę niania. — No, idź prędzej.

Jasia pochyla się nad ręką ojca, owiewa ją znany odór. „Niech tatuś zostawi w domu chociaż trzy złote, mówi jak papużka, dziś tatuś dostał pensję, znów całą tatuś przepije, a ja będę głodna...”

*

*

*

— Idź, Jasiu, do tatusia, powiedz, że nie mam na chleb.

Mamusia stoi przy oknie, w pokoju jest ciemno. Rano był obcy pan, nie nie pomogły błagania mamusi, na liczniku elektryczności w przedpokoju wisi duża plomba. Ale Jasię ciemności nie martwią, sąsiednie dachy, pokryte śniegiem, ślicznie wyglądają, są białe, jak z cukru. Jasia jest otulona w stary koc, w dwa sweterki mamusi i jeszcze przykryta chustką. Niani już nie ma, „żał mi cię, okruszyno, ale zdychać tu z wami z głodu przez tego pijaka nie głupiam”.

„Idź, Jasiu! — powtarza mamusia. — Czego ta mamusia tak płacze? Może głodna? — Więc Jasia z trudem gramoli się spod koca, chustki, swetrów i biegnie do ojca. Ale już na progu, słysząc gwizdzące chrapanie, przystaje. Tuż przed nią, na podłodze, leży pusta butelka.

*

*

*

Wygryźli mnie z posady, mówi tatuś. Ci łajdacy, dranie.
Mamusia milczy. Tatuś mówi dalej:

Stanisław Sztaba.



Przekleństwo alkoholu.

— Pracowałem dla nich całe lata, a oni, jak psa — won za drzwi! Młodość straciłem, zdrowie sterałem.

Mamusia milczy, drżącą ręką gładzi pięcioletnią Jasię po włosach. W pokoju nie ma już tapczana, ani kredensu. Na stole stygnie w grubych szklankach blada, gorzka herbata. I masła nie ma w maselnicy.

Wygryźli mnie, słyszysz! — powtarza tatuś, a w głosie jego czai się coś złego, coś niebezpiecznego. Jasia zna ten głos, jej serce nagle zaczyna walić jak młotem, w gardle robi się zupełnie sucho. Pięcioletnia Jasia pod stołem składa rączki, tylko niech oni nie krzyczą, modli się bezdźwięcznym ruchem warg, Boże, dobry Boże, niech oni tylko nie krzyczą...

— Ty, suko! — ryczy nagle ojciec, — milczysz, cieszysz się z mojego nieszczęścia, ty, suko!

I znów w pokoju cuchnie ostro, przenikliwie alkohol.

*

*

*

Jasia unosi głowę. Nie ma sensu przypominać sobie wszystkie nieszczęścia. Teraz jest dobrze. Mamusia pracuje, mamusia dba o Jasię. O tamtych sprawach trzeba zapomnieć.

Jasia podchodzi do mamusi, obejmuje ją mocno za szyję, tuli pieścizotliwie swoją jasną główkę do twarzy matki.

— Wstyd, taka duża panna! — śmieje się mamusia i całuje Jasię. I w tym cichym pokoju, przy mamusi, takiej spokojnej i dobrej, czuje się Jasia zupełnie bezpieczna.

Ale nazajutrz jest znów dzień, i Jasia budzi się z ciężarem na swoim dwunastoletnim serduszku. Sama nie wie dlaczego, prześladuje ją, męczy jakieś złe przecucie.

Będzie znów czekał na mnie, myśli, składając książki i stara się wymknąć ze szkoły po lekcjach w jaknajwiększym gronie koleżanek, zagubiona wśród granatowych płaszczyków i czapeczek. Zaledwie jednak przechodzi próg gimnazjalnego gmachu, widzi go — nędzną, obdartą postać, stojącą na jej drodze.

I nagle w dziecku coś się budzi; może to jest litość, współczucie, a może wspomnienia niosą jej nie tylko tamte mroczne, niezrozumiane i ponure dni. Teraz naprzykład, w chwili kiedy zmierza ku niemu, widzi znów siebie; siedzi wysoko, wysoko, na ramieniu ojca, ojciec kołysze nią prawie pod samym sufitem, i oboje śmieją się, pełni radości i miłości...

Obdarty człowiek odwraca się, widzi dziecko, wyciąga rękę, tym razem mała wita go uśmiechem, gorąca fala zalewa jej serce, wszystko jedno, że widzą ją koleżanki, że z bramy wyszła właśnie nauczycielka i ze zdumieniem patrzy wślad za oddalającą się, dziwaczną parą: małą, starannie ubraną dziewczynką i człowiekiem w łachmanach.

*

*

*

Siedzą w parku na ławce, na jednej z bocznych ławek, jesienne słońce jaskrawo oświetla jasne oczy dziewczynki i niegoloną twarz jej ojca. Ale mała nie widzi tego, wpatrzona w powracające do niej najwcześniejsze dzieciństwo.

— To ty byłeś ze mną wtedy w cyrku... A wtedy na łódce, kiedy wpadłam do wody i o mało się nie utopiłam, pamiętasz?

Mężczyzna śmieje się, po raz pierwszy od wielu lat.

— Nie byłabyś się utopiła, — przekonywuje ją gorąco — przecież byłem przy tobie...

Rączka dziewczynki gładzi pieszczotliwie postrzępiony rękaw staro-palta. Potem mała mówi z wahaniem:

— Gdybyś do nas wrócił. Ale...

Ojciec patrzy w oczy dziecka, zgaduje niedopowiedziane słowa. Niespodzianie podnosi ufną rączkę do ust i mówi twardo:

— Ani kropli więcej. Nigdy, pamiętaj, nigdy!

I brzmi to jak przysięga.

Teraz Jasia idzie do domu, lekka i radosna. Wszystko ułoży się jak najlepiej, tatuś wróci do nich, taki sam tatuś, jak ojcowie wszystkich jej koleżanek. Będzie z nim chodziła do kina i na ślizgawkę, będzie się go radzić, jak rozwiązywać trudne zadania arytmetyczne. Jak inne dzieci.

Mężczyzna patrzy w słońce, jest szczęśliwy. Wierzy w świętość swojej przysięgi, wierzy w powrót do życia. Ogarnia go wielka wdzięczność i roztkliwienie. Powoli wstaje z ławki, alejką pełną bawiących się dzieci zmierza ku wyjściu z parku. Ręka, zagłębiona w kieszeni, natrafia na portmonetkę, pod palcami krządek monety, twardy, krągły pieniądz...

Z mijanego na rogu ulicy baru bucha woń potraw. Mężczyzna zatrzymuje się: jest taki szczęśliwy, w ten jesienny, słoneczny dzień. Tak i wspañiale szczęśliwy.

Trzeba to oblać, myśli pogodnie. Koniecznie trzeba to oblać. Na szczęście!!!

I znika za drzwiami baru.

*

*

*

— Nigdy! — krzyczy histerycznie matka — nigdy!

Jasia kuli się w kącie pokoju. Co ona zrobiła, Boże, co ona zrobiła? Płacz matki, gniew matki spada jak lawina na jej głowę. Ach, poco, poco opowiedziała o widzeniu z ojcem, dlaczego nie milczała?

— Ty mu wierzysz? — krzyczy matka, wpół do siebie, wpół do dziecka. — Ty wierzysz, że przestanie pić!!! Znów będzie mnie męczył, znów będzie wyciągał z domu ostatni grosz na wódkę, będzie wynosił z domu rzeczy, będzie — kradł...

Ostatnie słowo jest już chyba najgorsze, nie, nie jest najgorsze, gorsze słowa matki były te, w których wymawiała Jasi, że pracuje na

nią, że wszystkiego sobie odmawia, żeby tylko wykierować ją na człowieka.

W głowie Jasia panuje zamęt. Za wszelką cenę trzeba się starać zrozumieć, co tu się dzieje, czego matka, ta spokojna i pogodna zawsze matka, tak rozpaczliwie krzyczy.

Jasia wymyka się do kuchni; Marcysi nie ma w domu, w jej alkowicie, na łóżku, na wysoko spiętrzonych poduszkach, można spokojnie usiąść i myśleć. Chude rączki tragicznym gestem oplatają główkę, obciążoną dwoma jasnymi warkoczami. Jasia za wszelką cenę chce wrócić do swoich wspomnień, nie tych wczorajszych, ponurych i przejmujących dreszczem przerażenia, ale do dzisiejszej, pogodnej i pełnej słowności rozmowy z ojcem.

— Janka — woła mama. Janka! chodź tu w tej chwili...

Dziewczynka wchodzi do pokoju. Już wie, kiedy mama mówi do niej „Janka“ — jest źle.

— Mów prawdę, — dyszy matka, — mów prawdę — podałaś mi nasz adres?

— Nie — kłamie Jasia — nie podałam!

I w tej właśnie chwili ktoś ostro dzwoni, dzwonek przeszywa ciemny przedpokój, jak błysk noża, mama biegnie do drzwi, otwiera je, w smudze światła padającej z klatki schodowej Jasia widzi sylwetkę ojca, i zanim jeszcze słyszy pierwsze słowa, już wie, już czuje — ojciec jest pijany.

— A, moja małżonko! — czka w przedpokoju ojciec, ojciec zbliża się chwiejnym krokiem do matki, matka stoi nieruchomo, matka boi się?

— Ukochana małżonko! — jakoś śmiesznie deklamuje ojciec, — cto wróciłem do ciebie, twój mąż ślubny, na zaproszenie naszej ukochanej córeczki...

— Jasiu — mówi głucho matka, w tym głosie jest wszystko. Całe życie rozpaczy, walki, upokorzeń, nędzy, niepokoju, klęsk. — Jasiu!

Ale Jasia nie słyszy, nie chce słyszyć. Na jej dwunastoletnie ramiona wali się straszliwe brzemie życia, w jej dwunastoletnim sercu płonie miłość do matki i miłość do ojca, gorycz rozczarowania i zupełnie dojrzała, ludzka bezradność.

Nic nie pomoże nikomu, nic nie poradzi, z jej winy stało się to wszystko, tylko z jej winy! Nigdy już nie wróci spokój, nigdy już nie będzie pogody, wszystko jest stracone.

Do pokoiku służącej, przez otwarte okno wpływa miejski, perłowy zmierzch. Szary bruk w dole kusi, wabi, woła — chodź, chodź! Ja cię ukoję, ja cię nauczę zapomnienia...

Na parapecie kłęczy drobna figurka dwunastoletniej dziewczynki. „Już idę“, mówi cichutko Jasia i pochyla się mocno wpród.

Lena Sölm.

ILEŻ PRACY POTRZEBA.

Cóż stąd, że gdzieś na świecie są kryniczne zdroje
I otwarte gościńce do dumy współbraci;
Jeśli brak drogowskazów, znaczących rozdroża,
Jakże wielu zabłądzi, zgubi ślad, zatraci.

Cóż stąd, że łąn dojrzały, w słońcu się kołysze,
Może lepiej go wcale siać nie było trzeba,
Może lepiej, by pole stało się ugorem,
Jeśli w plonie da wódkę, miast zdrowego chleba.

Cóż stąd, że mleczna droga wybiega w przestworza,
A w górze nad chmurami nieba jest błękitem,
Gdy na ziemi w kałużach gaśnie iskra Boża,
Gdy gwiazdne, jasne szlaki dla wielu są mitem.

Ileż pracy potrzeba, ile dobrej woli,
By rzucić mrokom garście słonecznych promieni,
Rozbudzić siłę w słabych, błędzących ochronić
I bezkres nieba przybliżyć ku ziemi.

Zofja Herwichowa.

NA 20-LECIE „TRZEŻWOŚCI“.

Zagadnienie alkoholizmu jest w dzisiejszych, jakże ważnych czasach, niezmiernie doniosłe.

Zwłaszcza dla Polski.

Nie chcę przytaczać cyfr, tablic, ani wykresów, poprostu z tej przyczyny, że boję się znudzić czytelników, którzy może powiedzieliby: „mamy już dość tego, znamy to na pamięć“.

Streszczę jednak wszystko, co napisano w Statystyce alkoholologii za ostatnie lata, w jednym zdaniu:

Doszliśmy w Polsce do stanu zatrważającego i jeżeli się nie ocniemy, jeżeli nie zejdziemy z błędnej drogi, to osłabimy poważnie naszą Ojczyznę, tak drogą nam w tej chwili.

Czy wiecie o co chodzi?

O to, aby w dziejowej chwili cały Naród służył Idei Trzeźwości, bo nic tak nie osłabia Narodu, jak alkoholizm, a za nim w parze słaba wola, żądza użycia, rozwiązłość obyczajów, brak poświęcenia dla najwyższych idei, brak siły i wytrwałości w pracy dla Państwa.

Może powiecie, że to przesada? Spytajcie, ile Monopol zarobił! Miljardy złotych w ostatnich latach przepitych w Polsce, to fraszka?!

Czy nie możnaby tego samego alkoholu użyć dla celów przemysłowych?

Jest ostatni czas, ostatnia godzina, aby się Naród otrząsnął z nałogu alkoholizmu.

A czy wiecie, Obywatele, że gdybyście pieniądze przeznaczone na

wódkę, czy piwo poświęcili na Fundusz Obrony Narodowej, czy Pożyczkę Obrony Przeciwlotniczej, to mielibyście pełną satysfakcję, a Ojczyzna korzysta?

Bo wiecie, że największe rzeczy na świecie dokonywują się przez ofiarę i poświęcenie jednostek dla zbiorowego dobra.

Teraz, kiedy Polska jest w potrzebie, kiedy zachodnia nasza granica musi przetrzymać wiele, trzeba, by każdy z nas dał z siebie wszystko, na co go stać. Aby się wyrzekł wielu przyjemności i nałogów. Przecież wszystko dla Polski! żeby była silna i gotowa do odparcia wszelkich zakusów, godzących w naszą całość!

Niechże więc wszyscy ci, którzy się za dobrych patriotów uważają, a są zwolennikami spożywania alkoholu, złożą ofiarę z siebie i dadzą ten grosz na inne, szczytniejsze cele, na obronę kraju.

Bo chwila jest tak ważna, jak nigdy przedtem.

I chciałbym się zwrócić z prośbą, z błaganiem nawet do tych, którzy w Armji naszej ukochanej służą.

Nie używajcie pod żadnym pozorem alkoholu. Nie osłabiajcie waszych sił fizycznych i umysłowych, skoro przed Wami stoją ciężkie i odpowiedzialne zadania! Naród patrzy na Was i oczekuje, że obrońcie kraj, gdy zajdzie potrzeba. Czy możecie go bronić, gdy organizm jest osłabiony alkoholem? A czy wiecie, że w czasie wojny światowej jedna z wielkich bitew na froncie francuskim, została przez Niemców dlatego przegrana, że żołnierze, dostawszy się do bogato zaopatrzonych w wino piwnic francuskich, byli niezdolni do walki, o czem świadczy raport dowódcy armji do gen. Ludendorffa?

O przegranej przez Napoleona bitwie pod Waterloo zadecydował również alkohol. Trzeba o tem także pamiętać.

Cóż znaczą bohaterskie wprost wysiłki ludzi zgrupowanych wokół Towarzystwa „Trzeźwość“ w Polsce, cóż znaczą wszelkie akademje, wykłady i kursy, których w ciągu 20 lat było dużo, jeżeli ogół społeczeństwa tkwi korzeniami w alkoholizmie, czego dowodem są setki milionów złotych rocznie, wydanych na alkohol?

Czas najwyższy, aby się otrząsnąć, aby każdy teraz zrozumiał, że alkoholizm, to grób Polski.

Niechże to nam się wryje w pamięć z okazji 20-lecia T-wa „Trzeźwość“, jednej z czołowych organizacyj w Polsce, której każdy czyn, każde hasło walki z alkoholizmem rzucone w społeczeństwo, jest filarem, na którym się opiera zdrowie Narodu i potęga Rzeczypospolitej.

Dr. Piotr Radło.

MŁODZIEŻ Z. M. W. „WICI“ POW. KOZIENICKIEGO W WALCE Z GORZAŁKĄ.

Jak już wiadomo Szanownym Czytelnikom, młodzież wiciowa pow. kozienickiego od 8 lat toczy ustawiczny bój z gorzałką. Walka jest dosyć trudna, gdyż psychologia wsi, kształtowana wiekami przez duszącą atmosferę karczmy i kieliszka nie łatwo da się zmienić i nieprędko podda prądom odrodzeniowym wiejącym już dzisiaj nie od po-

szczególnych osób, czy rodzin, ale dziesiątków wsi i gmin pow. kozienickiego.

Nie przyszło to łatwo, nie dokazał tego jeden kurs, czy jedna pogadanka lub wieczornica, ale osiągnane obecnie piękne owoce, pochłonęły wiele zbiorowej pracy. Wiele na ten temat wypowiedziano słów, wiele przeżyła młodzież wprost dramatycznych scen, zanim zdołała przekonać swych rodziców, krewnych, znajomych, że alkohol nie jest konieczny na zabawie, weselu, chrzcinach, oświadczeniach, transakcjach handlowych, i że prawdziwą radość zdrowy *nerwowo* człowiek przeżywa tylko w stanie trzeźwym.

Najtrudniej jest przekonać starszych. Oni, jak mówi poeta, „Urodzeni w niewoli, okuci w powiciu“, nie nauczyli się jeszcze myśleć i czuć, jak wolni ludzie, przeto trudno im dostosować się do czasów, w których młode pokolenie wsi postawiło sobie wzniosły cel wychowania młodego twórczego człowieka. Ten inny człowiek przestanie być zwykłym stworzeniem roboczym, ale obywatelem pełnym inicjatywy i samodzielności. Obywatelem współodpowiedzialnym już nie tylko za swoje opłotki, ale za gminę, powiat i Państwo. Nic też dziwnego, że starsze pokolenie, co nie przeszło takiej szkoły obywatelskiego myślenia (a jeżeli przeszło to tylko nieliczne wyjątki), nieprędko chce pojąć i zrozumieć zdrowe zasady młodzieży, gdyż stanowią one wielki wyłom w konserwatywnej często psychice wsi, która nasiąknięta nałogiem alkoholizmu nie poddaje się jeszcze zbiorowo zdawałoby się tak prostej, a najważniejszej zdrowej idei „Precz z wódką“. Osobiście nie potępiam krańcowo starszej ludności wiejskiej, za to, że taka jest jak jej przodkowie. Z wódką chce nadal się żenić, chrzczyć, grzebać, wybierać sołtysa, wójta, pomagać w pracy i t. p.

Nie mogę jej jednak wybaczyć tego, że po przez swój nieprzejednany upór, niweczy często wiele zdrowych poczynań swoich córek i synów; stając w poprzek na szeroką skalę zakrojonemu planowi młodzieży, idącemu po linii gruntowej przebudowy struktury duchowej i gospodarczej wsi. Poczytuję i winię starsze pokolenie, że nie chce docenić w młodzieży tych szlachetnych zrywów i dążeń, jakimi młoda wieś usiłuje zmienić dotychczasową zrobaczną atmosferę, która stanowiła, a nawet jeszcze stanowi cieplarnianą wylęgarnię dla pijaństwa, a z nim związanego, złodziejstwa, bijatyk, awantur, zabójstw, kłótni, nienawiści i t. p. W takich oparach zwiędnąć musi wiele wykielkowanych treściwych myśli, które gdyby wzrosły i rozwinęły się, zmieniłyby życie niejednej wsi i gminy, a poprawiły dołę tysięcy ludności wiejskiej. Tych ostatnich przywilejem jest nędza i ustawiczny brak wszystkiego, ale co smutniejsze, że nawet ciężko zapracowany przez nich pieniądź, zamiast pójść na niezbędne potrzeby, często posłuży, jako zapłata za wychylone kieliszki bez liczenia się z tem, jak żyje strapiona żona i biedne wygłodzone, a obdarte i zziębnięte dzieci.

Mimo tylu przeszkód i wielu przykrości, młodzież wiciowa nie opuszcza rąk, ale nadal walczy z gorzałką, coraz lepsze osiąga wyniki.

Z radością stwierdzić muszę, że powyżej naszkicowany obrazek jest ustawiczną troską świadomej młodzieży wiciowej, która walcząc z wódką na wsi, nie czyni tego dla takiej czy innej reklamy, ale

pod nakazem wewnętrznym i w poczuciu ciężącej na niej odpowiedzialności, za godny politowania los tych co piją, a tem samem tak ściśle związany z tem dobrobyt wsi i zależną od niej Moc i Potęgę Państwa.

Wprawdzie nie wszystka młodzież wiciowa, nawet w kozienickiem, zdała egzamin w walce z wódką i niektórzy zrobili mi b. bolesny zawód, liczę na to, że i oni jeszcze się namyślą. Wierzę tem mocniej, bo współpracuję z nimi tyle lat, wiem, jak sprawy dobra ludności głęboko leżą im na sercu, jak głęboko wrosli w ciężką, a bardzo odpowiedzialną pracę społeczną, wiem również i o tem, że jeden z nich, chcąc wyprawić swoje wesele bez wódki, a nie mogąc nakłonić do tego rodziców, swojej narzeczonej, pozrywał z tej racji z rodziną i w ten sposób zmanifestował swój bunt, przeciwko tym, co jeszcze nie wyzwolili się z hańbiącej niewoli kieliszka i butelki.

Są i tacy w kozienickiem, co nie mogąc wymusić na rodzicach swej narzeczonej, żeby wesele odbyło się bez wódki, oświadczyli, że po wzięciu ślubu i przyjęciu błogosławieństwa rodziców, nie zajeżdżają na wesele, lecz jadą wprost do swego domu. Taka zdecydowana postawa wystarczyła, że wesele zostało urządzone *bez wódki*. żeby tak sprawę postawić, trzeba być Jaśkiem Banasiem z Aleksowa.

Po tym, cokolwiek zadługim wstępie, chcę powiadomić Szanownych Czytelników, że w ostatnich czasach w powiecie Kozienickim odbyły się 3 wesela bez wódki

O weselu kol. Stanisława Jaworskiego z kol. Otolją Szarpakówną pisał już Pan Redaktor Szymański w przedostatnim numerze „Trzeźwości“. Wesele to dobrze nam utkwilo w pamięci, bo jechaliśmy na nie samochodem *bez światła* i podróż 20 kilometrów przebyliśmy szczęśliwie wśród mglistej nocy. Wprawdzie raz znaleźliśmy się w rowie, ale Pan Senator Lżycki i Pan Redaktor Szymański, zarówno jak i niżej podpisany, wyszliśmy z tej „miałej przygody“ bez złamań nóg, rąk, czy zeber, jak również poważniejszych siniaków.

Mimo tak „emocjonujących“ przygód dotarliśmy do wsi Mieczysławowa i wspólnie z dużym zespołem weselników rozbawionych i rozśpiewanych, przyjemnie spędziliśmy czas. Z radością przypatrywaliśmy się wesolemu choć 100% trzeźwemu nastrojowi, pięknym inscenizacjom młodzieży i dzieci. Te ostatnie nauczyły się śpiewać i inscenizować w „Przedszkolu“. Kol. Otolją Szarpakówna włożyła w to wiele pracy, zanim dzieci nauczyła tak pięknych inscenizacji, ale w uroczystym dniu jej ślubu przyjemnie jej było na nie patrzeć. Najważniejsze, że dzieci, które na wsi stoją pod oknami w czasie uczyty weselnej i tak słuchają nierzadko całkiem nieparlamentarnych słów, na weselu bez wódki mają wyznaczoną rolę i stanowią miłą dekorację całej uczyty; nikt ich nie przegania z kąta w kąta, z mieszkania do mieszkania i to stanowi w naszych stosunkach wiejskich bardzo ważny czynnik wychowawczy. Z tego młodego narybku w trzeźwej atmosferze i pod nadzorem starszych wyrośnie ten typ człowieka wiejskiego, jaki jest w planie wychowawczym wiciowego młodego pokolenia pow. kozienickiego. Dążeniem naszym jest, aby koleżanek Otylję było jak najwięcej w każdej wsi; rozumie się, że, takich Stachów Jaworskich musimy też więcej wychować.

O całości tego wesela pisać byłoby dużo, uczynimy to szczegółowiej, pisząc historję młodzieży wiejskiej powiatu kozienickiego.

O weselu kol. Banasia Jana i jego siostry Katarzyny, które odbyły się bez wódki, dzisiaj pisać nie będę, uczynię to innym razem. Wogóle tej przykładnej rodzinie należy poświęcić więcej czasu i miejsca. Tu podkreślić tylko trzeba, że Banaś Ignacy, ojciec Jasia, jako ludowiec dobrze odczytany, wyrobiony, uspołeczniony, bez reszty oddany sprawie i ofiarnej pracy dla wsi, nie tylko wychował swoje dzieci na uczciwych, trzeźwych, szlachetnych, pełnych inicjatywy i samodzielności również przodowników wsi, ale przez swój szeroki horyzont myślenia świeci przykładem dla innych.

Obywatel Ignacy Banaś, który ukochaną swoją matkę i małżonkę pochował bez wódki, a ekwiwalent tej sumy przeznaczony na wódkę, ofiarował na zakup książek do kołowej biblioteki, śmiem twierdzić, staje się przykładem dla wsi całej Rzeczypospolitej.

Rodzina Banasiów z Oleksowa i ich pionierska praca dla wsi, to ideał chłopa polskiego. Ileż w Polsce wypisano atramentu, ile zużyto papieru, ile strawiono nad takimi zagadnieniami czasu, ile wyczekano lat, zanim w wiejskiej, przydrożnej, czystej, ogrodzonej, obsadzonej zewsząd drzewami owocowymi chałupie pojawił się Ignacy Banaś.

Oceniając wielkie wartości społeczne i osobiste Jasia Banasia oraz jego siostry Katarzyny i to że oboje wyprawili swoje gody weselne bez wódki, należy podkreślić, że takie nastawienie oddziedziczyli po swych pełnych cnót rodzicach. Na tem miejscu niech mi będzie wolno imieniem własnem i miłych Czytelników wyrazić nieutulony żal, że ś. p. matka Banasiów nie doczekała radosnych chwil trzeźwego wesela ukochanych Jasia i Kasi.

Garbatka.

Dr. Jan Jaworski.

DZIAŁ HIGJENY PSYCHICZNEJ I-go MIEJSKIEGO OŚRODKA ZDROWIA W WARSZAWIE W WALCE Z ALKOHOLIZMEM.

Pierwszy Miejski Ośrodek Zdrowia i Opieki w Warszawie prowadzi poradnie m. i.: przeciwalkoholową, pedologiczną i wad wymowy, które ściśle współpracując ze sobą, stanowią „dział higieny psychicznej“ terenowej placówki służby zdrowia.

Zbyt szczupłe ramy zapoczątkowanej w tym zakresie pracy nie upoważniają nas jeszcze do wyodrębnienia zespołu tych poradni w dział specjalny. Jednak tylko w ten sposób instytucja mogła wysunąć zagadnienie higieny psychicznej i podnieść go do zagadnień zdrowotnych o szerszem znaczeniu społecznem, podlegającym kompetencji samorządowej służby zdrowia.

W związku z XXI Międzynarodowym Kongresem Przeciwalkoholowym, który odbył się w Warszawie w roku 1937, Ośrodek wydał prace statystyczne z poradni przeciwalkoholowej i pedologicznej, które ujawniły formy i rozmiar akcji przeciwalkoholowej, wykonanej przez dział higieny psychicznej instytucji.

W niniejszym artykule pozwolimy sobie podać główne spostrze-

zenia, jakie poczynione zostały w wyniku szczegółowych badań kilku tysięcy kart lekarskich, pielęgniarskich i psychologa w okresie 15-letniej pracy Ośrodka, przeprowadzonej w ramach opieki otwartej.

Tak zwana opieka *otwarta* polega na wykonaniu całej akcji leczniczej i opiekuńczej nad *chorym* i jego *rodziną* na terenie domu w normalnych warunkach życia i pracy. Przytem starano się w całej pełni zachować i rozwinąć wszystkie wypróbowane i wielce wartościowe metody pracy zakładowej, usuwając równolegle ujemne strony tej opieki zwanej *zamkniętą*.

W zakresie rozpoznania opieka zakładowa nad chorym posiadała następujące warunki dodatnie:

- a) ustalenie dłuższej i bezpośredniej obserwacji nad chorym,
- b) przeprowadzenie szczegółowych i wszechstronnych badań lekarskich,
- c) ustalenie obciążenia dziedzicznego i przyczyn, sprzyjających rozwojowi nałogu,
- d) zapoznanie się z usposobieniem, zdolnościami i zamiłowaniem chorego w celu nakreślenia indywidualnych form pracy twórczej nad odbudową zrujnowanej woli chorego i pobudzenia do pracy nad sobą.

W zakresie leczenia należy podkreślić następujące dodatnie cechy opieki zamkniętej:

- a) natychmiastowe zerwanie z szynkiem, drogą pełnej izolacji chorego,
- b) czujna i stała kontrola nad zachowaniem pełnej abstynencji od chwili rozpoczęcia kuracji,
- c) powołanie na terenie zakładu organizacji abstynenckiej przy współdziałaniu personelu lekarskiego, pielęgniarskiego, pomocniczego w celu stworzenia oparcia dla słabej woli osobników chorych, zwłaszcza w chwilach załamania się i zwątpienia we własne siły.

Pierwszą placówką społeczno - lekarską, która według tego planu, w ramach opieki otwartej, poprowadziła pomoc lekarską dla alkoholików i walkę z alkoholizmem szerokich mas, — była poradnia *przeciwalkoholowa*. W I-szym Ośrodku Zdrowia w Warszawie, zapoczątkowała ona swoją działalność w roku 1925.

Zadaniem personelu poradni było:

- a) doprowadzenie chorego do poradni,
- b) utrzymanie chorego przez dłuższy czas pod opieką, w celu przeprowadzenia obserwacji i zapoznania się z warunkami bytowania, atmosferą domową, konfliktami, troskami, warunkami pracy, zamiłowaniem i t. p.,
- c) za pośrednictwem różnorodnych działów Ośrodka przeprowa-

dzenie szczegółowych badań lekarskich w celu zapoznania się z ogólnym stanem zdrowotnym pacjenta,

- d) przeprowadzenie leczenia przeciwalkoholowego zgodnie ze współczesnym stanem wiedzy lekarskiej,
- e) przeprowadzenie na terenie domu stałej kontroli nad pełną abstynencją chorego,
- f) stworzenie działu pomocniczego ściśle współpracującego z poradnią w postaci organizacji abstynenckiej, która, za przykładem otoczenia zakładowego, stanowiłaby teren zbiorowej współpracy z chorym o słabej woli, ustawicznie zagrożonej na załamanie się w ramach opieki otwartej.

Konieczność przeprowadzenia kontroli i odwiedzin domowych wysunęła potrzebę roztoczenia opieki nad rodziną chorego, która jest *podstawową jednostką, podlegającą opiece poradni*.

Jest to najwięcej charakterystyczny rys opieki otwartej. Opieka zamknięta obejmuje swymi wpływami wyłącznie tylko osobę chorego, znajdującego się przytem w sztucznych warunkach pełnej izolacji. Równolegle zakład nie jest w stanie przygotować powrotu chorego do domu, ze względu na brak możliwości ustalenia kontaktu i oddziaływania na rodzinę, często zbyt daleko zamieszkałą. To też poradnia przeciwalkoholowa, rozpoczętą głównie w zakresie leczenia pracę, rozwija stopniowo w szeroką akcję o charakterze zapobiegawczo-wychowawczym. Poradnia przeciwalkoholowa I-go Ośrodka w okresie 15-letniej swej działalności posiadała około 2.000 pacjentów.

Zasadniczym rysem tego środowiska jest wielka różnorodność jego pod względem grupy, wieku, wykształcenia i pozycji społecznej.

Materiał statystyczny wyraźnie sygnalizuje w latach ostatnich zmniejszenie się liczby młodocianych nałogowców, co może być już wynikiem rozwoju opieki nad dzieckiem i młodzieżą. Równolegle zwiększa się liczba pacjentów, zgłaszających się w sile wieku i w okresie największej rozrodczości, co podnosi doniosłość opieki nad całą rodziną.

Pod względem wykształcenia skład chorych przedstawia się w sposób następujący :

analfabeci i półanalfabeci . .	10%
wykształcenie elementarne . .	60%
„ średnie i wyższe .	30%

Wśród pacjentów spotykamy więc robotników, rzemieślników, studentów, inżynierów, prawników, lekarzy, artystów i t. p., którzy wskutek ułomności psychicznej i często fizycznej, niejednokrotnie staczali się na dno życia. Jednak różny poziom inteligencji wymagał w wysokim stopniu indywidualnego podejścia, w celu pozyskania zaufania chorego i pobudzenia do współpracy w walce z nałogiem. Na podkreślenie zasługuje również sposób, w jaki chory zgłasza się do poradni. Z liczb porównawczych pracy statystycznej wynika, że w roku 1925 liczba samotnych chorych, zgłaszających się do poradni wynosiła w zaokrągleniu 38% ogólnej liczby pacjentów. W roku 1934 odsetek ten spadł już do 19%, zaś w chwili obecnej, samotnie zgłaszający się do poradni, chory jest wyjątkiem. Prawie wszyscy pacjenci zgłaszają się do poradni,

nawet na wizyty wtórne, w towarzystwie osób rodziny, najbliższego otoczenia, kolegów i t. p. Niejednokrotnie choremu towarzyszy nawet chlebodawca, lub właściciel mieszkania. Sądzymy więc, że poradnia należyce przeprowadziła pierwszy i podstawowy warunek swej pracy nad chorym, uświadamiając, przygotowując i powołując rodzinę i otoczenie do współpracy z lekarzem i chorym.

Do ogólnej charakterystyki pacjentów należy dodać, że wśród 1278 alkoholików, podłoże dziedziczne przedstawia się w sposób następujący:

- a) obciążenie alkoholowe 56%
- b) obciążenie psycho i neuropatyczne 22%
- c) bez obciążenia 16%
- d) brak danych 6% (Odsetki podane w zaokrągleniu).

Widzimy więc, że pacjenci poradni w 78% przypadków posiadali ciężkie obciążenie i wymagali roztoczenia nad nimi stałej opieki poradni i jej działów pomocniczych.

Z biegiem lat niepomierne zwiększyła się liczba pacjentów z poza dzielnicy, co w wysokim stopniu utrudniało opiekę świetlicy i wykonanie wywiadów domowych. Jednak nie zmniejszyło to wydajności pracy poradni, jak wynika z następujących liczb porównawczych:

W roku 1935 na jednego chorego przypadało przeciętnie porad 5, w 1934 — 21, w 1938 do 30.

W ciężkich przypadkach liczba porad na 1-go chorego obecnie dochodzi do kilkuset. Wyniki pracy poradni nad alkoholikami do roku 1934 łącznie przedstawiają się w sposób następujący:

Dobre wyniki obejmują 37%, w tem do 8% stanowi pełne i długotrwałe opanowanie nałogu i 29% opanowanie nałogu w stopniu dostatecznym do samodzielnego zarobkowania. Rubrykę tę zasilają chorzy, którzy po kilku latach opanowania nałogu załamują się, czyli ze względu na ciężkie zmiany natury psychicznej potrzebują stałej i troskliwej opieki poradni i jej działów pomocniczych, przy współpracy z którymi utrzymują się na poziomie samodzielnego zarobkowania.

Dodatknie wyniki w ogólnej akcji zapobiegawczej obejmują:

- a) wpajanie podstawowych wiadomości z dziedziny alkoholologii szerokim warstwom ludności dzielnicowej,
- b) zrzeszenie w ramach organizacji abstynenckiej młodzieży dzielnicowej, zwłaszcza, podlegającej bezpośrednim destrukcyjnym wpływom alkoholików (w rodzinach alkoholowych),
- c) zorganizowanie racjonalnej opieki nad dzieckiem z rodziny alkoholika w poradni pedologicznej,
- d) opracowanie druków poradnianych, form i metod pracy, szkolenie personelu lekarskiego i pielęgniarskiego, opracowanie materiałów i ogłaszanie prac w zakresie walki z alkoholizmem na terenie poradni przeciwalkoholowej.

Należy przytem wyjaśnić, że praca świetlicowa, powołana do życia dla celów poradni przeciwalkoholowej pomogła rozwinąć propagan-

dę całokształtu akcji zdrowotnej dotychczas mało popularnej w dzielnicy.

Równolegle ujawniła ona *konieczność* prowadzenia pracy kulturalno - oświatowej we wszystkich rodzinach i całym środowisku, podlegającym opiece Ośrodka. Swoiste formy zespołowej pracy stworzyły wyjątkowo dogodne warunki do najściślejszego zespolenia instytucji z terenami i pozwoliły rozpoczętą w zakresie lecznictwa pracę, poradni rozwinąć w szeroką akcję o charakterze zapobiegawczo-wychowawczym.

W chwili obecnej świetlica Ośrodka, prowadzona przy współudziale Koła T-wa „Trzeźwość“, jest działem pomocniczym poradni, klubem rodzinnym pacjentów i petentów Ośrodka i terenem zespołowej pracy dzieci i młodzieży dzielnicy. Świetlica dąży do rozwoju zdolności i zamiłowań swych członków (prowadzi orkiestrę, koło dramatyczne, koło sportowe, bibliotekę) do nauczania ich pracy zespołowej, do korzystania z godziwych rozrywek, sportu i t. p. Stąd też choinki dla dzieci, uroczyste obiady noworoczne dla starców, przedstawienia i zebrania towarzyskie dla dzieci, młodzieży, osobników wieku dojrzałego, wycieczki krajoznawcze i t. p., — są tymi promykami światła i ciepła, troski i pamięci, które topią lody nieufności, tworzą podatny i żyzny grunt dla pracy abstynenckiej, i bronią skutecznie placówkę opieki otwartej od złego wpływu szynków i barów.

Liczy sprawozdawcze w zakresie pracy świetlicowej są wymowne:

W roku 1925 przez salę odczytowo - rozrywkową przeszło 5.000 osób, w latach ostatnich liczba ta wzrosła do 30.000.

Należy więc wnioskować, że wielka liczba obywateli dzielnicy niejednokrotnie przeszła przez salę Ośrodka, zapoznając się z pracą poradni przeciwalkoholowej, z wynikami przez nią osiągniętymi, z klęską jaką jest dla rodziny i państwa nieopanowany nałóg jednostek i mas. Równolegle Koło „Trzeźwości“ nawiązuje kontakt ze wszystkimi dzielnicowymi organizacjami społecznymi, urządza na ich rzecz przedstawienia, używa orkiestry, sali odczytowej i t. p. Tym sposobem, wprowadzając do różnych organizacji terenowych zagadnienie walki z alkoholizmem i gorące uznanie dla pracy abstynenckiej, stwarza jakby olbrzymi szpital otwarty dla alkoholików i ich rodzin, w którym chorzy znajdują się pod opieką lekarską, pielęgniarską, swych uświadomionych rodzin, przyjaciół, organizacji społecznych, chlebobawców w normalnych warunkach swego życia i pracy.

W ogólnym przeglądzie pracy nad rodziną alkoholika, specjalną uwagę należy poświęcić organizacji opieki nad dzieckiem, wykonywanej przez poradnię *pedologiczną*.

Zadaniem poradni jest:

- a) roztoczenie opieki nad dzieckiem zadowolonym umysłowo, trudem do prowadzenia, nerwowym, psychopatycznym, źle wychowanym, opuszczonym, krzywdzonym, wykojejonem i dziećmi, znajdującymi się w zatargu z rodziną, szkołą, otoczeniem, lub organami bezpieczeństwa publicznego.
- b) wydawanie opinii o zbadanych dzieciach,

- c) we własnym zakresie roztoczenia opieki higieniczno - lekarskiej, prowadząc w miarę możliwości leczenie psychoterapiją,
- d) informowanie rodziców, opiekunów, wychowawców, sędziów o specjalnych instytucjach wychowawczych, opiekuńczych, o zakładach leczniczych, szkołach i świetlicach specjalnych, kolonjach i półkolonjach i t. p., oraz okazanie pomocy przy umieszczaniu w nich dzieci,
- e) szerzenie propagandy o zadaniach poradni pedologicznej i szkolenie personelu lekarskiego i pomocniczego.

Pracę nad dzieckiem, poradnia pedologiczna stara się rozpocząć, jak najwcześniej, obejmując pod swą opiekę niemowlęta z zahamowanym rozwojem, zwłaszcza ze spóźnioną mową, chodem i spóźnionem zachowaniem czystości (moczenie się). Praca nad dzieckiem zostaje poprzedzona szczegółowymi badaniami somatycznymi, psychologicznymi, pedagogicznymi z uwzględnieniem podłoża, na jakim dane schorzenie, konflikt, wykroczenie, lub wykojenie mogło powstać. Ustalenie wad organicznych odbywa się za pomocą licznych i różnorodnych działów instytucji, jak poradni ocznej, laryngologicznej, przeciwenerycznej, przeciwalkoholowej i t. p.

W okresie 10-cioletniej swej pracy, czyli od r. 1927 do r. 1937 poradnia posiadała 1.600 pacjentów. W pierwszych latach frekwencja w poradni była niewielka, gdyż placówka ta o charakterze pionierskim nie cieszyła się zainteresowaniem świata lekarskiego, była bardzo mało popularną w świecie pedagogicznym i zupełnie nieznaną szerszemu ogółowi. To też poradnia pedologiczna wśród wielu trudności stopniowo torowała sobie drogę do normalnego rozwoju swej pracy i ustalenia kontaktu ze szkołami, zakładami i innymi instytucjami zainteresowanymi opieką nad dzieckiem.

Ogólna charakterystyka pacjentów poradni przedstawia się w sposób następujący:

- 1) obarczenie alkoholowe, psycho i neuropatyczne wśród 892 pacjentów — czyli w 55,6% przypadków,
- 2) dzieci zakładowe, sieroty, dzieci podrzucone, których stan zdrowotny rodziców był nieznan — 420 — 26%,

Należy jednak przypuszczać, że śmierć rodziców, w młodym wieku, porzucenie i rozpad rodziny w znacznej liczbie przypadków nie odbyło się bez destrukcyjnego wpływu alkoholizmu. Podany niżej przegląd pracy statystycznej obejmować będzie wyłącznie przypadki pochodzące z rodzin alkoholowych.

Warunki zewnętrzne, w których przyszło na świat, żyło i rozwijało się dziecko alkoholika były bardzo złe, niejednokrotnie wprost straszające. Jednoizbowe mieszkania stanowiły do 70%. Zaludnienie izby stanowiło przeciętnie dla wszystkich lokali do 6 osób, przytem zaludnienie do 10 osób na izbę stanowiło 41,8% wszystkich lokali jednoizbowych, zaludnienie zaś do 15 osób na izbę — 2,2%. Ogólną charakterystykę tych mieszkań można podać w zwięzłej formułce: „ciasno, ciemno, wilgotno, brudno“. W zaokrągleniu do 75% dzieci nie posiadało

oddzielnego postania, dzieląc łożę z rodzicami, rodzeństwem, krewnymi i lokatorami obojga płci.

Do tego tła ogólnego należy dodać bezrobocie głównych żywicieli rodziny, przeciążenie pracą nieletnich dzieci, głód, ciężkie kary cielesne, ażeby ujawnić w pełni ujemne *zewnątrzne*, lecz potężne działanie złożonego kompleksu alkoholowego na rozwój fizyczny i psychiczny dziecka. Równoległe z tem działa szereg ujemnych czynników wewnętrznych, jako choroby społeczne, wady wrodzone, obciążenie psycho i neuropatyczne, które w atmosferze rozprężenia rodziny, jej przestępczości, przejawianej w obecności dziecka, znajdują wielce dogodne warunki rozwojowe. Toteż rozpoznania ustalone w poradni dla dzieci z rodzin alkoholowych dają następujący obraz ciężkich zmian natury fizycznej i psychicznej:

- a) dziecko normalne 9,4%,
- b) upośledzenie umysłowe 42,5%,
- c) zmiany psycho i neuropatyczne 27,5%,
- d) wady wrodzone i wady wymowy 3,2%,
- e) dziecko wykolejone, specjalnej troski 11,5%,
- f) choroby społeczne i inne 4%,
- g) badania niedokończone 1,9%.

Widzimy więc, że wśród dzieci z rodzin alkoholików na pierwsze miejsce wysuwa się *upośledzenie umysłowe*. Wielką troskę stanowi również dziecko ze stanami psycho i neuropatycznymi, jak i dziecko trudne do prowadzenia na terenie domu, a zwłaszcza na terenie szkoły i zakładów w życiu zbiorowym większych dziecięcych gromad, na które działa w wysokim stopniu destrukcyjnie.

Przed poradnią pedologiczną powstaje ogrom zadań. Należy ustalić rozpoznanie, dzieci ułomne pod względem umysłowym i chore psychicznie należy umieścić w szkołach, zakładach i świetlicach specjalnych, głodne dożywiać, zaopatrzyć w ubranie, podręczniki, zapewnić pomoc w nauce, podnieść stan zdrowotny i sanitarny dziecka i otoczenia, podnieść upadające w rodzinie warsztaty pracy i t. p. Widzimy więc, że praca w środowisku ułomnym pod względem psychicznym, równoległe z zagadnieniami zdrowotnymi wysuwa szereg zadań opiekuńczych na czele z zagadnieniem ekonomicznym, wielce trudnym do rozwiązania wśród osobników często niezdolnych do życia samodzielnego. Toteż nie może ono być rozwiązane przez niesienie pomocy materialnej w postaci zapomogi pieniężnej, znaczna część której zużyta zostałaby na rozwój nałogu pijackiego. Należy pomoc materialną zastosować w postaci świadczeń skierowanych bezpośrednio dla dobra dziecka (mleko, tran, mieszanki, obuwie, opłata za sanatorium dzienne, żłobek, świetlicę i t. p.) lub skierować do podniesienia upadających warsztatów pracy. Widzimy więc, że niesienie pomocy materialnej w tych warunkach wymaga stworzenia całego aparatu, co zostało uskutečněnione w obecnym dziale opieki społecznej Ośrodka.

Tylko przy wspólnym wysiłku poradni pedologicznej z działem zdrowia i opieki terenowej placówki służby zdrowia udało się wśród

dzieci z rodzin alkoholowych uzyskać dobre wyniki w 52% przypadków.

Dobrym wynikiem nazywa poradnia osiągnięcie we własnym zakresie celu, który oczywiście, dla każdego przypadku będzie inny w zależności od stanu chorobowego dziecka. W stosunku do dziecka szkolnego, posiadającego normalny wskaźnik inteligencji, dobre wyniki będą obejmować ukończenie szkoły. Dla dzieci upośledzonych umysłowo dobre wyniki obejmują ukończenie szkoły specjalnej lub kilku jej oddziałów. Dla głuptaków i idjotów dobre wyniki obejmują zachowanie czystości, lub wprawienie się do pracy domowej, co pozwala na pozostawienie chorego pod opieką otwartą. Dobre wyniki obejmują również poprawę wymowy, poprawę stanu zdrowotnego (padaczka, płasawica), lepszy rozwój umysłowy dziecka (myxoedema) i t. p. Osiągnięcie tak różnorodnych wyników wymagało zastosowania w wysokim stopniu różnorodnego arsenału środków zaradczych przy współdziałaniu szkół, zakładów, świetlic i szeregu innych instytucyj zainteresowanych opieką nad dzieckiem.

W przeglądzie tym nie podajemy wyników pracy poradni wady wymowy, gdyż znajduje się ona jeszcze w stadium doświadczalnym. Nie omawiamy również pracy poradni padaczkowej, która funkcjonowała zbyt krótko, ze względu na brak sił lekarskich. Cieszyła się ona wielką frekwencją i stałaby się prawdopodobnie bardzo wartościową placówką w otwartej opiece nad epileptykami.

Przegląd wyżej podany ujawnia nie tylko dorobek, jaki został już osiągnięty w walce z nałogiem, lecz i wielkie możliwości, jakie przedstawia otwarta opieka w zakresie zapobiegania i lecznictwa przeciwalkoholowego przy zwartym i skoordynowanym wysiłku działu higieny psychicznej Ośrodka z dzielnicową ludnością.

Dr. Stanisław Stypułkowski.

SPORT I ALKOHOLIZM.

Niejednokrotnie już na łamach „Trzeźwości“ poruszana była sprawa sportu i alkoholizmu. Sprawa to pierwszorzędnej wagi. Sport i wychowanie fizyczne mają dać społeczeństwu i Państwu zdrowych obywateli, ludzi zahartowanych, o silnej woli, o stalowych nerwach. To cel i ideał sportu.

To też zrozumiałą jest rzeczą, że na krzewienie sportu łoży się poważne sumy, a on sam, jego rozwój stanowi jedną z pierwszych trosk czynników kierowniczych w Państwie.

Niestety, jak wszystko ludzkie, sport również ulega różnym brakom i wadom. Do takich braków i wad — i to jednych z najważniejszych, czołowych — należy nie rozwiązana należycie w ramach sportu i wychowania fizycznego u nas wogóle, kwestja alkoholizmu. Sprawa ta jest traktowana pobieżnie, dorywczo, bezprogramowo.

I to jest źle, to się mści w najszkodliwszy sposób na sporcie i jego osiągnięciach wielokrotnie w sposób bardzo przykry, bolesny, a czasem nawet katastrofalny.

Dwa te zjawiska: sport i alkoholizm, to dwie rzeczy wykluczające się wzajemnie, to dwie zasadnicze *sprzeczności*, których współzycie jest niemożliwe, których pogodzić niepodobna w żaden sposób.

Jak nie można połączyć ognia z wodą, tak nie można dopuszczać, aby sportowcy używali alkoholu, bo sportowiec, używający jakiegokolwiek narkotyku, już przez to samo przestaje być tem, czem zapewne chce być — wzorem, ideałem sportowca.

Tak pojmowany stosunek sportu do alkoholu odbiega jednak, niestety, nierzadko, od rzeczywistej rzeczywistości.

Odbiega od życia powie ktoś, więc jest nierealny...

Ale pamiętajmy, że jeszcze nie tak dawno sam sport był rzeczą nową; przecie starsze pokolenie, dziś jeszcze żyjące i czynne, nie знаło takiego rozwoju sportu, jak to ma miejsce dziś... Ta nowość, zdobywając sobie należne miejsce, miała w swem ręku duże, niemal nieograniczone, możliwości; bo i społeczeństwo i państwo przychylnie traktowały i traktują jej rozwój i potrzeby. W tych nadzwyczaj szczęśliwych okolicznościach sport wywalczał dla siebie szereg przywilejów i zdobyczy. Mógł więc łatwo włączyć do zakresu swej atmosfery, swego klimatu, swoich zadań i celów — trzeźwość, trzeźwość całkowitą, jako *conditio, sine qua non*...

Niestety, w sporcie, jak i w wielu innych wypadkach, przeważały w tej sprawie — życie, „tradycja“, obyczaj, a mówiąc ściśle i szczerze: nałóg, słaba wola i... bezmyślność.

Tem bardziej stało się to szkodliwe dla sportu, że on właśnie *miał* i mógł przeobrazić ten dawny, gnuśny i strupieszwały świat, miał go *odrodzić*, a więc uwolnić od pęt i więzów, od szkodliwości i trucizn, które go tak silnie niszczyły, doprowadzając do stanu osłabienia i bezwładu.

Sport miał być czynnikiem twórczym, niemal rewolucyjnym — w najlepszym tego słowa znaczeniu. Nie stał się nim w całej pełni, bo nie potrafił zniszczyć, zmiążyć tego, co było objawem zepsucia i skazy dawnego świata — alkoholizmu.

Alkoholizm wieku XIX, uprzemysłowiony, sięgający do najdrobniejszych skupisk ludzkich, do każdego niemal człowieka, oparty o tradycję i nałogi dawnych wieków, wieków niewiedzy i ciemnoty, przetrwał do naszych czasów, które nie bez dumy nazywamy nowymi. Przetrwał on, jakby na szyderstwo z postępu i cywilizacji, ze zdobyczy nauki i techniki, z przeobrażeń społecznych i zmian politycznych.

To też ludzie, znający dokładnie zagadnienie alkoholizmu (bynajmniej niełatwego do poznania), przypuszczali, że nowy ruch wychowawczy o charakterze reformatorskim — sport i wychowanie fizyczne wogóle, zbliżający człowieka do surowej a pięknej prostoty *przyrody*, do naturalnych, przyrodzonych jej praw rozwoju i bytu, wyzwoli adeptów tego ruchu, jego kierowników i masy im posłuszne z tego wszystkiego, co niszczy, co degeneruje człowieka, jego siły fizyczne i moralne, jego zdolności i możliwości psychiczne i fizyczne.

Niestety, tak jak u nas przynajmniej, w dużym stopniu spotkał ich bolesny zawód.

Alkoholizm nie został całkowicie i bezwzględnie usunięty z samych podstaw i zasad wychowania fizycznego; nikt prawie nie wymagał od kierowników, wychowawców, instruktorów wychowania fi-

zycznego i sportu całkowitej abstynencji osobistej, ani nie żądał, aby jej zasady krzewił wśród swych wychowanków, lub podwładnych z całym przekonaniem, z całą stanowczością.

Tak, w tej sprawie, jak może w żadnej innej i w żadnym innym wypadku, wskazane i niezbędne są: przekonanie i stanowczość; przekonanie o bezwzględnej szkodliwości alkoholu nawet w najmniejszych dawkach i stanowczość w żądaniu posłuchu dla zaleceń i rozkazów w dziedzinie abstynencji sportowców. Abstynencji nie na pokaz, nie dla formy, ale rzeczywistej, istotnej, wynikającej z własnego, abstynencyjnego trybu życia przede wszystkim kierowników sportu.

Niestety, tu właśnie tkwi najsłabsze i najboleśniejsze miejsce omawianej sprawy. Kierownicze elementy naszego sportu naogół nie hołdowały idei całkowitej abstynencji,—*Władysław R. Kozłowski* stanowią pewnego rodzaju wyjątek,—wielu natomiast miało głęboko zakorzenione przeświadczenie, że szkodliwe i niebezpieczne jest *nadużywanie alkoholu*, na całkowitą i bezwzględną abstynencję patrzyli się, jako na przesadę teoretyków, jako na wymysł zapaleńców, lub zgoła nierealnych ideologów.

Wyniki takiego stanu rzeczy są smutne.

Przy szkoleniu i zaprawie w wychowaniu sportowem i fizycznym nie kładzie się dostatecznego nacisku na zagadnienie alkoholizmu, przeciwnie, pomija się niejednokrotnie tę sprawę milczeniem, zbywa się ją jakimś komunałem... Nic więc dziwnego, że młodzi adepci sportu, nie znając, nie odczuwając wagi tej sprawy, nie tylko nie poczuwają się do niezbędności zachowania abstynencji całkowitej, ale czasem nawet nie obserwują umiarkowania, a to już prowadzi wprost do katastrof...

Umiarkowanie, które wysuwa się często, jako kontrargument przeciw abstynencji, w sporcie, w wychowaniu fizycznym, jest absurdem i nonsensem wierutnym. Chodzi przecie o element młody, o organizmy dzieci i młodzieży, jakżeż tu można rozprawiać o stosowaniu umiarkowania, gdy w tych wypadkach w stosunku do dzieci i młodzieży od czasów Jędrzeja Śniadeckiego i Józefa Szymkiewicza powinniśmy wiedzieć, i to dokładnie, że alkohol jest bezwzględnie szkodliwy i przeciwwskazany...

Więc jak mogą oddziaływać dodatnio na dzieci i młodzież ich kierownicy, jeżeli sami nie są abstynentami, jeżeli najlepszych swych wskazań i zaleceń nie popierają argumentem najpotężniejszym, decydującym — przykładem?!...

Doszliśmy do sedna rzeczy, do istoty zagadnienia — sport i alkoholizm.

A zagadnienie to jest w bardzo wysokim stopniu życiowe, realne, co stąd pochodzi, że dzieci i młodzież, podlegające wychowaniu fizycznemu, oddające się sportom i zawodom sportowym, pochodzą w większości ze środowisk, gdzie tak czy inaczej używa się alkoholu, gdzie czasem nadużywa się go, gdzie nierzadko panuje kult obyczaju alkoholowego.

Materiał więc, z którym ma do czynienia wychowanie fizyczne i sport jest narażony na alkoholizm, lub wprost jest już nim zarażony. I, niestety, podczas trwania wychowania fizycznego, podczas uprawiania sportu nie przechodzi odpowiedniego nauczania w kierunku absty-

nencji całkowitej, nie obserwuje twórczych, zachęcających przykładów swych nauczycieli, a przeciwnie, spotyka się, jakżeż często, albo z obojętnością, albo z alkoholizmem, (mniejsza już z tem, w jakiej postaci).

Celem wychowania fizycznego, racjonalnie pojętego, sportów, należyce uprawianych, ma być idealny, harmonijny rozwój fizyczny i psychiczny człowieka. Temu ideałowi przeczy, możność jego osiągnięcia paraliżuje używanie jakichkolwiek środków narkotycznych, choćby w najmniejszych ilościach.

Niestety, ta prawda niezbita, zwłaszcza w stosunku do organizmów rosnących, rozwijających się, nie została wcielona w praktykę życia w całej pełni, w całej rozciągłości, ani w naszym wychowaniu fizycznym, ani w naszym życiu sportowym.

A przecie i jedno i drugie, to nie jakaś bezmyślna zabawa dla ciemnych tłumów, lub bezkrytycznych dzieci i młodzieży zapalnej, to wielkie i pełne doniosłości przygotowanie przyszłych obrońców Państwa, przyszłych jego obywateli, do możliwości wydobycia z siebie i zastosowania maximum energii fizycznej i psychicznej, przygotowanie i rozwój planowy możliwości pełnego rozwinięcia ich sił twórczych, ich zalet, jak: wytrwałość, pracowitość, poświęcenie, zapał, altruizm — uspołecznienie.

To wszystko, jakżeż często, hamuje, lub niszczy alkoholizm, rozpoczynający się zawsze od picia umiarkowanego, nierzadko w wieku bardzo wczesnym.

Walka z alkoholizmem jest niezmiernie trudna. Racjonalnie i celowo przeprowadzona akcja przeciwalkoholowa na terenie wychowania fizycznego i sportu, mogłaby się w dużym stopniu przyczynić do umożliwienia osiągnięcia poprawy w tej tak zaniedbanej i tragicznej u nas sprawie.

Gdybyśmy weszli w sporcie na drogę stosowania w praktyce absolutnej abstynencji, wyszłoby to na dobro nie tylko sportowi i wychowaniu fizycznemu młodzieży, ale i na dobro społeczeństwa całego, na dobro Państwa, a o to właśnie dobro chodzi, gdy mowa o niezbędnej i naglącej potrzebie zupełnego wyeliminowania alkoholu z życia dzieci i młodzieży, oddających się z takim zapałem sportom.

Jan Szymański.

LIST KRAKOWSKI.

Kraków w maju 1939.

Z grona przyjaciół „Trzeźwości“ ostatnimi czasy ubyło w Krakowie kilku ludzi wybitnych, a szczerze idei naszej oddanych. Nie żyje ś. p. Witold Rubczyński, znakomity profesor Wszechnicy krakowskiej i prezes Towarzystwa Filozoficznego, który mimo lat sędziwych stale przychodził na imprezy abstynenckie, na nasze kursy, interesując się żywo tematem wykładu i jego prelegentem, a na różnych konferencjach głos zabierał, by na zagadnienie alkoholizmu rzucić światło z wyżyn myśliciela. Umarł ś. p. dr. Stanisław Breyer, którego nazwisko spopularyzowały w kraju jego zioła lecznicze, a który z zamiłowaniem sze-

rząc ideę przyrodolecznictwa, namiętnie zwalczał nałogi i z tą myślą założył „Ligę Zdrowia“. Z jej ramienia zasiadał w zarządzie „Trzeźwości“ i miewał niekiedy wykłady o alkoholizmie i nikotynizmie, pełne myśli oryginalnych, jak wogóle jego poglądy. Pochowaliśmy ś. p. radcę Stefana Jaszana, kwestora Uniwersytetu, a ostatnio Akademii Górniczej, który ofiarnie przez 8 lat sprawował czynności skarbnika w tutejszym zarządzie „Trzeźwości“. W Rybnej pod Krakowem zmarł ś. p. Maciej Stachowski, chłop w siermiędze, jako samouk szeroko wykształcony i wszechstronną działalnością społeczną niezmiernie zasłużony dla swej gminy, która była też wsią rodzinną jego przyjaciela, poety Rostworowskiego. W swojej pracy społecznej stawiał on na pierwszym miejscu walkę z alkoholizmem i oddawał się jej całą duszą, mimo, że późny wiek i stan zdrowia utrudniały mu robotę w praktyce.

Obyśmy po wsiach naszych mieli wszędzie takich właśnie przekonanych o potrzebie zupełnej abstynencji, zapalonych apostołów trzeźwości! Cześć pamięci zmarłych przyjaciół naszego Towarzystwa. O jego działalności na terenie krakowskim pragnę podać kilka danych z ostatniego okresu.

Jak w latach poprzednich, największą wagę przykładano się do dorocznego Kursu. Składa się on teraz stale z 42 wykładów, do których zaprasza się około 30 prelegentów, kompletując ich skład, poza siłami z Uniwersytetu Jagiellońskiego, między specjalistami zamiejscowymi, przeważnie z Warszawy. W roku ubiegłym tytuł kursu opiewał: Psychiczne oblicze zagadnienia alkoholizmu. Tegoroczny miał hasło aktualne: Obrona kultury warunkiem obronności Państwa. Do tego dostosowana była większość prelekcji poza wykładami zasadniczymi, które muszą wchodzić w skład takiego kursu przeciwalkoholowego. Jak w szeregu lat ubiegłych, impreza ta organizowana jest jako bezpłatny cykl wykładów dla dorosłej inteligencji, z którego publiczność może sobie wybierać do woli nazwiska prelegentów, czy tematy kogoś bliżej interesujące — i to daje frekwencję wahającą się między 300 a 500 osób w największym audytorjum naszego Uniwersytetu, w sali Kopernika w Collegium Novum, a osoby, które zgłoszą się do kierownika na inauguracji i następnie przez 14 wieczorów rejestrują swą obecność, traktuje się jako stałych słuchaczy kursu 42-godzinnego i wydaje się im po 2 tygodniach świadectwo, że wysłuchali kursu alkoholologii w celu zużytkowania zdobytych wiadomości w pracy społecznej na niwie walki z alkoholizmem. Liczba takich słuchaczy co rok dochodzi do 200. Na ostatnim kursie, odbywającym się w Krakowie od 20 marca do 2 kwietnia, było ich o kilkadziesiąt osób mniej z powodu nastrojów wojennych, które musiały wypłaszać z sal wykładowych ludzi zaprzątniętych myślą i troską o czem innym. A mimo to na niektórych wykładach, zwłaszcza gości warszawskich, sala z trudem mieściła przeszło 500 osób, z których część nawet słuchała z korytarzy.

Poziom prelekcji był, jak zawsze, wysoki, słuchacze wyrażali swe uznanie dla doboru prelegentów i tematów. Zastąpić wykładowcę trzeba było tylko w 3 wypadkach nagłego zasłabnięcia: nie przyjechał z tego powodu z Warszawy dyrektor dr. Wroczyński, a z miejscowych zasłabła prof. dr. Stołyhkowa z Uniw. Jagiel., pracująca w zakresie eugeniki w Polskiej Akademii Umiejętności i w Międzynarodowym In-



Kurs Alkohologii w Krakowie.

stytucie Antropologii w Paryżu. Z gości warszawskich wykładali: radca Woytowicz-Grabińska, ks. poseł dr. Padacz, psychiatra dr. Kaczyński (asystent prof. Mazurkiewicza), Mikołaj Skiba, dyrektor Starczewski, prof. dr. Szulc, redaktor Szymański, psychiatra dr. Zajączkowski. Z Radomia chemik prof. Vorbrodt i nac. Kryško. Z Katowic prof. Sławiński. Z Krakowa wykładali z Uniwersytetu Jagiell. profesorowie i asystenci, przeważnie specjaliści z zakresu neurologii i psychiatrii: d-rowie Chłopicki, Gastoł, Horodeński, Jarema, Kaulbersz, Paszkowski, Pieńkowski, filozof ks. Salamucha, embrjolog Skowron, internista Sokołowski. Dalej senator dr. Stryjeński, dyrektor zakładu w Kobierzynie, dr. Maćko, naczelnik wojew. wydziału opieki społecznej, b. kurator szkolny Przyjemski, naczelnik z kuratorjum Gałęcki, publicysta Babiński i organizator kursu, prezes Kalinowski.

W programie poza normalnymi wykładami o oddziaływaniu alkoholu na ustrój, o sposobach i dziejach walki z alkoholizmem w Polsce i po świecie, były takie tematy, jak: Wielkie SOS kultury polskiej. Czynniki psychiczne kształtujące postawę moralną człowieka. Zagadnienie polskiego człowieka. Alkoholizm wrogiem kultury rodziny. Alkohol a uczucia wyższe. Alkoholizm i opieka społeczna. Nierząd, jako jedna z przyczyn upadku państw. Alkohol a młodzież. Alkohol a szkoła. W obronie kultury narodowej. Alkoholizm jako zagadnienie gospodarcze. Alkoholizm a dyscyplina społeczna. Alkohol a płeć. Alkohol a przestępczość. Alkoholizm jako zagadnienie kulturalno-etyczne. Alkohol a rozwój inteligencji. Niedorozwój umysłowy. Zaburzenia świadomości w stanach zatrucia narkotycznego. Narkomanja w świetle eugeniki współczesnej. Alkoholizm i zwyrodnienie. Rola alkoholu w neuropatologii i psychopatologii. Lecznictwo narkomanów. Istota i powstawanie chorób umysłowych. Alkoholizm ze stanowiska higieny. Choroby społeczne. Alkohol a wychowanie fizyczne i sport. Demoralizujący przykład. Dziedziczenie nałogów. Stalowa wola. Przed czem chronić dorastającą młodzież. Stan zdrowotny w szkołach średnich. Komunikacja podstawowym warunkiem obronności Państwa. Konwencja międzynarodowa. Narkomanja w Chinach, Mandżurji i Japonji.

Kurs, jak zawsze, urządzony był z pomocą Ministerjum Opieki Społecznej, którego delegat, red. J. Szymański w dniu zamknięcia kursu rozdał świadectwa słuchaczom, gorąco ich zachęcając do pracy społecznej na niwie walki z alkoholizmem. Słuchacze otrzymywali w ciągu kursu mnóstwo wydawnictw propagandowych i zeszyty „Trzeźwości“, które ich nadzwyczajnie zainteresowały i po które znów nazajutrz skwapliwie wyciągali ręce. Dużo bywało na kursie nauczycielstwa, do którego Kuratorjum skierowało okólnik zachęcający.

Niezmiernie pożyteczną akcję prowadzi od szeregu już lat z inicjatywy prezesa Towarzystwa „Trzeźwość“ powstały Dział Przeciwalkoholowy Powszechnych Wykładów Uniwersytetu Jagiellońskiego, które pod kierownictwem d-ra Reguły obsługują kilkadziesiąt ośrodków w województwach krakowskim, kieleckim i śląskim, a częściowo nawet lwowskim. Z wszystkich działów tej instytucji największą liczbę wykładów i największą frekwencję słuchaczy wykazuje już od kilku lat stale właśnie Dział Przeciwalkoholowy, korzystający z pomocy Ministerjum Opieki Społecznej dla opłacania kosztów podróży prele-

gentów, gdyż wstęp na te odczyty jest bezpłatny. Oprócz wykładów publicznych po miastach i osadach fabrycznych, dział ten od lat kilku prowadzi doniosłą akcję po szkołach w porozumieniu z Kuratorjum, które wydaje bezpośrednio polecenia dyrekcjom szkół średnich, dzięki czemu lekcja jest obowiązkowa i w godzinach szkolnych, co zapewnia udział wszystkich uczniów klas starszych.

W Krakowie prelegentami w gimnazjach i liceach są oprócz sił miejscowych jeszcze profesorowie, przybywający z Warszawy na Kurs alkoholologii, mają więc jednego dnia lekcję szkolną w południe i wykład na kursie wieczorem. W ten sposób skorzystano z gościny w Krakowie wymienionych powyżej prelegentów zamiejscowych, przy czem łączono w jednej sali po kilka zakładów. Akcja objęła wszystkie gimnazja i licea, oraz pedagogjum i wyższe kursa nauczycielskie, a także szkołę ekonomiczno-handlową. Ponieważ uwzględniono tu tylko uczniów najstarszych, liczba słuchaczy tych prelekcji w Krakowie wyniesie więcej niż 6 tysięcy. Na prowincji zaś po szkołach (również tylko dla starszych klas) urządzono wykładów 25 w miejscowościach: Bochnia, Brzesko, Chrzanów, Częstochowa, Dąbrowa, Dębica, Gorlice, Jasło, Jędrzejów, Kielce, Miechów, Nowy Sącz, Nowy Targ, Olkusz, Oświęcim, Radom, Sandomierz, Tarnów, Wadowice, Wieliczka, Zakopane, Zawiercie, Żywiec, gdziekolwiek po dwa, a na każdym wykładzie bywało od 300 do 500 uczniów.

Publiczne wykłady, nie licząc krakowskich, odbyły się w ubiegłym sezonie w tych miejscowościach: Glinnik Marjampolski, Jawiszowice, Jędrzejów, Jordanów, Jedlicze, Krosno, Myślenice, Niepołomice, Oświęcim, Rzeszów, Sandomierz, Sosnowiec, Skawina, Tarnów, Wadowice, Wieliczka, Żywiec, przeważnie po dwa odczyty z frekwencją najmniej po sto osób na każdym.

Sezon dopiero się zamyka, więc jeszcze nie ma zestawień urzędowych, ale już z tych obliczeń tymczasowych można mieć pojęcie, ile tysięcy słuchaczy z ust doborowych prelegentów wysłuchało wymownej przestrogi przed niebezpieczeństwem tolerowania alkoholizmu. Zawdzięczać to mamy świetnej organizacji Powszechnych Wykładów Uniwersytetu Jagiellońskiego, należy więc z uznaniem zanotować mozolną pracę p. Białonia, w którego rękę właśnie zbiegają się w sekretarjacie wszystkie nici skomplikowanej organizacji.

Na tem miejscu musimy złożyć podziękowanie Departamentowi Służby Zdrowia Min. O. S., który pomocą swoją dla tych Wykładów, jak dla corocznych Kursów przez „Trzeźwość“ urządzanych w Krakowie, umożliwił prowadzenie akcji przeciwalkoholowej na rozległym terenie krakowskiego Kuratorjum szkolnego na skalę tak szeroką i na tak wysokim poziomie, od lat dziesięciu.

Pisząc list krakowski o działalności „Trzeźwości“, należy go uzupełnić wzmianką o organizacji pokrewnej. Koło Abstynentów przy tułtejszym Związku Młodzieży Przemysłowej i Rękodzielniczej obchodziło 30-lecie. Na jubileusz, jako delegat Ministerjum Opieki Społecznej przybył redaktor Szymański, którego przemówienia witano owacyjnie. Zagał akademję jubileuszową założyciel Koła, czcigodny ks. prezes Kuznowicz, następnie przemawiał prezes Kalinowski imieniem „Trzeźwości“, zarys historii 30 lat pracy dał p. Dalewski, a p. Ołpiński z War-

szawy, który jest wiceprezesem na Europę międzynarodowej Federacji młodzieży abstynenckiej, zaznajomił słuchaczy z tą organizacją. Wśród przemówień gości składających życzenia jubileuszowe, wspomnieć trzeba głos delegata Kuratorjum szkolnego. W uroczystym nastroju wreczył ks. Kuznowicz dyplomy honorowych członków Koła Abstynentów red. Szymańskiemu, prezesowi Kalinowskiemu, d-rowsi Poźniakowi, lekarzowi szkolnemu, oraz pierwszym prezesom Koła z przed 3 dziesiątków lat. Na zakończenie uroczystości we wspaniałym gmachu Związku Młodzieży, będącym dziełem jej przyjaciela i opiekuna, ks. Kuznowicza, odegrano w teatrze z całym aparatem efektów scenicznych, w świetnej inscenizacji reż. Jabłońskiego, ideowe widowisko w 4 fantastycznych obrazach, pióra Eli Oleskiej, p. t.: „W sidłach szatana“, które wywiera, gdziekolwiek je grają, niezapomniane wrażenia.

Na zakończenie jeszcze jedna wiadomość: Prezydentem miasta Krakowa mianowany został prawdziwy przyjaciel „Trzeźwości“, dr. Bolesław Czuchajowski, rejent, a poprzednio prezes sądu okręgowego, działacz społeczny na terenie Towarzystwa Szkoły Ludowej, który na naszych kursach przeciwalkoholowych miewał stale świetne wykłady, zawsze z własnej praktyki karnej, zapewniając słuchaczy, że 95 procent wszelkiej przestępczości ma źródło bezpośrednio, lub pośrednio w alkoholizmie.

Swój.

W Ó D K A.

Na wystawach licznych — niestety, zbyt licznych — sklepów ze spirytualjami, oraz restauracyj i barów stoją uszeregowane amfiteatralnie butelki z wódką. W dolnych szeregach przeważają kryształowo-przejrzyste „setki“ i litrówki z „czystą“ zwykłą i wyborową. W górnych — piętrzą się w pękatach gąsiorkach i smukłych flaszkach kosztowne eliksiry alkoholowe dla możnych tego świata.

Dla człowieka nietrunkowego widok takiej wystawy sklepowej przypomina — półki laboratorium chemicznego, wypełnione probówkami, fiolkami, słoikami i naczyniami dziwacznej kształtu, mieszczącymi najrozmaitsze płynne odczynniki chemiczne... Znajdują się wśród nich również grubościennie, pękate, specjalnie izolowane naczynia ze skroplonymi gazami. Zawartość tych ostatnich dziwnie przypomina — dzięki osobliwym skojarzeniom myślowym — zawartość butelek z wódką...

Analogja nie jest jednak zupełna. Wódka, to nie tylko skropliny lotnego spirytusu etylowego z dodatkiem wody, lecz i fizyczna kondensacja nieszczęść ludzkich, których źródłem jest pijaństwo.

Tak niewinnie wyglądająca, przejrzysta ciecz w jasnych butelkach najrozmaitszych rozmiarów, zaopatrzonych w etykiety z godłami monopolu państwowego, to skropliny najokropniejszych „gazów“, stoć kroć gorszych od trujących gazów wojennych. Wódka, to skondensowana nędza warstwy robotniczej, to zbrodnie popełnione po pijanemu, to moralny i fizyczny upadek alkoholików, to przyczyna większości nieszczęśliwych wypadków, to fałszywa radość ludzi umiarkowanie pija-

cych, za którą płaci się nie tylko pieniędzmi, lecz zdrowiem i upadkiem ducha.

W wielkich gmachach fabryk i rozlewni wódek wre gorączkowa praca. Słychać szcęk milionów butelek, sapanie maszyn, z wielkich składów wypełnionych skrzyniami z baterjami „małpek“, „setek“ i „czterdziestek“ wyjeżdżają potężne samochody wyładowane tym nieszczęsnym produktem. Za przeźroczytymi ściankami butelek i buteleczek chwieje się i bulgocze niewinnie kryształowy płyn, czekając cierpliwie chwili, gdy, po przejściu przez przelyk „podgazowanego“ obywatela przeistoczy się w demona zła, ponure źródło nieszczęść ludzkich...

Świadome tego zła społeczeństwo jedną ręką grozi pijącemu nadmiernie obywatelowi, strasząc go okropnymi perspektywami nieszczęść, spowodowanych alkoholizmem, a drugą podaje mu uprzejmie butelkę, zawierającą fizyczną kondensację tych nieszczęść, zapraszając do większej konsumpcji — dla dobra skarbu państwa...

Czy należy się wobec tego dziwić, że przed wystawami wypełnionymi butelkami ze skroplinami nieszczęść ludzkich zatrzymują się tak chętnie lojalni obywatele kraju?...

Zygmunt Koczorowski.

PRZED 20 LATY.

Z pierwszego N-ru „Trzeźwości“, który ukazał się w sierpniu 1919 r., podajemy „Odezwę Towarzystwa „Trzeźwość“, oraz spis osób, założycieli T-wa, którzy odezwę podpisali :

O d e z w a.

Upaść może i wielki naród —
zginąć tylko nikczemny.

Stanisław Staszyc.

W Sejmie naszym po wakacjach wejdzie pod obrady sprawa zwalczania alkoholizmu. Z jednej strony minister skarbu złożył wnioski o wprowadzeniu w Polsce monopolu spirytusowego, z drugiej — posłowie *ks. Kaczyński*, *Marja Moczyłowska* i *ks. Dr. Lutostawski* złożyli wnioski nagłe w sprawie wydania ustawy przeciwalkoholowej, zakazującej wyrobu i sprzedaży napojów spirytusowych. — Sejm więc orzeknie: czy Polska odrodzona ma pójść w ślady Rosji carskiej i wprowadzić u siebie monopol wódczany, czy też ma zostać krajem trzeźwym na wzór Finlandji i tak jak obecnie Stany Zjednoczone Ameryki Północnej — uchwalić u siebie zakaz wyrobu i sprzedaży napojów alkoholowych.

W Sejmie zdania posłów są podzielone: jedni chcą trzeźwości zupełnej, inni „monopolu“. Kraj musi się w tej palącej sprawie stanowczo wypowiedzieć, aby wpłynąć na decyzję Sejmu.

*

Polskie Towarzystwo walki z alkoholizmem „Trzeźwość“, zatwierdzone przez władze w dniu 11 czerwca b. r., którego działalność ma się

rozcigać na całe Państwo Polskie, zwraca się do społeczeństwa z gorącą odezwą, aby się stanowczo wypowiedziało za hasłem powszechnej i zupełnej trzeźwości. W tej decydującej wielkiej chwili — wszyscy ci, dla których dobro kraju, niepodległość Ojczyzny, los przyszłych pokoleń rzeczywiście jest bliskim i drogim, — stanąć muszą w jednym, zwartym szeregu i głos swój stanowczo i donośnie podnieść. W tym wyborze pomiędzy monopolem, a trzeźwością ważyć się będą losy narodu. Straszliwa niewola, klęski wojny osłabiły nas i wycieńczyły, jesteśmy otoczeni wokół przez wrogów, tylko trzeźwi, trzeźwi zupełnie, zdołamy zwycięsko wyjść z niesłychanie ciężkiego położenia.

Towarzystwo nasze przez prezesa swego posła M. Moczydłowską wniosło do Sejmu projekt ustawy przeciwalkoholowej. Prosimy o poparcie naszej działalności — zwracamy się o pomoc do wszystkich bez różnicy partji, gdyż w sprawie walki z alkoholizmem nie może być różnic partyjnych; chodzi tu o dobro ogółu; tak samo jak w walce z głodem, chorobami i innymi klęskami powszechnymi.

Siła moralna była największą i najlepszą obroną i ostoją w walce naszej z najazdem — ta też jedynie siła może być trwałą podwaliną gmachu odrodzonej Rzeczypospolitej — nie może zaś być mowy o moralności narodu przy jednoczesnem panowaniu pijaństwa.

Zaszły obecnie ogromne zmiany: robotnicy uzyskali 8-godzinny dzień pracy, Sejm uchwalił reformę rolną, zarobki są wysokie, — baczmy, aby te zmiany i reformy korzyść narodowi i Ojczyźnie przyniosły; *jeżeli pozostanie pijaństwo, wszystkie te nabytki zostaną zmarnowane i przepite*, a wówczas Polska odrodzona może zginąć tak — jak upadła w końcu wieku osiemnastego.

Wzywamy więc wszystkich do wspólnej pracy z nami: inteligencję, duchowieństwo, nauczycielstwo, włościanstwo, robotników, rzemieślników. Mamy nadzieję, że nikt nam swej pomocy w tej chwili nie odmówi — wzywamy gorąco kobiety Polki — pomagajcie nam w naszej walce: chodzi o los dzieci waszych, o los ojczyzny!

Polskie Towarzystwo Walki z alkoholizmem „Trzeźwość“.

W kwietniu 1919 r. grono osób w Warszawie, przeważnie dawnych działaczy przeciwalkoholowych i abstynentów, postanowiło założyć towarzystwo dla walki z alkoholizmem. Po szeregu narad prywatnych — w niedzielę dn. 18 maja odbyło się w sali T-wa Higjenicznego zebranie organizacyjne T-wa. Zadania T-wa wyjaśnia dostatecznie wymieniona wyżej „Odezwa“ jego. T-wo stoi na gruncie ściśle bezpartyjnym, podejmując w ten sposób chlubną tradycję dotychczasowej pracy abstynentów polskich.

Zaproszenie na zebranie organizacyjne jako członkowie założyciele podpisały następujące osoby:

Pos. Dr. Z. Balicka, Józef Beck — wiceminister Spr. wewn., ks. pos. W. Bliziński, ks. F. Bocian (Poznań), pos. Jakób Bojko, Dr. L. Bregman, pos. J. Brodziak, Dr. Wł. Chodecki, Dr. Witold Chodźko — wiceminister zdrowia publ., Dr. J. M. Dobrowolski, Dr. T. Drabczyk, pos. J. Durczak, pos. T. Dymowski, ks. pos. St. Diennicki, pos. Dr. S.

Falkowski, ks. L. Górski (Wielichowo), Marja Hornowska, prof. Dr. Tomasz Janiszewski — minister Zdrowia Publ., Dr. T. Jaroszyński, prof. Dr. J. Jaworski — szef sekcji Min. Zdr. Publ., W. Jezierski, pos. prof. Dr. W. Kamieniecki, Dr. T. Klimowicz, pos. F. Koczur, Dr. Kopczyński, pos. I. Kosmowska, Dr. H. Kucharzewski, Dyr. K. Kujawski, Dr. T. Łapiński, T. Łopuszański — szef Sekcji Min. Ośw., prof. Dr. Jan Mazurkiewicz, St. Michalski, pos. L. Misiołek, pos. Marja Moczydłowska, pos. Zofja Moraczewska, pos. Wł. Niewinowski, Dr. C. Otto, pos. Wł. Opala, Stanisław Korwin-Piotrowski, red. T. Prószyński, K. Proczkówna, red. W. Rabski, Dr. R. Radziwiłłowicz, pos. F. Rejdych, pos. Dr. Rottermund, red. Michał Róg, pos. Dr. A. Rząd, pos. ks. Z. Sędzimir, pos. J. Smulikowski, Dr. Staszewski, pos. W. Staniszkis, Dr. Tadeusz Strumiłło, pos. Stanisław Szymański, red. Jan Szymański, pos. T. Tabaczyński, pos. ks. Arcyb. J. Teodorowicz, pos. Wincenty Witos, pos. ks. B. Wróblewski.

DZIEJE SALONU.

Życie pani płynęło gładko.
 Żoną byłaś wzorową i matką.
 Lecz ta wzorowość i ta szarość
 Zaczęły cię gnębić, gdy weszła starość;
 I kiedy piąty krzyżyk narastał,
 Zajaśnieć chciałaś wśród niewiast miasta.
 O literackim marzyłaś salonie.
 O mądrych mężów wybranem gronie,
 O pięknych słowach przy szklance herbaty,
 Dyskusjach gorących na wzniosłe tematy,
 Dowcipach wytwornych przy przedniej kolacji,
 O wierszach, muzyce i konwersacji.
 Mówiłem: „nie warto!“ Mówiłem, że szkoda.
 A pani, że trzeba, że szyk i że moda.
 Zgodziłaś kucharza. Kupiłaś wina.
 Artystów sprosiłaś pół tuzina.
 Artyści przybyli. Jedli i pili.
 A czy mówili? Owszem, mówili...

*
* *
*

Pani do nich, co sądzą o portretach Styki,
 Oni, że pod wódkę najlepsze rydzyki.
 Pani o Przybosiu,
 Oni o łososiu.
 Pani do nich o twórczości Gjellerupa,
 Oni, że się udała żółwiowa zupa.
 Pani o Jaraczu,
 Oni o sandaczu.
 Pani do nich o „Trzech znakach Zodzaku“,

Oni o trzech gwiazdkach i konjaku.
 Pani o Ronsardzie,
 Oni o homardzie.
 Pani do nich o nowej powieści Céline'a,
 Oni, że to doskonała cielęcina.
 Pani o Kancie,
 Oni o bazancie.
 Pani do nich, że właśnie czytała „Motory“,
 Oni, że się w ustach rozplývają kalafjory.
 Pani o „Sztafecie“,
 Oni o suflecie.
 Pani do nich o Disneyu i Chaplinie,
 Oni, że napewno drogie te brzoskwinie.
 Pani do nich o kazaniach Gautamy Buddy,
 A oni o serze.
 Pani o Sinclairze,
 Oni chórem: „Daj wódy!“

* *
 * *

Ponoć była nawet dyskusja, acz krótka:
 Co lepsze do zakąsek, Cinzano, czy wódka:
 I dlaczego w tym domu
 Nie wiadomo nikomu,
 (Choć to niby ludzie z lepszej sfery),
 że do kawy winny być likiery.

* *
 * *

Dwóch się wtedy nieładnie załało,
 Choć reszta twierdziła, że trunków mało.
 Wreszcie wstali, przeprosili
 I pięć złotych pożyczli
 Dla kucharki na pourboire —
 I „au revoire...“

* *
 * *

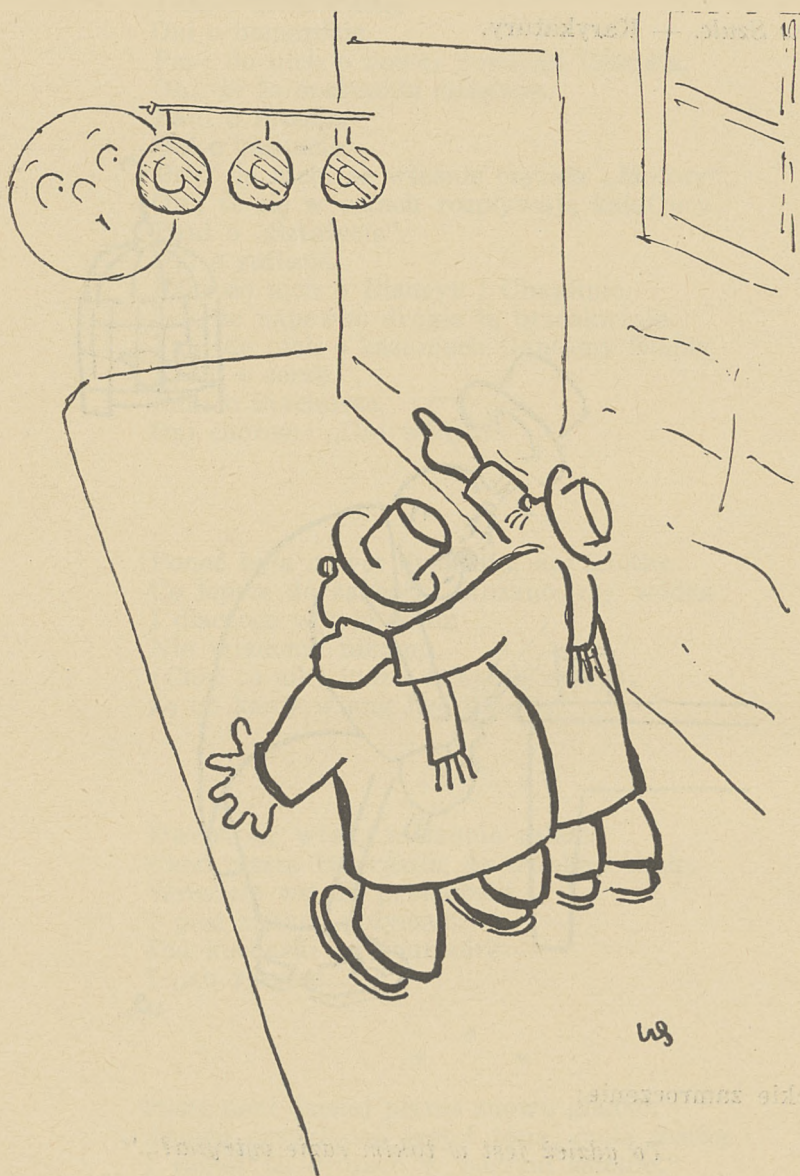
życie pani dzisiaj płynie znowu gładko.
 Znowu przykładną jesteś żoną, czułą matką.
 I robisz na drutach w pustym salonie,
 Jak wypada siwiejącej matronie...

Wacław Szulc. — Karykatury.



Pijackie zamroczenie:

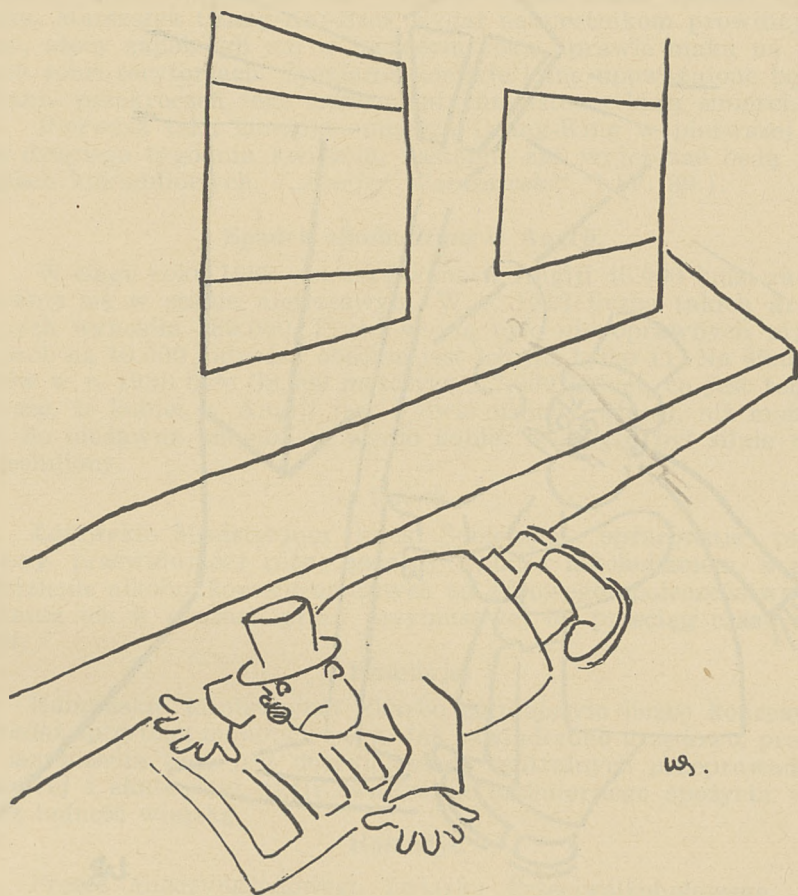
„To gdzież jest w takim razie cytryna?...“



Wg

Spostrzegawczość pijacka:

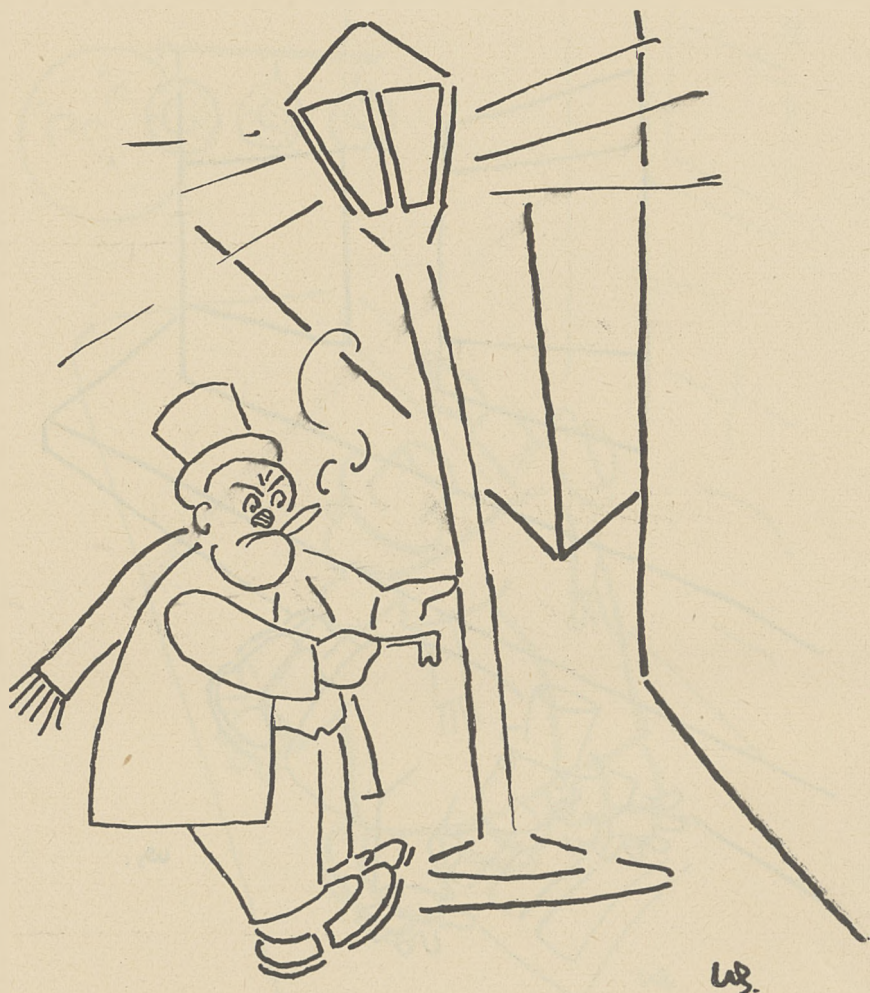
„Patrz, patrz... zaćmienie księżyca!...“



w.

Analogje...

„I znowu za kratami!...“



Logika pijacka:

— *Panie szanowny, co pan tu chce otworzyć, przecie tu nikt nie mieszka?!*

— *A to dlaczego się u góry świeci?...*

KRONIKA ZAGRANICZNA.

Walka z opjum w Chinach.

Czung King. 1.IV. (A.T.E.). Ażeby wyplenić w Chinach nałóg palenia opjum, centralny rząd chiński wydał zakaz dalszej uprawy maku. Marszałek Czang-Kaj-Szek wydał namiestnikom prowincji rozkazy, ażeby zapobiegli oni w bieżącym roku uprawie maku na podległych sobie terytorjach. Specjalne komisje lotne upoważnione będą do karania przekroczeń tego zakazu natychmiastową karą śmierci.

Pierwsza taka komisja opuszcza Czung-King w pierwszej połowie drugiego tygodnia kwietnia, następne zaś wyjeżdżać będą w odstępach kilkudniowych. („*Kurjer Warszawski*“, 1.IV. 39.).

Spadek alkoholizmu w Anglii.

W ciągu roku 1938 zaarrestowano w Anglii 45.000 ludzi za znajdowanie się w stanie nietrzeźwym. W r. 1913 liczba takich aresztowanych wynosiła 189.000. Przed wojną było niepoprawnych pijaków 48 osób na 10.000 ludności, obecnie jest ich już tylko 11. Na 45.000 pijaków w r. 1938 było 38.000 mężczyzn i 7.000 kobiet, co jest tem ciekawsze, że kobiet w Anglii jest o dwa miliony więcej, niż mężczyzn i że do niedawna alkoholizm wśród kobiet w Anglii był silnie rozpowszechniony.

Łotwa.

Łotewskie Ministerjum Opieki Społecznej opracowuje projekt ustawy, przewidującej różne sposoby walki z alkoholizmem, a m. in. oddzielenie alkoholików chronicznych od zdrowego społeczeństwa i zamknięcia ich w obozach pracy przymusowej na przeciąg czasu aż do 4 lat.

Rumunja.

Rumuńskie Ministerjum Skarbu zmniejszyło liczbę koncesyj na sprzedaż spirytusu monopolowego. Jak oświadczone urzędowo, przyczyną zarządzenia tego jest decyzja władz centralnych przeprowadzenia planowej i skutecznej akcji zwalczania nadmiernego spożycia wódki przez ludność wiejską.

Holandja.

Prezes Międzynarodowego Związku Przeciwalkoholowego, Minister Slotemaker de Bruine, obchodził dn. 7 maja 70-ą rocznicę urodzin. Czcigodnemu Jubilatowi telegraficzne życzenia przesłali z Warszawy: Zarząd Główny Tow. „Trzeźwość“ i red. Jan Szymański.

Nietrzeźwym automobilistom konfiskują wóz.

W Szwecji wydane zostało rozporządzenie rządowe, na mocy którego pijany automobilista nie tylko zostaje aresztowany, ale ponadto wóz jego ulega konfiskacie.

Zaszło już kilka takich wypadków, wywołały one panikę wśród automobilistów, hołdujących alkoholowi.

KRONIKA.

Odznaczenia. W związku z XX-leciem odzyskania Niepodległości, zostali odznaczeni za zasługi na polu walki z alkoholizmem:

Orderem Polonia Restituta:

Tomasz Nocznicki, b. Minister i Senator — komandorja;
Dr. Robert Hercod, Dyrektor Międzynar. Biura walki z alkoholizmem w Lozannie — krzyż oficerski.

Złotym Krzyżem Zasługi:

Ks. Mgr. Jerzy Bekier, Włocławek.
Dr. Henryk Zajączkowski, Warszawa.
Dr. Stanisław Leszkiewicz, Kowel.
Dyrektor Bronisław Duchowicz, Lwów.
Marja Moczydłowska - Niekraszowa, Warszawa.
Inż. J. G. Kossowski, Stanisławów.
Ks. pastor Józef Nierostek, Cieszyn.
Jan Wantuła, rolnik, Ustrón.
Prof. Dr. Stefan K. Pieńkowski, Kraków.
Marja Szymańska (Hanna Nałęcz-Ostrowska Szymańska), publicystka, Warszawa.
Stanisław Bobiński, Sekr. Zarz. Gł. Tow. „Trzeźwość“, Warszawa
Dr. Konstancja Kulejewska, Warszawa.
Prof. Zygmunt Hryniewicz, Wilno.
Zofja Herwichowa, nauczycielka, Warszawa.
Dr. Kazimierz Jasielowicz, Warszawa.
Dr. Zygmunt Rozen, Warszawa.
Jan Starczewski, Dyrektor Wydziału O. S. i Zdr. Publ. Zarz. m. st. Warszawy.
Inż. Józef Szadziwicz, Prezes Abst. Ligi Kolejowców, Warszawa.
Dr. chemji Juljusz Vorbrodt, Radom.
Jakub Glass, em. Sędzia S. N., Warszawa.

Srebrnym Krzyżem Zasługi:

Konstanty Kryśko, Prezes Radomsk. Okr. A. L. K.
Jan Korzon, Abst. Liga Kol., Warszawa.
Antonina Mackiewiczówna, nauczycielka, Wilno.
Dr. Juljusz Genzel, Wilno.

Bronzowym Krzyżem Zasługi:

Irena Małecka, Sekretarka Tow. „Trzeźwość“, Warszawa.
Mikołaj Dygala, pracownik Tow. „Trzeźwość“.

Z powodu mowy, ogłoszonej w Sejmie dn. 5 maja r. b. przez P. Ministra Becka, Zarząd Gł. Tow. „Trzeźwość“ wysłał następujący telegram:

MINISTER BECK

Ministerstwo Spraw Zagranicznych

W a r s z a w a

Wyrazy hołdu i głębokiej wdzięczności za wspaniałą obronę praw Rzeczypospolitej prosi przyjąć Prezydjum Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa walki z alkoholizmem „Trzeźwość“

*Kazimierz Kalinowski, Stanisław Bobiński, Jan Szymański,
Aleksander Izyczki.*

Szanowna Redakcjo!

Często słyszy się zarzuty: „widać, że ten, tak potępiany trunk nie jest znów tak straszną trucizną, skoro nawet nałogowi trzymają się dobrze fizycznie i moralnie i dożywają późnego wieku. W mojem sąsiedztwie zmarł właśnie 88-letni taki namiętny alkoholik, pijał tylko mocne wódki i spirytusy w dużych ilościach, a którego nikt nigdy nie widział pijanego. Był znakomitym, bardzo czynnym urzędnikiem prawie do ostatnich dni życia.

Proszę o wyjaśnienie tej sprawy z punktu widzenia lekarskiego.

Winogród Leśny.

Jan Pinterhoffer.

Warszawa, 3.III. 1939 r.

Szanowny Panie Redaktorze!

W związku z zapytaniem p. Jana Pinterhoffera składam krótkie wyjaśnienie:

Odosobnione przypadki podane przez p. Pinterhoffera nie stanowią reguły. Osobnik o bardzo zdrowej konstytucji cielesnej i psychicznej, oraz nie obciążony dziedzicznie, może czasami nadużywać przez czas dłuższy alkoholu, bez pozornej szkody dla drowia. Potomstwo tych zdrowych i alkoholizujących się osobników byłoby już bardziej podatne na zgubne wpływy alkoholu.

Innemi słowy działanie alkoholu objawia się rozmaicie u ludzi, w zależności od ich konstytucji cielesnej i psychicznej. Bardziej wrażliwi np. na działanie alkoholu są leptosomici i schizotymicy (b. wrażliwi, subtelni, przeczuleni, skryci, głęboko przeżywający i t. p.), oraz dziedzicznie obciążeni—dzieci alkoholików i psychopaci konstytucjonalni. Osobnik podany w przykładzie p. J. Pinterhoffera należał prawdopodobnie do ludzi o zdrowej konstytucji cielesnej i nie był obciążony dziedzicznie. Są to przypadki odosobnione. Częściej się zdarza, że już po niedługim nadużywaniu alkoholu nawet bardzo młodzi osobnicy trafiają do zakładu dla chorych psychicznie. Potomstwo ludzi takich, o jakich wspomina p. Pinterhoffer, napewno nie będzie mogło po-

szczyć się tak długim wiekiem i taką sprawnością psychiczną, jak to zostało przytoczone w przykładzie.

Łączę wyrazy szacunku

Dr. C. Konopka.

Kolejarze brześcy w służbie trzeźwości. 5-go stycznia b. r. w świetlicy brzeskiego Koła Abstynenckiej Ligi Kolejowców odbył się tradycyjny opłatek dla członków i sympatyków Ligi. Uroczystość zaszczylił swą obecnością Ks. Wikary Józef Zajac, przedstawiciel stowarzyszenia „Rodziny Kolejowej“, p. sekretarz Antoni Januszewski i kilkudziesięciu gości.

Po przemówieniach, złożeniu wzajemnych życzeń w wesołym, trzeźwym naturalnym humorze spędzono wieczór, śpiewając kolędy i tańcząc, przy akompaniamencie skrzypiec p. E. Lipińskiego. Podczas wyczerzy odbyła się wspólna fotografia.

Alkohol z korzyścią dla nastroju tradycyjnego i zdrowia zebranych zastąpiono krajowymi bezalkoholowymi, naturalnymi sokami owocowymi oraz przyrządzonymi z tych soków leguminami.

Życzymy, aby dla dobra kolei i Państwa przykład kolejarzy brzeskich, trzeźwego świętowania znalazł jaknajliczniejszych naśladowców. Przy sposobności zarząd Koła A. L. K. w Brześciu składa serdeczne podziękowanie komitetowi gospodarczemu, zwłaszcza PP. Szymańskim, Paleczkom i Kalinowskim za bezinteresowne, staranne i umiejętne zorganizowanie obchodu opłatku abstynenckiego.

Brześć n/B.

Dr. L. Zgirski.

Alkohol i sport.

Dyrektor Państw. Zakładu Higjeny, Prof. *Gustaw Szulc*, pisze m. in. w „Lekarzu Wojskowym“, co następuje:

Alkohol w jakiegokolwiek postaci powinien być wykluczony z diety sportowca. Wprawdzie zdarza się tu i owdzie spotkać sportowca, wykazującego niezłą nawet formę, który używa alkoholu, a nawet były wypadki dyskwalifikowania sportowców za nadużycia alkoholowe, to jednak nie zmienia faktu, że nawet nie wielkie dawki alkoholu działają bardzo szkodliwie na sprawność i wydajność sportowca.

Alkohol działa szkodliwie na przemiany chemiczne, zachodzące w mięśniach pracującym, wskutek czego kwas mleczny, tworzący się w mięśniach, nie może się dostatecznie szybko utleniać i nagromadza się w większej ilości we krwi, powodując szybsze znużenie i przeszkadzając powrotowi do normalnego stanu wypoczynku. Szczególnie niebezpieczny jest alkohol w wycieczkach wysokogórskich, kiedy procesy utleniania w tkankach odbywają się gorzej wskutek niskiego ciśnienia atmosferycznego. Wtedy nawet niewielka ilość alkoholu, wypita dla „rozgrzania“, może spowodować śmierć u osób wyczerpanych. Jak najbardziej należy potępić nierozsądny zwyczaj zabierania alkoholu na dalekie wycieczki. Bardzo wiele nieszczęśliwych wypadków w górach jest następstwem „ratowania się“ alkoholem w ciężkich sytuacjach. Alkohol nie da się pogodzić ze sprawnością sportową również dlatego, że już w bardzo małych ilościach powoduje zaburzenia w koordynacji ruchów wskutek zatrucia tkanki nerwowej. Liczne badania na grupach sportowców z alkoholem i bez dowiodły, że średni wyczyn sportowy

jakiejkolwiek grupy zawsze jest gorszy przy użyciu alkoholu, niż na trzeźwo.

Zupełnie błędne byłoby również podawanie alkoholu przy dolegliwościach, w następstwie nadmiernego znużenia lub przetrenowania. Alkohol właśnie przeszkadza powrotowi do normy i może jedynie pogorszyć stan i jego skutki.

(„Lekarz Wojskowy“, Nr. 5, 1939).

Z lecznictwa alkoholików. W N-rze 8 — 10 „Trzeźwości“ r. 1938 pisałam o rodzinie kucharza, której groziło rozbicie skutkiem nieszczęsnego nałogu ojca. Od tej chwili upłynęło 6 miesięcy, i obecnie mogę się podzielić z czytelnikami „Trzeźwości“ dobrą wiadomością. Dzięki kuracji, przeprowadzonej w Poradni przeciwalkoholowej I-go Ośrodka Zdrowia przy ul. Puławskiej w Warszawie, pacjent przestał pić, odzyskał zajęcie i z obowiązków wywiązuje się bez zarzutu; rodzina ma spokój i byt zabezpieczony.

To wszystko jest zasługą lekarza poradni, któremu dopomogła silna wola chorego i oparcie, jakie znalazł w rozumnej i cierpliwej żonie.

M. S.

Opieka nad młodzieżą szkolną. Zakaz sprzedaży wódki młodzieży. Na skutek interwencji władz nadzorczych, kuratorja szkolne roztoczyły opiekę nad zachowaniem się młodzieży poza obrębem szkół. W restauracjach zwrócono uwagę na zarządzenia o zakazie sprzedaży wódki i innych napojów wysokokowych młodzieży do lat 21, oraz o nie wpuszczanie młodzieży do lokali rozrywkowych, gdzie odbywają się występy o charakterze kabaretowym. Na lokale restauracyjne nie przestrzegające tych przepisów, nakładane będą grzywny, niezależnie zaś od tego, właściciele tych przedsiębiorstw pociągani będą do odpowiedzialności sądowej.

Hjeny w COP-ie żerują na naiwności i nałogach ludu.

Na obszarach Centralnego Okręgu Przemysłowego — tam, gdzie przelewają się miliony, które mają stworzyć nowy, potężny ośrodek przemysłu i podnieść dobrobyt żyjącej w nędzy ludności, pojawiły się już stada hjen ludzkich, żerujących na naiwności i nałogach ciemnego wieśniaka i robotnika.

W kieszeniach szynkarzy toną krociowe sumy, które miały podnieść dobrobyt ludności.

„Inicjatywa prywatna“ w zakresie handlu znalazła również swoje formy. Od wsi do wsi krążą furgoniki z towarem: „woda kolońska“, bez której dziewuchy wiejskie już obejść się nie mogą, niby jedwabne pończochy, paczki, w których za „jedne“ 2 zł. można nabyć „koszule i inne 125 przedmiotów“ — zawsze nic nie warta tandeta.

Do kieszeni oszustów-handlarzy idą krocie, które miały być użyte na polepszenie gospodarki rolnej.

COP gwałtownie potrzebuje obywatelskiej pracy czynników społecznych i mniej tolerancji ze strony władz w stosunku do oszustów i pasażerów.

(„Expr. Por.“ nr. 25. IV. 1939).

„Niema w sprzedaży wódki — piją eter“. „Zakaz sprzedaży wódki, spirytusu i napojów alkoholowych w przygranicznych wsiach pow. Częstochowskiego, miał zupełnie nieprzewidziane następstwa. Oto okazało się, że w ciągu ostatnich miesięcy we wsiach tych ogromnie wzrosło spożycie tetru. W związku z tem Polski Związek Zachodni postanowił wystąpić do centralnych władz o zniesienie zakazu“.

(„Kurj. Polski“, 18.II. 1939).

Wystawa płynnego owocu. Podczas Zjazdu delegatów Kół Tow. „Trzeźwość“ 17 i 18 maja 1939 r. urządzona zostanie wystawa napojów bezalkoholowych — płynnych owoców. Jak dotychczas (do dn. 12.V.) następujące wytwórnie zgłosiły swój udział w wystawie:

Zw. Spółdzielni Spożyców Rz. P. „Społem“ (wielka wytwórnia w Dwikozach).

W. Czajka — Kościan Wlkp.

Hartwig i Kantorowicz — Poznań.

Nektarnia Zakładu im. św. Anny — Kamień Pomorski.

L. Goldenring — Poznań.

P. Frank — Runowo Kraińskie.

Fr. Karpiński — Warszawa.

Pudliszki — Krobia.

życiany — Warszawa.

Zebrana i wystawiona również będzie literatura (broszury, plakaty, ulotki) dotycząca produkcji, oraz znaczenia płynnego owocu dla sprawy walki z alkoholizmem.

Najbliższe „Dekady“ Tow. „Trzeźwość“ (Oboźna 4):

Dn. 20 m a j a przemawiać będzie p. *Mikołaj Skiba*: „Alkoholizm jako zagadnienie gospodarcze w Polsce“.

Dn. 30 m a j a: red. *Jan Szymański*: „Krótki przegląd 20 lat pracy Towarzystwa „Trzeźwość“.

Dn. 10 c z e r w c a mówić będzie Prof. Uniwersytetu Poznańskiego, *Kazimierz Chodynicki*: „O ideologii współczesnych Niemiec“.

Dn. 20 c z e r w c a: Dr. *Piotr Radło* wygłosi odczyt p. t. „Gwiaźdz“.

Każda „Dekada“ rozpoczyna się o godz. 20 punktualnie — po odczytach obszerna część muzyczna. Wstęp 20 gr., dla członków Tow. „Trzeźwość“ — bezpłatny.

Na F. O. N. Dając wyraz radości i uznania z powodu mowy p. Min. Becka w Sejmie, dnia 5 maja, Zarząd Gł. Tow. „Trzeźwość“ przeznaczył na F. O. N. — 200 zł.

DRUK UKOŃCZONO DNIA 17 MAJA 1939 R.

TABLE DES MATIÈRES.

- KAZIMIERZ KALINOWSKI. — Président du Conseil de la Société „Trzeźwość“. Avant notre jubilé.
- JAN STARCZEWSKI. — Légitimité du mouvement antialcoolique.
- ABBÉ MGR. JERZY BEKIER. — Sur les méthodes du travail social dans la lutte contre l'alcoolisme.
- STANISŁAW CZERWIŃSKI. — Lutte contre les éléments paresseux associaux et les maisons de travail.
- BRONISŁAW DUCHOWICZ. — Sur la propagande des jus non fermentés des fruits.
- ABBÉ DR. JAN CIEMNIEWSKI. — Quelques mots sur la culture du cœur.
- KONSTANTY KRYSKO. — Nous sommes forts et prêts et serrons les rangs.
- HANNA NAŁĘCZ-OSTROWSKA SZYMAŃSKA. — L'art et la médecine.
- ANC. SEN. TOMASZ NOCZNICKI. — La mort de la forêt.
- ANC. SEN. ALEKSANDER IŻYCKI. — Notre vingtième anniversaire.
- STANISŁAW BIERNACKI. — L'offre spontanée de la santé et de la fortune.
- DR. JANINA ŚMIAROWSKA. — Jeux — nécessité pour la santé.
- MARJA SOKALÓWNA. — Parmi les livres.
- JAN SZYMAŃSKI. — L'alcoolisme et l'enfant.
- DR. PIOTR RADŁO. — Le soleil.
- CZESŁAW KACZMARCZYK. — L'augure des bouteilles. (dessin).
- KONSTANTY KRYSKO. — Images de la vie.
- ERYK LIPIŃSKI. — L'alcool et la mort. (deux dessins).
- J. MORI. — Le pourceau. (Nouvelle).
- NELA KRZEPKOWSKA. — „Honorer votre père“. (Poesle).
- ROMA LUXÓWNA. — Le scandale. (Nouvelle).
- KAZIMIERZOWA BRUCHNAŁSKA. — Ceci aussi est possible. (Nouvelle).
- ZOFJA OLSZEWSKA. — Petit père, rends témoignage. (Monologue).
- SZTAMA. — La malédiction de l'alcool. (Deux dessins).
- LENA SÖLM. — Jasia.
- ZOFJA HERWICHOWA. — Quel travail est nécessaire. (Poésie).
- DR. PIOTR RADŁO. — Vingtième anniversaire de la Société „Trzeźwość“ („Tempérance“).
- DR. JAN JAWORSKI. — La lutte contre l'alcoolisme de la Jeunesse de l'Association de la Jeunesse Rurale du district de Koźlenice.
- DR. STANISŁAW STYPUŁKOWSKI. — Hygiène Psychique du Premier Centre de Santé de la ville de Varsovie et la lutte contre l'alcoolisme.
- JAN SZYMAŃSKI. — L'alcoolisme et le sport.
- SWÓJ. — Une lettre de Cracovie (avec 1 dessin).
- XIII COURS DE L'ALCOOLOGIE — compte rendu (avec 1 dessin).
- WACŁAW SZULC. — Caricatures.
- CHRONIQUE.

NEKTAR

Idealny napój zdrowotny bez alkoholu.
Naturalny płynny owoc bez domieszek chemicznych
Zawiera najszlachetniejsze składniki odżywcze i lecznicze świeżego owocu.

WYTWÓRNIA:

NEKTARNIA ZAKŁADU ŚW. ANNY.
KAMIEN POMORSKI

PIERWSZA POLSKA SPECJALNA WYTŁOCZNIA NEKTARÓW.

„ŻYCIANY“

TŁOCZNIA SOKÓW WITAMINOWYCH
Z SUROWYCH OWOCÓW I JARZYN.

Dostarcza na zamówienie codziennie świeżo tłoczone soki odżywcze i lecznicze.

WARSZAWA, UL. ANDRYCHOWSKA 8, M. 2. TELEFON 8.72-99.

W

walce z alkoholizmem
skuteczną bronią są
bezalkoholowe
napoje chłodzące

KARPIŃSKIEGO

oranżada pomarańczowa

OR-SI

napój ananasowy

AN-ŻU

Lemoniady

KWAS OWOCOWY

przyrządzone na cukrze i naturalnych sokach.

LEKARZE POLSCY O ALKOHOLIŹMIE.

MYSLI I AFORYZMY

zebrał *JAN SZYMAŃSKI*

Warszawa — 1933

str. 23

cena 0.20

Do nabycia w składnicy Towarzystwa „Trzeźwość“, Oboźna 4 m. 28.

KAZIMIERZA KALINOWSKIEGO

powieść współczesna

„LAMPĄ WŚRÓD TOPIELI“.

cena 2.50

Tegoż autora:

„W WALCE O CZŁOWIEKA“.

cena 2.50

Do nabycia w Składnicy Towarzystwa „Trzeźwość“
ul. Oboźna 4 w Warszawie.